

- WSZYSTKO DLA PAŃ -

- WSZYSTKO DLA PAN -

Powieści ELIZABETH LOWELL
w Wydawnictwie Amber

A teraz miłość
Bez kłamstw
Kolor śmierci
Krajobrazy miłości
Na koniec świata
Pamiętne lato
Piękna marzycielka
Pustynny deszcz
Sen zaklęty w kryształ
Zawsze zdążysz umrzeć

ELIZABETH
LOWELL

Zawsze zdążysz umrzeć

Przekład
Agata Kowalczyk

Prolog

*Okolice Taos w Nowym Meksyku
Styczeń, wtorek. 3.00*

Stary dom wzdychał i jęczał pod naporem śnieżycy, jakby ktoś miał umrzeć. Ktoś umrze. Zaraz.

Koszmarne grymasy, bezgłośnie śmiech i myśl.

Nikt nie widział intruza, który bezszelestnie sunął po starym perskim dywanie. Nikt nie usłyszał, jak otworzyły się drzwi biblioteki.

Szpitalne łóżko i butla z tlenem wyglądały dziwnie wśród rzędów oprawnych w skórę książek i obramowanych złotem portretów Andrew Jacksona Quintrella I i jego żony, Isobel Mercedes Archulety y Castillo. Ambicja, która stworzyła jedną z największych posiadłości w Nowym Meksyku i zapoczątkowała polityczne kariery przyszłych Quintrellów, wyzierała z jankeskich błękitnych oczu A.J. Quintrella, Równie nieokiełznana ambicja jednej z najstarszych rodzin w Nowym Meksyku płonęła w brązowozielonych oczach Isobel.

Starzec leżący bez ruchu na szpitalnym łóżku był ich wnukiem. Ogień ambicji prawie się już w nim wypalił. Miał zakończyć życie tak, jak je rozpoczął, na ranczu Quintrellów. Żadnych szpitali, pielęgniarek, lekarzy. Żadnego szeptania, zamieszania, fałszywych uśmiechów nadziei.

Niebyło nadziei.

Przez niemal stulecie Senator cieszył się bogactwem, prestiżem i władzą rodu Quintrellów. Przez osiemdziesiąt lat przewodził rodzinie, trzymając ją w twardej garści władzy absolutnej. Teraz powoli ulegał zastoinowej niewydolności serca. Na razie tlen ułatwiał mu odpoczynek. Z czasem i to nie pomoże. Wtedy Senator się udusi.

Zdychaj, starcze. Dlaczego nie możesz po prostu umrzeć i zaoszczędzić nam wszystkim kłopotu?

Nie było odpowiedzi, oprócz powolnego, płytkiego, nieznośnie regularnego oddechu Andre w Jacksona Quintrella III,

Żyłeś jak pogański król. Dlaczego nie możesz umrzeć tak samo? Ale nie, ty musiałeś mieć wszystko - pogańskie życie na ziemi i chrześcijańskie życie po śmierci.

Ojciec Roybal złoży tego ranka kolejną wizytę i będzie namawiał byłego Senatora Quintrella, by oczyścił duszę z całego zła i sięgnął po boskie przebaczenie. Przebaczenie już na niego czeka.

Marnotrawni synowie zawsze mogli na nie liczyć.

Spowiedź może być dobrodziejstwem dla duszy, ale dla żyjących oznacza piekło. A ja nie chcę żyć w piekle, starcze.

Teraz twoja kolej, by go zasmakować.

Nareszcie.

Ręce w rękawiczkach wyjęły rurkę z tlenem z nosa Senatora. Ręce w rękawiczkach podniosły poduszkę z łóżka i przycisnęły ją łagodnie, stanowczo, nieubłaganie do twarzy starego człowieka. Oddech stał się wolniejszy, aż w końcu ustał. Mężczyzna zaszamotał się, z początku słabo, potem gwałtownie, ale nie mógł walczyć z tą zabójczą, łagodną siłą, która odcięła mu dopływ powietrza. Minuta, dwie i było po wszystkim, serce zatrzymało się, w miejsce życia pojawiła się śmierć.

Jeszcze mniej czasu zajęło mordercy wygładzenie pościeli, umieszczenie na powrót rurki z tlenem, odłożenie poduszki na miejsce i wyjście z pokoju w szorstkie objęcia nocy.

Rozdział 1

Okolice Taos, niedziela, rano

Dwaj mężczyźni mrużyli oczy od wiatru, patrząc na rodzinny cmentarz Quintrellów, położony kilkaset metrów niżej i niecałe dwieście metrów od podnóża długiej, poszarpanej grani, na której stali. Cmentarz otaczał biały parkan z kutego żelaza, jakby śmierć dało się utrzymać z dala od żywych za pomocą tak prostego środka.

Na skraju doliny tutejsze sosny - piniony - odcinały się czernią od cienkiej powłoki śniegu. Gałęzie topól rosnących wzdłuż strumienia zima obdarła do cienkiej, bladej skóry. W czarno-białym krajobrazie nieregularny prostokąt i usypana obok przyzma czerwonej ziemi, przykryta brezentem, wydawały się nie na miejscu. Trzy kruki przysiadły na brezencie jak goście, którzy czekają, aż ktoś ich obsłuży. W poprzek świeżo wykopanego grobu leżała polerowana trumna, gotowa do opuszczenia na znak pastora.

Pierwsze samochody konduktu pogrzebowego podjechały pod cmentarz i zatrzymały się przy ozdobnym białym parkanie. Nie miało ich być wiele; w uroczystości brali udział tylko duchowni i najbliższa rodzina Senatora. Publiczne nabożeństwo odbyło się wczoraj w Santa Fe, wraz z całym medialnym cyrkiem. W dostojnej katedrze wypełnionej zapachem więdnących kwiatów ci sławni i ci zaledwie znani wymieniali sztuczne uśmiechy, mocne uściski dłoni i starannie przemyślane kłamstwa.

Daniel Duran odruchowo obejrzał się przez ramię, by sprawdzić, czyjego sylwetka wciąż jest niewidoczna z dołu, wtopiona w wysoką sosnę. Była. Tak jak sylwetka jego ojca.

Dan i John nie należeli do sławnych ani znanych. Nie zostali zaproszeni ani na nabożeństwo, ani na pogrzeb zmarłego, którego nazywano Senatorenem. Ale to nie miało znaczenia dla Dana. I tak by nie poszedł.

Więc dlaczego tu jestem?

Dobre pytanie. Odpowiedzi nie znał. Nie był nawet pewien, czy chciał ją znać.

Wiatr pędzący od surowych szczytów gór Sangre de Cristo smakował śniegiem, dała i głębią czasu, na myśl o której większość ludzi czuła się nieswojo. Głębią niezmierną. Niewyobrażalną. Tak potężną, że ludzkość wydawała się przy niej małą niczym zabawny przypis pod czterema miliardami lat historii Ziemi.

Dan lubił tę głębię. Ludzie naprawdę byli zabawni. Śmiechu warci. Tylko takie spojrzenie pozwalało nie popaść w obłąd.

A on obiecał sobie, że przez kilka miesięcy nie będzie o tym myślał. O tym, jak nie popaść w obłąd.

Jeśli nie tracisz głowy, kiedy trącają wszyscy dookoła, jest duża szansa, że nic nie rozumiesz sytuacji. Bo niby dlaczego mówi się, że ignorancja to błogosławieństwo?

Z ponurym uśmiechem odwrócił się tak, by jego zraniona noga nie brała na siebie uderzeń brutalnego wiatru.

- Powinieneś być zostać w domu - powiedział John Duran.

Dan posłał ojcu spojrzenie z ukosa,

- Wysiłek dobrze robi mojej nodze.

- Ten staruch nigdy nie uznał ciebie ani twojej matki za swoich krewnych. Do diabła, on ledwie uznawał swoją prawowitą córkę.

Dan wzruszył ramionami, pozwalając, by wiatr przeczeszał mu ciemne włosy, których nie chciało mu się strzyc od paru miesięcy.

- Nie traktuję tego osobiście. Nigdy nie uznał żadnego ze swoich bękartów.

Więc po co było leżać pieszo po górach na jego pogrzeb? I nie próbuj mi wmawiać, że to dla treningu. Mogłeś zrobić parę okrażeń wokół rynku w Taos. Byłoby znacznie mniej zachodu.

Przez chwilę słychać było tylko lodowaty wiatr świszczący po grani. W końcu Dan powiedział:

Nic wiem.

John burknął pod nosem. Wątpił, żeby jego niesamowicie bystry syn nie wiedział, dlaczego odmrażają sobie jaja na grani Castillo, patrząc, jak jeden z najsłynniejszych kobieciarzy w Nowym Meksyku idzie do piachu. A może Dani naprawdę nie wiedział?

- Jesteś pewien? - zapytał.

Tak.

No cóż, to najlepsza rzecz, jaka się wydarzyła, od kiedy zjawiłeś się tu trzy miesiące temu.

Kiedyś Dan uśmiechnąłby się, ale to było, zanim ból wyrzeźbił mu twarz, a cynizm przeżarł duszę.

- Jak to?

- Zależało ci na czymś na tyle, żeby iść pięć kilometrów po śniegu.

Ciemne brwi Dana uniosły się.

- Było ze mną aż tak źle?

- Nie - odparł John. - Ale jesteś inny. Za mało radości. Za dużo smutku. Mniej śmiechu. Więcej milczenia. Jesteś za stary jak na swoje trzydzieści cztery lata.

Dan nie zaprzeczał. Ojciec miał rację,

- To coś więcej niż rana. John wskazał prawą nogę syna, poszarpaną stałą i bólem. Mięśnie i kości zdrowieją. Emocje... - Westchnął, - Cóż, potrzebują więcej czasu. A bywa, że nie zdrowieją wcale.

- Masz na myśli mamę i to, co się stało z jej matką. Cokolwiek to było.

John skinął głową.

- Wciąż o tym nie mówi,

- I dobrze.

Mam nadzieję.

Kilka lat temu tak nie myślałeś.

- Kilka lat temu nie rozumiałem, jak to jest ze śpiącymi psami i minami przeciwpiechotnymi. Teraz już rozumiem.

I właśnie to martwiło Dana. Szwagierka Senatora, Winifred, miotała się bez opamiętania, kopiać śpiące psy na prawo i lewo. Prędzej czy później wdepnie na minę i obudzi coś strasznego. Tak strasznego, że jego matka nigdy nie chciała o tym rozmawiać, nawet z człowiekiem, którego kochała.

Dwaj mężczyźni w milczeniu patrzyli na lśniącą białą limuzynę, która zatrzymała się przed szeroką bramą cmentarza. Para na tylnym siedzeniu, Josh Quintrell i jego żona Annę, czekali, aż kierowca otworzy im drzwi. Ich syn, A.J. V zwany Andym, wysiadł sam i odwrócił się plecami do wiatru zmiatającego śnieg z ziemi. Kiedy jego rodzice wysiedli, ich ubrania w świetle szarego dnia były równie czarne jak kruki przycupnięte na brezencie obok grobu.

Podjechał drugi samochód i zatrzymał się obok limuzyny. Wyłoniła się z niego wysoka, szczupła kobieta. Wystawiła się na ukąszenia wiatru z ledwie dostrzegalnym wahaniem, wskazującym na jej wiek. Szare jak stal włosy pod mantylką z czarnej koronki pozwoliły rozpoznać Winifred Simmons

y Castillo, szwagierkę zmarłego Senatora, która przez ponad siedemdziesiąt lat nie znalazła niczego, bez czego nie mogłaby żyć. W tym również mężczyzny.

- Piekielna baba - powiedział John niemal z podziwem.
- Tak się mówi na kogoś, kto szuka min, depcząc i kopiąc wszystko w zasięgu wzroku?

John w milczeniu pokręcił głową. Nie wiedział, dlaczego Dana tak niepokoją prowadzone przez Winifred badania przeszłości rodziny. Zapytał, w czym problem, ale Dan tylko się najeżył. John nie nalegał. Kiedy jego syn pracował dla rządu, nie mówił o swojej pracy. Kilka lat temu zaczął pracować dla St. Kilda Consulting i wciąż nie mówił o pracy.

Z samochodu wysiadła kolejna osoba, kobieta w płaszczu sięgającym kostek. Wełniany szal, luźno zawiązany wokół głowy, unióś się na wietrze. Złapała go dłońmi w rękawiczkach i zawiązała starannie, ale przez krótką chwilę bujne kasztanowe włosy zapłonęły w zimowym świetle żywym kolorem.

- To ona? - zapytał John.

Pytasz o wariatkę, która zamierza wleźć prosto na pole minowe Quintrellów? Tak, to ona, niejaka Carolina May, dla przyjaciół Carly.

- Sprawdziłeś ją?
- A jak myślisz?
- Sprawdziłeś. No i?
- Słodka Carly nie ma o niczym pojęcia.
- Fatalnie.
- Nieszczęścia chodzą po ludziach.

Szczęknięta otwierana brama i kruki odfrunęły na blade gałęzie topoli. Im się nie spieszyło.

Rozdział 2

Rodzinny cmentarz Quintrellów Niedziela, rano

Carly May wychowała się w Kolorado, w Górach Skalistych, więc sucha, mroźna górską zimą nie była jej obca. Mimo to dłonie drętwiały jej w czarnych rękawiczkach, które w pośpiechu kupiła na pogrzeb. Uwielbiała odkrywać i opisywać przeszłość rodzin, czuła się więc zaszczycona, że może

wziąć udział w pogrzebie słynnego Senatora Quintrella. Z drugiej jednak strony, czuła się jak intruz - którym w końcu była. Nic nowego. Zawsze i wszędzie czuła się obco.

Z nadzieją, że wygląda na odpowiednio przejętą pogrzebem człowieka, którego nie знаła, przeglądała w pamięci listę urządzeń elektronicznych i ubrań, które wrzuciła do swojej małej terenówki. Kiedy Winifred Simmons zażądała, by przyjechała na rancho cztery tygodnie wcześniej i rozpoczęła pracę nad historią rodu Castillo, Carly wysłała część podstawowych artykułów potrzebnych w pracy genealoga nocnym lotem na rancho Quintrellów. Nie czekały na nią, gdy dotarła tu wczoraj wieczorem, wykończona jazdą z północnego Kolorado. Stłumiła ziewnięcie i skupiła uwagę na grobie. Właśnie po to tak się spieszyła: aby być świadkiem pogrzebu człowieka legendy i zrelacjonować go przyszłym pokoleniom.

- ...by nie rozpaczać nad śmiercią wielkiego człowieka - mówił pastor - ale radować się, że odrzucił wrzawę śmiertelnych...

Carly z kamienną twarzą słuchała, jak pastor sieka na strzępy słowa Szekspira, próbując je wpasować w mowę pogrzebową. Zerknęła kątem oka na drugiego duchownego, księdza, który miał nadzieję nawrócić umierającego Senatora na katolicyzm. Ojciec Roybal przyszedł tu na specjalne zaproszenie Josha Quintrella, jedyne żyjącego dziecka zmarłego, gubernatora wspańskiego stanu Nowy Meksyk. Mimo zaszczytu, jaki go spotkał, dobry księżulo wyglądał, jakby wolał odprawiać mszę, niż stać w milczeniu. A może po prostu był zasmucony utratą jednej z najbardziej znanych duszyczek Ameryki.

Wiatr drapał ziemię lodowatymi pazurami. Annę Quintrell otuliła się szczelniej sobolowym płaszczem i naciągnęła na głowę szeroki kaptur. Wczoraj w Santa Fe, gdzie błyskały flesze aparatów, a telewizyjne reflektory płonęły jak błędne ognie, miała na sobie prosty czarny płaszcz z wełny. To, że urodziła się, by nosić sobole, a nie wełnę, było faktem, z którym ani ona, ani jej mąż nie starali się afiszować przed wyborcami. Błękitna krew błękitną krwią, ale kiedy mężczyzna kandydował na prezydenta, ubierał się jak Abe Lincoln i pilnował, żeby jego żona robiła to samo.

Drogi sobolowy płaszcz Annę był dla Carly suchym faktem, tak samo pierśiowy kaszel Winnifred czy zmarszczki zmęczenia na twarzy Josha Quintrella. Nawet gdy się jest po sześćdziesiątce, utrata ojca to ciężkie przeżycie.

- ...z błogosławionymi, co przemierzają samotną drogę...

Teraz pastor eksploatował Miliona. Carly pochyliła głowę, by ukryć uśmiech, i pożałowała, że nie zabrała na cmentarz dyktafonu. Nie chciała uronić żadnego z drobiazgów, które przekształca historię rodziny Quintrellów

z suchej genealogii w żywą opowieść o nadziei i stracie, nienawiści i miłości, sukcesie, łzach i śmiechu. Ale była tu zaledwie od kilku godzin i nie odważyła się poprosić o pozwolenie na nagrywanie prywatnego nabożeństwa.

Pastor mówił i mówił, choć jego słuchacze okazywali na wszelkie sposoby, że są zmarznięci i nieszczęśliwi. Nawet nieubłagany wiatr nie był w stanie zniechęcić duchownego, którzy przyszedł tu z gębą pełną frazesów i zamierzał zaserwować każdy niestrawny kęs, co do okruszka.

Carly przestała go słuchać. Choć zarabiała na życie, badając i opisując historie rodzin, nie uczestniczyła jeszcze w żadnym pogrzebie w związku ze swoją pracą. Zwykle wzywano ją, zanim nadszedł koniec, gdy ktoś czuł zimny oddech śmiertelności i po raz pierwszy uzmysławiał sobie, że umrze. Właśnie wtedy ludzie chcieli utrwalić swoje miejsce nie tylko wśród tych, którzy odeszli, ale i tych, którzy pozostaną.

Spójrz na mnie i wiedz, że ty też umrzesz.

Poruszyła zdrętwiałymi palcami w eleganckich botkach, które nie zostały zaprojektowane, by stać w nich na zmarzniętej ziemi, podczas gdy duchowny o miernej umysłowości próbuje ogarnąć największą tajemnicę życia, rabując słowa zmarłych poetów.

- ...jak tygrys, w gęstwinie nocy gorejący...

Tym razem Blake trafił na rzeźnicki pień. Carly zerknęła spod długich, ciemnych rzęs, próbując się zorientować, jak słuchacze reagują na ten mierzny pean. Andrew Jackson Quintrell V był lekko zielonkawy na twarzy, ale pewnie miało to więcej wspólnego z dręczącym go kacem niż ze słowami pastora. Annę Quintrell w ogóle nie miała wyrazu twarzy; od czasu do czasu spoglądała tylko na swojego dwudziestotrzyletniego syna, by sprawdzić, czy jeszcze stoi. Josh był znużony i smutny, a może tylko zmarznięty i znudzony. Jak to u zawodowego polityka, trudno było stwierdzić. Niewątpliwie był bardzo przystojny: wysoki, trzymający się prosto mimo swoich sześćdziesięciu lat, z grzywą szarpanych wiatrem srebrnych włosów i z błyszczącymi niebieskimi oczami.

Panna Winifred miała zapadnięte oczy kruka i ponurą twarz. Ona też była wysoka i wyprostowana, ale brakowało jej muskulatury siostrzeńca. Była wyniszczona jak zimowe topole.

- ...co pozostał zielony, choć wiadł...

Kolejny zgwałcony poeta. Carly przełknęła ślinę, ale i tak z jej gardła wyrwał się stłumiony dźwięk. Wyczuła, że panna Winifred patrzy na nią, i z wysiłkiem zacisnęła usta w prostą kreskę. To nie był dobry moment, by spuszczać ze smyczy swoje specyficzne poczucie humoru.

Pomyśl o czymś smutnym, nakazała sobie stanowczo. Pomyśl o Dylanie Thomasie, który przewraca się w grobie.

Kruk wydawał wysokie dźwięki, gadając do siebie na topoli. Jak na gust Carly, odgłosy te za bardzo przypominały śmiech. Przygryzła wargę od wewnątrz i ukryła emocje za obojętną twarzą. Dokładnie to samo robiła przez wszystkie lata szkoły, kiedy w ramach pracy domowej zadawano odszukanie pochodzenia rodziców albo pytano o historię rodziny.

Została adoptowana. Akta były zaplombowane. Ślepa uliczka, koniec, kropka.

Ale nie koniec poczucia inności, wrażenia, że jedzie się bocznym torem ludzkiego doświadczenia, że jest się bezimiennym odrzutem czyjś drzewa genealogicznego.

Dość tego uzalania się, powiedziała sobie Carly. Martha i Glenn wychowali mnie lepiej niż większość rodziców swoje biologiczne dzieci.

Przestąpiła z nogi na nogę, próbując pobudzić stopy do życia.

Pastor był ulepiony z twardszej gliny. Tylko jego usta się poruszały.

Andy spojrzął z ukosa na Carly i puścił do niej oko. Zignorowała go. Nawet bez zielonkawego odcienia cery potomek rodu Quintrellów zupełnie na nią nie działał. Był za bardzo zakochany w samym sobie, Na nieszczęście, poza nieletnimi córkami pracowników, Carly była jedyną kobietą poniżej czterdziestki na ranczu. Dwie minuty po poznaniu jej Andy uznał, że właśnie ona uwolni go od przekleństwa nudnych nocy na wsi.

Pastorowi zabrakło poetów, kiwnął więc, by opuszczono trumnę do grobu. Mechanizm działał wolno i niezbyt cicho. Kiedy trumna wreszcie znieruchomiała, Josh rzucił na wieko obowiązkową garść ziemi.

- Z prochu powstałeś, w proch się obrócisz - powiedział półgłosem.

Winifred zaskoczyła wszystkich, rzucając na trumnę dwie pełne garście ziemi. Wyraz jej twarzy mówił, że chętnie zgarnęłaby więcej i skończyła z tym wszystkim - i z Senatorem.

Carly zauważyła zimną satysfakcję swojej zleceniodawczyni. Jeśli ktokolwiek z Quintrellów był zaskoczony zachowaniem Winifred, nie dał nic po sobie poznać. To też intrygowało Carly. Emocje są ciałem i krwią rodzinnej historii.

Kiedy gubernator i jego żona odeszli od grobu, do Josha podszedł ojciec Roybal.

- Przyjmij najszczerze wyrazy współczucia, synu. Wprawdzie Senator nigdy nie wyznał mi swych grzechów, ale czuję, że Bóg z radością powita duszę tego dobrego człowieka w swoim królestwie.

Winifred wydała dźwięk dziwnie podobny do skrzeczenia kruków.

Josh zignorował ją.

- Dziękuję, ojczu Roybal. Ojciec i ojca Kościół przynieśliście pocieszenie wielu obywatelom Nowego Meksyku. Zadbam, by w nadchodzących latach wyrazić wdzięczność rodziny Quintrellów w bardziej konkretny sposób.

Duchowny skinął głową. Wiedział, że wśród obywateli stanu jest wielu katolików. I że każdy dobry uczynek gubernatora na rzecz Kościoła katolickiego zadowoli licznych wyborców.

- Czy mogę przychodzić i rozmawiać z panem, tak jak przychodziłem do pańskiego ojca? - zapytał.

- W przeciwieństwie do Senatora, jestem zadowolony z mojej religii - odparł Josh. Jeśli to się zmieni, sam zwrócę się do ojca.

Roybal był młody i ambitny, ale nic był głupi. Przyjął odmowę z godnością.

Pańska rodzina będzie obecna w moich modlitwach.

- Dziękuję, ojczu. - Josh ujął Annę za łokieć, by pomóc jej przejść po zmarniętej ziemi do limuzyny. Modlitwy zawsze są mile widziane.

Carly patrzyła, jak pierwsza para stanu kieruje się do samochodu. Za nimi podążyli protestancki pastor i katolicki ksiądz. Obaj duchowni mieli własne auta. Drzwi pojazdów otwierały się i zamykały, wydając serię ostrych trzaśnień.

Carly spojrzała na Winifred. Stara kobieta patrzyła na grób z dziwnym wyrazem twarzy. Mógł to być żal albo zadowolenie, Mogła to być także niestrawność. Carly nie znała Winifred dość dobrze, by to osądzić. Ale gdyby miała obstawiać, postawiłaby na radość.

- Carly? - powiedział Andy. - Może pojedzie pani z nami? Jest mnóstwo miejsca. Moglibyśmy porozmawiać o rodzinie, i w ogóle.

Winifred posłała mu mroczne spojrzenie.

- Ja jej płacę, nie ty. Kiedy będę chciała, żeby zrobiła z tobą wywiad, powiem ci.

Czasy niewolnictwa minęły - odparł. To dorosła kobieta. Może mówić sama za siebie.

- Może - potwierdziła Carly. - Dziękuję za propozycję, ale mamy mnóstwo do omówienia z panną Simmons y Castillo, zanim będę gotowa do rozmów z członkami rodziny.

Nie zostanę tu długo - zastrzegł Andy.

Dzięki ci, Boże. Carly zdobyła się na uśmiech.

- Wystarczą mi rozmowy telefoniczne.

- Telefony są takie bezosobowe.

- Utrudnienia sprawiają, że praca jest tym ciekawsza.

Andy zmrużył błękitne oczy. Odwrócił się i ruszył za rodzicami.

Winifred roześmiała się; jej zgrzytliwy śmiech przypominał ostrzegawcze krakanie kruków.

- Taki sam jak Senator - powiedziała. - Wydaje mu się, że nie ma na świecie kobiety, która nie rozłożyłaby dla niego nóg.

Carly zawahała się. W końcu uznała, że ten temat trzeba kiedyś poruszyć, a ta chwila była równie dobra jak każda inna.

- Z moich ustaleń wynika, że Senator był znany z dużej... hm... aktywności seksualnej.

- Zadzierał każdą spódniczkę, jaką dorwał, a był w stanie dorwać prawie każdą. Kiedy zrobił się za stary na te rzeczy, brał pigułki na erekcję, i zażywał je aż do śmierci.

Brwi Carly podjechały do góry.

- Zdołał utrzymać swoje życie miłosne w tajemnicy przed mediami.

- Miłość nie miała z tym nic wspólnego. - Winifred uniosła górną wargę.

Zwykła żądza, i tyle. Reporterzy zawsze wiedzieli, jak spędzał noce i przerwy na lunch. Ale w tamtych czasach polityk mógł cudzołożyć z każdą, chętną czy niechętną, i nikt o tym nie mówił. A gdy pojawił się Clinton Winifred machnęła lekceważąco ręką Senator był już na marginesie życia publicznego. Historyjki o jego ekspedientkach i prostytutkach nie były żadną sensacją.

Carly mruknęła zachęcająco, dając znać, że słucha. Właśnie w tym była najlepsza: w słuchaniu.

I w zapamiętywaniu.

Kim są ci ludzie? - spytała, spoglądając poza ogrodzenie. - Ci, którzy nie weszli na cmentarz.

Winifred zerknęła na parę czekającą cierpliwie za bramą.

- Pete i Melissa Moorc'owie, Pracownicy. On był księgowym Senatora. Ona prowadzi ranczo.

To ta, która zapomniała, że przyjeżdżam?

Carly nie powiedziała tego głośno. Kiedy pozna Melissę osobiście, okaże się, czy to przeoczenie było umyślne. Miała nadzieję, że nie, ale była przygotowana na przeciwną ewentualność. Zdarzało się już, że nie była mile widziana przez domowników, których historię miała spisać. Rozbrajanie wrogo nastawionych osób, sprawianie, by rozluźniły się i otworzyły przed nią, było ważną częścią jej pracy.

- Nie ma potrzeby stać tu i marznąć - powiedziała Winifred. - Pozwólmy grabarzom skończyć robotę. A potem kupię sobie czerwone buty i zatańczę na grobie tego rozwiązłego łajdaka.

Pomaszerowała do czekającego samochodu energicznym krokiem, jakby miała nie osiemdziesiąt lat, ale kilka dekad mniej.

Carly rzuciła ostatnie spojrzenie na grób, chcąc zapamiętać wszelkie szczegóły, takie jak kolory i temperatura, wiatr i zapach. Po chwili wyczuła jakiś ruch na grani zamykającej dolinę. Zerknęła w górę w samą porę, by dostrzec dwie sylwetki schodzące na drugą stronę, poza zasięg wzroku.

Komuś nie chciało się nawet podejść do ogrodzenia.

Kiedy lepiej poznam pannę Winifred, będę ją musiała zapytać, kto jeszcze ma ochotę zatańczyć na grobie Senatora.

Jedyne łzy wylane na tym pogrzebie wydzierał pazurami z oczu lodowaty wiatr.

Rozdział 3

Taos

Niedziela, popołudnie

Duranowie mieszkali na obrzeżach Taos, poza strefą turystyczną z jej ponadczasowymi budynkami z niewypalanej cegły i nowoczesnymi parkometrami odmierzającymi czas w srebrnych monetach. Dzielnice skromnych domków, przycupniętych wśród nagich zimowych pastwisk otoczonych ogrodzeniami z wierzbowych witek i drutu kolczastego, oglądało niewielu odwiedzających.

John wjechał do wąskiego ceglanego garażu, który kiedyś służył do przechowywania sioდეł i uprzęży. Choć budynek miał ponad dwieście lat, został wyposażony w instalację elektryczną. Rozbłysły zaopatrzone w czujnik ruchu lampy, oświetlając każdą wiekową cegłę. W garażu panował idealny porządek. Rodzice Dana nie tolerowali śmieci, rupieci czy zużytych maszyn porzucanych po posiadłości. Niektórzy sąsiedzi uważali, że każdy ma prawo do własnego śmietniska, ale nikt się na nikogo nie obruszał, w jedną czy w drugą stronę. Mieszkańcy Nowego Meksyku od dawna wyznawali zasadę „żyj i daj żyć innym”.

- Myślisz, że mama już wróciła z pueblo? - zapytał Dan.

John spojrzął na zegarek. Druga.

- Powinna. Ma lekcje po południowej mszy.

- Ciągłe angielski?

Tego dzieciaki potrzebują najbardziej. Uczy też trochę matematyki.

Dan pokręcił głową.

- Nigdy się nie poddaje, co?

- Dlatego ją kocham. Ma serce wielkie jak niebo. Ty też powinieneś znaleźć sobie dobrą kobietę, z którą będziesz szczęśliwy.

- Już jestem szczęśliwy.

- Naprawdę? To przypnij sobie tabliczkę z takim napisem, bo inaczej dzieci będą uciekać na widok twojej miny.

- Tak - mruknął Dan bez entuzjazmu. Wiedział, że ojciec ma rację, ale to nie mogło wymazać wspomnień ostatnich dwunastu lat, podczas których przekonał się, jaką bestią potrafi być człowiek.

Odsunął od siebie te wspomnienia. Nie nauczą go niczego nowego. I on niczego nowego do nich nie wniesie. Właśnie dlatego przyjechał do domu; w nadziei, że znajdzie coś nowego, coś, co będzie warte bólu istnienia, coś, dlatego warto będzie żyć.

John czekał, ale Dan nie powiedział nic więcej.

- Jesteś jak twoja matka. Trzymasz wszystko w środku.

Tylne drzwi odtworzyły się, zanim Dan postawił stopę na pierwszym stopniu schodków wiodących na ganek. Włosy Diany były krótkie i kruczoczarne, z wyjątkiem dzikiego kosmyka bieli na lewej skroni spadku po jakimś bezimiennym przodku. Oczy miała tak samo ciemne i przejrzyste jak zawsze, a szeroki uśmiech rozjaśniał poważną twarz. Po kobiecemu krągła i pełna prawdziwie męskiej determinacji, była światłem dla wielu istnień - w tym dla swojego syna.

- To był długi spacer - powiedziała, patrząc, jak Dan wchodzi na schodki. Niepokój o jego ranę był widoczny w jej oczach i linii ust. - Na pewno przemarzłeś.

Porwał ją w objęcia i po chwili delikatnie uwolnił z uścisku.

- Jestem za duży, żeby przemarznąć. - Wciągnął powietrze niosące zapachy z kuchni. - Co to?

- Zupa *posole* i świeże tortille - odparła. - Rozpaliłam piec. Wejdz i ogrzej swoją... ogrzej się - poprawiła się szybko. Dan nie lubił rozmawiać ani nawet wspominać o swojej zranionej nodze. - I *carnitas*. Niewiele zjedliście na śniadanie przed wyjściem.

Łagodny uśmiech Dana kłócił się z ponurymi bruzdami widocznymi wokół jego ust.

- Nie jestem już dzieckiem, *mamacita*. Jestem dużym chłopcem.

Ale... Diana przełknęła swoje niepokoje. Jej syn nie był dzieckiem i nie musiała koło niego skakać, ale nie mogła się pozbyć starych macierzyńskich odruchów, które sprawiały, że miała ochotę tulić go w nieskończoność. - Jest i kawa. Taka, jak lubisz.

- Gorąca jak piekło i gorzka jak diabli - rzucił John z nieszczęśliwą miną. Hura.

Diana wspięła się na palce i cmoknęła wąsy męża.

- Dla ciebie zaparzyłam drugi dzbanek.

Dan usłyszał za plecami, że chichocze jak nastolatka, i domyślił się, że ojciec skubnął ją w kark. Uśmiechnął się blade. Im był starszy, tym częściej się zastanawiał, czy znajdzie sobie kobietę, czy też - jak podejrzewał - lepiej się nadaje do samotnego życia.

Ze stłumionym jękiem opadł na krzesło przysunięte do starego, opalanego drewnem pieca. Pinionowe polana trzeszczały i buchały żarem, napełniając powietrze aromatem niemal równie mocnym jak jedzenie bulgoczące w garnkach na piecu. Dan ściągnął kurtkę i powiesił ją na oparciu krzesła. Czarny golf, który miał pod dzinsową koszulą, był uszyty z supernowoczesnego materiału, oddychającego, kiedy było gorąco, i trzymającego ciepło, kiedy było zimno. Przynajmniej w teorii. Bo zawsze był ten nieprzyjemny moment, zanim materiał zdecydował się, co ma robić.

W tej chwili Danowi było tak gorąco, że miał ochotę wrócić do garażu,

I co, spotkaliście na spacerze panią Rincon? zapytała Diana.

- Nie poszliśmy w tę stronę.

- W takim razie widzieliście *señora* Monteza. Jak tam jego podagra?

W tę stronę też nie poszliśmy - odparł John.

Diana przerwała nalewanie zupy.

- Nie? Ale na pewno spotkaliście Millerów. Czy ich dzidzius...

- Nie poszliśmy tam - przerwał jej John.

Dan czekał w napięciu, aż matka zapyta, dokąd poszli.

Nie zapytała. Postawiła jedzenie na stole i poszła poprawić drwa w ogniu.

Dan spojrzął na sztywną linię pleców matki i westchnął. Nie musiała pytać, gdzie był. Wiedziała. Nie miał pojęcia, skąd wiedziała, ale był do tego przyzwyczajony. Odziedziczył jej zdolność, pozwalającą z paru zasłyszanych tu i ówdzie słów wyciągać wnioski, aż ludzie dziwili się, jakim cudem on widział to, czego nie widzieli oni. Był to dar wiążący się z krwią *curanderos*, uzdrowicieli, ale Dan nigdy nie czuł powołania do ziół i wywarów.

- Mamo - zaczął zgębniony.

- Nie. - Jej głos był głuchy. Sięgnęła do kieszeni po chusteczkę i przycisnęła ją do nosa. Pojawiła się plamka czerwieni. Potem kolejna. Suche zi-

more powietrze zawsze powodowało u niej krwawienia z nosa. Nic wielkiego, tyle że denerwujące. Diana odchyliła głowę do tyłu i mocno ucisnęła nos. - Nie chcę słyszeć imienia diabła wypowiedzanego w tym domu.

- On był tylko...

- On był złem wcielonym - przerwała mu, żegnając się znakiem krzyża. - Nic wypowiadaj jego imienia w mojej obecności.

- On był twoim dziadkiem - powiedział Dan.

Przechyliła głowę do przodu, nie poczuła płynącej krwi i schowała chusteczkę do kieszeni. Kiedy umyła ręce, podniosła talerz parujących tortilli i postawiła go przed Danem z takim rozmachem, że aż podskoczyły.

Cisza.

Ludzie robią złe rzeczy - powiedział Dan - ale wciąż pozostają ludźmi.

Cisza.

- Był moim pradziadkiem. Chciałem... - Przerwał. - Nie wiem, czego chciałem. Po prostu czułem, że muszę tam iść.

- Stało się i już się nie odstanie odparła Diana. - Teraz jedz.

Dan spojrzął na ojca. John miał znękaną minę, tę samą, która pojawiała się, ilekroć wypłynął temat Senatora.

Jak tato może znieść życie z jej bólem, z tym strachem przed przeszłością, który czai się za jej milczeniem?

W przypadku większości ludzi czas leczy rany. W przypadku jego matki pogłębiał je jeszcze bardziej.

Dan wstał, zmęczony chodzeniem na palcach wokół rodzinnych tabu i udawaniem, że nie dostrzega mrocznej rzeki goryczy płynącej pod spokojną powierzchownością matki. Jego noga zaprotestowała przeciwko tej nagłej zmianie pozycji, ale ból nic był silny - niewiele więcej niż ukłucie przypominające o ranie. Czyste górskie powietrze Taos leczyło o wiele lepiej niż wszystkie szpitale i operacje.

- Milczenie nie sprawi, że to odejdzie - powiedział. - Gdyby tak było, już byłabyś wolna. Dlaczego pozwalasz, żeby ten okrutny starzec zrujnował ci resztę życia, tak jak zrujnował życie twojej matki?

- A co ze śpiącymi psami i minami? - zapytał szorstko John. - Jedz albo idź się przejść.

- Cholera - mruknął Dan.

Nie przeklinaj przy matce.

Przepraszam, mamo - powiedział Dan, - Ciągłe zapominam, że rzeczywistość nie jest tu mile widziana.

- Daniel. - W głosie Johna brzmiało ostrzeżenie.

Dan wziął kurtkę z oparcia krzesła i powiedział do ojca:

- Zadzwoń, kiedy będziesz chciał uruchomić traktor.
- Ostrożnie zamknął tylne drzwi, próbując sobie wmawiać, że nie słyszy płaczu matki.
- Ale słyszał.

Rozdział 4

Ranczo Quintrellów Niedziela, popołudnie

- Andy Quintrell V sięgnął po kolejne piwo, ale ojciec zabrał mu puszkę.
- Musisz wytrzeźwieć - powiedział Josh.
 - Dlaczego? Andy machnął ręką. - Nie widzą tu aparatów i kamer.
 - Pupilka Winifred ma aparaty i kamery, a jej dyktafon jest zawsze włączony.
 - Kogo to obchodzi?
 - Annę Quintrell weszła do kuchni.
 - Mnie. Twojego ojca. I ciebie powinno.
 - Bo chcecie, żebym został senatorem w wieku trzydziestu lat? - Andy beknął głośno po dwóch piwach, które wypił duszkiem. A co z tym, czego ja chcę? Co?
 - Annę przyglądała włosy, które i tak były w idealnym porządku.
 - A czego chcesz?
 - Podupczyć.
 - Obrzydzenie przemknęło po twarzy Annę.
 - Josh roześmiał się nieprzyjemnie.
 - Wdałeś się w dziadziusia, nie ma co - mruknął.
 - Dziadek posuwał wszystko, co się rusza, a przez całe życie wybierali go na kolejne kadencje.
 - To było kiedyś - odparł Josh. - Dzisiaj taka rozwiązłość nie poprawi ci sondaży.
 - Pieprzyć sondaże.
 - To chyba jedyne, czego jeszcze nie pieprzyłeś - powiedziała Annę zmęczonym głosem. Dlaczego nie możesz trzymać ptaszka w rozporoku?
 - Andy przewrócił oczami.
 - Gadasz jak zakonnica.
 - Więc się ożeń - odparła Annę. - Ta mała Meriwether byłaby świetną żoną

- Andy zaczął wydawać wymiotne odgłosy.
- Widywałem ładniejsze psie tyłki. To, że jej ojciec jest senatorem, nie czyni z niej gorącego towaru.
- Gorącego towaru? - John wyciągnął rękę i poderwał syna na nogi. - Posłuchaj, Andy, i to uważnie. Mam powyżej uszu twojego nadaktywnego kutasa.
- Josh... -- zaczęła Annę.
- Nie teraz - rzucił, nie odrywając oczu od syna. Masz dwie możliwości. Dorosnąć albo zaciągnąć się do marines. Tam robili mężczyzn z żałośniejszych dupków niż ty.
- Andy zamknął oczy.
- Tylko nie kolejny wykład o wartości służby dla kraju.
- To nie wykład. To przestroga. Mam dość utrzymywania ciebie i nie pozwolę, żeby matka dała ci choćby dziesięć centów.
- Powieki Andy'ego podskoczyły do góry. Wyraz oczu ojca sprawił, że zrobiło mu się zimno.
- Dość tego dobrego - powiedział Josh. - Senator widział w tobie samego siebie, do końca uśmiechał się na myśl, że pijesz i pieprzysz wszystko, co podłeci.
- Dziadek mnie rozumiał - odparł Andy.
- On nie żyje. A czasy się zmieniają. - Josh puścił syna. - Zmień się razem z nimi albo zabieraj swoją dupę z mojego życia.
- Andy spozirzał na matkę.
- Nie powiedział Josh. - Ona ci nie pomoże. Senator, który tak dobrze cię rozumiał, zostawił wszystko mnie.
- Jak to będzie wyglądało, kiedy wyrzucisz swoje jedyne dziecko? - zapytała cicho Annę.
- Zapłacę za leczenie w Santa Fe. Potem niech radzi sobie sam.
- Leczenie? - burknął Andy. Chyba zwariowałeś. Nie jestem alkoholiczkiem ani...
- Jeśli odmówisz pójścia na leczenie - przerwał mu Josh - Jeanette Dykstra chętnie zrobi dla swojego szmatławego talk-show wywiad z zatroskanym ojcem. Przed telewizorami siedzi więcej rodziców z pokręconymi dziećmi niż solidnych obywateli. Moje wyniki w sondażach jeszcze pójdą w górę.
- Tylko to cię obchodzi! - wykrzyknął Andy. - I zawsze tylko to cię obchodziło!
- Josh wzruszył ramionami.
- A ciebie obchodzi tylko zaliczanie pańienek. I co?

Oczy Andy'ego zalśniły od wybuchowej mieszanki łez i wściekłości. Przechnął się obok ojca i trzasnął kuchennymi drzwiami.

- Ma spotkanie w Santa Fe w Klinice Nowego Dnia, w poniedziałek o dziesiątej powiedział Josh do żony. - Jeśli się nie zjawi, niech radzi sobie sam.

- Ale to takie... nagłe odparła Annę, kręcąc głową.

- Tylko dla ciebie. Ja od dziesięciu lat byłem gotów go wyrzucić. Ale gdy tylko palnąłem mu kazanie, leciał z płaczem do Senatora.

- On jest taki młody.

- Mężczyźni w jego wieku walczyli, zabijali i ginęli.

- Mówisz, jakbyś to pochwalał.

Josh zaklął pod nosem,

- Albo Andy zacznie się zachowywać jak należy, albo przestanę go utrzymywać. Koniec, kropka.

- Umarł król, niech żyje król...?

- Właśnie tak.

Annę zaniósł szloch.

- Rozwiodę się z tobą - wykrztusiła przez łzy.

- Nie zrobisz tego - odparł Josh. - Chcesz być pierwszą damą tak samo, jak ja chcę być prezydentem. Pracowałeś i poświęcałeś się dla tego celu od lat. I nie zrezygnujesz z tego tylko dlatego, że nasze rozpieszczone dziecko dostało ataku złości.

Annę nic chciała się z nim zgodzić, ale wiedziała, że ma rację.

- Za dobrze mnie znasz.

Właśnie o to w tym wszystkim chodzi. O znajomość ludzi. Kiedy wiesz, czego chcą, masz ich w garści. - Dopił kawę i odstawił filiżankę. - Będę przeglądał papiery w gabinecie Senatora.

Westchnęła ciężko i spytała:

- Potrzebujesz pomocy?

- Dam ci znać, jeśli będę potrzebował.

Zanim pozwoli komukolwiek czytać sobie przez ramię, upewni się, że Senator nie dokonał przed śmiercią spowiedzi na kartach prywatnego dziennika.

Rozdział 5

*Ranczo Quintrellów
Niedziela, wieczór*

Carly szła korytarzem starego domu rodziny Castillo. Z każdym krokiem mruzczała w kłapę, gdzie nosiła wpięty niemal niewidoczny mikrofon podłączony do cyfrowego dyktafonu przy pasku.

- Gdyby te ściany mogły mówić - szepnęła.

Rzeczony ściany zbudowane były z suszonej cegły, u podstawy grube prawie na metr i starsze niż Stany Zjednoczone. A przynajmniej jedna ze ścian była tak stara; stanowiła kiedyś front pierwotnego rancza Castillo. Pozostałe ściany powstały w pierwszym ćwierćwieczu XIX stulecia, kiedy mieszkający tu Castillo zostali uhonorowani wysokimi stanowiskami przez młody naród meksykański. Z nowymi obowiązkami i autorytetem przyszedł dobrobyt. Prostokątny dom we wdzięcznym hiszpańskim stylu otaczał dziedziniec, ożywiany przez owocowe drzewa i srebrne szeptki fontann.

Z odkryć Carly wynikało, że Castillo utrzymali swoją godną zazdrości pozycję przez zaledwie dwie dekady, do chwili, kiedy Nowy Meksyk został oddany Stanom Zjednoczonym po traktacie w Guadalupe Hidalgo. Potem obyczaje Hiszpanów, Indian i ich mieszanych dzieci, zwanych *genizaros*, załamały się pod wpływem najazdów wojowników Navajo, Kita Carsona i głodnych ziemi obywateli młodych, awanturniczych Stanów Zjednoczonych.

- Dla mnie to odległe czasy - powiedziała Carly, wodząc koniuszkami palców po grubo łataną powierzchnię ceglanej ściany. - Ale babka Winifred przeżyła to wszystko.

Jak by to było, wiedzieć, kim byli twoi dziadowie i pradziadowie, co czuli, jak żyli?

Tej ostatniej myśli Carly nie wymruczała do mikrofonu.

- Rodzina Castillo zamieszkiwała ten dom bez przerwy, od kiedy został zbudowany - ciągnęła. - Potem, kiedy Senator i jego żona zbudowali nowy, stary służył tylko jako kwatery dla gości. Sądząc z wyglądu mebli, antyków w dość dobrym stanie, pokoje gościnne nie były używane zbyt często.

Przeszła dalej korytarzem i zatrzymała się przed drzwiami prowadzącymi na centralny dziedziniec.

- To dziwne uczucie widzieć progi, w których pokolenia wydeptały głębokie wgłębienia, drzwi tak niskie, że przechodząc przez nie, odruchowo schylam głowę, chociaż mam zaledwie metr sześćdziesiąt dwa wzrostu. Dobrze

jedzenie, dobre leki i nagle w każdym pokoleniu rodzą się coraz wyżsi ludzie.

Szarpięciem otworzyła drzwi, po czym zatrzasnęła je za sobą. Kiedy szła pospiesznie przez dziedziniec, kilka suchych liści uniosło się na wietrze i otarło o jej kostki jak zmarznięty kot. Mogła pozostać w cieple i wybrać dłuższą drogę przez galerię, biegnącą wzdłuż wewnętrznych ścian prostokątnego domu, ale potrzebowała odetchnąć świeżym powietrzem.

Choć Winifred zaprosiła ją, by mieszkała w starym gnieździe podczas pracy nad historią Quintrellów, Carly miała wrażenie, że wszyscy inni woleliby, by wróciła do domu.

Kiedy przyjechała, pokoje gościnne nie nadawały się nawet dla szczurów, których według jednej ze służących - było na ranczu mnóstwo. Winifred była wściekła z powodu stanu domu gościnnego, bo „wszyscy wiedzieli”, że Carly zjawi się tego dnia. Zamiast przeproszać za niedopatrzenie, służące były opryskliwe i twierdziły, że nie zawiadomiono ich o wcześniejszym przyjeździe gościa. Carly podsłuchiwała, jak rozmawiają po angielsku z Winifred, ale jeśli chodziło o zapomnianych gości, urzędowym językiem był hiszpański.

Carly już miała na końcu języka odpowiedź w tym samym języku, uznała jednak, że lepiej bawić się w zabawę pod tytułem *yo no comprendo*. Jeśli więc brakowało jej czegoś w kwaterze gościnnej - na przykład papieru toaletowego - szła do głównego domu i brała sobie sama albo prosiła Winifred, by ta przekazała pokojówkom, czego jej potrzeba. Było to kłopotliwe, ale zdawało egzamin, Ręczniki i pościel, o które prosiła, były czyste, choć tak stare, że mogłyby głosować.

Poza tym podsłuchiwanie pokojówek, jasnowłosej *Hispana* i jej koleżanki, było kolejnym sposobem na wypełnienie luk w dziejach okolicy. A przynajmniej Carly miała taką nadzieję. Jak na razie tyrady i narzekania na temat byłego chłopaka Almy, prawdziwego nicponia, nadawały się raczej do teledoweli niż do ubarwienia historii rodziny Quintrellów.

Drzwi prowadzące z dziedzińca do wejściowego holu domu gościnnego nie dawały się otworzyć kluczem Carly. Spróbowała jeszcze raz, obrzuciła wzrokiem zapadniętą futrynę, po czym, oceniwszy konstrukcję, łupnęła solidnie pięścią tuż poniżej zamka. Drzwi otworzyły się posłusznie.

Ciekawe, czy ta sama sztuczka podziałałaby na pokojówki.

Uśmiechając się pod nosem, Carly zamknęła za sobą drzwi. Odkryła, że zamek jest zepsuty, a nie tylko uparty. Wzruszyła ramionami. Stary dom nie był zachęcający dla złodziei. Dla gości też nie.

Galeria od frontu była dobrze utrzymana i czysta pod warstewką kurzu, co dowodziło, że zaniedbano ją stosunkowo niedawno.

- Ciekawe, czy służba korzystała z choroby Senatora, by się objąć - powiedziała do mikrofonu. - Odnoszę wrażenie, że Winifred nie cieszy się tu zbyt wielkim autorytetem. To może być problemem. Jeśli żywi nie okażą się chętni do współpracy, będę musiała ślęczyć nad zdjęciami, gazetowymi archiwami i tak dalej. No cóż. Nie pierwszy raz.

W odróżnieniu od pozostałych drzwi wyjście prowadzące do świata zewnętrznego robiło niemałe wrażenie - wielkie podwójne wrota z piękną, ręcznie kutą żelazną sztabą, zabezpieczającą dwuipółmetrowe wierzaje. Uchwyt zasuw był wygładzony przez niezliczone dłonie, które chwyciły go i odsuwały na bok. Zamek był zabytkowy, ale działał sprawniej niż pozostałe, współczesne zamki w domu. Wielki uniwersalny klucz, który dano Carly, obrócił się lekko i gładko.

Zawahala się, w końcu jednak wzruszyła ramionami, wyszła i zamknęła drzwi z powrotem. Wiatr pędził od odkrytych chmurami szczytów. Otuliła się szczelniej wełnianą kurtką. Materiał pochodził z miasta Chimayo, znanego z jakości wełnianych ubrań. Kurtkę zdobiły wyraźne jasne wzory, charakterystyczne dla południowego zachodu. Wełna była gruba i ciężka, ale zdążyła zmięknąć. Carly nosiła tę kurtkę od lat i wiedziała, że ponosi ją jeszcze długo. Tkaniny z Chimayo miały służyć długie lata, tworzone przez ludzi, którzy rozumieli klimat północnej części Nowego Meksyku i południowego Kolorado.

Nowy dom był oddalony o kilkadziesiąt metrów. Jeśli martwe i uśpione rośliny można uznać za wskazówkę, ścieżka łącząca domy biegła między warzywnikiem, ogrodem różanym i niewielkim sadem. Ale w tej chwili wszystko, czego nie przykrył śnieg, było brązowe i zmizerniałe.

- Uwaga: poprosić Winifred o zdjęcia i/lub wspomnienia ogrodu wiosną, latem i jesienią. W odpowiednich porach roku musiało to być ulubione miejsce do urządzania przyjęć i prywatnych śniadań.

Carly schyliła głowę, by osłonić twarz od wiatru i szła tak szybko, jak się dało po śniegu ukrywającym gdzieś placki lodu. Jej botki były kompletnie nieodpowiednie na zimę na dwóch tysiącach metrów. Zakładała, że kiedy poczuje się swobodniej z onieśmielającą panną - nie panią - Winifred, będzie mogła nosić mniej formalne obuwie. Ale dopóki to nie nastąpi, obowiązywały skórzane botki, wełniane spodnie i kaszmirowe golfy pod którąś z trzech kurtek, które sobie przywiozła.

Nowy dom był nowoczesnym, zaprojektowanym z rozmachem budynkiem ze ścianą trójdzielnymi okien, które wychodziły na góry Sangre de Cristo, wznoszące się niemal dwa tysiące metrów nad poziomem doliny Taos. Plan domu przypominał bumerang, z zewnętrzną ścianą ze szkła, Wewnętrzna

ściana zamykała z dwóch stron patio z owalnym basenem, błyszczącym od ukrytych reflektorów. Przy jednym ze szczytów domu, połączony z nim oszklonym przejściem, wznosił się apartament, zamieszkiwany niegdyś przez przyjeżdżających z wizytą dygnitarzy, a teraz zajmowany przez Pete'a i Melissę Moore'ów.

Interesujące - mruknęła Carly do mikrofonu. - Większość ludzi przykrywa zimą baseny. Ciekawe, czy kryje się za tym jakaś historia, czy to po prostu niedopatrzanie z powodu choroby Senatora.

Krótsze ramię bumerangu zajmowało mieszkanie panny Winifred i pomieszczenia przystosowane dla jej siostry Sylvii Quintrell, wdowy po Senatorze. Sylvia nie wiedziała nawet, że jest wdową. Nie odezwała się do nikogo ani w żaden sposób nie okazała, że wie, co się dzieje wokół niej, od lat sześćdziesiątych.

- Uwaga: sprawdzić, czy są jakieś taśmy filmowe lub wideo z nagraniami pani Quintrell sprzed choroby.

Carly przecięła patio, obeszła basen i dotarła pod drzwi Winifred z podmuchem wiatru, od którego aż się zachwiała. Uniosła staroświecką kołatkę - podkową odwróconą do góry nogami, by zatrzymać całe szczęście w środku - i zastukała trzy razy.

Z wnętrza domu nie dobiegł żaden dźwięk.

Carly czekała, drżąc na wietrze. Właśnie postanowiła zapukać jeszcze raz, mocniej, kiedy drzwi się otworzyły. W wąskiej szparze ukazała się twarz Almy. Pokojówka nie odezwała się słowem.

- Panna Winifred mnie oczekuje - powiedziała Carly.

Alma wahała się długą chwilę, aż w końcu odsunęła się z drogi i z ponurą twarzą wpuściła gościa do środka. Miała zirytowaną minę, jakby przerwano jej jakąś ważną czynność.

- Byłabyś o wiele bardziej atrakcyjna, gdybyś się uśmiechała - powiedziała Carly miłym głosem w języku, którego Alma rzekomo nie rozumiała.

Może gdybyś się więcej śmiała, byłabyś mężatką.

Alma zmrużyła lekko oczy, dowodząc, że znała angielski zupełnie dobrze.

- Ale przecież nie wszystkie kobiety są stworzone do małżeństwa, prawda? - ciągnęła Carly tym samym przyjaznym tonem. - Chociaż szkoda, że nie masz takich pieniędzy jak panna Winifred. Bycie służącą w wieku siedemdziesięciu lat to dość ponura przyszłość. - Wyszczrzyła zęby we współczującym uśmiechu.

Alma była zmuszona odwzajemnić uśmiech i pokiwać głową - odwieczna odpowiedź kogoś, kto nic zna języka albo chce udawać, że go nie zna.

Jesteś całkiem ładna z tym uśmiechem - powiedziała Carly.

Pokojówka odwróciła się gwałtownie i poprowadziła Carly przez salon, obok małej kuchni z jadalnią i przez podwójne drzwi, które łączyły sypialnię Winifred z pokojami jej siostry. Szorstkim gestem zaprosiła Carly do środka, po czym odwróciła się i odeszła, sztywna w pogniczionych czarnych spodniach.

Carly ogarnęła pokój spojrzeniem. Sylvia Quintrell była niewielkim nieruchomym pagórkiem pod kocem na szpitalnym łóżku. Kroplówka pompowała płyny i lekarstwa w jej ciało. Rurę sondy do karmienia dyskretnie ukryto pod kocami. Łóżko było ustawione tak, by leżąca w nim kobieta mogła wyglądać na patio z ogrodami i basenem. Ze starego telewizora dobiegał przyciszony pomruk żerującego na skandalach programu Jeanette Dykstry *Poza sceną*.

W pokoju było tak gorąco, że można by w nim hodować orchidee.

Winifred siedziała w skórzanym regulowanym fotelu obok łóżka. Była ubrana na czarno - czarna bluzka, czarny żakiet, czarne spodnie i bryle. Ale nie chodziło o okazanie szacunku zmarłemu Senatorowi. Czerni była po prostu jej ulubionym kolorem.

Oczy miała zamknięte, a jej palce obejmowały bezwładne palce siostry. Stary, ciężki indiański pierścionek z turkusem i gruba bransoleta z turkusami zdobiły jej szczupłą dłoń i nadgarstek. Srebro, nieustannie używane, połyskiwało miękka patyną.

Winifred powoli otworzyła oczy. Były ciemne, pełne emocji. Carly była ciekawa, czy staruszka zechce się podzielić tymi emocjami z historyczką, którą wynajęła mimo protestów reszty Quintrellów - co było coraz bardziej oczywiste.

Proszę usiąść - powiedziała Winifred, wskazując wyściełany fotel. - I zdjąć kurtkę. - Pochyliła się do przodu i dołożyła do ognia sosnowe polano. - Ogrzewam pokój dla Sylvii.

Carly z wdzięcznością zdjęła kurtkę i przewiesiła ją przez poręcz fotela.

- Dziękuję. - Spojrzała na łóżko. - Jak ona się dziś czuje?

- Tak samo jak każdego innego dnia.

Dobra, powiedziała sobie Carly. Temat Sylvii Quintrell odłożę na później.

Winifred przesunęła dźwignię fotela, rozkładając podnózek. Podeszwy jej solidnych półbutów były mocno zdarte. Twarz miała bladą mimo naturalnej oliwkowej cery. Wyglądała na wyczerpaną, ale i zdeterminowaną. Wydawało się, że oddychanie sprawia jej trudność.

- Możemy to zrobić jutro - powiedziała Carly. - Pogrzeb na pewno pania zmęczyle.

Winifred machnęła ręką, zbywając troskę młodej kobiety.

- Nie mi nie jest.

Carly przekreśliła małą główką mikrofonu, kierując ją w stronę Winifred. Wiedziała, że jakość dźwięku będzie nierówna, zależnie od tego, kto mówi, ale była do tego przyzwyczajona. Otworzyła laptopa, kliknęła na plik z danymi Quintrellów i przygotowała się do pisania w razie potrzeby.

- Wie pani, że mój dyktafon jest włączony? - zapytała.

- Powiedziała mi pani, że ilekroć z panią rozmawiam, mam zakładać, że jestem nagrywana - odparła Winifred. - Mam dobrą pamięć, panno May. Nie potrzebuję żadnych wymyślnych gadżetów, żeby zapamiętać, co słyszałam parę godzin wcześniej.

Carly też nie potrzebowała, ale nagrania ucinały spory, kto, co i kiedy powiedział.

Zazdroszczę pani pamięci - powiedziała, upewniając się jeszcze raz, że komputer jest gotowy do użytku. Miała też cyfrowy aparat, ale nie chciała robić zdjęć, dopóki wszyscy nie poczują się przy niej swobodniej.

- Od czego chce pani zacząć? - zapytała Winifred.

- To zależy od tego, co chce pani osiągnąć - odparła Carly. - Jak daleko wstecz chce pani przesledzić historię Quintrellów...

Nie obchodzi mnie historia Quintrellów - przerwała jej Winifred. - Chcę zachować historię moją i Sylvii. Nasze korzenie są o wiele starsze niż Quintrellów. Odtworzyłam nasze drzewo genealogiczne aż do Ferdynanda Wielkiego.

- Fascynujące - powiedziała Carly, powstrzymując westchnienie. Większość powiązań z odległymi sławnymi przodkami to tylko pobożne życzenia. Ale współcześni nie byli zadowoleni, dowiadując się, że ich wspaniałe drzewo genealogiczne istniało wyłącznie w umyśle jakiegoś zmarłego dziadka. Ma pani dokumentację?

Moja matka wiedziała to od swojej matki, której powiedziała to siostra jej ojca, która z kolei wiedziała to od swojej matki.

- Rozumiem. Ustne przekazy są zawsze ważną częścią spisywanej przeze mnie historii - odparła Carly ostrożnie. Ale dowody fizyczne, takie jak akty nadania ziem, akty ślubu i urodzenia, dokumenty wojskowe, księgi parafialne...

- To też mam - weszła jej w słowo Winifred. Dłoń ozdobiona turkusami wskazała wielkie zabytkowe biurko. - Aż do XVII wieku.

Cudownie, pomyślała Carly bez entuzjazmu. To pozostawia sześciusetletnią lukę, zanim dotrzemy do XI wieku i Ferdynanda Wielkiego.

Zaczęła szybko pisać na komputerze.

- Nie mogę się doczekać, żeby przejrzeć te papiery, ale ciągle nic jest dla mnie jasne, czego pani ode mnie oczekuje. Jak daleko w przeszłość ma sięgać moja opowieść o życiu pani przodków?

Coś nieprzyjemnego błysnęło w czarnych oczach Winifred. To coś było także w jej tonie, szorstkim, prawie niegrzecznym.

Klawisze komputera zaklikały cicho pod palcami Carly, kiedy opisywała ten przebłysk mrocznych uczuć.

- Pierwotne nadanie ziemskie otrzymał mąż Ignacii Isabel Marii Velssquez y Onate przed rekonkwistą - powiedziała Winifred.

Carly przebiegła w myślach fakty hiszpańskiej historii terenów, które stały się Nowym Meksykiem, i wygrzebała z pamięci datę.

- Koniec XVII wieku.

- Moi przodkowie posiadali ziemię w Taos przed indiańską rebelią.

- I właśnie dlatego to wszystko jest takie fascynujące. - Carly pochyliła się do przodu z żarliwością, której nie potrafiła ukryć. Uwielbiam pracować nad genealogiami tak głęboko wrośniętymi w historię stanu. Zna pani nazwisko pierwszego posiadacza aktu nadania rodzinnych ziem?

- Juan de los Dios Oñate.

Carly była ciekawa, czy staruszka wie, że de los Dios, podobnie jak de Jesus, było nazwiskiem nadawanym zwykle bastardom. Zwyczaj ten pochodził z wcześniejszego okresu, kiedy mężczyźni wywodzący się ze szlachty żenili się tylko z kobietami równymi im pochodzeniem, a dzieci miewali z kobietami ze wszystkich klas społecznych. Niektórzy z bastardów mieli szczęście i byli uznawani przez swoich arystokratycznych ojców. Najwyraźniej Juan de los Dios Onate należał do tych szczęśliwców. Ziemie nadawano wyłącznie ludziom, którzy mieli wpływy na hiszpańskim dworze.

- Czy pani... zaczęła Carly.

Winifred przerwała jej ostrym gestem i spojrzała na siostrę. Głowa chorej odwróciła się powoli w stronę pokoju. Jej ciemne oczy były otwarte i puste jak wiatr.

- O co chodzi, *querida*? - zapytała Winifred łagodnie. - Usłyszałaś nieznamy głos? To jest panna Carolina May Przyjechała spisać historię naszej rodziny. Całą historię. - Jej spojrzenie było równie drapieżne, jak kojący był ton jej głosu. - Sprawiedliwości stanie się zadość, kochana siostrze. Przysięgam ci to na grób naszej matki.

Rozdział 6

Taos

Poniedziałek, rano

Dan zatrzasnął za sobą drzwi redakcji „Taos Morning Record”. Kiwnął głową recepcjonistce i sekretarce w jednej osobie, której płomiennorude włosy kłóciły się ze zmarszczkami na twarzy. Zaczęła pracować dla gazety, jeszcze zanim Dan się urodził, i kolor jej włosów nigdy się nie zmienił.

- Lepiej, żeby to nie były pączki - powiedziała, z nadzieją pociągając nosem. - Lekarz kazał mi ograniczyć słodycze.

- Nie tykam pączków - skłamał Dan, kierując się do gabinetu naczelnego.

- A masz na ustach cukier puder.

- To śnieg. Po prostu śnieg.

Kobieta pokręciła głową z uśmiechem i wróciła do pisania.

Dan ruszył korytarzem po nierównej podłodze, co było skutkiem kilku wieków użytkowania i osunięć ziemi pod budynkiem, które zdarzały się od czasu do czasu. Drzwi gabinetu naczelnego były uchylone - z tego prostego powodu, że miały spaczoną futrynę.

Gus siedział za biurkiem ze słuchawką telefonu przyciśniętą do ucha. Uniósł głowę i wystawił dwa palce.

Dwie minuty.

Dan postawił pudełko pączków na biurku, nalał sobie kubek szlamu, który Gus nazywał kawą, i zaczął oglądać oprawione w ramki pierwsze strony wiszące na ścianach gabinetu. Z wyjątkiem tych opisujących karierę Senatora i jego syna gubernatora, największe tytuły pochodziły sprzed ponad stu lat. W Taos nieczęsto działo się coś, co zasługiwało na artykuł na pierwszej stronie.

Maszyny drukarskie przyjechały tu w latach trzydziestych XIX wieku i wtedy zaczęła się historia hiszpańskiej gazety, dziś znanej jako „Taos Morning Record”. W 1842 roku gubernator Meksyku poczynił wielkie ziemskie nadania, których głównymi beneficjentami byli *senor* Baubien i *senor* Miranda z Taos. Wkrótce potem Lucien Maxwell poślubił córkę Baubiena i przygotował grunt dla rebelii w hrabstwie Lincoln. Kit Carson i Lucien, obaj z Taos, byli zwiadowcami Johna Fremonta w latach czterdziestych XIX stulecia. W 1846 roku wybuchła wojna między Meksykiem a Stanami. Wojna secesyjna zasłużyła na drobna wzmiankę, bo dzięki niej nowo utworzone teryto-

rium Nowy Meksyk nie zostało jednym ze stanów. W latach osiemdziesiątych rozstrzygały się krwawe losy Billy'ego Kida i Pata Garreta. Nadanie praw stanowych w 1912 roku dostało nagłówek na całą kolumnę.

W kolejnych dekadach miało miejsce niewiele lokalnych wydarzeń wartych wzmianki, aż do lat sześćdziesiątych, kiedy to otwarto ośrodek narciarski, najstarszy syn Senatora zginął w Wietnamie a młodszy został ranny, hrabstwo Taos najechali hippisi i złapano potrójnego mordercę z zakrwawionym nożem w ręce. O tym, że jedną z zamordowanych kobiet była marnotrawna córka Senatora zdiagnozowana patologiczna mitomanka i słynna ćpunka - wspomniano dyskretnie, nie podkreślając tego faktu. Po prostu jedna z ofiar.

Znacznie więcej tuszu wylano na opisy żałoby Senatora po śmierci najstarszego syna i jego poświęcenia, by poznać i uczcić frontową historię każdego pochodzącego z Taos weterana wojny wietnamskiej. Zamiast zbudować pomnik tylko dla syna, Senator ufundował monument z listą nazwisk wszystkich miejscowych bohaterów niepopularnej wojny.

Inną atrakcją na lokalną skalę było otwarcie mostu nad przełomem Rio Grandę, tuż za miastem. Most oszczędzał mieszkańcom długiego objazdu i bardzo ożywił ruch turystyczny. Ostatnie ekscytujące wydarzenie miało miejsce w 1998 roku, a były nim obchody czterechsetlecia Nowego Meksyku, historycznej ojczyzny wielu narodów.

Czy po to wróciłem? - zastanawiał się Dan. Żeby czytać o tym, jak mężczyźni i kobiety z rolniczego hrabstwa musieli jechać przez pół świata po śmierć? Niezależnie od tego, kto żyje czy umiera, nic się tak naprawdę nie zmienia.

Gus odłożył słuchawkę i sięgnął po pudełko z pączkami.

- Umieram z głodu - powiedział. - Marti nie spała całą noc przez naszego najmłodszego, a moje potrawy są niejadalne. Czy tacie ciągle dokuczają plecy?

Dan patrzył, jak jego przyszywany brat odgryza wielki kęs pączka.

Ja też zdycham z głodu, więc zostaw mi chociaż jednego. A co do pleców taty, nawet jeśli mu dokuczają, to niczego nie widać. Przeszliśmy dzisiaj dziesięć kilometrów.

- Tak? A to czemu?

Ja miałem ochotę się przejść. On miał ochotę iść ze mną.

- Hm. - Gus przełknął resztkę pączka i sięgnął po kolejnego. - Jest jakaś kawa?

Oprócz tych pomyj, które trzymasz w dzbanku?

Gus skrzywił się.

- No tak.
- Przepraszam. - Dan podniósł kubek, z którego upił ledwie łyk. - Lep-
sza już nie będzie.
- Ciągłe mi się zdaje, że jeśli będzie wystarczająco obrzydliwa, nie będę
jej tyle pił.
- I to działa?
Gus obrzucił dzbanek nieufnym spojrzeniem.
- Na ogół tak. Ale mało dziś spałem, więc... - Wzruszył ramionami i na-
pełnił poplamiony kubek, który rzadko opuszczał jego biurko. - Jak noga?
- Lepiej.
- Zawsze to mówisz.
- I zawsze mówię prawdę.
Gus wziął łyk kawy, skrzywił się i pospiesznie zagryzł ciastkiem.
- Jeśli wziąć pod uwagę, że twoja noga nie była wiele warta, kiedy tu
przyjechałeś, to pewnie masz rację. - Zerknął ukradkiem, oceniając sylwet-
kę brata. Wyprostowaną, a jednocześnie swobodną. Widocznie była to jakaś
sztuczka, której uczyli w Służbach Specjalnych, bo regularna armia z pew-
nością nie miała trwałego wpływu na zwykły rozlazły krok Dana. - Dokąd
poszliście? - zapytał.
- Na grań Castillo.
- Ładny spacer. W lecie.
Dan zignorował pytanie, którego domyślił się w słowach brata.
Gus wrócił do pączków. Przez ostatnie miesiące nauczył się, że jeśli Dan
zamknał temat, to temat był zamknięty.
Zadzwoił telefon.
Gus odebrał, słuchał chwilę i zerknął przez szybę do przyległego pokoju,
by sprawdzić, czy któryś z trzech reporterów gazety nie wygrzewa akurat
krzesła.
- Dzięki. Ktoś się tam zjawi za dziesięć minut. - Rozłączył się, wcisnął
guzik interkomu i wydał Mano rozkaz wymarszu.
Reporter wcisnął czapkę na swoją rudą głowę, złapał kurtkę i aparat i wy-
biegł z redakcji.
- Bójka w barze? - zapytał obojętnie Dan.
- Walka kogutów. Szeryf znów przymknał Armanda.
- Sandovala?
- Taa.
- Myślałem, że siedzi w kiciu za przemyt prochów.
- To jego starszy brat. Matka zapewnia wszystkich, że Armando to dobry
chłopiec, codziennie chodzi na mszę, a w niedzielę nawet dwa razy.

- Siedzi w narkotykach?
- Jeszcze jak. Ale niczego nie można mu udowodnić. *Hispanos* byli tutaj
na długo przed wami, Jankesami, a granica jest dowcipem, który matka na-
tura wycięła Wujowi Samowi. Jeśli szeryf zbliży się na odległość dwudzie-
stu kilometrów do narkotykowych przedsięwzięć Sandovalów, dzwony za-
czynają bić stąd aż do makowych pól w Meksyku. - Gus ziewnął i potarł
twarz dłonią. - Od czasu do czasu rzucają szeryfowi kość i dają się przyła-
pać na walkach kogutów. Wielkie mi halo.
- Wygląda na to, że wszystko po staremu.
- Nic się nie zmienia, z wyjątkiem nazwisk graczy. - Nagle Gus uśmiech-
nął się szeroko. Kocham to.
Dan zawahał się. W końcu spytał:
- Nigdy cię to nie męczy?
- Co?
- Że łajdaki są łajdakami. Gliniarze gliniarzami. Wielki głupi matoł gania
za własnym głupim tyłkiem.
- Nie.
- Ale nie drukujesz nawet połowy tego, co wiesz. Czy to cię nie wkurza?
Nie masz ochoty złapać tych ludzi, potrząsnąć nimi i powiedzieć: spójrzcie
wokół siebie, głupcy. Wszystko, co uważacie za prawdę, jest kłamstwem.
Gus otworzył szeroko ciemne oczy.
- Nie, nie mogę powiedzieć, żebym miał na to ochotę.
Dan pokręcił głową.
- Słuchaj - powiedział Gus. Są nadające się do druku wiadomości o wy-
borach, pijakach, politykach, sygnalizacji świetlnej i walkach kogutów. Są
sprawy, o których wiedzą wszyscy... i o których lepiej nie pisać. A czasami
są też sekrety, o których wiedzą tylko dwie czy trzy osoby, sekrety, za które
ludzie zabijają. Ja nie szukam takich sekretów. I nie szuka ich nikt, kto ma
choćby pół mózgu.
- A co robisz, kiedy sprawy publiczne i prywatne mieszają się ze sobą?
- Wtedy nie lubię mojej pracy, bo ludziom, których znam, może stać się
krzywda.
Dan znów pokręcił głową.
- Klan Sandovalów przemycą narkotyki dla jednego z najwyższych de-
mokratycznie wybranych urzędników w Nowym Meksyku, stręczy nieletnie
meksykańskie prostytutki, które niekoniecznie musiały się godzić na swój
zawód, a na boku dorabia sobie handlem dziećmi. Quintrel Iowie wykorzystu-
ją swój urząd, żeby się wzbogacić kosztem ludzi biednych albo zwyczajnie
nieświadomych... Dzierżawy państwowej ziemi i lasów, wymiany z rządem

podnoszące wartość rodzinnych posiadłości, nielegalne zatrudnienie, polityczne przysługi dla swoich...

- Powiedz mi coś, czego nie wiem - przerwał mu Gus. - Do diabła, przecież o tym wiedzą wszyscy. Słyszałeś kiedyś o polityku, który odszedł z urzędu biedniejszy, niż kiedy go obejmował?

- Dlaczego nie pisze o tym twoja gazeta?
- Moja gazeta? Chyba śnisz. Wiesz, kto jest teraz właścicielem?
- Quintrellowie?
- Broń Boże, to by było zbyt oczywiste. Dobry przyjaciel bogatego darczyńcy, który...

- Nieważne - powiedział Dan, zagłuszając słowa brata. - Sam umiem wypełnić luki. Tylko radosne wiadomości o Quintrellach trafiają do druku.

Gus wzruszył ramionami.

- Myślisz, że z jakkolwiek inną gazetą na świecie jest inaczej? Wszystkie mają stronę ze wstępniakiem. Artykuły, które nie zgadzają się z punktem widzenia we wstępniaku, nie są drukowane albo wtyka się je na sam koniec, między pierdółki. - Ziewnął. - Teksty, które uzupełniają redaktorski punkt widzenia, dostają tytuły na pierwszej stronie, nad miejscem, gdzie czytelnik składa gazetę. Ludzka natura, nic poza tym. I niepotrzebne są tu żadne konspiracje czy sekretne uściski dłoni.

Dan złapał pączek i wbił w niego zęby jak we wroga. Wiedział wszystko o wstępniakach, o ludzkiej naturze i o udawaniu, że nikt nic widzi śmieci pod dywanem.

- To dla ciebie nic nowego - powiedział Gus - więc skąd ta mina?

Dan wzruszył ramionami, żując pączka.

- Czasami chce mi się rzygać, i tyle.

- Od kiedy wróciłeś, wiesz, ci się chce. Skądkolwiek wróciłeś.

- Sporo było do przełknięcia.

- I wciąż nie chcesz o tym mówić.

- A po co? Nikt nie chce tego wiedzieć.

- Ja chcę.

Dan otrząpał dłonie.

- Nie, nie chcesz. Nikt nie chce. I nie dziwię się. Ja też wolałbym nie wiedzieć. - Wytarł ręce o spodnie. - Czyli co, Lila ma grypę?

Gus przełknął zmianę tematu razem z gorzką kawą.

- Na to wygląda. Wszystkie dzieciaki łapią po kolei.

- Uroki rodzicielstwa. A ty i Marti też złapaliście?

- Na razie nie. - Gus uśmiechnął się przebiegle. - Chcesz wpaść na kolację?

- Jasne. Ja gotuję.

- Żartowałem. Nie chcę, żebyś się rozchorował.

- Nie rozchoruję się. Zaszczepili mnie przeciwko świństwu, o których ci się nawet nie śniło.

- Na pewno? Obawiam się, że Marti już się zaraziła. Była biała dziś rano.

- Co mam ugotować?

- Kurczaka z czosnkiem - odparł Gus.

- Kiedy chcecie jeść?

- O szóstej. Jeśli mnie nie będzie...

- Zostawię w piekarniku, żeby nie wystygło - powiedział Dan. - Tak jak robiła mama.

- Nic musisz. Naprawdę. Tylko żartowałem.

Cień uśmiechu zatańczył na ustach Dana.

- Ale chcę. Nie potrafię zatrzymać ani nawet przyhamować tej zdezelowanej lokomotywy, jaką jest światowa polityka, ale mogę zadbać o to, żeby mój brat i jego rodzina zjedli ciepły posiłek, kiedy są chorzy.

Gus nie wiedział, czy się uśmiechnąć, czy rozpłakać. Brzęczenie interkomu oszczędziło mu tej decyzji. Odchrząknął i wcisnął guzik.

- No?

- Pani Carolina May do ciebie.

- Czego chce?

- Panna Winifred Simmons y Castillo wynajęła ją, by zbadała historię rodziny Castillo,

Rozdział 7

Taos

Poniedziałek, rano

Carly rozejrzała się po recepcji „Taos Morning Record”. Dwa krzesła, które wyglądały, jakby zostały tu jeszcze po hiszpańskiej inkwizycji, stały jedno przy drugim na lewo od biurka recepcjonistki. Na wprost krzesła na niskim stoliku leżał nicrozcięty dzisiejszy numer gazety. Przez szklane drzwi z prawej widać było wąski korytarz, który prawdopodobnie prowadził do newsroomu i/lub gabinetu redaktora naczelnego.

Było tu tak ciasno, że ledwie się można było obrócić. Tak jak i stary dom na ranżu, budynek ten stworzono dla ludzi o wiele mniejszych niż dzisiejsza norma.

- Pani May?

Carly przerwała swoje rozważania na temat starej budowli i odwróciła się, by stanąć twarzą w twarz z o wiele bardziej współczesnym obiektem. Otaksowała go wzrokiem z prędkością kogoś, kto zarabia na życie ocenianiem ludzi. Trzydzieści pięć, może czterdzieści lat. Mniej więcej metr osiemdziesiąt wzrostu - ale raczej więcej niż mniej. Szerokie ramiona pod golfem i skórzaną kurtką, długie nogi w spranych lewisach i zdartych górskich butach, ciemne włosy, twarz upadłego anioła i zielone oczy, które widziały piekło. Jakakolwiek była jego historia, nie była pisana uśmiechami.

- Pan Salvador? Podeszła do niego z wyciągniętą ręką. - Miło, że pan...

- Dan Duran - przedstawił się, ściskając energicznie jej dłoń, i puszczając ją równie szybko. - Gus rozmawia przez telefon. Proszę za mną.

Zauważyła ledwie dostrzegalne utykanie, kiedy zrobił kilka pierwszych kroków. Jego lewa noga była sztywna.

Jest pan reporterem? - zapytała, zrównując się w nim w wąskim korytarzu.

- Nie.

Odczekała chwilę, po czym, ignorując jego brak zachęty do rozmowy, pytała dalej:

- Ranczer? Artysta? Narciarz? Policjant?

- Nie.

- Rzeźnik, piekarz, murarz, dekarz?

Spojrzał na nią z ukosa. Coś bliskiego rozbawieniu zmieniło linię jego ust pod ciemnym, co najmniej jednodniowym zarostem.

Pudło.

Rety, całe pięć liter w jednym wyrazie - powiedziała Carly. - Jeszcze chwila i zagada mnie pan na śmierć.

Dan zerknął na nią, zastanawiając się, jakim cudem kobieta tak pełna życia obrała sobie za zawód rozkopywanie grobów. Na myśl o tym, jak wyglądają jej rozmowy z surową, ponurą panną Winifred, aż pokręcił głową.

- Co? - zapytała Carly.

- Wyobraziłem sobie panią z tą starą *curandera*.

- Z kim?

- Z panną Winifred. Robi wywary i maści dla połowy hrabstwa. - Chodziły też słuchy, że rzuca uroki i warzy trucizny, ale Dan nie widział potrzeby, by rozmawiać o tym ze wścibską intruzką jego matkę często wymieniano tuż obok Winifred. Obie kobiety były znane w okolicy jako wielce poważane zielarki.

- Nie wiedziałam, że Winifred jest uzdrowicielką - odparła Carly.

- Nie powiedziałem, że jest.

Dan otworzył drzwi gabinetu Gusa i gestem zaprosił Carly do środka.

Marszcząc brwi, zapytała:

- Co to znaczy?

Zignorował jej pytanie.

Gus uniósł jeden palec.

- Skończy za minutę - wyjaśnił Dan i wskazał wiszące na ścianie ramki z pierwszymi stronami gazety. - Miłej lektury.

Odwrócił się, żeby wyjść.

Carly położyła mu dłoń na rękawie.

- Proszę zaczekać - rzuciła cicho, nie chcąc przeszkadzać naczelnemu gazety. - Długo pan zna pannę Winifred?

- Tak.

- Wychował się pan tutaj?

- Tak.

- Chciałabym zrobić z panem wywiad na temat...

- Nic.

- Nie wychodź - rzucił Gus, celując w Dana palcem.

Dan wzruszył ramionami i oparł się o ścianę, a Gus mówił dalej do słuchawki. W końcu odłożył ją, wstał i wyciągnął rękę z uśmiechem, który miał wynagrodzić chłód jego brata.

- Pani May, jestem Gus Salvador. Proszę nie zwracać uwagi na Dana. Stracił poczucie humoru i dobre maniery gdzieś w Afganistanie, Afryce czy Kolumbii.

Carly zerknęła na Dana, po czym wróciła spojrzeniem do Gusa.

- Miło mi pana poznać, panie Salvador.

- Gus.

Uśmiechnęła się.

- Gus. W takim razie ja jestem Carly. Panna Winifred nie czuje się dziś dobrze, więc przysłała mnie tu, żebym przejrzała wycinki na temat Quintrelłów i Castillo. Nie masz nic przeciwko temu?

- Absolutnie - odparł Gus.

- Czy są skomputeryzowane? - zapytała.

Gus roześmiał się.

- A wyglądamy na skomputeryzowanych?

- Hm, mikrofilmy?

- To nasza standardowa metoda archiwizacji. Ale tak naprawdę mnóstwo informacji znajduje się w plikach komputerowych baz danych, dzięki Danowi.

Uczynił z tego swoją krucjatę dawno temu, kiedy miał trzynaście lat i był maniakiem komputerowym.

Carly znowu spojrzała na mężczyznę opartego o ścianę. Choć wyglądał na rozluźnionego, czuła, że tak nie jest. Nie wiedziała tylko, dlaczego.

Może nie lubi kobiet.

- Więc jesteś archiwistą? - zapytała.

- Nie. - Nie chciał zachęcać tej prężnej młodej kobiety, która deptała na oślep po polu minowym.

- Tak, nie, pudło - powiedziała. - Rozmawiając z tobą, nabieram ochoty, żeby coś kopnąć.

- Na przykład mnie? - zapytał wbrew zdrowemu rozsądkowi.

- Właśnie. - Uśmiechnęła się, zdjęła szal z włosów i potrząsnęła grzywą czerwonych loków. - Wydzielasz słowa jak studolarówki. Całe szczęście, że nie należysz do rodziny Quintrellów.

Gus już otworzył usta, żeby coś wyjaśnić, ale gdy zobaczył wyraz twarzy brata, zmienił zdanie.

- Archiwa gazety zawsze są dostępne dla badaczy - powiedział. - Jedyna zasada to zakaz palenia, jedzenia i picia.

- Nie palę i nic będę jadła ani piła w archiwum - zapewniła Carly.

Gus zerknął na zegarek.

- Muszę poskładać gazetę. - Spojrzał na Dana. - Zabierz Carly do archiwum i pokaż jej, co trzeba. Wiesz o tym więcej niż ktokolwiek inny.

Dan już chciał odmówić, ale nie zrobił tego. Widział, że Gus, choć sili się na uśmiech, jest naprawdę zmęczony i zatroskany o rodzinę.

- Dobra - powiedział. Trzymasz klucz tam, gdzie zwykle?

- Klucz zgubiłem - odparł Gus. Zadzwoił telefon. - Wyłamałem zamek.

- Gus sięgnął po słuchawkę. I nie naprawiłem. Tak? - powiedział do słuchawki. - Mano? Pstryknąłeś spacer skazańca?

Gdy znaleźli się w korytarzu, Carly zapytała:

- Co to jest...

- Spacer skazańca? - wszedł jej w słowo Dan.

Kiwnęła głową.

- To coś w rodzaju sesji zdjęciowej, kiedy gliniarz skuwa kajdankami podejrzanego i przemaszerowuje z nim przed dziennikarzami - wyjaśnił.

Carly przetrawiała tę informację, idąc za Danem korytarzem w stronę przeciwną niż recepcja. Na tyłach otwierał się mały, zaniedbany dziedziniec. Pewnie latem służył pracownikom z otaczających go budynków jako miejsce wypoczynku, ale w tej chwili wyglądał równie zapraszająco jak chłodnia na mięso.

- Spacer skazańca - powtórzyła Carly. - Rozumiem. Kto to był?

- Armando Sandoval. Urządza walki kogutów i szmugluje narkotyki.

- Narkotyki? Więc długo go nie będzie.

Dan pokręcił głową.

- Przymknęli go za koguty. Zapłaci grzywnę i wróci do domu na kolację.

Mroźny wiatr unosił piach i śnieg z dziedzińca. Carly narzuciła na głowę szal i przytrzymała go.

- Tak jest za każdym razem? - spytała.

- Pytasz o wiatr?

- Nie. O spacer skazańca, aresztowanie i grzywnę.

Dan wzruszył ramionami.

- Tak często, jak trzeba.

- Czyli?

- Zadajesz mnóstwo pytań.

- Bo potrzebuję mnóstwa odpowiedzi - odparła. - Tym się zajmuję. Trochę jak reporter, tyle że wiele z moich tematów nie żyje i nie może mówić za siebie.

- Więc wysysasz pogłoski, plotki i insynuacje.

- Możesz wrócić do monosylab, kiedy tylko zechcesz.

Okej.

Złapał klamkę w drzwiach wiszących krzywo na futrynie i szarpnął. Zmarznięte drewno zgrzytnęło po oblodzonym kamieniu. Carly szybko weszła do środka, chcąc schować się przed wiatrem.

- Uważaj,

Poczuła jego silne palce na ramieniu.

- Co? - zapytała.

- Dziura pod nogami.

Zamiast na nierówną drewnianą podłogę, jak w większości starych parterowych budynków, z progu wchodziło się prosto na rozklekotane drzwi do piwnicy. Przykrywał je brezent, by zatrzymać ciepło w pomieszczeniu na dole. Dan odrzucił płachtę i przekręcił włącznik światła.

Carla spojrzała na stare drzwi. Szpary między listwami były tak duże, że spokojnie zmieściłaby się między nimi noga. Dan nic był najbardziej wylewny facetem, jakiego spotkała, ale uchronił ją przed paskudnym upadkiem.

- W czasach prohibicji - powiedział, otwierając drzwi piwnicy - mieściła się tu lokalna spelunka. A teraz jest tu archiwum gazety. Wykuto drugie wejście z parteru za rogiem, ale tędy łatwiej się dostać do piwnicy.

Podniosła na niego orzechowe oczy.

- Dziękuję - szepnęła.

Jego lewa brew uniosła się w milczącym pytaniu.

- Że nie pozwoliłeś mi wpaść - wyjaśniła, wskazując nieogrodzoną dziurę w podłodze. - Wiem, że mnie tutaj nie chcesz.

Dan spojrział na jej oczy, na pełne, lekko rozchylone usta i na rude loki opadające na zaróżowione od zimna policzki. Była inteligentna, atrakcyjna i pełna życia. Nie chciał, żeby stała jej się krzywda, kiedy będzie zadawać pytania, które nie powinny zostać zadane, i szukać odpowiedzi, które nie są warte kosztu ich uzyskania.

- Masz rację - powiedział, puszczać jej ramię. Nie chcę cię tutaj. Ale nie zawsze dostajemy to, czego chcemy, prawda? Pójdę pierwszy.

- Dlaczego? Są tam szczury albo węże?

- Węże? Nie w zimie. Pójdę pierwszy, bo jeśli się potkniesz, będę mógł cię złapać, zanim sobie złamiesz swój wścibski nos. Uwaga na piąty schodek. Jest nadkruszony.

Wścibski nos? Uśmiechnęłyby się, ale wiedziała, że Dan nie żartuje. Ciekawe, czy nie lubił wszystkich obcych, czy tylko kobiet?

Jeśli kiedykolwiek była tu poręcz, to nie dotrwała do XXI wieku. Podłoga wokół otworu też nie budziła zaufania.

- Co tu jest składowane? - zapytała, wskazując skrzynie i pudła pod ścianami pomieszczenia na parterze.

- Zapasy.

Dan był już w połowie schodów do piwnicy. Poruszał się ze swobodą, która zaskoczyła Carly. Sztwna noga nie zaburzała jego równowagi.

Pewnie dałby radę mnie złapać, gdybym się potknęła.

Wolała jednak tego nie sprawdzać. Odwróciła się bokiem i ostrożnie zeszła po dziesięciu cementowych schodkach, szczególnie uważając na piątym. Uśmiechnęła się na myśl, że mogłaby się stoczyć na dół i wpaść na Dana jak kula do kręgli. Pewnie pozbawiłaby go tej chłodnej rezerwy. A może nie. Tak czy inaczej, dowiedziałyby się czegoś o nim.

Zapomnij o tym. On nie jest częścią twoich badań.

A szkoda. To ciekawy człowiek. Naprawdę ciekawy.

Ta myśl zaskoczyła ją tak bardzo, że ominęła ostatni schodek. Nim zdążyła się czegoś złapać, złapał ją Dan. Był bardzo szybki. Podtrzymał ją, postawił na nogi i puścił, zanim zdążyła krzyknąć ze strachu.

- Moja wina - powiedziała. - Powinnam była patrzeć pod nogi, zamiast myśleć. Ostatnia rzecz, jakiej mi teraz potrzeba, to humorzasty samiec mieszający mi w życiu, dodała w duchu.

- Nic się nie stało. - Sięgnął poza nią i przekreślił włącznik. Piwnicę zalało światło. Zalśniły szafki z nierdzewnej stali i segregatory.

- O kurczę - powiedziała Carly. - Spodziewałam się stosów zmurszałych gazet.

Tego też trochę mamy.

- To zostawię sobie na koniec.

Dan otworzył szafkę i wskazał rzędy wąskich półek.

- Mikrofilmy. Najnowsze u góry. Starsze niżej. Nie skanowałem niczego od sześciu lat - dodał, wskazując stanowisko komputerowe. - Zdjęcia nie są najlepszej jakości, ale szczury nie zagnieżdżają się w twardym dysku.

- A w gazetach i mikrofilmach się zagnieżdżają?

- Kiedy tylko mają okazję.

Carly rozejrzała się po ciemnych kątach i przejściach między szafkami.

- Potrzebujecie dużego kota. Kilku dużych kotów.

- Za dużo kojotów.

- Nawet w mieście?

- Zwłaszcza w mieście. Nie ma nic lepszego niż rząd kubłów na śmieci, żeby napełnić brzuchy tych leniuchów. Nie chce im się polować.

Dan wszedł między rzędy szafek i ruszył wzdłuż tylnej ściany. Dwa razy schylił się i pomajstrował przy czymś, czego Carly nie widziała.

- Co robisz? zapytała.

- Nastawiam łapki.

Kiedy wrócił, dwa wielkie martwe szczury zwiślały za łyse ogony z jego lewej dłoni.

- Faj - prychnęła Carly. - Myszy są przynajmniej ładne. Czy tak jest za każdym razem?

- Już trochę późno na łapanie szczurów. Zwykle przychodzą po pierwszym silnym mrozie. Te musiały wypłoszyć z dziur ostatnia burza. - Spojrział na komputer. - Pozbędę się ich i pokażę ci, jak używać programu do archiwizacji. Nie szperaj tu, kiedy mnie nie będzie. Jest tu więcej łapek. Możesz sobie złamać palec, jeśli nie będziesz uważać.

- To dlatego na ranczu Quintrellów używają pułapek, które nie zabijają?

- Jeden z piesków Sylvii został okaleczony w tradycyjnej łapce dawno temu. Od tamtej pory używają wyłącznie humanitarnych pułapek.

- Logiczne. Mogę używać komputera?

- Programu, na którym będziesz pracować, cholernie trudno się nauczyć. Trzymaj się mikrofilmów, dopóki nie będziesz sobie z nim radzić.

Carly patrzyła, jak Dan wspina się zrećnie po zdradliwych schodkach. Martwe szczury bujały się w rytm jego kroków.

- Nie zapomnij umyć rąk! zawołała za nim.

Wydało jej się, że słyszy jego śmiech, ale uznała, że musiało to być raczej szuranie butów po cementcie. Zewnętrzne drzwi otworzyły się i zamknęły z jękiem, zostawiając ją sam na sam z przeszłością i pomieszczeniem pełnym łapek na szczury.

Rozcierając gęsią skórkę, która nie chciała zniknąć, Carly ruszyła do pierwszej szafki.

Rozdział 8

*Ranczo Quintrellów
Poniedziałek, rano*

Słowa były skreślone chwiejnym charakterem pisma człowieka u kresu sił.

Szantaż, Josh.

Jedna z fundacji dobroczynnych musi być przykrywką.

Nigdy się nie dowiedziałem, kto. Bezpieczniej płacić.

Josh Quintrell zastanawiał się, który z wielu ludzi wydymanych przez Senatora znalazł w końcu sposób na wyrównanie rachunków. Prawdopodobnie Winifred. Znała wszystkie plotki społeczności *Hispanos* \ bali się jej tak samo, jak ją szanowali. Musiała zniechęcić Senatora, kiedy dowiedziała się o jego kobietach, a nic znała nawet połowy prawdy.

Był z ciebie niezły kawał sukinsyna, Senatorze. O który z twoich sekretów chodziło? Miałeś ich niemal tyle, co kobiet.

Josh nie chciał przeczytać o którymkolwiek z nich w gazetach. Przynajmniej dopóki nie przetrwa prawyborów. Dopóki nie zostanie prezydentem.

Skoro sekrety Senatora nie wyszły na jaw przez niemal sto lat, na pewno uda mu się ukrywać je jeszcze przez jedenaście miesięcy.

Zamknął prywatny sejf dziadka. Nawet nie spojrzął na pistolet i gotówkę, ale wyjął dowody korupcji, które gliniarze chętnie dostaliby w swoje łapy. Tarcza zamka obróciła się z cichym mrużeniem. Josh obrzucił wzrokiem zamknięte drzwi, po czym wstał i podszedł do narożnego kominka. Płonęło w nim kilka małych kawałków piniona, tylko tyle, by nasycić powietrze w pokoju zapachem żywicy. Josh wrzucił między nie liścik Senatora, patrzył, jak płonie, po czym rozgniół popiół, zamieniając go w smugę na niewielkim palenisku. To samo zrobił z pozostałymi papierami.

Najwyraźniej ktoś wiedział za dużo, a to oznaczało, że nic można ufać nikomu z miejscowych. Nie mógł jednak sobie pozwolić na wzbudzenie podejrzeń wśród mieszkańców hrabstwa. Będzie się zachowywał tak, jakby chodziło wyłącznie o interesy, a jednocześnie posłuży się księgowym spoza stanu, by wytropić szantażystę.

Póki co miał inne problemy. Carly May była na czele listy.

Josh otworzył zamknięte na klucz drzwi i ruszył do skrzydła domu nazywanego przez wszystkich Apartamentem Sióstr. Zapukał cicho, po czym wszedł do pokoju Sylvii. Nie czekał na pozwolenie; teraz to był jego dom.

Jak zwykle ciało Sylvii przypominało niewielki pagórek na szpitalnym łóżku. Fotel Winifred stał blisko niego, a na kominku buzował ogień. Puste oczy Sylvii wpatrywały się w pokój spod starannie uczesanej aureoli siwych włosów.

Niewiele się zmieniało od wizyty do wizyty, z wyjątkiem pór roku za oknami i samej Sylvii, która była coraz bardziej widmowa, niemal przezroczysta. Lekarz, który przychodził co tydzień, za każdym razem mówił Joshowi, że spodziewał się zastać ją martwą.

- Dzień dobry, ciociu Winifred - powiedział cicho Josh. - Jak się dziś miewa mama?

- Żyje.

Josh powstrzymał westchnienie i zmiął w ustach przekleństwo. Ani jedno, ani drugie nic by nie zmieniło. Winifred nigdy go nie lubiła. I wiedział, że zabierze tę niechęć do grobu.

- Alma mówiła, że nie czujesz się dobrze.

- Przeżyję.

- Tego jestem pewien. Nic nic byłoby takie samo bez ciebie.

Winifred pochyliła się, otworzyła prymitywny słój z gliny i nabrała z niego czegoś, co wyglądało - i śmierdziało - jakby zostało zeszkrobane z podłogi obory i wymieszane ze zgniłą rybą. Zaczęła wcierać zielonkawą maź w wyniszczony tors Sylvii, ostrożnie, żeby nie poprzesuwać rozmaitych rurek.

- Twoja miłość i oddanie utrzymały ją przy życiu - powiedział Josh, starając się nie udławić smrodem lekarstwa uwarzonego przez Winifred, cokolwiek to było. - Wszyscy jesteśmy ci za to wdzięczni.

Winifred nie odpowiedziała.

Powoli, jak liść chwycony niepewnym podmuchem wiatru, głowa Sylvii obróciła się do okna. Był to jedyny ruch, jaki wykonywała - przekręcała głowę w jedną lub drugą stronę. Jej oczy nigdy się na niczym nie skupiały, więc nie sposób było stwierdzić, dlaczego jej ciało zdobywało się na ten wysiłek.

- Wyjdź i daj jej spokój - powiedziała Winifred, naciągając z powrotem koce. - Cierpi wystarczająco i bez ciebie.

Oczy Josha zwięzły się na chwilę, dłonie zacisnęły. Uparte przekonanie Winifred, że jej siostra miewa momenty przytomności, doprowadzało go do szału. Wszystkie słynne kliniki w Ameryce - i ładnych kilka za granicą - stwierdziły coś wręcz przeciwnego. Wylew, który powalił Sylwię, pozostawił żywe ciało, ale jej umysł był już na zawsze poza zasięgiem. To, że przeżyła tak długo, było cudem.

- Jeśli nie chcesz, żebyśmy jej przeszkadzali, powinniśmy wyjść z pokoju i porozmawiać o tej pseudohistoryczce, którą zatrudniłaś.

- Nie ma o czym rozmawiać.

- Uważam, że ta jej „rodzinna historia” to najwyklesze oszustwo.

- Nie interesuje mnie, co ty uważasz - powiedziała Winifred. - Ja ją wynajęłam, to moje pieniądze, i na tym koniec.

- To mogło ci się udać z Senatorem, ale nie ze mną. Dopóki mieszkasz na moim ranczu, będziesz dla mnie przynajmniej grzeczna.

Winifred zmierzyła go niechętnym spojrzeniem i delikatnie dotknęła włosów Sylvii.

- To nie jest twoje ranczo, tylko jej.

Josh nakazał sobie spokój. Pięć razy dziennie miał do czynienia z trudniejszymi i bardziej wpływowymi ludźmi. I właśnie to powinien robić w tej chwili - pracować jako gubernator Nowego Meksyku, a nie krażać na paluszkach wokół wariatki i upiornych szczątków kobiety, która nie odezwała się od prawie czterdziestu lat. Trudno było myśleć o tej bezwładnej kupce skóry i kości jak o żywym człowieku, a co dopiero jak o matce, ale żaden polityk nie mógł zająć daleko, mówiąc źle o kobiecie, która trzymała się życia wbrew wszelkiemu prawdopodobieństwu.

Tak długo, tak cholernie długo. Kiedy to się dla niej skończy?

Dla nas wszystkich.

- Teraz ja jestem jej opiekunem ~ powiedział. - Ranczo jest częścią mojej prawnej odpowiedzialności wobec niej.

- Wyrzucenie mnie nie przysporzy ci głosów.

John pokręcił ze znużeniem głową i rozluźnił krawat, który założył do nagrania wywiadu telewizyjnego godzinę temu. Strata czasu, ale reporter pracował dla znanej ogólnokrajowej gazety i był mocno osadzony w obozie popierającym gubernatora w nadchodzących wyborach.

- Nikt nie mówi o wyrzucaniu cię. - Josh westchnął, kiedy guzik kołnierzyka nareszcie puścił. - Ranczo bardzo długo było twoim domem. Niezależnie od zmian dopilnuję, żebyś nie została bez opieki.

Winifred posłała mu ponure spojrzenie. Właśnie przez to spojrzenie co bardziej przesadni lub ostrożni - z miejscowych zegnali się znakiem krzyża, kiedy ją mijali.

- Trzymam cię za słowo - mruknęła.

- Mało prawdopodobne, żebym o tym zapomniał - odparł niecierpliwie.

- Ale jest różnica między dachem nad głową a prowadzeniem rancza i domu według własnego widzimisie. Ważni ludzie w mojej partii zdecydowali, że jestem dobrym materiałem na prezydenta. Prawybores będą ciężkie. Kampania to będzie piekło. Ostatnia rzecz, jakiej mi potrzeba, to bystrooka intruzka szperająca w przeszłości Quintrellów. Niektóre sprawy lepiej zostawić w grobie.

- Ona będzie badać przeszłość rodziny Castillo.

- Castillo i Quintrellowie są ze sobą powiązani od czasów wojny secesyjnej. - Ton Josha był niecierpliwym, tak jak wyraz jego twarzy, a błękitne oczy zimne jak lód. - Miej chociaż tyle przyzwoitości, żeby poczekać do listopadowych wyborów. Potem możesz sobie pracować brudy Senatora do woli. Ale nie teraz.

Przystojny, gniewny, arogancki, tak bardzo przypominał Senatora, że Winifred miała ochotę dać mu w twarz.

- Mnie interesują tylko Castillo. Quintrellowie mogą sobie iść prosto do piekła, gdzie ich miejsce.

- Ale jakoś ci nie przeszkadza, że utrzymujesz się z ich hojności, co?

- To minimum, jakie jesteście mi winni za opiekę nad Sylwią.

- Sylvia to też Quintrell.

- Nie, od kiedy ten rozpustny sukinsyn złamał jej serce. Nie, od kiedy zginął jej syn. Nie, od kiedy chciała się pogodzić z Lizą i dostała wylewu. Nie, od kiedy ty zająłeś pierwsze miejsce. Teraz jest Castillo. Jest moja, nie wasza.

Josh dał sobie spokój. Winifred żyła przeszłością. Zawsze tak było i zawsze będzie. Żadne jego słowa nie mogły tego zmienić. Odwrócił się i ruszył do drzwi,

- Jeśli nie będziesz trzymać tej swojej pupilki na krótkiej smyczy, to ja ją przytrzymam.

Drzwi zamknęły się za nim z hukiem.

Rozdział 9

Taos

Poniedziałek, południe

Carly mamrotała w kołnierzu, pochylona nad czytnikiem mikrofilmów. Dopóki Dan nie wprowadzi jej w program komputerowy, którego używał do archiwizacji, była skazana na poszukiwania tradycyjną metodą. A jakoś nie sądziła, żeby Danowi zależało na ułatwieniu jej pracy.

Choć przechowywane w prymitywnym pomieszczeniu z popękaną, nierówną cementową podłogą, mikrofilmy były w dobrym stanie, a szafki były na tyle dograne, że nie musiała się martwić o parę kondensującą się na kliszach, kiedy wyjmowała je z pojemników i wkładała do czytnika. Póki co największym problemem nie był sprzęt, lecz tłumaczenie najstarszych dokumentów. Współczesny hiszpański Carly był całkiem przyzwoity, ale dawny zaledwie dostateczny.

- Ciekawe, czy Winifred potrafiłaby to przetłumaczyć - mruknęła.
- Prawdopodobnie - powiedział Dan z najniższego schodka. - Spędza mnóstwo czasu ze starymi książkami.

Carly podskoczyła i ledwie zdołała stłumić okrzyk.

- Nie podkradaj się tak do mnie.

Jego lewa brew podjechała do góry. Nie wysiłał się specjalnie, żeby zachować ciszę, kiedy zamykał drzwi piwnicy i schodził na dół.

- Zadałaś pytanie. Zakładałem, że wiesz, że tu jestem.

Robię notatki - wyjaśniła, wskazując maleńki mikrofon w klapie. - Myślałam, że jestem sama.

Spojrzał na mikrofon i podszedł bliżej, żeby lepiej mu się przyjrzeć.

- Fajne. Reakcja na głos czy ciągłe nagrywanie?
- Jedno i drugie. W tej chwili automat. Ciągłe nagranie, kiedy robię wywiad. Nie wymyślili jeszcze niezawodnego oprogramowania do rozpoznawania wielu głosów.

Dan wiedział, że wymyślili, ale była to tajna informacja, więc tylko kiwnął głową.

- Jak długo będziesz tu siedzieć?

Carly zamrugała.

- A jest ograniczenie?
- Zwykłe godziny otwarcia. - Spojrzał na zegarek. - Masz czas do piątej. Carly też zerknęła na swój.

- Czy ktoś musi tu ze mną być cały czas?

- Tak.

Nie zdziwiła się, ale nie była zachwycona, że to Dana wyznaczono do nianżenia jej. Dziwnie ją rozpraszał, a miała przed sobą mnóstwo pracy.

Spod opuszczonych rzęs obserwowała, jak zdejmuje kurtkę i dzinsową koszulę. W czarnym golfie i dzinsach podszedł do magazynowej szafy na tyłach pomieszczenia, wyciągnął jakieś pożółkłe gazety i zabrał się do pracy przy urządzeniu, które, jak przypuszczała, było rodzajem skanera. Mimo wielkich dłoni obchodził się z dokumentami z delikatną cierpliwością, która ją zaintrygowała.

- Sporo miałeś z tym do czynienia, co? - zapytała.

Dan kiwnął głową, nie podnosząc wzroku.

- Ale nie jesteś archiwistą?

Kiwnął jeszcze raz.

- W takim razie dlaczego zająłeś się przenoszeniem mikrofilmów do komputera?

Spojrzał na nią. W kontrastowej mieszaninie światła i cienia jego zielone oczy błyszczały jak u kota.

Bo chciałem.

Czemu?

- A czemu cię to interesuje?

Po prostu jestem ciekawa. I nie mów mi, że ciekawość to pierwszy stopień do piekła. Już mi to mówiono i nie zrobiło to na mnie wrażenia.

Linia jego ust odrobinę zmieniła kształt. Uśmiech? Jego twarz była w cieniu, więc Carly nie mogła być pewna.

- Jakoś mnie to nie zaskoczyło - powiedział.

- Wydaje mi się, że niewiele rzeczy cię zaskakuje.

Spojrzał w dymne złoto jej oczu i zrozumiał, że się myliła. Ona go zaskakiwała. Wszyscy inni chodzili wokół niego na palcach, starając się nie tykać tego, co się w nim gnieździło. A ona? Ona szturchała, szczypała i kopała.

- Kiedy miałem trzynaście lat, wybrałem przenoszenie mikrofilmów do komputera jako pracę semestralną - powiedział, znów zaskakując samego siebie. - W tamtych czasach gazeta nie pozwoliłaby mi się zbliżyć do naprawdę starych materiałów, więc zostało jeszcze mnóstwo do zrobienia. - Podniósł i odwrócił kartkę, po czym wcisnął guzik. - Zmodyfikowałem program do skanowania i pracowałem na nim aż do wyjazdu do college'u w wieku osiemnastu lat. Nikt nie potrafił wykombinować, jak działa mój program, więc trzymali się mikrofilmów, a ja wprowadzałem je na dysk, kiedy przyjeżdżałem z wizytą.

Carly spojrzała na potężne bary Dana i pokręciła głową.

- Co? - zapytał.
- Próbuję sobie wyobrazić ciebie jako chuderlawego nastoletniego kujona. I nie dają rady.
- Mięśnie nie zmniejszają IQ.
- Może w twoim przypadku. - Wzruszyła ramionami.
- Masz coś przeciwko mężczyznom, którzy nie są mózgowcami?
- Nie, o ile napompowane mięśnie nie są dla nich jedynym bogiem.
- Ktoś nieźle ci dał w kość.
- Nie. Ktoś mnie zdurzył. To wielka różnica. A potem nie mogłam uwierzyć, że go nie chcę. W końcu musiałam zaserwować palantowi sądowy zakaz przebywania w tym samym miejscu co ja.
- Dawno to było? - spytał.

Choć nawet się nie poruszył, był teraz jakiś inny; bardziej skupiony, czujny - cała swoboda zniknęła.

- Osiem czy dziewięć lat - odparła. - Dawno.

Napięcie w jego ciele zniknęło równie niedostrzegalnie, jak się pojawiło. Odchylił się na krześle i powiedział:

- Najwyraźniej nie dość dawno.
- Co masz na myśli?
- Wciąż boisz się mężczyzn.

Carly nie spodobała się ta uwaga. Ostrożność to nie to samo co strach.

- Nie lubię mężczyzn, którzy nie uznają „nie” za odpowiedź - powiedziała. - A wielkie ówki budzą większy respekt niż idioci mniejszych rozmiarów. Widocznie mam w sobie jakiś gen, który każe mi unikać tych wielkich.
- Zdrowy rozsądek? - rzucił sucho.
- Bingo. Czemu przeszłość zainteresowała cię tak bardzo, że spędzałaś kupę czasu w tej piwnicy, skanując stare papiery i przerabiając mikrofilmy na dane komputerowe?

Przez chwilę myślała, że Dan nie odpowie. On też. Ale zaskoczył ich oboje.

- Wierzyłem, że przeszłość wyjaśnia teraźniejszość - powiedział.
- Bo tak jest.

Wzruszył ramionami.

- Zapisana przeszłość? Raczej nie. Jest spisywana przez zwycięzców, więc raczej pokonanych zostają poza protokołem. A granie w karty połową talii to pewny sposób na przegranie partii.

Rozważając jego słowa, Carly owinęła kosmyk włosów wokół wskazującego palca - nawyk z dzieciństwa, którego nie potrafiła się pozbyć.

- Niezwykle głębokie spostrzeżenie - powiedziała w końcu.
- Gdy ma się trzynastcie lat, być może. Potem się z tego wyrasta. - Wrócił do skanowania starych gazet.

Carly nie mogła się zdecydować, czy chciał obrazić ją osobiście, czy po prostu jest niegrzeczny dla wszystkich.

To nie mój problem, uznała w końcu. Jestem na garnuszku Winifred, a on się nie nazywa Quintrell ani Castillo.

Mimo tej mądrej decyzji usłyszała własne pytanie:

Rozumiesz starohiszpański?

- Tak. - Opuścił klapę skanera i wcisnął guzik.
- Świetnie. Im więcej czytam o pierwotnym nadaniu ziemi dla rodu Oñate, tym mniej rozumiem. Skoro i tak musisz tu być, może zechciałbyś mi pomóc w tłumaczeniu?
- W starych aktach nadania jest mnóstwo spraw niezrozumiałych dla nikogo, niezależnie od języka.
- To znaczy tak czy nie? Jeśli chodzi o to tłumaczenie.
- To znaczy, że spróbuję. Co ci sprawia najwięcej kłopotu?

Przewróciła oczami.

- Możliwe, że to bardziej kwestia kulturowa niż językowa. Ziemia nadana Juanowi Oñate była przekazywana dalej zgodnie z hiszpańskimi regułami dziedziczenia, tak?
- Wszyscy synowie dziedziczyli po równo, a w pewnych okolicznościach dziedziczyły również córki. O to ci chodzi?
- Tak. To mnie dezorientuje, bo w rodzinach, których historię badałam do tej pory, dziedziczenie odbywało się zgodnie z systemem brytyjskim. Najstarszy syn dziedziczył wszystko, a reszta szła do wojska, do seminarium czy gdziekolwiek indziej, bo dostawali kilkaset dolarów i życzenia szerokiej drogi.
- System brytyjski był bardzo skuteczny, jeśli chodzi o zachowanie w całości rodowych majątków i wpływów - rzekł Dan, wyjmując gazetę, obracając ją i kładąc z powrotem na skanerze. - Hiszpański system działał inaczej. Pastwiska i lasy były wspólną własnością wszystkich członków rodziny. Prawa do rzek i nawodnionych terenów dzielono tak, żeby każdy spadkobierca miał źródło wody i pola pod uprawę.
- Wspólne ziemie? Jak u Indian?
- Niezupełnie. - Dan wcisnął guzik skanera. - Indianie, czy to w pueblach, czy żyjący po staremu, z polowania, zbieractwa i napadów, mieli wszystkie ziemie wspólne. Jeśli w ogóle mieli jakieś ziemie. - Ostrożnie odłożył gazetę na bok i podniósł kolejną pożyłką płachtę. - System hiszpański był bardziej

złożony. Główne nadanie dzieliło się na ziemię wspólną i będącą własnością poszczególnych członków rodziny. Ziemię wspólną miały tę samą powierzchnię, a indywidualne posiadłości robiły się coraz mniejsze z każdym pokoleniem.

Rozumiem. Ale co stało się z nadaniami, kiedy kontrola polityczna przeszła z rąk Hiszpanii w ręce Meksyku?

Dan umieścił w skanerze kolejny kruchy arkusz i ostrożnie opuścił klapę.

- Meksykańskie zasady dziedziczenia były takie same jak hiszpańskie, więc stare nadania przeszły nietknięte na kolejne pokolenie, niezależnie od zmiany rządu. Poza wymianą hiszpańskich księży na meksykańskich, czego rezultatem było wyjecie spod prawa katolickiej sekty pokutników. Nowy Meksyk prawie nie zauważył zastąpienia hiszpańskich gubernatorów meksykańskimi. Tak czy inaczej, zanim Meksyk wyparł Hiszpanów w 1821, Nowy Meksyk tak długo był już pograniczem, że uważał się za oddzielny byt.

- Czy skutek lat był taki, że w Nowym Meksyku było coraz więcej rodzin posiadających coraz mniejsze skrawki pierwotnych nadań?

- Tak, z tym że pastwiska i lasy wciąż stanowiły wspólną własność. Wielkie wspólne tereny, małe prywatne działki.

- A co się stało, kiedy Nowy Meksyk stał się częścią Stanów Zjednoczonych?

- Gównem wpadło w wentylator.

Carly uśmiechnęła się cierpko.

- Tyle to sama zrozumiałam, czytając mikrofilmy. Ale dlaczego?

- Z mnóstwa powodów. - Dan mówił, nie przerywając pracy. Tak było łatwiej, niż patrzeć w jej inteligentne orzechowe oczy czy na pełne różowe usta.

Najwyraźniej jego ciało uznało, że jest już w pełni zdrowe i gotowe do dzieła.

- Pod hiszpańskimi i meksykańskimi rządami podatków na ogół unikano - ciągnął. - Zbyt gorliwy poborca kończył pobity, martwy albo wygnany z miasta. Podatki, które zebrano, w większości pozostawały w Nowym Meksyku. W ciągu całej swojej historii Nowy Meksyk był fiskalnym workiem bez dna dla każdego rządu, jaki rościł sobie do niego prawa, aż do czasów współczesnych. Tak to jest z pograniczami. Próby ich kontrolowania to droga impreza.

- Więc pod rządami hiszpańskim i meksykańskim niepłacenie podatków uchodziło płazem?

- Trudno to rozpatrywać wedle współczesnych kategorii.

Carly zamruwała.

- Nie bardzo rozumiem.

- W naszych czasach - wyjaśnił - komunikacja jest błyskawiczna, każda transakcja księgowana, a rząd otrzymuje podatek w tym samym momencie, kiedy pracownik dostaje czek z wypłatą.

- Jasne - odparła. Ale rządy zawsze były w stanie zbierać podatki, niezależnie od stanu komunikacji.

- W miastach i na starych terytoriach tak. Na pograniczach nie. Taka już natura pogranicza, że znajduje się poza nawiasem społeczeństwa, poza kontrolą. A Nowy Meksyk funkcjonował jako pogranicze dłużej niż jakikolwiek inny kawałek amerykańskiej ziemi. Przez trzysta lat był czymś końcem świata, czymś wysypiskiem bandytów, poszukiwaczy przygód, banitów, marzycieli i polityków. - Usta Dana wykrzywił kwaśny grymas. - Kiedy Oppenheimer i jego chłopcy konstruowali atomowy wiek w Alamo, *curanderos* i *brujos* wciąż uprawiali odwieczne praktyki, stosując naturalne narkotyki, jak wilec błękitny, mak i meskalina; narkotyki zdelegalizowane przez kulturę, która nigdy ich nie rozumiała. Pomiędzy oficjalnymi wojnami wciąż dochodziło do nieoficjalnych strzelanin z powodu ziemi i wody. Pokutnicy ciągle nosili ciężkie krzyże i biczowali się do krwi, wstępując w ślady Chrystusa. - Wzruszył ramionami. - Mówi się, że nadal to robią.

Zafascynowana tańcem światła i cienia na kanciastej twarzy Dana, Carly obserwowała jego ruchy, kiedy pracował przy skanerze.

Co powiedziałaś? - zapytała.

Na czas kilku oddechów w pokoju zapanowała cisza. Wreszcie Dan spojrział na nią i powiedział:

- Mówię, że lepiej zostawić to w spokoju. Każdy krok, który oddala cię od miasta Nowy Meksyk, pogrąża cię głębiej w przeszłości. Pogranicza są niebezpieczne. A mądrzy ludzie zostawiają niebezpieczne rzeczy w spokoju, chyba że nic mają wyboru. Ty masz wybór.

Lekko przechyliła głowę. Światło prześlizgnęło się po jej włosach, wydobywając złoto spośród odcieni ciemnej czerwieni i brązu.

- Coś nie tak? spytał, wyczuwając jej napięcie.

- Ty chyba wierzysz, że wiele rzeczy lepiej zostawić w spokoju.

- Śpiące psy i miny przeciwpiechotne - mruknął.

- Co?

- Nic. Rodzinny żart.

- Jakoś nie widzę, żebyś się śmiał.

Dan położył kolejny arkusz na skanerze i dotknął przycisku.

- Kiedy zaczynasz myśleć o Nowym Meksyku jako o wiecznym pograniczu, a nie jak o nowoczesnym stanie, jego historia staje się bardziej zrozumiała.

Carly chciała zaprotestować przeciw zmianie tematu, ale nie zrobiła tego. Była tu, żeby poznać historię konkretnej rodziny, a nie historię tego człowieka. A że wołałaby poszperać w sprawach Dana, a nie Quintrellów, to był już jej problem.

To znaczy? - zapytała.

Dan wzruszył ramionami.

- Puebla są najstarszymi stałe zamieszkiwanymi strukturami w Ameryce, ale nie sajankeskie. Santa Fe ma historię dłuższą niż Stany Zjednoczone, ale ludność w trzech czwartych nie jest jankeska. Jesteśmy stanem zaledwie od trzech pokoleń. Dziadek mojej matki żył na pograniczu, gdzie mężczyźni nosili broń, bo nie było innego prawa. - Wyjął arkusz, odwrócił, położył z powrotem. - Poza Santa Fe i Albuquerque mieszkańcy Nowego Meksyku są o wiele bardziej wrośnięci w tradycję niż większość Amerykanów. Żyją bliżej historii. Kulturowo odgradzeni od sąsiadów.

- Myślałam, że to stan wielkiej wspaniałej mieszanki kulturowej.

Wyprostował się i znów spojrzał jej w twarz. Splótł przed sobą palce obu dłoni.

- Jeśli to nazywasz mieszanką, to jesteśmy przemieszani.

- Więc mówimy raczej o sałatce, a nie o tyglu?

- Pomijając kuchnię i sztukę, Indianie, *Hispanos* i *Anglos* prowadzą osobne życie. Obok siebie, ale nie razem.

Zmarszczyła brwi.

- To dobrze czy źle?

Nie wiem, Carolino May. Po prostu tak jest.

Słyszac swoje nazwisko wypowiedziane jego niskim, rzeczowym głosem, dostała gęsiej skórki.

Próbowała sobie wmówić, że to dlatego, że siedzi w przeciagu.

Ale wiedziała, że tak nie jest.

Rozdział 10

*Rdnco Quintrellów
Poniedziałek, wczesne popołudnie*

Dziękuję, Missy. - Josh sięgnął po kanapkę, którą postawiła przed nim Melissa Moore. - Nie wiedziałem, że już tak późno.

- Dzięki, kotku - powiedział Pete, kiedy żona postawiła przed nim drugi talerzyk. - Byłem taki głodny, że za chwilę napocząłbym którąś z tych skórzanych ksiąg.

Melissa uśmiechnęła się do obu mężczyzn.

- Piwo, herbata, kawa, cola, wino, whisky, woda?

- Kawa - odparli zgodnie.

- Już się robi.

Pete patrzył, jak jego szczupła, ubrana w obcisłe dzinsy żona wychodzi z gabinetu Joshua. Światło połyskiwało na jej jasnych włosach i odbijało się od kolorowych kowbojek. Indiański turkusowy naszyjnik huśtał się na jedwabnej bluzce i pełnych piersiach. Te piersi, jędrny tyłeczek i wielkie ciemne oczy miała po matce.

- Czasami wygląda zupełnie jak Betty - rzucił Pete.

Josh uniósł głowę znad raportu finansowego rancza, podążył wzrokiem za spojrzeniem Pete'a i powiedział:

Chwała Bogu, że nie odziedziczyła zamiłowania Betty do gorzałki i prochów.

Na wąskiej, niemal ascetycznej twarzy Pete'a błysnął uśmiech.

- Nic moja Melissa. Jest mądra i odważna jak mało która dziewczyna.

- Gdyby nie trzymała wszystkiego w garści, już dawno namówiłbym Senatora, żeby sprzedał ranczo i zamieszkał w Santa Fe.

Niemożliwe. Quintrellowie żyli tu od sześciu pokoleń.

Josh pokręcił głową.

- Ten dom to studnia bez dna i wieczny kłopot. A ja uwielbiam Santa Fe i Waszyngton.

- Ale świetnie wygląda pan w siodle i spacerując po polach z myśliwskimi psami. Nie wspominając już o dorocznym barbecue dla sponsorów, z całą tą kulturową mieszanką, fajerwerkami, kostiumami i ubijaniem interesów. Fotografowie wariują, a wyborcy nigdy nie mają dość.

Gubernator wybuchnął śmiechem.

Może ciebie powinienem zrobić szefem mojej kampanii, zamiast Marka Rubina.

- Wielkie dzięki - odparł pospiesznie Pete. - W głębi duszy jestem małomiasteczkowym chłopcem. A Melissa małomiasteczkową dziewczyną.

- I całe szczęście, bo inaczej wygryłaby mnie z urzędu. Ożeniłeś się ze świetnie zorganizowaną kobietą.

Pete wyszczerzył zęby w uśmiechu.

- Prawdziwa hetera.

Melissa przyniosła kawę. Przygotowała taką, jaka obaj lubili, postawiła przed nimi filiżanki i zapytała:

- Czego wam jeszcze potrzeba?
- Więcej zbiorów z mniejszych pól, więcej deszczu nad wszystkimi polami i pokoju na ziemi, skoro już przy tym jesteśmy - powiedział Josh.
- Proszę spróbować w kościele - odparła.
- ~ Chodzę w każdą niedzielę.
- Bóg ma sporo na głowie. - Melissa odgarnęła kosmyk włosów z policzka. - Może powinien pan chodzić dwa razy w tygodniu.

Josh parsknął.

- Ty i ten twój ojciec Roybal.

Jej oczy zwięzły się na mgnienie, ale natychmiast znów się uśmiechnęła.

To nie jest mój ojciec Roybal. Ja jestem metodystką.

Metodyści, katolicy, newageowcy, wszyscy są tacy sami pod jednym względem - stwierdził Josh.

- Duchowym? - podsunął Pete.
- Nie. - Josh postukał w komputerowy wydruk. - Wszyscy chcą moich pieniędzy.

Pete spojrział na listę instytucji dobroczynnych, którą kazał mu przygotować Josh, razem z coroczną kwotą datków Senatora na konto każdej z nich.

- Wszyscy chcą pieniędzy - powiedział. - Nie ma w tym nic nowego.
- Włącznie ze mną - zgodził się Josh. - Kandydowanie na prezydenta jest cholernie drogie, ale żadne z was nie słyszało, że to powiedziałem, zrozumiano?

Pete i Melissa wymienili szybkie spojrzenia.

- Oczywiście - zapewnił Pete.
- Nic, co pan mówi, nigdy nie opuszcza tego domu - dodała Melissa z uśmiechem. - Potrzebujecie jeszcze czegoś?
- Nie - odparł Josh.

Melissa dotknęła ramienia męża i cicho wyszła z pokoju.

Josh był zbyt zajęty czytaniem listy fundacji, by zauważyć, czy wyszła, czy została. Kiedyś, kiedy był młodszy, chętnie spróbowałby się dobrać do tych jej dżinsów. Ale to minęło. Miał na głowie ważniejsze sprawy niż przypadkowy seks. Po ślubie z Anną pozostał przy monogamii. Nie miał z tego frajdy, ale wiedział, że to konieczne, jak jedzenie gumowego kurczaka na tysiącach dobroczynnych bankietów. Polityk, który postawił jedną nogę w Białym Domu, musiał się liczyć z wywlekaniem szczegółów swojego życia seksualnego w wieczornych wiadomościach. Tak, jak żona Cezara, kandydat na prezydenta musiał być bez skazy.

I jeść gumowego kurczaka z uśmiechem.

Jeśli chodzi o te fundacje - powiedział, wpatrując się w listę ze zmarszczonym czołem - uważam, że kilka milionów rocznie to gruba przesada. Co on próbował zrobić, kupić sobie miejsce w niebie? Największe datki zaczęły się, kiedy przekroczył osiemdziesiątkę.

Biorąc pod uwagę ogromne zyski Quintrell Corporation, te kwoty są hojne, ale nie przesadne. Pete starannie dobierał słowa.

- Niech szlag trafi ogromne zyski razem z hojnością.

Pete chciał się sprzeciwić, ale zmienił zdanie.

Jak pan uważa - rzekł. - To teraz pańskie pieniądze.

Josh spojrział na niego twardymi niebieskimi oczami Senatora. Przez chwilę zastanawiał się, czy to jego księgowy jest szantażystą, w końcu jednak uznał, że to mało prawdopodobne. Pete był człowiekiem z zewnątrz; sprawy warte płacenia rozgrywały się tu w czasach, kiedy siedział jeszcze na Florydzie, odkrywając, dlaczego dziewczynom podskakują piersi. Melissa była stąd, ale była córką i wnuczką dziwek i pijaków, którzy nie wybiegali myślą poza następną butelkę i raczej nie byli materiałem na szantażystów.

Z Winifred to zupełnie inna historia. Ta stara suka była o wiele za bystra i cholernie wredna. Jeśli ktokolwiek wiedział, gdzie jest pies pogrzebany, to właśnie ona. I miała mnóstwo powodów, żeby uprzykrzyć życie Senatorowi i jego synowi,

Josh musiał to tylko udowodnić.

Choć z drugiej strony, może Senator miał rację, po prostu płacąc. Nawet jeśli każda instytucja z listy była przykrywką dla szantażu, w końcu to tylko pięć milionów z kawałkiem rocznie.

Ale najpierw chciał się upewnić, że musi płacić.

- Ja mówię o zyskach - powiedział. - Już samo ranczo to fundacja charytatywna. Nie potrzebuję rozdawać milionów głupcom, którzy nie potrafią zbilansować budżetu.
- Jeśli nie będzie pan robił tych wpłat, prawie połowę różnicy i tak pożrą podatki.
- Mimo wszystko da mi to parę milionów, których teraz nie mam.
- Zgoda. Da też panu długą listę najróżniejszych instytucji charytatywnych wypłakujących się przed mediami na skąpstwo syna Senatora, tego, co chce zostać prezydentem.
- To szantaż.
- A czym jest opinia publiczna, jeśli nic rodzajem szantażu? Czy będzie pan płacić czy nie, to pański wybór. Niektórzy płacą. Inni nie. Ci, którzy chcą być prezydentami...

- Płacą - dokończył gorzko Josh.
- Księgowy wzruszył ramionami. Jego nowy pracodawca wyglądał na mocno wkurzonego. Zły znak.
- No dobrze powiedział po chwili. - Które fundacje chce pan skreślić z listy? Tą, która dostarcza kurczaki i lamy biednym rodzinom z Ameryki Południowej, czy tę, która otworzyła ośrodek szczepień i opieki prenatalnej w Afryce. A może sierociniec dla dzieci z AIDS...
- Zamknij się, Pete.
- Pete się zamknął.
- Josh napił się kawy i pomyślał o tym, jakie ma możliwości.
- Tylko jedna prowadziła do Białego Domu.
- Płać dalej - powiedział w końcu.
- Pete skinął głową i zanotował.
- Ale kiedy będziesz płacił - dodał Josh - masz prześwietlić każdą instytucję, której Senator robił darowizny od 1990.
- Pete zawahał się.
- Prześwietlić? Myśli pan, że coś jest nie tak?
- Dane fundacji są upubliczniane. Sprawdź, które z nich przekazywały większość pieniędzy potrzebującym, a które fundowały bogatym urzędnikom i darczyńcom wakacje w luksusowych kurortach,
- Pete skinął głową.
- Kapuję. Jeśli skreśli pan z listy niektóre darowizny, będzie pan mógł podać dziennikarzom powód.
- Josh posłał mu uśmiech starego frontowca.
- Coś w tym rodzaju.

Rozdział 11

Taos

Poniedziałek, popołudnie

Carly zaburczało w brzuchu.
Dwa razy.

Dan spojrzął na nią.

- Potrzebujesz przerwy na lunch?

Miała nadzieję, że się nie zaczerwieniła, ale marne były na to szanse.

- Biorąc pod uwagę, że moje śniadanie składało się z proteinowego batonika wygrzebanego z dna torebki sześć godzin temu... tak, muszę zjeść lunch.

Wyraz zaskoczenia pojawił się na twarzy Dana i zniknął tak szybko, że Carly nie była pewna, czyjej się nie wydawało.

- Dziwne - powiedział Dan, zdejmując arkusz ze skanera. - Senator słynie z gościnności.

- Senator nie żyje. - Carly skrzywiła się. Nie chciała, żeby zabrzmiało to w ten sposób. - To znaczy, było takie zamieszanie z pogrzebem i w ogóle, że... - Machnęła ręką, żałując, że nie ugryzła się w język.

- Rozumiem.

I rozumiał. Najwyraźniej nie był jedynym człowiekiem w mieście, który nie chciał, żeby ktoś rozkopywał przeszłość. Był ciekaw, czy ten ktoś będzie tylko uciążliwy, czy też zanoszą się na coś gorszego.

A biorąc wszystko pod uwagę, stawiał na coś gorszego.

- Możesz mi polecić jakąś miejscową knajpę? - zapytała Carly.

Nim zdążył odpowiedzieć, ktoś zapukał do drzwi i zawołał:

- Dan?! Jesteś tam?!

- Zaraz wyjdę, tato. - Dan spojrzął na Carly. - Zbieraj swoje rzeczy. Spotkamy się tu za godzinę, okej?

Żołądek Carly znów zamruczał.

- Czy to było słowo? spytał Dan.

- Tak.

Kąciki jego ust podjechały do góry. Im bardziej się starał jej nie polubić, tym lepiej rozumiał, że sam się oszukuje. Po prostu będąc sobą, przenikała przez jego mur obronny. A on wciąż nie wiedział, czy go to cieszy, czy złości. Ale z całą pewnością wzbudzało w nim niepokój.

Kiedy zakładał koszulę i kurtkę, Carly wzięła swój płaszcz i laptopa. Sprawdziła, czy dyktafon nie potrzebuje podładowania, i dogoniła Dana u stóp schodów.

- Jeśli pójdziesz pierwszy, nie dam rady cię złapać - powiedziała.

- Zaryzykuję. Drzwi wyglądają na bylcjaki, ale są bardzo ciężkie. Miałybyś problem z otwarciem ich.

- Panowie przodem - rzuciła, poganiając go gestem.

Po chwili poczuła zimny prąd powietrza. Wbiegła na schody i zderzyła się z solidnym ciałem. Ręce wysunęły się, żeby ją przytrzymać.

Rety, Dan - powiedziała w jego kurtkę. - Przestraszyłeś mnie. Myślałam, że trzymasz drzwi.

- Bo trzyma odparł głos, nie tak głęboki jak głos Dana.

Spojrzała w górę. Mężczyzna miał szpakowate włosy, był kilka centymetrów niższy od Dana, a w jego orzechowych oczach przebłyskiwała żywa zieleń.

- Pan Duran? spytała. - Ojciec Dana?

Tak, ale mów mi John. Ty zapewne jesteś tą przyjezdną, której włosy były jedyną kolorową plamą przy grobie Senatora.

Carly odgarnęła do tyłu niesforne loki.

- Miałam nadzieję, że nikt tego nie zauważy.

Wątpię, żeby oni zauważyli - wtrącił Dan. - Carolino May, poznaj mojego ojca,

- Lepiej znany jako Tata - dodał John ze śmiertelnie poważną miną.

- A ja jestem lepiej znana jako Carly. Właśnie pytałam Dana, gdzie można tu zjeść lunch.

- A on zamierzał cię zabrać do Chez Duran zgadywał John.

Carly otworzyła usta.

Dan ją uprzedził.

- Prawdę mówiąc, chciałem polecić bistro u Josepha.

- Diana stłukłaby cię na kwaśne jabłko, gdybyś wysłał piękną panią na obiad gdzie indziej. A zwłaszcza samą.

- Tato... - zaczął Dan.

Ton jego głosu uskrzydlił język Carly.

- Dziękuję, ale naprawdę nie trzeba. Dan był ze mną uwięziony w piwnicy. Musiał mnie niańczyć, kiedy przeglądałam gazetowe archiwum. Nie śmiałabym dłużej mu się narzucać. - Spojrzała na zegarek, potem na Dana. - Spotykamy się tu piętnaście po drugiej, zgadza się?

- Nic - powiedział John, przytrzymując ją stanowczo na miejscu. Posłał synowi chłodne spojrzenie. - Uwięziony z piękną kobietą? Pani mu się narzuca? Co za bzdury.

- Gus nie miał nikogo wolnego - wyjaśnił Dan.

- Więc zgłosiłeś się na ochotnika?

- Niezupełnie.

John pokręcił głową z dezaprobatą.

- Przeżyjemy bez twojego uśmiechu. Ale brak manier? Ani ja, ani twoja matka nie pozwolimy na to. - Odwrócił się do Carly i uśmiechnął łagodnie.

- Lubi pani nowomeksykańską kuchnię?

- Dziękuję, ale nie jestem głodna. Zaburczało jej w brzuchu,

- Do diabła - rzucił Dan z niesmakiem. - Zabierz ją do domu i nakarm. Ja mam trochę roboty w Internecie. - Spojrzał na Carly. - Za godzinę.

- Jakiej roboty? - spytał John. - Myślałem, że masz wolne.

Dan odszedł bez odpowiedzi. Im mniej ojciec wiedział o powodach jego pobytu w Taos, tym lepiej. Żaden pracownik St. Kilda nie miewał tak naprawdę wolnego.

Kiedy John otworzył drzwi swojego domu i delikatnie popchnął Carly do środka, wciąż usiłowała znaleźć powody, dla których nie powinna iść do Duranów.

- Diana? Mam dla ciebie prezent! - zawołał John.

Carly stłumiła jęk. Żadna gospodyni nie uważa niespodziewanego gościa za prezent.

- Dawaj go tu - odpowiedział kobiecie głos.

John przeprowadził Carly przez przytulny salon. Na ścianach pokoju wisiały szkolne zdjęcia uśmiechniętych dzieci. Stolik pełen był fotografii młodszych maluchów. Poszukała wzrokiem zdjęć starszych pokoleń, ale nie znalazła ani jednej.

Dziwne. Większość ludzi trzyma wszystkie rodzinne zdjęcia w jednym miejscu.

Ale ta myśl uleciała, kiedy Carly weszła do kuchni. W powietrzu unosiły się zapachy jedzenia, od których jej żołądek miał ochotę zawyć. Kilka garnków perkotało na płycie małego pieca, który służył również do ogrzewania pomieszczenia. Stara kuchnia gazowa stała naprzeciwko lodówki i wielkiego zlewu. Sądząc po zbiorniku widocznym na tyłach domu, została przerebiona na propan. Ciężkie wysłużone garnki i patelnie wisiały pod sufitem, w pobliżu wielkiego rzeźnickiego pniaka, tak starego, że jego powierzchnia była lekko wklęsła. Między naczyniami powieszono sznury papryk w różnych kolorach i rozmiarach na przemian z warkoczami cebuli. Zza wielkiej patelni wyglądały mniejsze warkoczki czosnku, składnika dość rzadko kojarzonego z tradycyjną kuchnią południowego zachodu.

Carly wciągnęła głęboko powietrze.

- Wspaniała kuchnia.

- To moje ulubione pomieszczenie w domu - powiedział John. - Kiedyś była również ulubionym miejscem Dana, ale teraz niewiele rzeczy sprawia mu przyjemność.

Nim zdążyła zapytać, co się stało Danowi, John zaprosił ją gestem do małej oszklonej cieplarni tuż obok kuchni. Przyjemnie zaokrąglona kobieta w dżinsach i męskiej koszuli pielęła rządki za rządkiem małych roślinek. Jej krótkie włosy były czarne, ze zdumiewającym kosmykiem srebra na lewej skroni.

- Umyj ręce, skarbie - powiedział John. - Chcę ci przedstawić Carly May,

Przez chwilę Carly wydawało się, że ciało kobiety zeszywniało z napięcia.
- *Momentito* - powiedziała Diana, tak miękko, że niemal niedosłyszała. Umyła i wysuszyła ręce, z rozmysłem stojąc tyłem do gościa.

Carly miała ochotę wsiąknąć w szpary starej drewnianej podłogi.

W końcu Diana odwróciła się. Zmarszczki na jej twarzy dowodziły, że miała dość lat, by być babcią. Cień w oczach mówił, że jej życie nie było łatwe. Ale gdy Diana, oszacowawszy wzrokiem obcą kobietę w swojej kuchni, uśmiechnęła się, ten uśmiech przemienił ją z ponurej, nadaśanej istoty w prawdziwą piękność.

Już wiem, po kim Dan odziedziczył urodę, pomyślała Carly, odruchowo wyciągając rękę, kiedy John przedstawiał ją żonie. Ale ten uśmiech... rany. Można by nim podpalić lodowiec. Była ciekawa, czy Dan odziedziczył ten uśmiech razem z kamacją.

Ciekawe, czego trzeba, żeby się o tym przekonać.

- Ma pani fantastyczną kuchnię - powiedziała. - Zawsze chciałam taką mieć. Jest taka ciepła i przytulna.

- Pani jest bardzo miła - odparła Diana. Jej głos był stłumiony, przepełniony trzymanymi na wodzy emocjami.

Głos Dana jest równie pełen uczuć jak Diany, a za ich uśmiech można by się dać zabić. Carly niemal westchnęła. To musi być miłe patrzeć na kogoś i widzieć samego siebie jak w lustrze.

Na ułamek sekundy wróciło dobrze znane uczucie, że jest jakby niekompletna. Odsunęła je, powtarzając sobie, że wielu ludzi nie zna swoich rodziców i mimo to świetnie sobie radzą.

- Przepraszam, że się narzucam - powiedziała ale pani mąż, cóż, nie chciał mnie słuchać.

Oczy Diany złagodniały, kiedy spojrzała na Johna.

- To istny buldożer, ale naprawdę dobry człowiek. I nie gniewam się, kiedy przyprowadza do domu kogoś interesującego.

Carly westchnęła.

- Ja jestem bardzo pospolita.

Diana pokręciła głową i odparła:

- Nie, pani May. Inteligencja nigdy nie jest pospolita.

Burczenie żołądka dało się słyszeć jednocześnie ze słowami:

- Proszę mi mówić Carly.

- Ona umiera z głodu - powiedział John. - A Dan chciał ją wysłać do Josepha.

- To świetny lokal przyznała Diana- ale moja kuchnia jest mniej zatłoczona. Usiądź, Carly. Zjesz *carnitas* i fasolkę?

- Nie zjem. Pożrę.

Śmiech Diany był równie niewiarygodny jak jej uśmiech. Pocałowała męża w policzek.

- Dzięki, że ją przyprowadziłeś. A teraz dajmy biednej dziewczynie coś do jedzenia.

Uśmiechnięty szeroko John podgrzał kolorowy talerz, nałożył nań *carnitas*, fasolkę i parujące świeże tortille i postawił na stole przed Carly. Diana postawiła obok miskę zieleniny i polała ją ziołowym sosem domowej roboty.

Carly spojrzała na pachnące jedzenie i ślinka napłynęła jej do ust.

- Jedz - powiedziała Diana. Później będzie dość czasu na pytania.

Carly jadła więc i słuchała, jak John i Diana rozmawiają o indiańskich dzieciach z Taos Pueblo: które z nich uczą się dobrze, a które nie, i jak dotrzeć do tych, które nie chcą się uczyć. Rozmowa była zwyczajna, jak to w nauczycielskim domu, zażyłość męża i żony niezwykła i głęboka, ajedzenie wprost niesamowite.

Leniwe ciepło kuchni Nowego Meksyku rozplątywało się po ciele Carly. Z rozmowy wyniosowała, że Diana urodziła się i wyrosła w Taos, a John nie. Diana znała rodziców i dziadków dzieci, z którymi pracowała. Czasami nawet pradziadków. John czuł się tu jak u siebie, ale nie spędził tu całego życia. Mąż i żona dzielili się rodzicielską troską o dorosłe dzieci i razem cieszyli się z wnuków, które bardzo kochali.

Carly kilka razy próbowała skłonić Dianę do rozmowy o Taos z czasów jej dzieciństwa i z czasów dzieciństwa jej rodziców i dziadków. Ta jednak delikatnie zbywała pytania, zachęcała Carly do jedzenia i zapewniała, że na rozmowę będzie czas później.

Sięgając po trzecią tortillę, Carly powiedziała sobie, że nie jest głodna, ale i tak nałożyła do niej *carnitas*. Jeśli chodziło o posiłki na ranczu Quintrelłów, była zdana na siebie. Jediną osobą zadowoloną z jej obecności była Winifred, a ona nie czuła się w tej chwili najlepiej.

Carly rozkoszowała się więc lunchem, układając w głowie pytania, które później zada Dianie, i z przyjemnością słuchając pogawędki małżonków, którym przebywanie ze sobą sprawiało prawdziwą radość.

Dopiero kiedy John wyjaśnił jej, jak trafić z powrotem do budynku archiwum, zrozumiała, że mimo wielokrotnych obietnic nie będzie już miała okazji wypytać Diany o Taos jej dzieciństwa.

Jadąc do miasta, myślała o tym, co zostało powiedziane, a co przemilczane podczas lunchu. Większość ludzi chemie mówi o sobie. Diana Duran do nich nie należała, co wzbudziło ciekawość Carly.

Czyżby była adoptowana, jak ja? To dlatego unika rozmowy o rodzicach?

Zaparkowała w bocznej uliczce i przeszła przez stary budynek mieszczący redakcję gazety, wciąż rozmyślając o Dianie. Była ciekawa, czy Dan zechce rozmawiać o dzieciństwie swojej matki, czy zignoruje ją tak jak Diana. Ze zmarszczonymi brwiami przecięła zachwaszczony dziedziniec, nie zauważając mężczyzny, który czekał na nią po drugiej stronie.

Dan patrzył, jak Carly zbliża się do starego budynku. Jej krok był pełen gracji, twarz zatroskana. Zastanawiał się, co poszło nie tak podczas lunchu.

Do diabła, tato. Dlaczego musiałeś zaprosić do domu kobietę, która wściubia nos w nie swoje sprawy?

Nawet w sprzyjających okolicznościach jego matka nie była wylewna; nie rozmawiała z ludźmi spoza rodziny, chyba że mieli mniej niż sześć lat. Z dziećmi była zupełnie inna: roześmiana i przejrzysta jak szkło.

- Niestrawność? - zapytał cicho.

- Co? Carly podskoczyła przestraszona. O mała na niego nie weszła. - Nie, jedzenie było bajeczne. Tylko się... zamyśliłam.

- I zmarszczyłam brwi.

- Przyganiał kociół garnkowi - mruknęła cicho, żeby nie mógł usłyszeć, Ale usłyszał.

- Masz salsę na ustach.

Odruchowo oblizała wargi. Nagrodą był korzenny smak.

- Mniam, twoja mama umie gotować. Nauczyła się tego od swojej matki?

- Nie.

Każdemu obdarzonemu choć odrobiną wrażliwości ton Dana wystarczyłoby, żeby zamknąć ten wątek.

Carly zirytowała się. Zarabiała na życie, zadając pytania o przeszłość, i była naprawdę zmęczona kłodami rzucanymi jej pod nogi w teraźniejszości. Zwłaszcza przez Daniela Durana.

- Więc jej ojciec lubił gotować?

- Nie.

- Babcia? Dziadek? Ciotki, wujkowie, elfy?

Dan był ciekaw, czy jakimś cudem się dowiedziała.

- A co cię to obchodzi? Moja matka nic należy do projektu Winifred.

- Masz rację - przyznała Carly. Ale jej kuchnia wygląda, jakby była przekazywana z pokolenia na pokolenie. Mimo to na ścianach nie było żadnych zdjęć rodziców czy dziadków. Dzieci owszem, cały salon jest pełen szkolnych zdjęć. Są nawet jakieś małe szkraby.

- Rodzice sami urządzili kuchnię sprzętami z wymiany i wyprzedazy. Tata zbudował na tyłach szklarnię, a w dwóch pokojach sypiali chłopcy i dziewczyny.

Było ciasno, ale o wiele lepiej niż w miejscach, z których przychodziły do nas te dzieciaki. Nikt nie krzyczał, nikt nie bił, nikt nie zażywał narkotyków ani nie molestował. - Usta Dana wykrzywiły się, kiedy się wzdygnęła. - Widzisz, Pani Wścibska, nie każdy ma rodzinę, którą chciałby pamiętać i uwiecznić.

- Chcesz powiedzieć, że twoja matka też?

- Zapytaj ją.

- Chciałam.

- I co?

I nie mogłam powiedzieć słowa na ten temat, nie będąc niegrzeczną.

- To jest twoja odpowiedź - rzucił.

- Co?

- Bardzo uprzejmy sposób powiedzenia ci „nie twój interes”.

Rozdział 12

*Ranczo Quintrellów
Poniedziałek, wieczór*

Dan zaparkował furgonetkę na tyłach domu Quintrellów, wysiadł i zatrzasnął drzwiczki. Dźwięk rozległ się w ciemności jak strzał. Psy zaszczekały, ale nie przybiegły. Powietrze było czyste i ostre, jak lodowate ostrze wbijające się w nozdrza. Dan odetchnął głęboko, rozkoszując się chwilą. Śnieg wirował wokół jego głowy i delikatnie kłuł go w policzki.

Było to zupełne przeciwieństwo przytulnego, zawalonego zabawkami domu Gusa, ogrzanego miłością i pachnącego kurczakiem z czosnkiem, którego Dan przygotował dla rodziny Salvadorów. Sałatkę przyrządziła Diana. Były w niej najróżniejsze ziołowe medykamenty pomagające zwalczyć grype-

Zwykle sama dostarczała swoje przesyłki albo robił to dla niej John, ale dziś Dan zgłosił się na ochotnika - choć połowa przesyłek miała pojechać na ranczo Quintrellów. Jego gotowość, by jechać wiele mil po złej drodze w zimny wieczór zaskoczyła wszystkich, włącznie z nim samym. Tak jak z pogrzebem Senatora, sam nie wiedział, dlaczego to zrobił.

Może pierwsza pełnia po równonocy sprawiła, że go nosiło i nie był w stanie wysiedzieć ani w małym domu, który wynajął na skraju miasta, ani w ciepłej kuchni rodziców, ani w sympatycznym chaosie domu Gusa. Za budynkami

ciągnęły się pastwiska rozświetlone śniegiem i księżycem, ciemne płoty i cienie drzew, gdzie myśliwi czaili się w zasadzce. Dan zawsze czuł potrzebę obcowania z żywą nocą i nigdy nie zastanawiał się, dlaczego.

Ale nawet teraz, otoczony mrokiem, był niespokojny.

Kiedy szedł w kierunku kuchennych drzwi, aromat suszonych ziół, które niósł ze sobą, łaskotał go w nos, przywołując wspomnienia wędrowek z matką w beznieżnych miesiącach - wypraw po rośliny i nasiona, kiełki, korzenie i liście. Niektóre stosowało się świeże, inne jako herbatki i nalewki. Jedne suszyło się, mieszało i ubijało w moździerz z najróżniejszymi tłuszczami, by uzyskać balsamy, takie jak ten, który teraz ciążył mu w lewej kieszeni. Inne były starannie pakowane i przechowywane do późniejszego użytku.

Nigdy nie pytał matki o źródło niezliczonych recept pozwalających złagodzić ból codziennego życia ludzi, którzy byli zbyt biedni, by pozwolić sobie na jankeskich doktorów i pigułki, lub zwyczajnie nie chcieli korzystać z ich pomocy. Nie pytał pewnie dlatego, że już w wieku sześciu lat wiedział, że matka bardziej ceni sobie milczenie niż gadaninę.

Nieznamy mężczyzna otworzył tylne drzwi w odpowiedzi na pukanie. Sposób, w jaki się poruszał i zmierzył Dana wzrokiem, mówił wyraźnie, że to jeden z dyskretnych ochroniarzy, którzy mają trzymać świrów z daleka od gubernatora Nowego Meksyku. To zaledwie część ceny, jaką się płaci za bycie osobą publiczną.

- Nazywam się Dan Duran. Panna Winifred mnie oczekuje.
- Jestem nowy - powiedział mężczyzna - więc jeśli nie ma pan nic przeciwko temu, chciałbym zobaczyć jakiś dokument ze zdjęciem.

Miękki akcent z Georgii nie zwiódł Dana; miał do wyboru pokazać dokumenty albo stać na dworze, aż zamieni się w sople lodu. A gdyby chciał się wykłócać, tuż za drzwiami stał jeszcze jeden ochroniarz i obserwował sytuację.

- Nie ma sprawy. - Dan wyciągnął portfel i pokazał prawo jazdy.

Strażnik porównał jego twarz ze zdjęciem, kiwnął głową i odsunął się na bok.

- Proszę się schować przed zimmem. Kucharka zostawiła trochę kawy, jeśli jest pan zainteresowany.

Kombinacja rzeczowego profesjonalizmu, południowo-zachodniej gościnności i południowego akcentu zmusiła Dana do uśmiechu.

- Dzięki, ale chcę złapać pannę Winifred, zanim się położy. Słyszałem, że jest chora.

- Zna pan drogę?

- Jest u siostry?
- Tak.
- W takim razie znam drogę.

Dan przeszedł przez kuchnię, która mogłaby obsłużyć średniej wielkości restaurację. Na ranczu zawsze chętnie goszczono popleczników, reporterów, kolegów-polityków i w ogóle każdego, do kogo zalecano się akurat w sprawie głosów lub pieniędzy. Dom był albo prawie całkiem pusty, albo pękał w szwach, a zmiany zachodziły praktycznie bez ostrzeżenia. Ludzie z miasta, obserwując lądujące i startujące śmigłowce, zawsze wiedzieli, kiedy na ranczu Senatora - a teraz gubernatora - coś się działo.

Dziś kuchnia wyglądała tak, jakby przygotowano w niej tylko kawę i lekką kolację dla rodziny. Dan był ciekaw, czy Carly się na nią załapała, czy zadowolili się batonikiem wygrzebanym z dna wielkiej torebki.

Prędzej czy później zrozumie, że nikt oprócz Winifred nie chce jej tutaj.

Miał nadzieję, że nastąpi to, zanim ktoś się wkurzy na tyle, by zrobić krzywdę tej ślicznej kobiecie o świetlistych oczach.

Choć upłynęło wiele lat, odkąd ostatni raz był w tym domu, nie zapomniał korytarzy i drzwi prowadzących z kuchni do apartamentu panny Winifred. Nie spotkał nikogo po drodze. Melissa i Pete pewnie poszli już do swojego mieszkania, a pokojówki wróciły do domów. Latem służba i wynajęci robotnicy mieszkali w baraku albo w przyczepach kempingowych schowanych między drzewami na stoku wzgórza. W zimie kwatery były puste.

Kiedy Dan był młodszy, spędzał lato, opiekując się owcami i byłem na ranczu i ucząc się polować z braćmi Snead, którzy, choć zaledwie dziesięć lat starsi od niego, byli świetnymi nauczycielami. Tak jak ich matka i dziadek, byli „wilczarzami”, najmowanymi po to, by trzymać pod kontrolą pogłowie drapieżników. Teraz Jim zarabiał na życie w górach, a Blaine siedział w więzieniu za napad z bronią w rękę.

Dawno i nieprawda. Ale, do diabła, te chłopaki potrafiły strzelać.

W każdym razie Danowi wydawało się, że to dawne czasy, dopóki nie zobaczył wczoraj śladów na grani Castillo. Śladów człowieka i psa. Nie był pewny, kto chciałby przejść tyle kilometrów, by patrzeć z daleka, jak Senator idzie do ziemi, ale wiedział, że tylko znakomity traper potrafiłby się do niego zbliżyć na czterdzieści metrów, nie zdradzając swojej obecności. A że Jim Snead był najlepszym traperem w Nowym Meksyku, rozumiało się samo przez się, że to on zostawił ślady.

Ciekawe, dlaczego się nie przywitał.

I czemu w ogóle tam był.

Może właśnie dlatego się nie pokazał. Nie chciał odpowiadać na pytania.

Dan zapukał w szerokie dwuskrzydłowe drzwi, które wstawiono, by mogło przez nie przejechać szerokie szpitalne łóżko. Podczas ciepłych miesięcy Winifred wywoziła siostrę na dwór. Czy Sylvii sprawiało to jakąś różnicę, wiedziała tylko ona sama.

- Kto tam?

- Dan Duran.

Drzwi otworzyły się powoli. Czarne oczy Winifred zmierzyły Dana od stóp do głów.

Słyszałam, że wróciłeś. I że cię dopadli.

- Mały wypadek.

Burknęła pod nosem, dając do zrozumienia, że mu nic wierzy, ale odsunęła się na bok.

- Wejdz.

Od gorąca panującego w pokoju Danowi spotniały plecy. Omiótł wzrokiem pomieszczenie, nie przegapiając niczego, włącznie z zaskoczoną Carly, siedzącą na podłodze w otoczeniu zdjęć różnej wielkości, starszych i nowszych. Skinał jej głowę.

Nie podobało mu się odkrycie, że jechał czterdzieści minut po zamrzniętych wybojach, bo miał nadzieję spojrzeć jeszcze raz w dymnozłote oczy tej wścibskiej dziewczyny.

Świetnie pani wygląda, panno Winifred - skłamał. Była zmęczona, blada i wychudzona bardziej niż zwykle.

- Żałuję, że nie mogę powiedzieć tego samego o tobie. - Mimo szorstkich słów Winifred uśmiechnęła się. - Miałam nadzieję, że wpadniesz odwiedzić staruszkę. I nareszcie sobie przypomniałeś o manierach. Najwyższa pora.

Dan pokręcił głową.

- Nie zmieniła się pani ani trochę.

Zaśmiała się krótko.

- A czego się spodziewałeś, cudu? Bóg ma lepsze rzeczy do roboty, niż mnie zmieniać. Uściskaj mnie, to ci wybaczę, że tak długo zwlekałeś z odwiedzinami.

Dan ostrożnie uściskał kobietę, która miała dość lat, by być jego babką, i była dość twarda, by być siostrą szatana. Winifred składała się ze ścięgien, kości i determinacji. Zdał sobie sprawę, że za nią tęsknił, i zdumiała go ta myśl. Tak jak bracia Snead i ciepło matczynej kuchni, Winifred była częścią jego dzieciństwa, które dopiero teraz zaczął doceniać, zamiast traktować jak zrozumiałe samo przez się.

- Jak się miewa pani Quintrell? - spytał.

- Zimy są dla niej ciężkie - odparła Winifred, spoglądając w stronę łóżka.

Dan skinał głową, jakby i on uważał, że Sylvia zauważa zmiany pór roku za oknem. Ale skoro zmieniające się pory roku wpływały na Winifred, musiały mieć wpływ również na Sylvię.

Dan nie był pewien, w co tak naprawdę Winifred wierzy w głębi swojego zamkniętego umysłu, ale wiedział, że te przekonania pozwalają jej stawiać czoło kolejnym dniom i troszczyć się o siostrę, dla której już dawno skończyły się wszystkie troski w tym życiu.

- Co mi przysłała twoja matka? - spytała Winifred.

- Jestem posłańcem, nie zielarzem - odparł Dan. - Wiem tylko, że paczka z czerwoną tasiemką jest na gorączkę i kaszel. Mama powiedziała, że będzie pani jej potrzebować, jeśli złapie pani grypę, która idzie przez dolinę.

- Zobaczmy, co tu masz - mruknęła Winifred, tłumiąc kaszel. - Nie mogę sobie pozwolić na chorobę. Sylvia mnie potrzebuje. Beze mnie umrze.

Miała rację. Nic innego nie trzymało Sylvii przy życiu.

Dan zaczął wyciągać papierowe paczuski z kieszeni kurtki. Za nimi pojawiło się kilka małych pojemników z wypalanej gliny, a na koniec jeden większy. W końcu kieszenie były puste. Dan zdjął kurtkę i przewiesił ją przez ramię. Pokój był za bardzo nagrany jak dla zdrowego człowieka.

Co wyjaśniało, dlaczego Carly miała na sobie tylko luźną koszulkę i dżinasy, była bosa, a na jej czole perlił się pot. Jej stopy były wąskie, wysoko sklepione. Jasnoczerwone paznokcie wprowadzały buntowniczy akcent. Po wewnętrznej stronie prawej kostki miała wytatuowany jakiś celtycki znak. Dan był ciekaw, co to za wzór i czy w dotyku i smaku różniłby się od reszty skóry.

Odsunął od siebie tę myśl i wrócił wzrokiem do Winifred. Staruszka podnosiła kolejno każdą paczuszkę i pojemnik, wachwała i kiwała głową z aprobatą.

Nikt się nie może równać z twoją matką - powiedziała. - Może z wyjątkiem mojej prababki, a szeptano o niej, że zaprzedała duszę diabłu.

Dan zobaczył, że Carly wstała cicho z podłogi i stanęła w pobliżu; na tyle blisko, by słyszeć jego rozmowę z Winifred.

Założę się, że nagrywa każde słowo.

Próbował się na nią rozzłościć, ale jej perfumy pachniały lepiej niż cokolwiek innego w tym pokoju.

Niewinność i korzenie. Piekielna kombinacja.

- Nie będę paniom przeszkadzał - powiedział. Jak już mówiłem, jestem tylko posłańcem.

Winifred roześmiała się ochryple.

- Zostań, gdzie jesteś, i pozwól mi się na siebie napatrzeć. Myślałam, że tym razem straciliśmy cię na dobre.

To był tylko wypadek podczas wspinaczki - wyjaśnił Dan. - Wulkany bywają zdradliwe.

Winifred parsknęła i posłała mu spojrzenie mówiące, że wie, co się naprawdę stało. Skądś, jakimś cudem, wiedziała.

Pewnie przez rodzinę Sandovalów, uznał Dan. Z plotek przemytników. Dilerów. *Curanderos*.

Cholera. Ja naprawdę, miałem nadzieję, że to nie była robota Sandovalów. Ale wiedział, że była.

Właśnie dlatego był na „urlopie” w Nowym Meksyku, gdzie od trzystu lat mężczyźni z rodziny Sandovalów zachowywali się jak diabły wcielone, a kobiety były cierpliwymi świętymi.

Winifred kiwnęła głową i zwróciła się na powrót do Carly.

Wiadomość dostarczona, pomyślał Dan. Szkoda, że nie jestem pewien, po której stronie prawa żyje Winifred.

- Rozmawialiśmy o moich wspomnieniach z dzieciństwa - powiedziała starszka.

- Tak - potwierdziła gorliwie Carly.

- Oboje moi dziadkowie byli Castillo. - Mówiąc, nie przerywała sortowania ziół, wywarów i balsamów, które przyniósł Dan. - Nie byli na tyle bliskimi krewnymi, żeby Kościół sprzeciwiał się małżeństwu, ale nie na tyle dalekimi, by jeszcze bardziej podzielić ziemię Onate. Babka umarła, wydając na świat pierwsze dziecko, moją matkę Marię. Maria miała czternaście lat, kiedy wyszła za niebieskookiego jankeskiego bandytę. Oczywiście nie myślałyśmy w ten sposób o naszym ojcu: bandyta. Hale Simmons miał za sobą długą linię mężczyzn, którzy przegrywali jedną wojnę po drugiej, czy to secesyjną, czy dawniejsze wojny w Szkocji. Tacy jak on nie mieli wielkiego poważania dla rządów, które zabierały to, co człowiek zarobił.

Usta Dana wykrzywiły się sarkastycznie. Niewiele się zmieniło. I niewiele zmieni. Prawo sprzyjało tym, którzy byli u władzy, a bezprawie tym, którzy żadnej władzy nie mieli. Dobro i praworządność ginęły, zmielone między prawem i bezprawiem. Ludzie, którzy próbowali to zmienić, budzili się posiekani kulami.

Jeśli w ogóle się budzili.

- Castillo nie przestrzegali żadnych praw, których nie musieli przestrzegać. Tak to już było w Nowym Meksyku, gdzie żaden rząd tak naprawdę nie umiał wziąć w garść ludności z wiejskich terenów - ciągnęła Winifred. - Wszyscy myślą, że teraz jest inaczej. Nie jest. - Podała Carly kopertę.

Prosiłaś o zdjęcia Sylvii. Masz tu kilka ze szkoły, ze ślubu, urodzin i świąt. Ostatnie zdjęcia, te ze mną w ogrodzie, są z sześćdziesiątego czwartego roku. Na dobre wróciłam na rancho rok później, kiedy Sylvia dostała wylewu. Senator chciał ją umieścić w domu opieki, ale powiedziałam mu, że może o tym zapomnieć. Potrzebował głosów Sandovalów do reelekcji, a ja dopilnowałabym, żeby je stracił, gdyby Sylvia nic została na ranchu.

Dan cieszył się, że od wczesnej młodości potrafił zachowywać pokerową twarz. Zawsze był ciekaw, dlaczego Senator nie zostawił swojej beznadziejnie chorej żony. Teraz już wiedział.

A teraz zastanawiał się, jak głębokie były tak naprawdę powiązania Winifred z Sandovalami.

- Miała pani taką możliwość? - spytała Carly.

- Tak. - Winifred spojrzała na Dana. Rodziny Castillo i Sandovalów od trzystu lat łączyły się przez małżeństwa. Dwie siostry mojego ojca wyszły za Sandovalów. Jedna za Sandovala z Meksyku. Druga za Sandovala z Kolumbii. Za nic mieli jankeskie prawa. Ich synowie, córki i wnuki myślą tak samo. Pamiętają czasy, kiedy mak i peyotl, wilec i liście koki były legalne, kiedy były lekarstwami *curanderos*. Pamiętają czasy, kiedy chodzili z podniesioną głową, a *Angłos* byli zwykłymi kombinatorami i przybłędami.

- To było dawno temu - powiedział cicho Dan.

- Nie dła tych, którzy przegrali. Dla nich to wszystko świeża i gorzka sprawa. I zawsze będzie, dopóki krzywdy przeszłości nie zostaną wynagrodzone,

- To nigdy nic nastąpi - odparł Dan. - Zapamiętane krzywdy zawsze będą większe niż wszystko, co terazniejszość może zaoferować jako zadośćuczynienie.

Ja w to nie wierzę. - Głos Winifred był cienki i ostry.

Carly spoglądała to na jedno, to na drugie, zaskoczona głębią podtekstów. Nigdy nie miała do czynienia z rodziną, której historia kipiała tak gwałtownie tuż pod powierzchnią teraźniejszości. To było fascynujące i... trochę straszne. Czuła się, jakby chodziła po polu minowym dawnych emocji, które mogły wybuchnąć w każdej chwili.

Winifred odetchnęła głęboko i otarła czoło grzbietem dłoni. Załśniło srebro ciężkiej bransolety. Spojrzała na zioła porozkładane na stoliku i poczuła się nagle o wiele starsza niż w rzeczywistości. Czuła się stara jak świat.

On nie ma racji.

Będę miała swoją zemstę.

Podniosła mały gliniany słoik ozdobiony ziołami i podeszła do łóżka Sylvii.

W pokoju zaległa cisza i narastała, aż Carly była pewna, że wszyscy słyszą jej oddech- Odchrząknęła, szukając w głowie neutralnego tematu. Jej spojrzenie padło na paczuski ziół.

- Właśnie to twoja mama hoduje w szklarni? Zioła?

- Zioła, paprykę i pomidory, czosnek i cebulę, nawet kilka rzadkich gatunków fasoli - odparł Dan. I jeszcze parę innych rzeczy, o których lepiej nie wspominać. - Na dwóch tysiącach metrów okres wegetacji jest krótki. Mama daje swojemu ogródkowi fory.

Carly otworzyła usta, by zadać kolejne pytanie.

- Potrzebuje pani jeszcze czegoś? - Dan zapytał szybko Winifred. - Mama przyśle wszystko, co pani zechce.

Potrzebuję tylko szczęścia i czasu - odpowiedziała i rzuciła do Carly: - Wyduś to wreszcie, dziewczyno. Nie mam całej nocy.

- Zastanawiałam się, kto nauczył panią Duran tego wszystkiego o ziołach i wywarach.

- Ja. Ale ona ma własne, niepowtarzalne podejście do ziół, odziedziczone po praprababce.

- Czy pani Duran jest z panią spokrewniona? - zdziwiła się Carly. - Nie było jej na liście krewnych, którą mi pani dała.

- Jeśli rodzina mieszka w jednym miejscu od ponad trzech pokoleń, wszyscy są spokrewnieni w taki czy inny sposób - powiedział Dan, zanim Winifred zdążyła się odezwać. - Jak w każdej starej wiosce, ma się bliższych i dalszych kuzynów pod każdym krzakiem.

Usta Winifred zamieniły się w cienką kreskę.

- Nie masz pojęcia, jak bliskie więzy krwi utrzymują niektóre stare rodziny.

Oczy Carly błysnęły złotem.

- Bardzo bym chciała przeprowadzić analizę DNA pani...

- Co to takiego? - przerwała jej Winifred.

- Pamięta pani Dillonów z Phocnix? Wspomniała pani o nich, kiedy zadzwoniła pani do mnie po raz pierwszy.

Winifred skinęła głową.

- Słyszałam o nich w *Poza sceną*. Kiedy do Ciebie zadzwoniłam, i przysłałaś mi artykuł o Dillonach, zamówiłam twoją książkę o nich i z miejsca cię zatrudniłam. W artykule było coś o DNA i o tym, jak pomogło im odnaleźć gałęzie rodziny, o których nie wiedzieli.

- Zgadza się - potwierdziła Carly. - Szukali zaginionego pradziadka, prześledzili więc Y-DNA, które jest przekazywane przez komórki męskiego nasienia. Okazało się, że są spokrewnieni z Thomasem Jeffersonem przez...

- Powinna była się domyślić, że ten test jest tylko dla mężczyzn - przerwała jej Winifred. - Mnie interesują kobiety z mojej rodziny. Mężczyźni dostają więcej, niż im się należy, już przez samo to, że są mężczyznami.

- To prawda - wtrącił szybko Dan, próbując zamknąć Carly usta. Nie podziękowała.

- Jeśli bardziej interesują panią krewni w linii żeńskiej - Carly zagłuszyła jego słowa - trzeba pracować z mtDNA, które dziedziczy się wyłącznie przez żeńskie komórki rozrodcze. Matki przekazują je córkom, które przekazują je swoim córkom, i tak dalej. Jeśli kobieta nie ma córek, jej linia mtDNA zamiera.

Nie daj się podpuścić, Winifred, błagał w duchu Dan. Więcej ludzi zrobiło sobie krzywdę, dowiadując się za dużo, niż wiedząc za mało.

- Zaraz. - Winifred zmarszczyła brwi, próbując się skupić. Lekka gorączka nie pomagała jej w tym. - Chcesz powiedzieć, że można się dowiedzieć, kto jest, a kto nie jest spokrewniony z daną kobietą, stosując specjalny test DNA? Czy to się sprawdza również w przypadku mężczyzn?

- Tak.

W jaki sposób? spytała Winifred, zaintrygowana wbrew sobie.

Komórka rozrodcza mężczyzny nie jest w stanie przenieść jego mtDNA do żeńskiej komórki, więc czy się jest mężczyzną czy kobietą, mtDNA można odziedziczyć wyłącznie po matce.

- Czy ten test jest drogi albo bolesny? - dopytywała się Winifred.

- Zupełnie bezbolesny - zapewniła ją Carly. - W kraju jest kilka laboratoriów, które specjalizują się w tego rodzaju testach. Nie jest tani, ale jeśli genetyczna pewność jest dla pani ważna, warto zapłacić.

Na chwilę coś więcej niż gorączka rozjaśniło czarne oczy Winifred.

- Co jest potrzebne do tego testu?

- Nadaje się praktycznie wszystko; wymaz z wnętrza policzka, kilka kropel krwi, cebulka włosów. Jeśli pani chce, zamówię zestaw testowy.

- Zrób to. Zamów kilka.

- Kilka? Cztery? Sześć? Więcej?

- Dziesięć. Dziesięć powinno wystarczyć. Sprowadź je jak najszybciej. Ja za nie zapłacę.

Dziesięć? zdziwiła się Carly. Czy ona chce przetestować wszystkich domowników? Ale powiedziała tylko:

- Będą tu na środę.

- Zamów je na moje nazwisko.

- Oczywiście.

Winifred skinęła głową i z powrotem zajęła się ziołami, które przyniósł Dan.

- Przekaż matce podziękowania ode mnie.
- Na pewno przekażę. Aha, mama pytała o dwoje najmłodszych dzieci Lucii. Nie przyszły na niedzielną lekcję czytania.
- Alma skarżyła się, że Lucia nie przyszła dziś do pracy. Pewnie dzieci są chore. Winifred westchnęła. - Zajrzę do nich jutro z samego rana.

Ja to zrobię w drodze do domu - odparł Dan. Pani nie powinna wychodzić na ten wiatr, dopóki nie poczuje się pani lepiej,

Winifred zrobiła minę, jakby chciała mu się sprzeciwić, ale zmieniła zdanie.

- Nie lubię zostawiać Sylvii samej. Mam przeczucie... - Głos jej zamarł. Zatarła sękatę dłoń. - Widziałam samotnego kruka lecącego nad cementarzem. To nie jest dobry znak. Spojrzała na Carly. - Jedź z Danem do Sandovalów. Ich mężczyźni nigdy nie byli warcami złamanego grosza, ale kobiety mieszkały w tej dolinie od czasów rebelii. Może one będą mogły odpowiedzieć na twoje pytania o lokalną historię.

- W tym momencie mogą sobie nie życzyć towarzystwa - powiedział szybko Dan.

- Dlaczego?

- Armanda właśnie przymknęli za walki kogutów.

Winifred powiedziała coś w starohiszpańskim, z którym Carly toczyła boje w archiwum. Staruszka westchnęła i podeszła do kredensu po drugiej stronie pokoju. Otworzyła szufladę i wróciła do Dana z kilkoma zmiętymi banknotami w dłoni.

Położ to gdzieś, tak żeby Lucia znalazła - powiedziała. - Ci nicponie, jej bracia, nigdy nie zostawiają w domu żadnej gotówki.

Rozdział 13

*Rancho Quintrellów
Poniedziałek, późny wieczór*

Drzwi kuchni zatrzasnęły się za Carly, odcinając ją od ciepłego wnętrza domu. Zadrzała i przycisnęła komputer mocniej do piersi, kiedy nocne powietrze wgrzyło się w jej cienkie ubranie. Wielkie gwiazdy migotały nad głową.

- Lucia jest Sandoval z domu czy po mężu? - zapytała.

Jedno i drugie. Pokrewieństwo trzeciego stopnia, zdaje się. - Dan zobaczył, że Carly wstrząsa kolejny dreszcz. Teraz, kiedy śnieżyca minęła, było o wiele zimniej. - To idiotyczne powiedział. - Nie musisz ze mną jechać. Winifred się nie dowie. Po prostu znalazła sposób, żeby się ciebie pozbyć bez przyznawania się, jak bardzo jest zmęczona.

A ty skorzystasz z każdego pretekstu, jaki się nawinie, żeby zrobić to samo - odparła. - Przegrałeś. Jadę z tobą. Rodzina, która żyła tuż obok Quintrellów i Castillo przez kilkaset lat, to właśnie to, czego mi potrzeba. Mimo uprzedzeń Winifred mężczyźni i ich historia są tak samo ważni w rodzinnej narracji.

- Nie mów jej tego.

- A wyglądam na głupią? - Nagle Carly przypomniała sobie o swojej gołej głowie i bosych stopach w tenisówkach, w których wybrała się na ten odowaty wiatr. - Nieważne. Nie powiem. Poza tym, ile razy wspominam, że mężczyźni są niezbędni, zmienia temat.

Zęby zaczęły jej dzwonić.

- Na pogrzebie miałaś sensowne ciuchy - rzucił zniecierpliwiony Dan. - Gdzie one są?

- W moim pokoju. I skąd wiesz, w co byłam ubrana na pogrzebie?

- Mieszkasz w starym domu?

- T-tak.

Wziął ją pod ramię gestem raczej pełnym irytacji niż uprzejmym.

- Pospiesz się. Zaraz zamarzniesz.

Nie sprzeciwiała się, nie próbowała wyrwać. Różnica temperatur między sauną w pokoju Sylvii a mroźną nocą sprawiała, że kręciło jej się w głowie.

Kiedy podeszli pod dwuskrzydłowe drzwi starego domu, wyjęła uniwersalny klucz. Ręka trzęsła jej się tak bardzo, że Dan w końcu złapał klucz, wetknął go w dziurkę i powiedział:

- Jest otwarte.

- Ja zamykałam.

Nie miał zamiaru się kłócić. Po prostu włożył jej klucz z powrotem do ręki, otworzył drzwi i wepchnął ją do ciepłego wnętrza. Wszedł za nią i zamknął drzwi, odruchowo dopychając je odrobinę, tak by stary mechanizm zamka zaskoczył.

- Mieszkasz tutaj? zapytała Carly.

- Nie.

- To skąd wiedziałeś, że drzwi się zacinają?

- Zgadłem.

Carly nie uwierzyła mu, ale była pewna, że nie będzie o tym mówił.

Chyba zdajesz sobie sprawę, że im więcej pytań ignorujesz, tym większą ciekawość we mnie wzbudzasz - stwierdziła rzeczowo.

- Na im więcej pytań odpowiadam, tym więcej ich zadajesz. - Ruszył korytarzem w stronę dużego pokoju gościnnego.

- Źle idziesz - powiedziała. Ja mieszkam po drugiej stronie dziedzińca, z prawej.

Dan uniósł lewą brew. Był ciekaw, kto umieścił Carly w pokojach, które kiedyś były kwaterami służących najniższego szczebla.

- Co? - spytała.

Nic. - Dan zauważył, że para jego oddechu jest widoczna nawet w holu. Było tu cieplej niż na zewnątrz, co jednak nie znaczy, że było ciepło. - Ktoś zapomniał podkręcić ogrzewanie.

- Dla mnie to bez znaczenia. Carly wyjęła klucz z tylnej kieszeni i otworzyła drzwi prowadzące na dziedziniec. Mój pokój nigdy nie został zmodernizowany.

- To znaczy?

- Nie jest podłączony do centralnego. Do ogrzewania używam kominka, - Przekręciła gałkę i pchnęła drzwi. Nie otworzyły się.

- Dlaczego je zamknęłaś? - spytał Dan.

- Nie zamknęłam. Otworzyłam je. - Zmarszczyła brwi i przekręciła klucz w drugą stronę. Drzwi otworzyły się. - Przynajmniej tak mi się zdawało.

Dan spojrział na pusty dziedziniec. Kilka śladów stóp krzyżowało się na śniegu. Świeżych śladów. Przestał się na siebie złościć, że Carly mu się podoba, i zaczął myśleć. Błyskawicznie.

- Przyszłaś tutaj po tym, jak przestało padać? - zapytał.

- Gdybym przyszła, miałabym na sobie płaszcz. Przebiegłam tędy raz, w lekkich ciuchach, żeby się nie udusić u Winifred. Wtedy jeszcze padało i było jakieś dwadzieścia stopni ciepłej. A co?

Szkolenie, o którym Dan próbował zapomnieć, zaczęło kierować jego działaniem. Adrenalina zaczęła buzować w żyłach, przygotowując ciało do walki lub ucieczki.

- Czy ktoś przyszedł posprzątać twój pokój, kiedy byłaś u Winifred?

- Wątpię. Gdy usiłowałam wyprosić od Almy świeżą pościel i ręczniki, zniknęła.

Spodziewasz się gości? Chłopaka?

Carly oparła rękę na biodrze.

- Sam jesteś niezły w zadawaniu pytań.

- Bądź równie dobra w udzielaniu odpowiedzi - odparł, wpatrując się w nią.

Jego ponure, przenikliwe spojrzenie zmroziło ją lak samo jak nocne powietrze.

- Nie spodziewam się gości żadnego rodzaju, służby ani świętego Mikołaja. Czy to cię satysfakcjonuje?

- Czekaj tu na mnie.

- Gdzie się wybierasz?

- Do twojego pokoju.

- Więc będziesz mnie potrzebował. Wiem, że zamknęłam drzwi.

Dan chciał zaprotestować, ale rozmyślił się. W przeciwieństwie do ludzi, z którymi zwykł współpracować, Carly nie była wyszkolona w samoobronie ani w strategicznym ataku. Prawdopodobnie zemdlałaby na widok pistoletu.

Nie mógł jej zostawić samej.

Cholera.

Trzymaj się dwa kroki za mną - rzucił cicho. - Nie odzywaj się. Jeśli ja się zatrzymam, ty też stajesz. Kiedy powiem uciekaj, uciekasz. Kiedy powiem padnij, zrób to.

Jej usta otworzyły się, po czym zamknęły bez słowa.

- Żadnych pytań? - zdziwił się. - Będę się rozkoszował tą chwilą.

Nim zdążyła zmienić zdanie co do pytań, odwrócił się i ruszył długim korytarzem. Szybciej byłoby przeciąć mroźny dziedziniec, ale na dworze jasne światło księżycy zamieniłoby każdy ruchomy obiekt w cel. Dan wybrał więc szeroką, cieniastą galerię z jej stuletnimi perskimi dywanami, masywnymi czarnymi meblami i obrazami w złoconych ramach.

Carly trzymała się dokładnie dwa kroki z tyłu, przyciskając komputer do piersi. Nie mogła uwierzyć, jak cicho chodził Dan. Na nagiej kamiennej podłodze jej tenisówki robiły więcej hałasu niż jego ciężkie buty. Poruszał się teraz inaczej. Żadnej niecierpliwości. Żadnego utykania. Tylko niesamowita, przyczajona gotowość, od której włoski jeżyły jej się na karku.

Co on robił, zanim wrócił do domu?

Pytanie było bezgłośnie. Podobnie jak odpowiedź - bezszelestne skradanie się drapieżnika, który dojrzał zdobycz.

Zatrzymał się,

Carly zamarła.

Uniósł rękę, sygnalizując ten gest: nie ruszaj się.

A przynajmniej miała nadzieję, że właśnie to znaczył, bo nie miała zamiaru zbliżyć się do niego ani o krok.

Dan przylgnął do ściany, rzucił szybkie spojrzenie za róg i kiwnął na Carly, by szła za nim dalej. Była ciekawa, czy przypadkiem czy celowo wykorzystywał każdy kawałek cienia w korytarzu. Nagle omal nie rozeźmiała się na głos. W tej chwili w tym człowieku nie było nic przypadkowego. Czysta, mroczna premedytacja.

Na następnym zakręcie Dan znów się zatrzymał, rozpląszczył na ścianie, zerknął za róg i ruszył dalej. Kiedy tak szedł od cienia do cienia, Carly otworzyła usta, by mu powiedzieć, że jej pokój jest następny po prawej, ale przypomniała sobie, z jaką łatwością zamknął zacinające się drzwi domu. Było oczywiste, że zna to miejsce lepiej niż ona.

Nie mógł jednak wiedzieć, że wychodząc, zgasiła światło w swoim pokoju-

Dotknęła jego ramienia. Zastygł w bezruchu. Wskazała na nieregularny pasek światła widoczny wokół wypaczonych drzwi, po czym pokazała na siebie i pokręciła głową.

Dan przytaknął. Łagodnie, choć stanowczo chwycił ją za ramię i pociągnął na dół, do jedynej dostępnej kryjówki - za masywny mahoniowy kredens, odrapany i zniszczony, w którym ostatnio zamiast ciężkich sreber i świeżo wyprasowanych obrusów trzymano stare ręczniki i ścierki.

Dan czubkiem palca uniósł podbródek Carly do góry i spojrzał jej w oczy, nakazując, by została na miejscu. Kiwnęła lekko głową. Muśnięcie palcem po ustach było ostrzeżeniem, pieszczotą, błaganiem, może wszystkim jednocześnie. Była tak zaskoczona tym dotykiem i tą jego hamowaną dzikością, że zdobyła się tylko na jeszcze jedno skinienie. Dan ruszył dalej. Jego milcząca determinacja mroziła jej krew w żyłach.

Ale dzięki temu nie miała wątpliwości, że i on zauważył mokry połysk świeżych śladów butów na podłodze pod jej drzwiami.

Po chwili Dan stał już obok drzwi jej sypialni. Były uchylone tylko na tyle, że widać było, że nie są zamknięte na klucz. Przez chwilę nasłuchiwał bez ruchu.

Ale słyszał tylko własny oddech i lekkie poruszenie Carly, której widocznie było niewygodnie w kryjówce za mahoniowym meblem. Jego dłoń chwyciła zimny, kuty metal klamki. Nie było mowy, by stare, masywne drzwi nie narobiły hałasu, więc Dan uczynił je częścią swojego planu.

Skrzydło huknęło o ścianę tak głośno, że na pewno przestraszyłoby intruza. Zanim ucichło echo, Dan był już w środku. Pochylił się i skoczył w prawo, po czym padł na ziemię i przetoczył się po podłodze, cały czas szukając wzrokiem ludzkiej sylwetki.

Nie zobaczył nikogo. Mimo to czekał, nasłuchując.

Cisza.

Poziom adrenaliny w jego żyłach opadł i znów zauważał zwyczajne rzeczy - na przykład piekielny ból w nodze. Wstał i z bezwzględną systematycznością przeszukał tych kilka kryjówek, jakie były w pokoju. Znalazł dokładnie to, czego się spodziewał. Nic niebezpiecznego.

Za to obrzydliwe.

Ktoś rozpruł szczura i położył go na poduszce Carly. Świeża krew wciąż lśniła wilgocią. Zwierzę było jeszcze ciepłe.

- Urocze mruknął pod nosem. - Naprawdę urocze.

Zanim zdążył usunąć szczura, Carly stanęła w drzwiach z oczami rozszerzonymi strachem i z pobladłą twarzą. Piegi, których wcześniej nie zauważył, teraz odcinały się wyraźnie na jej nosie.

- Miałaś się nie ruszać z miejsca, pamiętasz? - powiedział.

Ale ona tylko gapiła się na jatkę na poduszce.

Dan stanął między nią i łóżkiem.

- Poczekaj w korytarzu.

Carly wzdrygnęła się.

- Ja się tym zajmę odparła.

Poruszał się razem z nią, wciąż trzymając się między nią i obrzydliwym widokiem.

- Ty tego nic zrobiłaś. Dlaczego miałabyś sprzątać?

- Ty też nie. Dlaczego miałabyś sprzątać?

- Jestem przyzwyczajony do szczurów,
Z trudem skupiła wzrok na jego oczach.

- Nikt nie może się przyzwyczaić do... tego.

- Zdziwiłabyś się. Może lepiej sprawdź, czy nic ci nie zginęło.

To nie było pytanie.

- Potrafisz wydawać rozkazy.

- Szkoda, że ty nie potrafisz ich wykonywać - odparł.

Posłała mu drżący uśmiech i wypuściła powietrze.

- Jeśli naprawdę nie masz nic przeciwko, żeby się tym zająć - wskazała łóżko ruchem podbródka - to ja sprawdzę swoje rzeczy.

- Spędziłem dzieciństwo na polowaniach. Oprawialiśmy i jedliśmy wszystko, co udało nam się zastrzelić. Mogę się tym zająć bez problemu.

- Powiedz mi, że nie jadłeś szczurów.

- Nie jadłem szczurów - odparł. W każdym razie niejako dziecko. Kiedy przechodził zaawansowany trening survivalu, szczury były najmniej obrzydliwą rzeczą, jaką jadł. Jeśli coś się rusza, zjedz to. Jeśli się nie rusza, zjedz, zanim zaczniesz się ruszać.

Carly podeszła do starej toaletki, która zajmowała jedną ze ścian pokoju. Zatrzymała się, patrząc nieufnie na głębokie szuflady.

- Masz rację - powiedział Dan. - Może być tego więcej.

- Nie, ja...

Zignorował jej protesty. Otwierał kolejno każdą szufladę i obmacywał jedwabną bieliznę, swetry i spodnie. Nie pokazał po sobie, że dotykanie koronkowych majteczek sprawiło mu większą przyjemność niż szperanie między džinsami.

- Czysto - powiedział.

Carly zaczęła przeszukiwać szuflady, odwracając wzrok, kiedy wynosił poduszkę i szczura na korytarz. Drzwi otworzyły się i zatrzasnęły, wpuszczając podmuch zimnego powietrza. Carly przygryzła wnętrze policzka i powiedziała sobie, że jakoś to przetrwa. Oberwał szczur, nie ona. Lepiej było zastanawiać się, gdzie Dan nauczył się być taki cichy, taki szybki. Taki niebezpieczny.

Zadrzała, przycisnęła do siebie laptopa. Powinna się skupić na sprawdzaniu, czy niczego nie brakuje.

Po kilku minutach drzwi prowadzące na dziedziniec znów się otworzyły i Dan wszedł do pokoju. Zimne powietrze trzymało się go jak zapach perfum.

-- I jak? zapytał.

- Nic nie zginęło. Mam trochę drogiej elektroniki; skaner, specjalistyczne aparaty, kolorową drukarkę i inny sprzęt. Wszystko jest pod łóżkiem, tam, gdzie to zostawiłam.

Więc to był chory żart jakiegoś psychopaty, a nie rabunek.

- Chyba tak.

- Chcesz zawiadomić szeryfa?

Carly spojrzała na Dana.

- A to coś pomoże?

- Da podstawę do ustalenia prawidłowości, jeśli to lub coś podobnego się powtórzy.

Zawahała się.

- Da też mediom sensacyjny temat. A to nie uszczęśliwi gubernatora Quintrella.

- To duży chłopiec. Poradzi sobie.

- Gdyby to się przydarzyło tobie, zawiadomiłbyś szeryfa? - zapytała.

- Nie.

- Dlaczego?

- Jeśli to był dowcip, to nic warto marnować jego czasu. Policja ma tu o wiele za małe siły.

Toteż właśnie.

- Jeśli to groźba - ciągnął Dan - powtórzy się jeszcze w taki czy inny sposób, niezależnie od tego, ile formularzy wypełni szeryf.

Kąciki ust Carly wygięły się w dół.

- Dzięki, od razu poczułam się lepiej.

- Nic próbuję ci poprawić samopoczucia. - Jego zielone oczy obserwowały ją uważnie. - Czy coś takiego zdarzyło ci się już przedtem?

- Nic.

- Żadnych wkurzonych byłych chłopaków, zazdrosnych kochanków, wściekłych klientów?

- Nie.

Nawet ten gość, któremu zaserwowałam zakaz zbliżania się?

- O ile wiem, ożenił się i mieszka w Teksasie.

- Więc myślisz, że to ma coś wspólnego z twoją pracą w Taos.

- Nie wiem, co myślę.

Więc przemyśl to. Nie wiem, ile panna Winifred ci płaci, ale ile by tego nie było, koszty będą większe niż zyski.

Rozdział 14

Taos

Poniedziałek, późny wieczór

Jadąc wyboistą drogą do Taos, Carly starała się nie myśleć o niczym. Po prostu naciskała gaz swojego terenowego auta, by nadażyć za furgonetką Dana. Ale ilekroć jego hamulce błyskały czerwienią, widziała szczurzą kjew rozsmarowaną na poduszce.

„Nie wiem, ile panna Winifred ci płaci, ale ile by tego nie było, koszty będą większe niż zyski”.

Carly wzdrygnęła się bezwiednie, starając się wyrzucić z głowy słowa i obrazy.

- To tylko chory żart. - Zacisnęła dłonie na kierownicy. - Nic poza tym.

Choć powtarzała to sobie raz po raz, nie potrafiła do końca w to uwierzyć. Myśl, że ktoś, kogo nawet nic zna, nienawidzi jej tak bardzo, była przerażająca.

Kiedy Dan skręcił w lewo, światła jego samochodu wydobyły na moment z ciemności mały cmentarz. W oczach Carly pozostał obraz rzędów białych

krzyży, ozdobionych plastikowymi kwiatami oplecionymi wstążkami i ciszą jakby czuwały wokół świeżej przyzmy gliny i kamieni. Nie było brezentu, nie wykopano grobu w zamrzniętej ziemi. Ten zmarły spoczywał na jej powierzchni.

Światła stopu zapłonęły w srebrzystej ciemności przed nią. Dan skręcił w prawo i zaparkował pod starą topolą. Wysiadł, zatrzasnął drzwiczki i poczekał, aż Carly zaparkuje obok. Gdy wysiadła, spojrzała z powątpiewaniem na niewielki ceglany dom. Tylko w jednym oknie paliło się światło.

- Zapowiedziałeś się telefonicznie? - zapytała.

Tak. - Ciekawe, czy Winifred wiedziała, jak bardzo zaniepokoiłby się mąż Lucii, gdyby odkrył, że Dan odwiedził jego żonę. I czy ufała mu, że nie założy w domu podsłuchu. W końcu to rodzina Sandovalów przyjęła jego matkę, kiedy jej matka została zamordowana.

- Jesteś pewny, że Lucia zechce ze mną porozmawiać? - zapytała Carly.

- Porozmawia - odparł Dan obojętnie. - Żeby sprawić przyjemność panie Winifred.

Carly skrzywiła się.

- Cudownie. Kolejny niechętny rozmówca.

- Nie musisz tego robić. Możesz...

- Wsiąść do samochodu i wrócić, gdzie moje miejsce - przerwała mu niecierpliwie. Słyszała to od niego już wcześniej i nie miała ochoty słuchać jeszcze raz. - Ogłoszenie parafialne, panie Duran. Moje miejsce jest tutaj. I zamierzam wykonywać swoją pracę.

- Ogłoszenie parafialne, pani May. Ludzie nie lubią, kiedy obcy wtykają nos w ich sprawy.

- Bzdura. Ludzie ustawiają się w kolejkach, żeby opowiadać mi swoje historie.

Wiatr dął mocno, tworzył wiry. Carly drżała mimo kurtki. Kątem oka, na samym skraju pola widzenia, wciąż dostrzegała przebliski świeżej krwi. Kiedy jednak odwracała się, nie było tam nic - oprócz Dana stojącego obok jak kamienny posąg.

Gdyby nie uchronił jej od paskudnego upadku ze schodów piwnicy, zastanawiałaby się, czy to nie on użył jednego ze szczurów z łapek w archiwum, by udekorować jej poduszkę.

Znów zadrżała.

Dan nie miał serca patrzeć, jak ta naiwna, wścibska dziewczyna drży z zimna.

- Chodź. Wejźmy do środka, zanim zamarznie.

Lucia otworzyła drzwi, ledwie zapukał. Jeśli wierzyć plotkom, była w jakiś sposób spokrewniona z jego matką. Tak czy owak, nie miało to dla niego znaczenia. Nie chciał mieć nic wspólnego z człowiekiem, który spłodził jego matkę i porzucił ją, jeszcze zanim się urodziła. Dawca spermy. Żadna rodzina.

- Wejźcie - powiedziała Lucia. Miała twarz kobiety, której życie nigdy nie było łatwe. - Mam kawę, jeśli chcecie.

Dan podziękował i przedstawił jej Carly. Nie umknął mu błysk irytacji i nieufności w oczach Lucii, kiedy spojrzała na gościa.

- Panna Winifred prosiła, żebym z panią porozmawiała - powiedziała Lucia - ale nie wyjaśniła, o czym mamy rozmawiać.

- Pani rodzina mieszka w dolinie równie długo jak rodzina Castillo i dłużej niż Quintrellowie - odparła Carly.

Lucia nic nie powiedziała.

Carly spojrzała badawczo w jej pełne żaru czarne oczy i zachwyciła się czarnym warkoczem, który leżał ciężko na ramieniu. Jej twarz była intrygującą mieszanką Hiszpanki ze Starego Świata i Indianki z Nowego Świata. Skórę miała gładką mimo zmarszczek w kącikach oczu i bruzd smutku wokół ust.

Interesują mnie opowieści o dawnych czasach przekazane pani przez rodziców i dziadków - ciągnęła Carly - albo zdjęcia okolicy i starszych pokoleń, które może pani mieć.

- Ach, przeszłość. - Lucia odetchnęła z ulgą. - *Si*. Tak. Jestem kimś w rodzaju rodzinnego historyka Sandovalów.

- Wspaniale!

Entuzjazm Carly sprawił, że Lucia wreszcie się uśmiechnęła.

- Nie jestem zorganizowana, rozumie pani - rzuciła pospiesznie. - Po prostu trzymam stare zdjęcia i pamiątki, dla których inni członkowie rodziny nie mogli znaleźć miejsca.

Z tylnej części domu dobiegł zaspany chłopięcy głos. Lucia odpowiedziała po hiszpańsku - mówiła w tym języku równie biegle jak po angielsku - prosząc chłopca, żeby wracał spać, że wszystko w porządku i że ciocia jest w domu, żeby się nim zaopiekować.

- A gdzie jego matka? - zainteresował się Dan. O ojca nic musiał pytać, Człowiek, którego złapano z dziesięcioma kilogramami meksykańskiej heroiny, musiał odsiedzieć swoje, choćby miał najlepszego adwokata.

Lucia wzruszyła ramionami.

- Wróciła do Meksyku z dziewczynkami. Chłopcy zostali. Armando tak chciał. Może kiedy Eduardo wyjdzie z...

Carly chciała zadać pytanie, ale zauważyła, że Dan zabrania jej tego lekkim ruchem głowy. Sapnęła zniecierpliwiona. Miała dość gTyżenia się, w język w jego towarzystwie.

Udając, że szuka czegoś w kieszeniach, Dan pochylił się i bardzo cicho szepnął do ucha Carly: „później”. Potem wyprostował się i zwrócił do Lucii:

- Panna Winifred prosiła, żebym ci to dał.

Lucia wzięła pieniądze. Kiedy zobaczyła nominały niektórych banknotów, otworzyła szeroko oczy ze zdumienia.

Carly też. Pieniądze pomnożyły się kilkakrotnie w kieszeni Dana. Zrobiło się z nich kilkaset dolarów.

W oczach Lucii zalśniły łzy. Schowała pieniądze do kieszeni znoszonych dzinsów.

Panna Winifred to święta kobieta - powiedziała ochryplym ze wzruszenia głosem.

Dan wątpił w to, ale nie powiedział tego głośno.

Siadajcie. - Lucia wskazała czystą, choć wytartą kanapę przykrytą kolorowym kilimem. - Przyniosę zdjęcia i kawę.

Carly usiadła na środku kanapy i położyła dłoń na dyktafonie przypiętym do paska, zastanawiając się, czy powinna poprosić o pozwolenie na nagrywanie rozmowy. Poducha kanapy obok niej zapadła się pod ciężarem Dana.

- Nie proś jej o nagranie - powiedział cicho.

Carly podskoczyła.

- A ty co, czytasz w myślach?

- Nie, nic z tych rzeczy. Zobaczyłem, że dotykasz dyktafonu. I nie pytaj o nieobecnego męża i jego brata Eduarda. Brat odsiaduje długi wyrok za handel meksykańską herą. Mąż, ojciec męża i jego stryjowie prowadzą przedsiębiorstwo przemysłowe, dzięki któremu hrabstwo Rio Arriba ma najwyższy wskaźnik śmierci z przedawkowania w całych Stanach Zjednoczonych.

Carly nie wiedziała, co powiedzieć. Słowa Dana namieszały jej w głowie; poczuła się, jakby spadła ze schodów. Wiedziała, że narkotyki przepływają z Meksyku do Nowego Meksyku, ale było to dla niej zupełnie nierealne. To nie było coś, z czym mają do czynienia zwykli ludzie. Odetchnęła powoli i rozejrzała się po pokoju. Nic nie wskazywało na bogactwo, jakiego spodziewałaby się po żonie narkotykowego bossa.

To nie jest dom Armanda - powiedział Dan. To dom Lucii.

Teraz już jestem pewna, że jesteś jasnowidzem.

Tylko wyszkolonym obserwatorem z praktyczną wiedzą o ludzkiej psychologii - odparł. Narkotyki oznaczają bogactwo, jeśli się je sprzedaje,

i biedę, jeśli się je bierze. Lucia ich nie bierze i nie chce wiedzieć niczego o heroinowym biznesie. Żyje z tego, co zarobi, pracując u Quintrellów. Armando mieszka z nią, kiedy ma na to ochotę. W tej chwili siedzi prawdopodobnie w Las Trampas i przechwala się ziomkom nad kubkiem domowej *pulque*, jak to znowu przechrztył *Anglos*.

- Armando? Ten od walk kogutów?

- Właśnie ten. Urządza walki, kiedy nie szmugluje narkotyków.

- No tak. - Carly przełknęła ślinę. Miała nadzieję, że Armando nie planuje dziś odwiedzić żony. - Więc o co mogę bezpiecznie pytać?

- O wszystko, co uległo prawnemu przedawnieniu.

W pierwszej chwili pomyślała, że Dan żartuje. Zrozumiała jednak, że tak jest.

To mi nie pomoże - odparła. Jestem historykiem, nie prawnikiem.

Trzydzieści lat wstecz jest okej, zwłaszcza jeśli nie włączysz dyktafonu. Z dyktafonem proponowałbym pięćdziesiąt. Sandoval to groźni wrogowie.

Carly przełknęła odpowiedź, bo do pokoju weszła Lucia z dwoma kubkami kawy na obtłuczonej tacy. Pod prawą pachą niosła wielką szarą kopertę.

- Mleko? Cukier? - zapytała.

- Dla mnie nie - odparł Dan.

Carly przyszło do głowy, żeby poprosić Lucię o cokolwiek. Gdyby kobieta wyszła z pokoju, ona mogłaby zadać Danowi więcej pytań. Ale nie zrobiła tego. Nie zносиła kawy z cukrem czy mlekiem, a gdyby o nie poprosiła, musiałyby taką wypić.

- Nie, dziękuję.

Lucia postawiła tacę przed gośćmi, usiadła obok Carly i otworzyła kopertę. Koperta była gruba na kilka centymetrów i posklejana w wielu miejscach różnymi rodzajami taśmy.

Od lat ich nie oglądałam. Lucia wyjęła plik fotografii rozmaitych formatów. Żadne z dzieci jeszcze się nimi nic zainteresowało. Może nigdy się nie zainteresują. - Wzruszyła ramionami. Będzie, co ma być.

Carly spojrzała na jej znużoną twarz i przygarbione ramiona.

- Nie chcę pani przeszkadzać. Może chciała pani coś zrobić.

Na przykład spać. Ta kobieta wyglądała, jakby przydało jej się kilka tygodni snu. Bez przerwy.

Uśmiech Lucii był zmęczony, ale szczery.

- Dzieci są chore. To minie. Nie chciałabym zawieść panny Winifred.

- Panna Winifred zrozumie, jeśli...

- Nie, nie. - Lucia machnęła ręką i zaczęła rozkładać fotografie na stoliku.

W większości były to zdjęcia ze szkoły, z chrztów, ślubów, zaręczyn, z przyjęć zwanych *quinceanera*, kiedy to dziewczynka w wieku piętnastu lat wchodzi do towarzystwa, z pogrzebów, wręczenia dyplomów i innych uroczystości. Jako że nie przedstawiały członków rodzin Castillo ani Quintrell, nie na wiele mogły się przydać Carly. Widziała już wiele podobnych - inne były tylko nazwiska uśmiechniętych ludzi. Była to jedna z rzeczy, które uderzały ją za każdym razem, kiedy oglądała rodzinne kolekcje zdjęć: podobieństwo ujęć, niepowtarzalność ich bohaterów i subtelne genetyczne więzy, które splatały wszystko w całość. Zdążyła nabrać sporej wprawy w wychwytywanie kształtu oczu, ust, sylwetki, linii włosów i podobnych szczegółów pojawiających się w każdym kolejnym pokoleniu.

Uśmiechała się więc i chwaliła zdrowe dzieci, piękne dziewczyny i przystojnych mężczyzn, kiedy jedno po drugim zdjęcia lądowały na jej kolanach.

Chwileczkę - powiedziała w pewnym momencie, podnosząc wyblakłą kolorową fotografię. - Czy to nie senator Quintrell, ten z prawej?

Dan, który prawie drzemał, oprzytomniał natychmiast.

Si, tak - potwierdziła Lucia. Wydał wielkie przyjęcie na ranczu, kiedy po raz pierwszy wygrał wybory w tym dystrykcie, i potem wydawał je co roku. Ojciec Armanda, Mario, był zawsze jednym z jego najbardziej wpływowych stronników. A Senator nie zapominał o przyjaciółach. - Przerzuciła zdjęcia na podołku. - Proszę spojrzeć, tu też jest, na chrzcie Armanda, i na wielkanocnej mszy w kaplicy San Geronimo w Taos.

Carly obejrzała wszystkie zdjęcia, ale specjalną uwagę poświęciła tym z rocznych przyjęć w ogrodzie. Winifred nie pokazała jej nic podobnego. Z ubrań i fryzur kobiet można było wywnioskować, że pierwsze barbecue odbyło się w latach trzydziestych. Na kolejnym zdjęciu widać było ubrania z lat siedemdziesiątych - buty na koturnach i nieprawdopodobne zestawienia materiałów i kolorów. Trzecie zdjęcie ukazywało obfite spódnice, sztywne halki i wymyślne aplikacje z lat pięćdziesiątych.

Jedna z kobiet - a raczej nastolatek - wydała się Carly dziwnie znajoma. Carly była pewna, że widziała ją już wcześniej; ją, a może jej siostrę, matkę, kuzynkę, ciotkę czy córkę. Chodziło o postawę dziewczyny, kształt podbródka i kształt oczu.

- Kto to jest? - zapytała Carly,

- Córka Senatora, Liza. - Lucia przeżegnała się. *La pobrecita*.

Dan próbował zmusić Carly wzrokiem, żeby odłożyła zdjęcie i zajęła się kolejnymi.

Nie zrobiła tego. Choć fotografie piętrzyły się jej na kolanach, uczyła się na pamięć twarzy młodej kobiety. Było to jedno z bardzo niewielu zdjęć

drugiej córki senatora Quintrella, jakie widziała. Czarnej owcy. Albo kolekcja Quintrellów została oczyszczona po tym, jak rodzina wyrzuciła Lizę, albo faktycznie rzadko fotografowano śliczne dziecko, z którego wyrosło coś tak paskudnego - klinicznie zdiagnozowana mitomanka, pijaczka lądująca w areszcie, ćpunka i dziwka.

Dan z kamienną twarzą patrzył na zdjęcie swojej babki, nic odzywając się słowem.

Rozdział 15

*Ranczo Quintrellów
Wtorek, przedświt*

Carly wydobyła się z głębi koszmaru o wypatroszonych szczurach i tryskającej krwi w samą porę, by usłyszeć dzwonek telefonu. Telefon był przynajmniej rzeczywisty.

Usiadła z jękiem, trzęsąc się w zimnym powietrzu i próbując sobie przypomnieć, gdzie jest - by zorientować się, gdzie szukać telefonu. Pokój oświetlał tylko blask księżycy. Para oddechu wisiała w powietrzu. Ogień w małym ceglanym kominku wygasł, zostawiając pokój bez ogrzewania.

A telefon wciąż dzwonił.

- Ranczo Quintrellów - powiedziała, przypominając sobie wreszcie. Włącznik światła przy drzwiach. Telefon w korytarzu. Tylko przychodzące rozmowy. Przecież nie chcielibyśmy, żeby pokojówki czy goście mogli z niego skorzystać, prawda?

Skopała ciężką kołdrę i dwoma susami dopadła do drzwi. Naga kamienna posadzka była lodowata. Włącznik światła nie działał.

- Do diabła - mruknęła, waląc pięścią w ścianę.

Światło rozbłyśło - całe czterdzieści watów.

Telefon wciąż dzwonił.

Carly odciągnęła fotel od drzwi - nie było tu zamka, nie było klucza, a ona nie miała zamiaru spać w niezamkniętym pokoju po akcji ze szczurem. Otworzyła szarpnięciem drzwi i wypadła na korytarz. Który był zimny jak wszystko inne. Telefon był jeszcze zimniejszy.

- Halo? - rzuciła do słuchawki.

Cisza.

Oddech.

Kobiecy krzyk, który narastał i narastał, zamieniając się w szloch, błaganie, a potem wrzask niewyobrażalnego bólu.

Oszołomiona Carly stała jak słup soli.

- Gdzie jesteś? Kim jesteś? Pomogę ci!

Wrzask przeszedł w urywany szloch.

Cisza.

I szept:

- Wynoś się z Taos, albo to ty będziesz wrzeszczeć.

Słuchawka wysunęła się ze zdrtwiałych palców Carly. Mdłości ścisnęły żołądek. Oparła się o ścianę, próbując opanować łomot przerażonego serca.

Rozdział 16

*Rancho Quintrellów
Wtorek, rano*

Josh Quintrell odłożył słuchawkę i roztarł czoło.

- Głowa cię boli, kochanie? - zapytała Annę.

Uniósł wzrok znad biurka. Jego żona jak zwykle była żywym wcieleństwem bogactwa i dobrego pochodzenia. W tej chwili była ubrana „na luzie”, w spodnie z miękkiej skóry i ręcznie robione buty z Ruidoso, markową koszulę za pięćset dolarów i dyskretną biżuterię od TiffAny'ego w uszach, na nadgarstkach i na szyi. Czterokaratowy brylant połyskiwał obok prostej złotej obrączki. Gdyby w pobliżu był fotograf, diament leżałby w sejfie, a obrączka wysyłałaby dyskretne przesłanie do wyborców, których to obchodziło: mimo odziedziczonego bogactwa i życia na świeczniku z powodu wysokiego politycznego stanowiska Josh i Annę są zwyczajnymi ludźmi.

- On chce, żebym więcej czasu spędzał w trasie - powiedział Josh.

Annę wiedziała, że „on” to Mark Rubin, szef kampanii Josha i jedyny człowiek, od którego Josh przyjmował rozkazy.

Czy to trochę nie za wcześnie po pogrzebie? zapytała.

- Powiedziałem mu to samo. A on na to, że wyborcy mają krótką pamięć. Już i tak za długo byłem poza obiegiem. Muszę się pojawić na kilku pierwszych stronach gazet i w paru wydaniach wieczornych wiadomości.

- Możemy się spakować i wyjechać po południu.

- A co z Andym?

Zawahała się. Zmarszczka napięcia pojawiła się między jej pięknie zarysowanymi brwiami.

- Pojedź z nami. Przemysłał to, co powiedziałaś wczoraj, i uznał, że rehabilitacja będzie najlepszym wyjściem dla wszystkich.

- Tłumaczenie: rzucił ci przynętę, a ty się nie złapałaś.

Skinęła niepewnie głową.

- Wciąż uważam...

Josh stłumił spazm gniewu.

- Tak?

Ja... - westchnęła. - Wolałabym, żeby był inny sposób.

- A przychodzi ci do głowy coś, czego jeszcze nie próbowaliśmy? - Mówił cierpliwie mimo frustracji, która wygryzała mu dziurę we wnętrzościach za każdym razem, kiedy pomyślał, jak jego rozwdrzony syn marnuje pracę całego życia. Pracę dwóch ludzi, jeśli liczyć Senatora. - Byli już psychoanalitycy, lekarze, szkoły wojskowe, szkoły wrażliwości, miękkie podejście, twarde podejście, wycieczki pokutne, konkursy wrzasków i newageowe czary-mary. Nic nie odniosło skutku. Im jest starszy, tym bardziej przypomina mi Lizę. Dziki, bezmyślny, niebezpieczny. Pędzi prosto do piekła i chętnie zabrałby wszystkich ze sobą.

Zabłyśły łzy. Annę nie przeczyła.

- Wiem, że to staroświeckie podejście - powiedział Josh - ale myślę, że w żyłach Quintrellów płynie zepsuta krew, i czasem daje o sobie znać. Bo z całą pewnością trafiają się szaleńcy. Senator wiedział, co robi, wyrzucając Lizę, Zrujnowałaby mu życie publiczne.

- Czy myślisz - Annę przełknęła ślinę - o zerwaniu więzów między nami i naszym synem? Chcesz go wydziedziczyć, tak jak Senator wydziedziczył Lizę? On przynajmniej... dawał jej czasem pieniądze. Dawał?

Josh zignorował pełne nadziei pytanie żony.

Modłę się, żeby Andy się opamiętał. I mam nadzieję, że mi pomożesz, odstawiając go od piersi. Nigdy nie stanie na własnych nogach, dopóki wytkasz mu pieniądze i podpierasz go za moimi plecami.

Annę zaczerwieniła się.

- Robiłam to tylko...

- Za każdym cholernym razem, kiedy był już bliski odbicia się od dna przerwał jej zimno. - Za każdym razem, kiedy musiałby wreszcie pogodzić się z faktami i dorosnąć.

- Nie mogłam patrzeć, jak chodzi głodny!

Josh parsknął.

- To mu na pewno nie grozi, i dobrze o tym wiesz. Kiedy jest trzeźwy, potrafi oczarować każdego i wyłudzić co zechce.

Annc spłotła kurczowo palce.

- Wiem, że masz rację. Tyłko że... on był takim ślicznym chłopcem.

- Liza była śliczną dziewczynką. Kiedy dorosła, stała się mitomanką, kurwą i ćpunką. Josh wstał i podszedł do żony. Potrzebował jej w nadchodzącej kampanii, potrzebował jej jako pierwszej damy, gdyby wygrał. A miał na to bardzo dużą szansę. Inni kandydaci z jego partii mieli odpaść po kilku turach prawyborów. Potem jego jedynym przeciwnikiem zostanie starzejący się wiceprezydent, kojarzony z rządami prezydenta, którego już nikt nie lubił. - Nie uda mi się bez ciebie. Jesteś ze mną czy nie?

Jestem - szepnęła.

Kiwnął głową.

- Będiesz najpiękniejszą pierwszą damą w historii. Projektanci będą się ustawiać w kolejkach, żebyś chciała nosić ich kreacje. Będziesz mogła przewodniczyć komitetom, lobbować na politycznych przyjęciach i zainteresować cały naród twoimi ulubionymi instytucjami charytatywnymi.

Uśmiechnęła się.

- Nie mogę się doczekać tych komitetów, pokazów mody, fundacji. Przede wszystkim powinniśmy ograniczyć stałe datki Senatora, a wtedy wyrobimy sobie własną pozycję w kręgach charytatywnych.

- Pete już nad tym pracuje.

- Może powinien się tym zająć bardziej energiczny księgowy - zaczęła. Nagle zobaczyła Melissę w korytarzu. Jestem pewna, że Pete świetnie sobie poradzi - rzuciła głośniej, dając znać mężowi, że nic są sami.

- Zawsze sobie radził - odparł Josh, odwracając się do drzwi. - O co chodzi, Melisso?

- Kazał pan zawiadomić, kiedy panna Winifred i jej osobista historyczka będą razem. Właśnie pracują w Apartamencie Sióstr.

Rozdział 17

*Ranczo Quintrellów
Wtorek, rano*

Carly przerzucała fotografie, układając je w porządku chronologicznym na podstawie ubrań, twarzy i informacji, jakie zdołała wyciągnąć od Wi-

nifred. Starsza pani miała bardzo zdecydowane poglądy na to, co jest ważne, a co należy zignorować. Carly tłumaczyła jej, że rodzinna historia, która pomija mężczyzn, nie jest żadną historią. W końcu Winifred stwierdziła, że się nad tym zastanowi, tymczasem Carly może się zajmować kobietami rodu Castillo.

Carly oglądała więc zdjęcia kobiet. Było to lepsze niż rozmyślanie o przerażającym telefonie, o krzykach i o ochrypłym głosie grożącym jej.

„Wynoś się z Taos albo to ty będziesz wrzeszczeć”.

Wmawiała sobie, że lepki pot, który ją oblewał, to skutek temperatury w pokoju. Ubrała się specjalnie na tę okazję, obcinając nogawki jednej z par dżinsów i zawiązując na piersi poły niebieskiej roboczej koszuli. Stopy miała bose. Jej buty, szalik, rękawiczki i zimowy płaszcz leżały pod ścianą. Upał w pokoju chorej był wręcz duszący.

To dlatego się pociła. Przez temperaturę, nie przez te straszne krzyki i obrzydliwe słowa.

Jeśli dobrze rozumiem, Senator co roku urządzał barbecue na ranczu - powiedziała.

Winifred odpowiedziała, nie przerywając rytmicznych ćwiczeń, które, wraz ze sporymi dozami ziołowego balsamu, miały pobudzić czy utrzymać połączenia nerwowe w ciele Sylvii. A przynajmniej zachować ciało w na tyle dobrej kondycji, na ile było to możliwe.

Tak. - Zgięcie, dwa, trzy cztery, stop. - Uwielbiał występować jako *el patron*.

Szczęśliwie dla Carly po kwadransie jej nos przestawał protestować przeciwko zapachowi ziołowego balsamu, który Winifred wcierała w bezwładne ciało siostry. Niestety, musiała się do niego przyzwyczajać od nowa po każdym wyjściu z pokoju.

Przyglądała się zdjęciu, które właśnie trzymała w ręce. Widnieli na nim młody Andrew Jackson Quintrell III, przyszły Senator, i młoda kobieta, której ciało było równie powabne jak jej uśmiech. Senator spoglądał pożądlivo na kobietę, choć był ubrany w ślubny smoking, a u jego boku stała piękna, roześmiana panna młoda.

- Rozpoznaje pani tę dziewczynę? - Carly pokazała Winifred fotografię, nie podnosząc się z podłogi. Wstawała i siadała tego ranka ze zdjęciami tyle razy, że czuła się jak jo-jo.

Winifred rzuciła okiem na zdjęcie, nie przerywając ćwiczeń.

- Guadalupe Mendoza y Escalante. Jedna z druzhen Sylvii.

- Znała Senatora?

Winifred burknęła gniewnie.

- Była kobietą. A on lubił kobiety. W dużych ilościach.
- Więc Guadalupe była jego kochanką?

Winifred nabrała trochę cuchnącego kremu z glinianego naczynia i zaczęła masaż, który poprawiał krążenie w kończynach siostry.

- Sylvia twierdziła, że tak - odparła. - Ale nie wiedziała o tym, kiedy zostało zrobione to zdjęcie. Dopiero po wielu latach przytąpała tego rozwiązłego sukinsyna.

- Były jakieś dzieci?
- Z Guadalupe?
- Tak.

Winifred wtarła krem, po czym zaczęła oklepywać dłońmi wyniszczone nogę Sylvii.

- O ile wiem, to nie.

A wiedziałyby pani?

Winifred wzruszyła ramionami.

Siedemdziesiąt lat temu było inaczej. Niezameżne dziewczęta, które zachodziły w ciążę, brały zioła od *curandero* albo rodziły nieślubne dziecko i oddawały je do adopcji. Większość dziewczyn po prostu rodziła bękarty. Tak czy inaczej, nie mówiło się o tym poza rodziną. Ludzie zajmowali się swoimi sprawami.

Carly nic nie powiedziała. Podejrzewała, że i ona była niechcianym rezultatem krótkiego romansu, czymś, czego trzeba się było jak najszybciej pozbyć. W milczeniu przerzuciła kilka fotografii, Prawie na każdym zdjęciu Senator taksował wzrokiem tę czy inną kobietę.

„Większość dziewczyn po prostu rodziła bękarty”.

Dan miał rację, mówiąc, że na wsi ma się kuzynów pod każdym krzakiem - powiedziała cicho do mikrofonu.

Jeśli Winifred to słyszała, nic skomentowała.

Czy Senator uznał którekolwiek ze swoich pozamałżeńskich dzieci? - zapytała Carly głośniej.

Z bękartów?

Carly skrzywiła się. Na jej gust to Senatorowi należałoby się jakieś dosadne określenie. On miał wybór. Dzieci jego kochanek nic.

- Tak.

Nigdy. Wiedział, co dla niego dobre. Winifred wtarła trochę więcej kremu.

- Chodzi pani o to, że nic chciał sobie rujnować opinii ze względu na swoje ambicje polityczne?

Nie. Ręce Winifred poruszały się energicznie. Trzymał wszystko w tajemnicy, bo wiedział, że moja matka i dziadek obcięliby mu te jego chutliwc jaja. I nie mówię tego w przenośni.

- Chce pani powiedzieć, że nic pochwalali wyboru Sylvii?

Winifred wyprostowała się, przeciągnęła, rozprostowała ręce.

Rodzina wiedziała, w co Sylvia się pakuje. Ona nie. Była w nim zakochana.

- Więc dlaczego wasi rodzice pozwolili na to małżeństwo?

- Z tego samego powodu, dla którego starsza gałąź Castillo wydała jedną ze swoich córek za pierwszego Andrew Jacksona Quintrella w 1865. Dla ziemi. Ród Castillo miał w posiadaniu wielki kawał pierwotnego nadania Oñate. Widzieli, jak ich przyjaciele i kuzyni tracili pola, bo nie rozumieli jankeskiego systemu, w którym płaci się podatki od własności albo traci się ziemię, i w którym każdy poszczególny właściciel płaci podatek od wspólnych terenów. A oni nie mieli pieniędzy, żeby płacić podatki nowemu rządowi w Waszyngtonie.

- Więc Jankes wżeniony w rodzinę był sposobem na poradzenie sobie z nowym systemem?

Winifred kiwnęła głową i znowu pochyliła się nad Sylvią.

- Castillo mieli ziemię, bydło, wodę, konie i pewność, że przejmą to wszystko *Anglos*. AJ. Quintrell miał stosunki, które pozwoliły utrzymać posiadłości nienaruszone, i determinację, by walczyć o nie nawet z bronią w ręku. Ożenił się z Isobel Castillo i resztę życia spędził na scalaniu ziem Castillo.

- Czy to było szczęśliwe małżeństwo?

Staruszka wzruszyła ramionami.

Nikt nigdy nie mówił nic na ten temat. W tamtych czasach ślub brało się dla rodziny, nie dla siebie. Isobel dała pierwszemu Quintrellowi dziedzica i dwie córki. Dziewczyny wydano za Sandovalów z Meksyku. A.J. junior wyrósł na jeszcze lepszego managera niż jego tatuś.

- Więc Castillo dostali, czego chcieli.

Jedna strona. Druga została podstępem pozbawiona prawowitego dziedzictwa. Moja strona.

- Jak to, pani strona? - Carly zmarszczyła brwi, zastanawiając się, co jej umknęło. Szybko sprawdziła baterię dyktafonu, Kiedy Winifred zaczynała mówić, nazwiska, wspomnienia i rodzinne anegdoty sypały się tak szybko, że trudno je było nawet uporządkować, a co dopiero wszystko zrozumieć.

- Isobel miała siostrę, Juanę. Juana wyszła za kuzyna trzeciego stopnia, również Castillo. Przeżyło jedno ich dziecko, Maria.

Carly żałowała, że nie ma przy sobie standardowych arkuszy genealogicznych; mogłaby zacząć wypełniać puste miejsca. Niestety nie planowała zajmować się tego ranka wcześniejszymi pokoleniami. Właśnie dlatego zawsze miała włączony dyktafon; nikt nie był w stanie przewidzieć, jak potoczy się rozmowa.

- Maria ciągnęła Winifred - wyszła za Jankesa, Hale Simmons, lecz było już za późno. Podzielona ziemia przepadła, przejęli ją Quintrellowie. Ale Simmons okazał się równie sprytny jak pierwszy AJ. Quintrell. Wykorzystując koneksje rodów Castillo i Sandoval, założył linię handlową z Meksykiem. Jako że nigdy nie płacił podatków, całkiem nieźle zarabiał na rodzinę.

- • Zaraz powiedziała Carly. - A skąd pochodzą Sandovali?

- Z Hiszpanii i Meksyku, tak jak Castillo. Byli tu jeszcze przed rebelią. - Winifred schowała nogę Sylvii pod koc, wyjęła wychudzoną, bezwładną rękę i zaczęła masować ją energicznie. Od tamtej pory zawarto mnóstwo małżeństw między obydwoma rodzinami. A dla rodziny granica znaczy mniej niż splunięcie.

Carly pomyślała o zmęczonej Lucii Sandoval, z którą rozmawiała zeszłego wieczoru. Ciekawe, czy Lucia jest w jakiś sposób spokrewniona z zepsutym wnukiem Senatora.

- Więc Sandovalowie również należą do pani rodziny - powiedziała.

Nie trać na nich swojego czasu i moich pieniędzy. Mnie obchodzą wyłącznie Castillo. Maria Simmons była moją matką. Matką Sylvii.

Carly poczuła się zdezorientowana, jakby czas pędził wokół niej, wyrzucając nazwiska i wspomnienia. Winifred jednym tchem mówiła o zasiedleniu Meksyku przez Hiszpanów cztery wieki temu i o nadejściu Jankesów po wojnie secesyjnej. W następnym zdaniu wspominała już matkę, jakby historia przepływała przez jej rodzinę tak samo jak geny.

Moja matka, Maria, miała dwoje żyjących dzieci. - Winifred zaczęła gimnastykować kruchą ręką Sylvii, odliczając do czterech. Przytrzymała ją w górze. - Sylvia była pierwszym dzieckiem Marii. Ja byłam ostatnim. Między nami były dwa poronienia i jeden martwy noworodek.

Nim Carly zdążyła o cokolwiek zapytać, rozległo się pukanie. Josh wszedł do pokoju, nie czekając na pozwolenie. Wyraz jego twarzy przypominał Carly, jak się czuła, kiedy Winifred po raz pierwszy otworzyła przy niej słoik cuchnącego kremu i zabrała się do smarowania siostry. Jej nos przestał to już zauważać. Josh nie miał tego szczęścia.

- Boże, co za smród - rzucił przez ściśnięte zęby.

Winifred zignorowała go.

- Dzień dobry, panie gubernatorze - rzuciła Carly, wstając z podłogi.

- Rodzinne zdjęcia? - zapytał Josh, zerkając na fotografie.

- Tak. Panna Winifred...

- Pierze rodzinne brudy - przerwał jej. - W tym jest najlepsza.

- Czego chcesz? - burknęła Winifred. - Jestem zajęta.

Josh spojrzął na blade, obwisłe ciało w jej dłoniach.

- Wyjeżdżam dziś po południu z żoną i synem.

Carly wydało się, że słyszy, jak Winifred mruknęła pod nosem „alleluja”.

- Domyślam się, że nie rezygnujesz ze swojego planu odtworzenia tak zwanej „historii” rodziny - powiedział Josh, wskazując zdjęcia.

Winifred wbiła w niego ciemne, twarde oczy.

Dobrze się domyślasz.

Skóra na twarzy Josha napięła się.

- Nie możesz tego odłożyć nawet o kilka miesięcy?

- Kończę siedemdziesiąt lat. Senator wreszcie umarł. Mam dość czekania.

Carly przesunęła się w stronę drzwi. Nieraz pisała o kłótniach umarłych i żywych, ale wolała nie być bezpośrednim świadkiem awantury.

- Przepraszam - mruknęła.

- Proszę zostać - powiedział Josh.

Znieruchomiała, zmrożona bardziej jego szorstkim tonem niż samymi słowami.

- Moja ciotka nie chce słuchać głosu rozsądku - podjął Josh. - Mam nadzieję że pani go posłucha, dla własnego dobra.

Carly spojrzała na Josha i zobaczyła Senatora w lodowatym błękicie oczu jego syna, w twardej, niecierplivej linii jego ust. To był człowiek przyzwyczajony do władzy. Do egzekwowania swojej woli.

- Nie rozumiem, co pan ma na myśli - odparła neutralnym tonem.

- Niech pani wyłączy dyktafon.

Oczy jej się rozszerzyły, dłoń powędrowała do paska obronnym gestem.

- Proszę - powiedział Josh.

Carly modliła się w duchu, żeby gubernator nic wiedział nic o jej wysokiej klasy sprzeczce. Kciukiem wcisnęła pauzę. Lampki kontrolne zamigotały i zasygnalizowały stan czuwania.

Za pięć sekund dyktafon włączy się znowu.

- Pewnie nie będzie dla pani żadną nowiną, że startuję w wyborach prezydenckich - powiedział Josh - ale dopóki nie ogłoszę tego publicznie, nie chcę, żeby te słowa zostały nagrane.

Carly rozluźniła się.

- Rozumiem. I gratulują panu. To wielki zaszczyt być nominowanym przez partią na najwyższy urząd w kraju.

Uśmiechnął się automatycznie.

- Dziękują. Jeszcze nie zostałem wybrany, ale jestem pewien, że zostaną.

Winifred nabrała kremu i zaczęła wmasowywać śmierzdzącą maź w drugą ręką Sylvii. Mimo nowego głosu w pokoju chora leżała bezwładnie, obojętnie. Jej puste oczy wpatrywały się w połyskujący tajemniczo basen.

- Najbliższe miesiące będą trudne dla mnie i mojej rodziny - powiedział Josh, patrząc Carly w oczy. - Przeciwnicy będą szukać nawet najdrobniejszej grudki błota, żeby mnie nim obrzucić.

Carly kiwnęła głową. Walki w błocie były najmniej atrakcyjną częścią ubiegania się o publiczne stanowiska.

- Po prawyborach i wyborach to nie będzie miało znaczenia - ciągnął Josh ale teraz zbyt wiele osób na mnie liczy, bym miał zaprzepaścić wszystko z powodu zachcianki jednej zgorzkniałej starej panny.

Carly powstrzymała się, by nie spojrzeć na Winifred.

- Moja ciotka nie zgadza się przełożyć publikacji tej tak zwanej historii do czasu, aż będzie po wyborach - powiedział Josh.

Tym razem Carly zerknęła na Winifred, która nie przerywała smarowania, jakby rozmowa nie dotyczyła jej w żaden sposób.

- Zgadza się, ciociu Winifred? - zapytał Josh.

- Tak. - Głos starej kobiety był równie szorstki jak głos gubernatora. - Carly powiedziała, że wszystko będzie gotowe do kwietnia. I nie możesz zrobić nic, by mnie powstrzymać. - Winifred uniosła głowę. Cienie sprawiły, że jej twarz wydawała się jeszcze bardziej kanciasta niż zwykle, a oczy ciemniejsze. - Spisałam testament i honorarium Carly w nim figuruje. Więc nawet jeśli życie opuści mnie z następnym oddechem, historia rodziny Ca>stillo zostanie spisana i opublikowana.

Josh machnął niecierpliwie ręką.

- Dramatyzujesz, jak zwykle. - Zwrócił się na powrót do Carly. - Jeśli wykorzysta pani jakieś informacje o Senatorze, o mnie, mojej żonie czy moim synu, które nie są powszechnie dostępne lub nie zostaną zaakceptowane przeze mnie na piśmie, moi prawnicy zamienią pani życie w piekło.

Zszokowana Carly cofnęła się o krok.

- Widzę, że pani zrozumiała - powiedział. - Nie powstrzymam pani od napisania steku kłamstw, ale mogę dopilnować, by nie dostali ich w ręce moi wrogowie. I dopilnuję.

Wyszedł tak samo nagle, jak się pojawił. Drzwi zamknęły się za nim z trzaskiem.

Winifred zdecydowanym ruchem zatkała słoik z balsamem.

- Masz rację.

Carly zamrugnęła.

- Słucham?

- Kobiety Castillo to za mało. Spiszę listę.

- Jaką listę?

- Miejscowych kochanek Senatora. Niektóre z ich dzieci mogą być braćmi i siostrami gubernatora. Nie możemy ich przecież pominąć w rodzinnej historii, prawda? To by było nie fair. - Oczy Winifred były czarne i puste jak noc.

Carly spojrzała na swoją pracodawczynię, zastanawiając się, w co się właściwie wpakowała.

„Wynoś się z Taos albo to ty będziesz wrzeszczeć”.

Rozdział 18

Taos

Wtorek, popołudnie

Dan położył kolejny arkusz na szklanym łożu skanera, wcisnął guzik i czekał, aż maszyna odprawi swoje czary. Z góry dochodziły odgłosy układania dostarczonego papieru, czy może przesuwania zapasów. Zimne powietrze spływało schodami; drzwi piwnicy stały otworem, by przypomnieć pracownikom krzątającym się na parterze, że obok wejścia w podłódze jest wielka dziura. Chłód sprawiał, że bolała go noga.

Wiedział, że powinien zapomnieć o pożytecznych zajęciach i wrócić do swojego wynajętego domku, by przeczytać najnowsze komunikaty dotyczące sytuacji geopolitycznej. Tylko jego ciało było na zwolnieniu - nie umysł. Szef czekał na raport o sytuacji politycznej w Kolumbii, gdzie narkotykowe pieniądze zamieniły kilku wojskowych watażków w polityków i pozwoliły sfinansować prywatne armie. Kolumbia nie była jedynym krajem pędzącym po równi pochyłej, by stać się „upadłym państwem” - tak nazywano w polityce totalną anarchię, oznaczającą gwałty, zabójstwa, choroby i ruinę dla każdego, kto nie zdołał się w porę wydostać.

To działo się już wcześniej. I stanie się znów. Pif-paf i oto mamy dzieci-kościotrupki przed kamerami telewizyjnych reporterów i cały ten cyrk globalnych katastrof, na którym żeruje medialne prawo do informacji.

Więc co się zmieniło?

Skaner błysnął i zamienił kolejny kawałek przeszłości w elektrony upakowane między mikroskopijnymi płatkami silikonu.

Naprawdę powinienem wracać do pracy.

Powrót do małego ceglanego domu - z ciekącymi kranami i z nieskończonym strumieniem dokumentów, które należało przetrwać, opatrzyć notatkami i odesłać do kogoś, kogo to obchodziło - nie uśmiechał się Danowi. Ale w sumie nic mu się nie uśmiechało. Obudził się dziś niespokojny, zirytowany, nie w sosie. Godzina ćwiczeń rehabilitacyjnych nie poprawiła mu humoru. Nie poprawiło go też piętnaście kilometrów joggingu i marszu.

Widział Carly w każdym promieniu słońca, słyszał jej śmiech w szumie wiatru i tęsknił boleśnie przez cały czas. Wkurzało to niemal tak samo, jak niepokoiło.

- Jestem za stary na erotyczne sny - mruknął, odwracając gazetę na drugą stronę.

- Słucham?

Dan obrócił się na pięcie, gotów do ataku lub ucieczki.

- I kto się teraz podkrada?

Carly zamarła u stóp schodów i powiedziała sobie, że się nie cofnie, niezależnie od tego, jak groźnie Dan wygląda.

Przepraszam. Drzwi na górze były otwarte, bo potrzebowali papieru, a Gus powiedział mi, że siedzisz w archiwum, więc pomyślałam, że nie będzie ci przeszkadzać, jeśli przejrzę jeszcze parę mikrofilmów.

Dan gorączkowo szukał słów wśród mętlika, który zapanował w jego głowie.

- Jasne. Winifred czuje się lepiej?

- Chyba tak.

- Nic widziałaś jej dzisiaj?

- Widziałam. Rano. - Carly zawahała się. Chciała powiedzieć komuś o groźbie, a właściwie obietnicy gubernatora Quintrella, ale nie wiedziała, czy Dan jest odpowiednim „kimś”.

No i jeszcze ten telefon. O tym nie chciała rozmawiać. Żołądek podchodził jej do gardła już na samą myśl.

- Co się stało? - zapytał Dan, podchodząc do niej. - Następny martwy szczur?

- Co? Nie, niezupełnie. - Wrzaski w słuchawce to nie jest martwy szczur, prawda?

- Jak bardzo niezupełnie? - drążył.

Carly skrzywiła się.

- Ktoś do mnie zadzwonił w środku nocy.

Dan znieruchomiał.

- I?

Sapanie, wrzaski, szloch i sugestie, żebym wyniosła się z miasta, zanim dołączę do chóru.

Niedobrze. Mężczyzna czy kobieta?

Wzruszyła ramionami.

- Szepty, wrzaski i szloch dość trudno określić pod względem płci.

- Dlaczego do mnie nie zadzwoniłaś?

- Żeby szeptać, szlochać i wrzeszczeć? - Jej uśmiech był równie bledy jak twarz. Nie chciała wspominać tych krzyków. A już na pewno nie chciała myśleć o tym, co mogło je wywołać.

- Ten pokój nie ma zamka - powiedział Dan ponuro. - Powinnaś była zadzwonić.

- Przesunęłam fotel pod drzwi.

Dan odetchnął.

- No proszę, nie jesteś całkiem naiwna.

- Dziękuję, ale jeśli przyzwyczajenie się do gróźb i krwawych szczurów uchodzi w twoich kręgach za wyrobienie, to wolę być tak naiwna, jak się da i dopóki się da.

Uśmiechnął się słabo i dotknął kosmyka włosów, który kręciła wskazującym palcem.

- Sprawdziłaś numer swojego wielbiciela?

Carly puściła włosy, jakby ją oparzyły.

Automatyczna rejestracja numeru nie została przewidziana w funkcjach tego telefonu. Nawet tarcza nie została przewidziana. Wyłącznie przychodzące rozmowy

Dan pokręcił głową.

- Trzymaj komórkę pod ręką.

- Zawsze trzymam. - Jej dłoń znowu powędrowała do włosów i zaczęła kręcić kosmyk.

- Co jeszcze się stało?

Zamrugnęła.

- Jestem aż tak przejrzysta?

Dan nie miał ochoty wdawać się w dyskusję o tym, jak wyciągał wnioski, kiedy inni wciąż się dziwili, co w nich trafiło, więc po prostu czekał.

Domyślasz się, dlaczego gubernator Quintrell nie chce, żeby historia rodziny została opublikowana? zapytała Carly po chwili.

Dan zaśmiał się ponuro.

- O, tak. Przychodzi mi do głowy parę kwiatków.
- Mówimy o przedawnieniu? Chodzi o kwestie prawne?
- Gdybym miał obstawiać, to właśnie tak.
- Senator?

Jego życie było kopalnią skandali, ale to stare dzieje. Senator nic żyje.

- Właśnie to mnie zastanawiało. Przecież nie da się znieśliwić ani oczernić zmarłego, prawda? Nawet osoby publicznej.

- Nie. Zwłaszcza osoby publicznej.
- A co z żyjącą osobą publiczną?
- To znacznie bardziej śliski temat.
- Tego się obawiałam. Cholera.

Dan czekał, aż Carly powie mu, o co chodzi. Ona jednak przestała kręcić kosmyk włosów, podeszła do szafek z mikrofilmami, wybrała rolkę i usiadła przy czytniku. Choć z przyjemnością patrzył na jej opięte w dzins biodra pod ściągaczem kurtki z Chimayo, wolałby, żeby mówiła dalej.

Wiedział, że Carolina May będzie miała kłopoty. Nie wiedział tylko, kiedy i skąd nadejdą.

I w którymś momencie tej długiej, nieprzespanej nocy zrozumiał, że nie pozwoli, aby sama stawiała im czoło. Kiedy zacznie się prawdziwy kocioł, on będzie przy niej. Nie podobało mu się to, ale znał siebie na tyle, by wiedzieć, że czas przestać się szamotać i możliwie najlepiej rozegrać tę sytuację, o którą nie prosił.

Musiał jej pomóc. Pokusa, żeby zrobić z nią choć kilka z tych rzeczy, które nie dawały mu zasnąć, pomogła mu podjąć decyzję. A przynajmniej trochę ją osłodziła. To zaś oznaczało, że należy zmienić taktykę.

- Więc gubernator kazał ci się wycofać - powiedział.

Jej głowa podskoczyła do góry.

- Skąd wiesz?
- Twoje pytania i język ciała, mieszanina gniewu i niepokoju w tych twoich pięknych dymnozłoty oczach.

Carly nie wiedziała, czy jej szczęka naprawdę walnęła o biurko, czy tylko tak jej się zdawało. Słowa i pieszczotliwy ton jego głosu zszokowały ją i przyspieszyły bicie jej serca.

- Teraz już wiem, skąd wzięły się legendy o kosmitach przejmujących ciała Ziemi.

Dan uśmiechnął się.

Kontrast między szorstkim czarnym zarostem i tym pięknym, nieoczekiwanym, szerokim uśmiechem sprawił, że serce jej się ścisnęło. Był synem swojej matki i miał uśmiech, który mógłby stopić lodowiec.

- Boże, nie rób tego - rzuciła ochryple. - Zacznę się ślinić i narobię sobie obciachu.

- Czego mam nic robić?
- Uśmiechać się. Na pewno wiesz, że jesteś boski, kiedy się uśmiechasz. Kąćki jego ust podjechały do góry.
- Nikt mi o tym przedtem nie wspominał.

Carly potrząsnęła mocno głową, jak po wyjściu z zimnej wody. Czerwone wypieki wystąpiły jej na policzki. Opadła na krzesło.

- Pan wybacz, ale usiądę na chwilę i pozbięram swoją szczękę z podłogi. Dan podszedł do krzesła, przysiadł przed nią na piętach i zapytał:
- Potrzebujesz pomocy?

Roześmiała się mimo zażenowania.

Dotknął jej zaczerwienionego policzka z delikatnością, od której zaparło jej dech.

- Wszystko w porządku - powiedział. - Miło wiedzieć, że ci się podobam. Nawet bardzo miło.

- Och, daj spokój rzuciła, patrząc na jego ciemne, gęste włosy. Ręce ją swędziały, by przeczesać je palcami. A co do jego ust... Nie, nawet o tym nic myśl. - Musisz być przyzwyczajony do kobiet, które podstawiają ci nogę i rzucają się na ciebie na podłodze.

Pokręcił głową.

- W takim razie chyba mieszkałeś w klasztorze.
- Zaraz się przez ciebie zaczerwienię.
- To ja będę sprzedawać bilety - odgryzła się.

Znow się uśmiechnął.

Podobasz mi się, Carolino May. - Musnął ustami jej wargi. - Bardzo mi się podobasz. Chcesz się przekonać, czy coś z tego wyniknie?

- Nic tracisz czasu, co?
- Nie. - Jego uśmiech zniknął. - Mój czas nie należy do mnie.

Była zbyt zdumiona, by odpowiedzieć.

- Wszyscy żyjemy w pożyczonym czasie - dodał. - Tyle że większość ludzi tego nie zauważa. - Wziął ją za ręce. Miała zimne palce, więc zaczął je delikatnie rozcierać w dłoniach. - Opowiedz mi o gubernatorze Quintrellu.

Ciepło dłoni Dana i żar w jego oczach były kolejną pieszczotą. Intrygował ją od pierwszej chwili. A minęło wiele czasu, od kiedy czuła się przy jakimś mężczyźnie kobietą.

- Gubernator. - Jej głos był ochryply. Odchrząknęła. - Nie chce, żeby w historii rodziny znalazło się cokolwiek, czego sam nie zaakceptuje na piśmie.

Melodyjny gwizd Dana był równie niespodziewany i równie uwodzicielski jak jego uśmiech.

- Oszczerstwo, zniesławienie i prawnicy?
- Tak. A ja nie znam nawet różnicy między oszczerstwem i zniesławieniem.

Oszczerstwo to naruszenie dobrego imienia w mowie. Zniesławienie to samo, tyle że na piśmie lub z pomocą fotografii.

- Jesteś prawnikiem?
- Nie. Zawiedziona?

Uśmiechnęła się blado.

- Raczej mi ulżyło. Najgorsza randka, jaką miałam kiedykolwiek, była z prawnikiem. Druga na liście też. Myślisz, że gubernator Quintrell położył tego szczura na mojej poduszce, a potem wykonał telefon z pogrozkami, kiedy nie zviałam od razu?

- Telefon być może. Można ściągnąć wszelkie efekty dźwiękowe z Internetu i odtworzyć je w dowolnym miejscu i o dowolnej porze. Ale szczur... - Dan pokręcił głową. - Nie wydaje mi się. Nic twierdzą, że gubernator nie jest dość wredny, ale ludzie zauważają go, gdziekolwiek idzie. Nie ryzykowałyby przyłapania z zakrwawionym szczurem w kieszeni.

- Mógł to komuś zlecić.

Dan przypomniał sobie ochroniarzy, których widział w kuchni. Któryś z nich mógł wyciągnąć szczura z humanitarnej pułapki, wypatroszyć go i podrzucić na poduszkę Carly. Ale ledwie o tym pomyślał, znów pokręcił głową.

- Mało prawdopodobne - stwierdził.
- Dlaczego?

- Bo to by dało chłopcu na posyłki haka na gubernatora.

Carly przemyślała sprawę i przytaknęła.

- Względy praktyczne, a nie etyczne, tak sądzisz?
- Politycy to bardzo pragmatyczna banda. - Dan wstał, krzywiąc się lekko.

- Twoja noga - powiedziała Carly.

- Czy gubernator jeszcze coś ci powiedział?

- Chyba rozumiesz - podeszła do niego, naruszając jego przestrzeń osobistą tak samo, jak on naruszył jej - że cokolwiek dzieje się między nami, nie zajdzie daleko, jeśli będziesz ignorował proste pytania.

Przez chwilę znów patrzył na nią wzrokiem obcego człowieka. W końcu mruknął coś pod nosem, westchnął i powiedział:

- Zaliczyłem dziś rano sporo FT.

- Fizjoterapii?
- Tak. - To mogło oznaczać także fizyczny trening specjalnego typu. Ale nie chciał tego tłumaczyć małej historyczce o niewinnych oczach. Wzmacnia nogę i boli jak jasna cholera.

- Na który wulkan się wspinałeś?

- Na niewłaściwy. Carly, chcę ci pomóc.

Miała taką minę, jakby chciała spytać, gdzie i w jaki sposób został ranny. Nagle kącik jej ust podjechał do góry w półuśmiechu.

- Pomóc mi? Nigdy dotąd nic słyszałam, żeby ktoś tak to nazywał.

Dan zachichotał.

- Do diabła, ale ty na mnie działasz. Myślałem, że już nic nigdy na mnie nie zadziała. - Nim zdążyła zapytać, co miał na myśli, spytał: - Co powie-dział ci gubernator?

- Że jeśli opublikuję cokolwiek bez jego zgody, jego prawnicy zamienią moje życie w piekło.

Dan uniósł brwi.

- Tak po prostu?

- Tak. I nie buchał pozytywnymi emocjami, kiedy to mówił. Nagrałam go, jeśli to ma jakieś znaczenie.

- Może mieć. Posłucha ,tego, kiedy będziemy jedli kolację.

- Dzisiaj? - zapytała.

- Jasne. Chyba że masz inne plany?

- Przeglądania notatek nad krakersami z serem nie można uznać za plany.

- Czy Winifred dopilnowała, żebyś dostała śniadanie i lunch?

Tak się składa, że lubię ser i krakersy. A także orzeszki, i rodzyнки.

- To brzmi jak wojskowe racje energetyczne. Niewielkie objętościowo i dobrze się przechowują bez lodówki. Łatwiejsze do zjedzenia i bardziej pożywne niż wąż.

- Byłeś żołnierzem?

- Z twojej obecności w archiwum wnoszę, że nie zamierzasz się wycofać ze zlecenia Winifred.

Carly bez mrugnienia okiem przyjęła zmianę tematu. Rozmowa z Danem wymagała umysłowej giętkości.

- Podpisałam umowę. I zamierzam jej dotrzymać, chyba że panna Winifred każe mi się wycofać.

Roześmiał się szorstko.

- Na to raczej nie licz.

- Nie liczę. A tak w ogóle, to co Winifred ma do gubernatora?

- Nie wiem.

- Zadowolę się plotkami.
- Mimo to nie potrafisz ci pomóc. Może Lucia by mogła. - Albo jego matka, gdyby zdołała ją skłonić do mówienia o przeszłości. - Służące dużo słyszą. Ludzie są tak przyzwyczajeni do ich obecności, że nikt ich nie zauważa.

Wziął Carly za rękę i poprowadził do schodów.

- Alma na pewno mi nie pomoże - powiedziała, wchodząc w strumień zimnego powietrza,
- Dlaczego?
- Nie lubi mnie od pierwszej chwili.
- Dziwne.

Dziedziniec był nagi, z wyjątkiem kilku placków śniegu w cieniu. Ostatnie letnie chwasty, brązowe i zgniecione, leżały na mokrej ziemi, Słońce starało się, jak mogło, ale zbliżała się kolejna śnieżycy. Dan otworzył tylne drzwi redakcji.

- Może Alma złości się, bo ma więcej roboty - spekulowała Carly. - Choć nie przybyło jej zbyt dużo obowiązków. Wszystko w tym domu muszę robić sama.

- Co na to Winifred?

- Nie powiedziałaś jej. Ma dość problemów ze swoją siostrą. Carly pokręciła głową na wspomnienie wynędzniałego ciała utrzymywanego przy życiu wyłącznie dzięki determinacji Winifred.

Dan otworzył frontowe drzwi biura gazety. Dąsy pokojówki dopisał do całego szeregu faktów, które miały miejsce, od kiedy stojąc na grani, patrzył na pogrzeb swojego dziadka.

Nie chciał ponownie angażować się w życie i znów kierować się uczuciami zamiast rozsądkiem. Ale Carly nie dała mu wyboru. Nie wiedział, czy to dobrze czy źle - wiedział tylko, że to się dzieje.

Jej terenówka była zaparkowana w połowie drogi do następnej przecznicy, w jednej z wąskich uliczek, które gęstą siecią przecinały Taos. Dan wziął Carly za rękę i ruszył w tę stronę.

- Jesteś pewna, że nie chcesz się wycofać? - zapytał.
- Tak.

Nie wyczuł w jej głosie wahania ani słabości.

- Fatalnie, że w twoim pokoju jest tylko jedno łóżko. Chyba że wolałabyś spać u mnie?

Carly zatrzymała się i spojrzała na niego.

- Czy ty sobie nie za dużo wyobrażasz?
- Nie. To ty wyobrażasz sobie za mało.

Co masz na myśli?

- Zakładasz, że martwy szczur i telefon z pogrozkami to najgorsze, co cię spotka. - Patrzył, jak jej zagniewana twarz blednie, kiedy nareszcie zrozumiała. Więc u mnie czy u ciebie?

- Dlaczego to robisz? - zapytała.

- Co robisz?

- Pomagam ci.

- Byłaś jedynym żywym akcentem na pogrzebie Senatora. Życie jest cenne, Carolino May. Ty uważasz je za pewnik. Ja nie.

Nie wiedziała, co powiedzieć, więc szła za nim w milczeniu, zastanawiając się, jak to możliwe, że jego dłoń jest taka ciepła, a jej tak zimna.

Nagle Dan zatrzymał się i wymruczał pod nosem coś naprawdę paskudnego-

Carly podążyła wzrokiem za jego spojrzeniem. Jej wóz stał dziwnie przekrzywiony, jakby był zaparkowany na schodach.

Z początku myślała, że ktoś spuścił powietrze z opon. Potem zorientowała się, że trzy opony zostały pocięte. Strzępy bieżnika były porzucane dookoła jak kawałki czarnego mięsa. Przednia szyba była usmarowana czerwoną farbą. Kiedy zajrzała przez otwarte drzwi, zobaczyła kałużę krwawej farby na przednim siedzeniu.

Na siedzeniu kierowcy.

Przełknęła ślinę.

- U ciebie. Jeśli mnie jeszcze chcesz.

Rozdział 19

Taos

Wtorek, popołudnie

Tymczasowa siedziba szeryfa była o wiele nowsza niż turystyczna część Taos. Podwójnie szeroka przyczepa kempingowa stała na pustej działce, przeznaczonej przez władze miasta do najróżniejszych celów, cywilnych i policyjnych. Biurko szeryfa było wciśnięte w kąt przyczepy. W pomieszczeniu zapchany biurowymi meblami w najróżniejszym wieku nic zostało miejsca na przepierzenia, które zapewniłyby choć iluzję prywatności.

Carly skrzywiła się.

- Jesteś pewny, że potrzebujemy szeryfa? Może raczej miejskiej policji? Na pewno mają lepsze kwatery.

- Ale szeryf ma większe terytorium.
- Mój samochód stoi w granicach miasta.
- Incydent ze szcurem miał miejsce na terenie hrabstwa. Tak jak groźba gubernatora. I telefon. Ja bym zaczął od szeryfa i pozwolił mu koordynować śledztwo. Poza tym szef policji jest jego powinowatym. Co wie jeden, wie i drugi.

- Właśnie tego mi trzeba - mruknęła Carly. - Ogłosić wszem i wobec, że jakiś świr mnie prześladowa.

- Może kiedy się rozejdzie, że zawiadomiłaś gliny, ten kutas się zastanowi, zanim znów wytnie jakiś numer.

- Nic szkaluj męskich narządów płciowych. One są przynajmniej użyteczne.

Uśmiech błysnął na twarzy Dana.

Przejścia między biurkami były tak wąskie, że w paru miejscach Carly musiała stanąć bokiem, żeby się przecisnąć. Hałas, robiony przez dyspozytorkę przy radiu i odpowiadających jej funkcjonariuszy, przypominał zgrzytanie pilnika o metal. Biedna kobieta musiała obsługiwać trzy mikrofony naraz.

- ...miejsce zajścia z ofiarą. Będziemy potrzebowali śmigłowca, żeby ściągnąć go z góry, zanim...

Dyspozytorka notowała pospiesznie, jednocześnie mówiąc do drugiego mikrofonu coś o zakłóceniu porządku pod wpływem alkoholu w innym miejscu. Odezwał się trzeci głośnik.

- ...proszę o wsparcie na trasie...

W oddali rozległo się wycie syreny straży pożarnej, ambulansu albo radiowozu. A może wszystkich trzech.

- Straszny kocioł - powiedziała Carly.

- Zawsze jest kocioł, kiedy się ma za mało ludzi - odparł Dan.

Szeryf Mikę Montoya był potężnym mężczyzną grubo po czterdziestce, sądząc po szpakowatych włosach i sporym brzuchu. Na jego szerokim skórzanym pasie była: latarka, kajdanki, klucze, wielki gną i jeszcze parę gadżetów, których Carly nie potrafiła zidentyfikować. Gdyby sędzić cokolwiek po zaciętej minie szeryfa, miał mentalność łańcuchowego pitbuli.

Przy najbliższym biurku, opatrzonym nazwiskami trzech funkcjonariuszy, stały puste krzesła.

- Nic dziwnego, że tak wrednie wygląda - mruknęła Carly do Dana. - Został tu sam, żeby użerać się z gawiedzią, a i tak nie może zakaszleć, nie plując do czyjejs kawy.

- Tak. Widziałem luźniejsze cele więzienne.

- Naprawdę?

Zignorował jej pytanie i podszedł do mężczyzny przy biurku.

- Witam, szeryfie. Dyspozytorka powiedziała nam, że mamy przyjść prosto do pana, bo nie ma nikogo innego, kto mógłby przyjąć zgłoszenie.

- Kopę lal, Duran - mruknął Montoya. Jego ton wskazywał, że tych lat było jeszcze za mało.

- To jest Carolina May - rzekł Dan.

- To pani jest tą kobietą, którą wezwała Winifred Simmons? - zapytał szeryf.

Carly skinęła głową.

Radiostacja w tle wciąż wypluwała urywane zdania rozmów funkcjonariuszy z dyspozytorką. Carly odcięła się od tych dźwięków i skupiła na szeryfie.

- Co się stało? - zapytał ją Montoya.

- Zaparkowałam samochód w uliczce, zgodnie z przepisami, a kiedy wróciłam, okazało się, że ktoś pociął trzy opony i wysmarował wewnątrz czerwoną farbą.

Szeryf wymamrotał po hiszpańsku coś, co po angielsku byłoby mocno niecenzuralne.

- *Hijo de la chingada.*

Carly miała ochotę odpowiedzieć na ten bluzg czymś z własnego repertuaru, ale rozmyśliła się. Szeryf miał dość na głowie i bez dodatkowego kłopotu w postaci pyskatej dwujęzycznej Jankeski.

Poza tym Dan i Montoya mieli ze sobą jakieś własne porachunki, których nie rozumiała. A dopóki nie rozumiała, postanowiła być grzeczną, chętną do współpracy petentką.

- W granicach miasta? - zapytał szeryf.

- Tak.

- Musi pani iść do policji miejskiej.

Carly spojrzała na Dana.

- To część serii incydentów, która zaczęła się na ranczu Quintrellów. A to już terytorium hrabstwa - wyjaśnił Dan. - Zaoszczędźmy więc dublowania papierkowej roboty i potraktujmy to jako sprawę hrabstwa, a wieczorem przy piwie opowie pan o wszystkim szefowi policji z Taos.

Montoya spojrzał złowrogo na Dana, po czym wstał, podszedł do pustego biurka i zaczął grzebać po szufladach, aż znalazł odpowiedni formularz. Wrócił do własnego biurka i wskazał gestem puste krzesła, na których siadali jego zastępcy, gdy nie byli akurat na patrolu.

Carly i Dan usiedli, zderzając się łokciami i kolanami. Odpowiedzieli cierpliwie na standardowe pytania, podczas gdy szeryf wypełniał formularz. Kiedy skończył, spojrzął na nich.

Co zaszło na ranczu? - spytał.

Carly wmawiała sobie, że Montoya jest po prostu zmęczony, a nie znudzony czy obojętny. Choć nie miała do niego pretensji, że nie był szczególnie podekscytowany. Ze słów padających staccato z radiostacji dyspozytorki wynikało jasno, że miał na głowie o wiele ważniejsze rzeczy niż obrzydliwe dowcipy.

- W poniedziałek wieczorem powiedział Dan - ktoś podrzucił jej na poduszkę w domu gościnnym Senatora wypatroszonego szczura.

Szeryf spojrzął na Dana spod zmrużonych powiek i rzucił szorstko:

Nie przypominam sobie, żebym czytał raport na ten temat.

- Zbagatelizowałam sprawę - wyjaśniła Carly. - Pomyślałam, że to jakiś dzieciak zrobił psikusa przyjezdnej kobiecie. Ale po tym telefonie i...

- Po jakim telefonie? zapytał szeryf.

Ktoś puścił jej przez telefon symfonię wrzasków i szlochów i powiedział, że jeśli nie wyjedzie z miasta, będzie następna.

- Dolna szuflada, niebieska teczka - powiedział Montoya bezbarwnym tonem, patrząc na Dana. - Potrzebuję więcej formularzy.

Dan otworzył szufladę, odszukał teczkę i wyciągnął czyste arkusze.

Szeryf wziął je bez słowa, przepisał dane osobowe z pierwszego formularza i zaczął zadawać pytania. Kiedy skończył pisać, odsunął się od biurka i odruchowo sięgnął po paczkę papierosów. Nagle przypomniał sobie o zakazie palenia i znów zaklął po hiszpańsku.

- Kto wiedział, że pani przyjeżdża do miasta? zapytał Carly.

- Zakładam, że wszyscy domownicy wiedzieli - odparła Carly.

To mi niewiele pomoże. Kto był w domu w czasie, kiedy ten szczur przy lazył i zdechł w pani łóżku?

- Ten szczur nigdzie nie łąził - sprostował Dan. - Został wypatroszony na jej poduszce. Był jeszcze ciepły i nie miał skręconego karku, co znaczy, że chwilę przedtem wyjęto go z pułapki.

Montoya spojrzął na Dana.

- To ty pierwszy wszedłeś do pokoju, zgadza się?

- Tak.

- Czy ona była z tobą?

Nie.

- Więc ty mogłeś to zrobić.

- Przepraszam, szeryfie - wtrąciła Carly, nim Dan się odezwał. - Zauważyłabym, gdyby miał w kieszeni trzydziestocentymetrowego żywego szczura, kiedy szedł ze mną do pokoju. Albo trzydziestocentymetrowego martwego szczura.

Szeryf zacisnął usta.

- I dlaczego Dana miałoby obchodzić, że panna Winifred mnie zatrudniła? - dodała Carly niezrażona.

- Jego może nie, ale jego matkę na pewno.

- Dlaczego?

- Ona i Senator byli rodziną.

- Bzdura - odparł Dan spokojnie. Senator wyrzucił Lizę, zanim urodziła mamę.

- Tak mówią. - Szeryf rzucił formularze na stertę papierów na biurku obok, - Jeszcze coś? - zapytał.

Może pocałuj się w dupę? pomyślał Dan.

Ale nie powiedział tego głośno. Znał lepsze sposoby spędzania czasu niż użeranie się z szeryfem hrabstwa Taos,

Rozdział 20

*Ranczo Quintrel'ów
Wtorek, popołudnie*

A Jim Snead? - zapytała Melissa, przysiadając na brzegu biurka Josha. - Chce pan go zatrzymać?

Josh spojrzął na listę personelu i wzruszył ramionami.

- Zatrzymaj go. Nie kosztuje wiele, a jest świetnym strzelcem.

- Blaine? pytała dalej.

- Nie wiedziałem, że bliźniak Jima jest na naszej liście płac.

- Nie na pełny etat. Tylko kiedy potrzebujemy dodatkowej pary rąk do różnych robót albo do załatwiania sprawunków w mieście. Blaine miał ciężkie życie. Pomagamy mu, kiedy się da. Pan tego nie pamięta, bo rzadko pan tu bywał, ale on się właściwie wychował na ranczu. Jak my wszyscy. Było naprawdę wesoło. - Melissa uśmiechnęła się, przypominając sobie, jak włożyła się z bliźniakami, kiedy zakradali się do cudzych sadów. - W każdym razie Blaine przydaje się do różnych drobiazgów.

Josh zmarszczył brwi, rozważając polityczne konsekwencje zatrudnienia przestępcy. Miało to złe strony, ale podkreślało jego liberalny wizerunek.

W powietrzu rozległ się odgłos śmigłowca lecącego nad doliną.

Josh machnął niecierpliwie ręką.

- Dopóki Blaine nie pokaże się zachlany czy naćpany, możesz go zatrudnić. Jeśli to zrobi, pogoń go.

- Rozumiem. Melissa zrobiła notatkę na marginesie listy. A co z pokojówkami i kucharką?

Szyby zadzwoniły, kiedy śmigłowiec wylądował.

- Ty zajmij się służbą - odparł Dan. - Po to zatrudnił cię Senator. Dopóki nie zdecyduję o sprzedaży rancza, zdam się na twój osąd.

Melissa uśmiechnęła się.

Dziękuję. Chce się pan jeszcze zobaczyć z Pctc'cm?

- A znalazł coś na temat tych fundacji?

- Pracuje nad tym.

- Świetnie. Jak tylko coś znajdzie, chcę o tym wiedzieć. Będę potrzebował każdego grosza na kampanię.

- Rozumiem, panie gubernatorze.

Josh wstał i wyszedł z pokoju energicznym krokiem człowieka o połowę młodszego. W rodzinie Quintrellów zdarzały się odchylenia od normy, ale ci, którzy przetrwali, cieszyli się długim, zdrowym życiem. Szedł szybko przez korytarze i pokoje, nie zauważając bogatych, gustownych wnętrz. W przeciwieństwie do jego dworku w Santa Fe, który był istną wystawą dzieł najlepszych artystów i rękodzielników z Nowego Meksyku, wystrój rancza nie pozostawał pod wpływem żadnej lokalnej tradycji artystycznej.

Josh zastukał do drzwi apartamentu Sylvii i otworzył je, nie czekając. Nie po raz pierwszy wchodząc tutaj, poczuł się, jakby cofnął się w czasie. Najmłodszy mebel w pokoju miał trzydzieści lat. Większość miała znacznie więcej. Tylko sprzęt medyczny był współczesny.

Winifred jak zwykle siedziała w fotelu przy łóżku siostry, trzymając jej bezwładną dłoń. Puste oczy Sylwii patrzyły na drzwi, nie skupiając się na niczym. Powoli jej głowa odwróciła się do okna, za którym migotały światła basenu.

- Wyjeżdżamy - powiedział Josh do ciotki.

Tylko na niego spojrzała.

- Uważaj, co pozwolisz wydrukować swojej historyczce - przypomniał

- Do widzenia, gubernatorze. Poproś Melissę, żeby... A, oto i ona.

- Właśnie szłam do pani zająrzeć - powiedziała Melissa. - Życzy sobie pani herbatę i ciastka?

- Tak. I trochę tej zupy, którą jedliśmy na lunch, jeśli jeszcze coś zostało. Josh bez słowa odwrócił się i wyszedł.

Winifred śledziła go wzrokiem, dopóki nie zniknął w korytarzu. Gdy dźwięk jego kroków wtopił się w leniwy odgłos łopat śmigłowca, przeniosła spojrzenie na Melissę.

- Co on zamierza zrobić? - zapytała bez ogródek.

- Na razie nic.

Winifred odetchnęła chrapliwie.

- Jest sprytniejszy, niż myślałam.

- Niech pani nie liczy na to, że wszystko zostanie po staremu.

- Myślisz, że sprzeda ranczo?

Melissa kiwnęła głową.

- Po moim trupie - odparła Winifred i zaniósła się kaszlem.

Melissa spojrzała na bezwładny kształt na łóżku. Albo po jej trupie, pomyślała.

Ale nie powiedziała tego głośno.

Rozdział 21

Taos

Wtorek, południe

Kiedy Carly wyszła z tymczasowej kwatery szeryfa, górskie słońce prześzyło jej oczy jak nóż. Potknęła się, ale sama odzyskała równowagę, ignorując wyciągniętą rękę Dana.

Dan przystanął na chodniku i wyjął z kieszeni kurtki komórkę. Zadzwonił do miejscowego warsztatu i polecił, żeby ktoś przyjechał po samochód Carly. Ona szła dalej, nie oglądając się.

Dan skończył rozmowę i dogonił Carly, zanim dotarła do najbliższej przecznicy.

- Powiesz mi, dlaczego jesteś wściekła? - zapytał.

- Dobrze wiesz, dlaczego.

- Pewnie tak, ale wolałbym nie zgadywać.

- Dlaczego mi nie powiedziałaś, że jesteś spokrewniony z Senatorem? - zapytała ostro. - Wiedziałaś, że badam...

- Winifred zatrudniła cię do zbadania historii rodziny Castillo - przerwał jej. Nie bardzo rozumiem, w jaki sposób ma to dotyczyć mojej matki.

- Jest częściowo Castillo.

- Winifred nic widzi tego w ten sposób. Ją obchodzą tylko Castillo z przeszłości, nie ci żyjący.

Carly chciała się sprzeciwić, ale nie mogła. Dan miał rację. Winifred ani razu nie wyraziła zainteresowania gubernatorem czyjego synem, choć krew Castillo płynęła w nich tak samo, jak krew Quintrellów.

- A ciebie interesuje tylko terazniejszość - powiedziała.

Dan wzruszył ramionami i skierował Carly w stronę swojej furgonetki.

- Rzeczy dzieją się w terazniejszości. Jak na przykład holowanie twojego samochodu do warsztatu na łatanie butów i kąpiel w rozpuszczalniku.

- Co za bzdury.

Dan otworzył drzwiczki furgonetki.

- Nie chcesz, żeby ci naprawili samochód?

Wsiadła, ignorując zmianę tematu. Kiedy tylko Dan zapalił silnik, zaczęła:

- Jesteś za mądry, by wierzyć, że terazniejszość wynalazła się sama bez żadnej pomocy przeszłości.

- A ty jesteś za mądra, by wierzyć, że przeszłość jest ważniejsza niż dzisiejsze możliwości.

Skręcił i ruszył w stronę swojego wynajętego domku.

Carly mruknęła coś pod nosem i opadła na oparcie siedzenia. Poczula się nagle dwa razy starsza.

- Chyba nie sądziłeś, że nie obejdziesz mnie to, kim jest twoja matka.

- Jest moją matką, żoną Johna i dobrą kobietą, która pomogła wielu dzieciakom wyrosnąć na wartościowych dorosłych. Oto kim jest. Koniec, kropka.

Zwolnił za wiekowym pikapem załadowanym stertą wierzbowych tyczek. Z rury wydechowej buchnął czamogranatowy dym, kiedy pikap skręcił w prostopadłą ulicę. Ładunek na pace zatrząsnął się i przesunął pod przytrzymującą go linką. Okorowane tyczki miały od półtora do dwóch metrów długości i były grube na jakieś trzy centymetry. Ludzie w dolinie używali takich tyczek do budowania ogrodzeń od tysiąca lat.

- Fakt, że moja babka ze strony matki była patologiczną kłamczucha i ćpunką, która puszczała się za działkę, nie ma najmniejszego znaczenia - dodał Dan. - W każdym razie dla mnie i dla wszystkich w tym mieście, którzy mnie obchodzą.

Dodał gazu na prostej ulicy.

Carly przygryzła wargę. Myśleć o Lizie Quintrell jako o czarnej owcy to jedno. Zupełnie czym innym było myślenie o niej jako o babce Dana, matce jego matki. \

- Przepraszam powiedziała.

Za co? To było dawno i nieprawda, a poza tym ta dziwka nie żyje.

- Rany. Znałeś swoją babkę?

- Nie. Zanim przyszedłem na świat, zamordował ją jakiś świr naćpany anielskim pyłem. Mama opuściła dom, kiedy miała czternaście lat. Wyszła za tatę jako szesnastolatka. Ja urodziłem się tuż po ślubie.

- Dlaczego odeszła?

Widocznie uznała, że to lepsze, niż zostać z tym czymś, czym stała się jej matka.

- Czy Senator pomagał twojej mamie?

Dan wzruszył ramionami.

- Nic mi o tym nie wiadomo.

Carly czekała.

- Moja mama nienawidzi Senatora tak bardzo, że nic pozwala, by jego imię wypowiedano w jej domu - powiedział w końcu Dan. Tato uważa, że to przez to, jak traktował jej matkę. Lubieżny sukinsyn nie potrafił znieść, że jego córka puszcza się z każdym facetem, któremu staje. I nie mógł znaleźć miejsca dla czternastoletniej wnuczki na ranchu wielkości stanu Delaware. - Wzruszył ramionami. Do niego to nie przemawiało, ale nie przeżył tego, co przeżyła jego matka. Niech im będzie. Mama nie mówi o swojej matce, o Senatorze ani o tym, jak wyglądało dzieciństwo córki psychopatki, narkomanki i dziwki.

Carly westchnęła. Była ciekawa, jak czternastolatka zdołała się utrzymać, dopóki dwa lata później nie wyszła za męża. Uznała jednak, że o to nie zapyta. Miała dość chodzenia na palcach po polu minowym, jakim była rodzina Dana.

Przynajmniej na razie,

Dan skręcił w wąską boczną dróżkę, która kończyła się pod płotem z wierzbowych tyczek powiązanych drutem. W przeciwieństwie do tyczek na furgonetce te były poszarzałe i powykrzywiane; nie znalazłoby się dwóch takich samych. Na podwórku nie było garażu, nawet wiaty.

Nie czekając na Dana, Carly wysiadła z samochodu i rozejrzała się ciekawie dookoła. Najbliższe domy były daleko, oddzielone od domu Dana kilkoma dużymi pastwiskami. Śnieg pokrywał pola w zacienionych miejscach i topniał na nieutwardzonych drogach. W tej chwili wiatr był tylko odnym westchnieniem spływającym z poszarpanych szczytów, ale

doświadczenie z Gór Skalistych mówiło jej, że podczas burz jest dziki i potężny. Jeśli nie liczyć kilku zrujnowanych zabudowań - reliktyw minionych gospodarskich czasów - domek Dana samotnie stawiał czoło górą i wiatrowi.

Nagle Carly zauważyła, że dom nie jest całkowicie samotny. Nad domem i dużą częścią pobliskiego pastwiska rozpościerała grube nagie gałęzie topola. Choć drzewo nie mogło mówić, widziało, jak lata przemijają wraz z porami roku. Było głęboko zakorzenione w przeszłości, rosło w teraźniejszości, a jego silne gałęzie już sięgały po nadchodzącą wiosnę.

Nie zwracając uwagi na śnieg i błoto pod nogami, podeszła do drzewa, położyła gołe dłonie na szorstkiej, pobrużdżonej korze i zamknęła oczy. Kiedy znów je otworzyła, Dan stał tuż obok.

Carly roześmiała się, skrępowana.

- Wspominałam już, że lubię drzewa?

- Wszystkie? Czy tylko wyjątkowe, jak to?

- Ty też to czujesz?

- Dlatego wynająłem ten dom, z dziurawym dachem, ciekącymi kranami i całą resztą. Poczuję tu coś. Może spokój. Nie wiem, Wiem tylko, że przebywając w pobliżu tej topoli, czułem się lepiej.

Carly pomyślała o wszystkich znanych sobie mężczyznach, ale wiedziała, że żaden nie poczułby ducha tego drzewa tak wyraźnie, nie mówiąc już o przyznaniu się do tego. Z westchnieniem pozwoliła, by wyparowały z niej resztki gniewu na Dana.

- Nic jesteś już zła? - zapytał.

- Zbyt łatwo odgadujesz moje myśli.

Uśmiechnął się i ruszył do drzwi.

- Chodź. Moje chili nie jest tak dobre jak mamy, ale odklei ci żołądek od kręgosłupa.

- Będę zadawać pytania - ostrzegła.

- Dzięki temu wiem, że oddychasz.

- Zamierzasz na nic odpowiadać?

- Nic wiem, - Włożył klucz do zamka, otworzył ciężką zasuwę i pociągnął za klamkę z kutego żelaza.

- Sporo czasu spędzasz na niewiedzeniu - powiedziała.

- To jedna z moich specjalności.

Wprowadził ją do pokoju służącego za salonik. Wyposażenie było skromne i mocno zniszczone. Kanapa, której wytartą tapicerkę przykrywał kilim Indian Navaho, bodaj tak stary jak sam dom, fotel z giętego drewna przykryty kolejnym starym kilimem i metalowe stojące lampy, których lakier był

miejscami skorodowany, a miejscami kompletnie wytarty, sterczące z podłogi jak zmęczone maszty.

Oczy Carly obiegły maleńki narożny kominek, karciany stolik i dwa plastikowe ogrodowe krzesła. Na spaczoną drewnianą podłogę rzucono kilka prawie łysych krowich skór. Na ścianach wisiało więcej kilimów. Pokój był na tyle zagracony, by robić wrażenie przytulnego.

Okna zostały podłączone do systemu alarmowego.

Tak samo jak drzwi.

Dan obserwował twarz Carly rozglądającej się po skromnym pokoju. Czekał, aż zacznie zadawać pytania.

- Jak na człowieka, którego nie interesuje przeszłość, sporo jej masz w swoim otoczeniu - powiedziała.

- Mieszkania w mieście są zbyt hałaśliwe. Poza tym to było umeblowane. Spojrzenie, które mu posłała, mówiło wyraźnie, że nie kupuje tego wyjaśnienia.

- Daj mi chwilę, zanim pokażę ci resztę domu - poprosił.

Zaciekawiona patrzyła, jak otwiera drzwi na drugim końcu pokoju, naprzeciwko maleńkiej kuchni. Pokój za nimi w niczym nie przypominał saloniku. Sterty dzienników, magazynów i czegoś, co wyglądało na wydruki komputerowe, zajmowały każdą wolną powierzchnię, łącznie z podłogą. Była tam też cała ściana elektronicznego sprzętu, który wyglądał, jakby pochodził ze statku kosmicznego. Łóżko było nowe, starannie zaścielone, z wyjątkiem stert papierów na kocu. I wielkie. Zajmowało dwie trzecie pokoju.

Dan szybko przeczesał sypialnię. Jedne wydruki ułożył na kupki, inne schował do szuflady komody. Wyłączył komputery i inne urządzenia, których nie potrafiła zidentyfikować. Podniósł jedno z nich i kucnął przy długim metalowym pudle wielkości wojskowej skrzynki na ekwipunek. Miało srebrny połysk aluminium albo tytanu - i cyfrowy zamek z dwoma panelami: jeden, oprócz cyfr, był wyposażony dodatkowo w czytnik linii papilarnych.

Choć Dan był odwrócony tyłem do niej, widziała, że użył obydwu paneli, by otworzyć skrzynię. Kiedy odchylił wieko, zauważyła, że metal jest gruby prawie na palec. Trzeba było czegoś więcej niż hakera, aby dostać się do tego sejfów, nie znając szyfru. Na przykład spawarki. Albo bomby.

Carly była ciekawa, co z dobytku Dana potrzebowało tak wyrafinowanego zabezpieczenia, ale nie zapytała. I tak by nie odpowiedział.

Dan zamknął skrzynię i wstał.

- Gotowy na wizytę? - zapytała.

Powiedzmy. Łazienka jest naprzeciw łóżka. Bez drzwi, bo nie ma na nią dość miejsca. Jeśli chcesz z niej skorzystać, po prostu zamykasz drzwi sypialni. I proszę, nie baw się elektroniką. Niczego na tej ścianie nie uruchomisz bez hasła i podobnych bajerów.

- A gdybym zapytała, dlaczego potrzebujesz tak wyrafinowanej elektroniki, powiedziałabyś, że...

- Jestem maniakiem gier komputerowych.

Przewróciła oczami.

- Wspominałeś o dwóch łóżkach. Więc jeśli nie masz jakiegoś schowanego w lodówce, jednego nam brakuje.

Dan sięgnął pod wielkie łóżko i wyciągnął coś, co wyglądało jak nienapompowana tratwa ratunkowa. Podłączył to do ściany, wcisnął guzik i urządzenie wydające dźwięk odkurzacza zaczęło tłoczyć do środka powietrze. Po minucie podwójny materac leżał krzywo na stertach papierów spiętrzonych na łóżku.

- Gdy złożę stolik i upchnę krzesła w kuchni, to wchodzi do kąta koło kominka wyjaśnił. - Najcieplejsze pośłanie w tym domu.

Carly zerknęła przez ramię do saloniku, oceniła ilość miejsca i stwierdziła:

- Dla mnie bomba.

- Materac jest dla mnie - odparł.

- Nie wygłupiaj się, jesteś o wiele za duży na ten materac.

- Sypiałem na gorszych pośłaniach.

Carly pomyślała o tym, jak Dan ledwie zauważalnie oszczędza nogę. Ostatnią rzeczą, jakiej potrzebował, było spanie na podłodze, choćby na najlepszym dmuchanym materacu.

- Albo śpię na materacu, albo biorę pokój w hotelu - oznajmiła.

- Nie boisz się szczurów na podłodze?

Na to też się nie dała złapać.

- Dopilnuję, żebyś opróżnił kieszenie, zanim pójde spać.

Pokręcił tylko głową.

- A skoro już o tym mowa - rzuciła - to co szeryf ma przeciwko tobie?

- Byłem nastolatkiem, kiedy on był zwykłym funkcjonariuszem.

- I co z tego? Wiciu ludzi było nastolatkami dwadzieścia lat temu.

- Paru młodych Sandovalów naskoczyło na mnie. Oni skończyli pokiereszowani. Ja nie.

- Ilu ich było?

Nie dość wielu, żeby załatwić sprawę. - Dan wyciągnął z materaca wtyczkę wielkości pięści i zaczął go zgniatać, by nie zajmował miejsca.

- I co Montoya im zrobił?

- Miał ich słowo przeciwko memu. W tamtych czasach chodził zjedną Sandovalówną. Potem się z nią ożenił.

Co za kanał.

Dan wzruszył ramionami.

- To małe miasteczko. Ja nie należałem do żadnej z frakcji; *Anglos, Hispanos* ani rdzennych Amerykanów. Byłem pyskatym, upierdliwym gnojkiem.

Carly patrzyła, jak Dan sprawnie zwija materac, wyciskając powietrze przez wielki zawór z każdym ruchem mocnych dłoni.

- Rozumiem powiedziała - ale to jeszcze nie powód, żeby Montoya cię oskarżał o podłożenie wypatroszonego szczura na moją poduszkę.

- Spójrz na to z jego punktu widzenia. Jeśli nic zrobiłem tego ja, zrobił to ktoś z rancza. A Montoya nie dostanie medalu za sensacyjne śledztwo, w które będzie wplątane nazwisko gubernatora.

- Wciąż twierdę, że to kanał.

- Tak to już jest. - Schylił się i wepchnął zwinięty materac z powrotem pod łóżko.

- Czyli twoje motto brzmi: „Życie jest nie fair, więc pogódź się z tym”.

- Dobrze zgadłaś. - Wstał i spojrzał na nią. Podobało mu się zestawienie intensywnego koloru jej włosów z tłem wyblakłych ścian z suszonej cegły. - Masz ochotę na chili?

- Mam ochotą kopnąć Montoyę prosto w jego tłusty... znaczek.

Dan otoczył ramieniem szyję Carly i przyciągnął ją do siebie.

- Mogę popatrzeć?

- A nie chcesz mi pomóc?

Nic śmiałym się pchać między ciebie i tłusty znaczek Montoyi.

Zanim zdążyła ponarzekać jak należy na szeryfa, siedziała przy karcianym stoliku przed miską *chili con carne* i talerzem tortilli. Koło jej łokcia pojawiła się butelka meksykańskiego piwa. Złapała piwo, połała chili zielonym sosem i zaczęła jeść.

Dan usiadł, chlapnął trochę sosu do swojej miski z chili i opróżnił ją, zanim Carly dotarła do połowy. Napełnił miskę ponownie i rozprawił się z nią, kiedy Carly wycierała swoją kawałkiem tortilli. W końcu rozparł się na krzesło, by spokojnie nacieszyć się ostatnimi łykami piwa.

- Nigdy nie mów, że twoje chili jest gorsze niż twojej mamy - oznajmiła Carly i westchnęła z zadowoleniem.

- Ale chyba powinienem ci powiedzieć, że to mama dała mi przepis.

- Tak myślałam. - Carly upiła łyk piwa. - Kiedy się dowiedziałeś, że córka Senatora była twoją babką?

Dan przymrużył oczy.

- Zawsze o tym wiedziałem. Tak jak wszyscy w mieście.

Włącznie z Sandovalami, którzy na ciebie napadli?

Dan wzruszył ramionami.

- A Winifred wie? drażyła Carly.

- Nigdy mi nie wspominała, że wie.

- A pytałeś?

- Nie.

- Dlaczego? Przecież ją lubisz.

Dan obrócił butelkę w dłoniach.

~ Nic zależało mi. I nadal nie zależy.

- Ona jest twoją krewną.

- Dziesiąta woda po kisielu.

- Ale...

Wydziedziczona córka siostry Winifred jest moją babką - przerwał jej.

- To ci dopiero bliska krewna. Koniecznie muszę wpaść na rodzinny zjazd.

- A co z twoim dziadkiem?

- Którym?

- Czy John jest spokrewniony z Quintrellami albo Castillo?

- Nie. Pochodzi z Idaho.

- Rozumiem. Carly spojrzała na Dana. Miał znudzoną i zirytowaną minę, ale przynajmniej odpowiadał na pytania. - A kto jest twoim dziadkiem ze strony matki?

- Nic wiem. Moja babka nigdy za nikogo nie wyszła.

A akt urodzenia twojej matki? Kto jest wpisany jako ojciec?

- Nikt.

- A co mówią miejscowe plotki?

Oczy Dana zmieniły się w zielone szparki.

- Że była ćpunką i kurwą, która zaczęła się puszczać jako trzynastka, a zaszła w ciążę jako piętnastka.

Carly wmawiała sobie, że musi wiedzieć jak najwięcej o ludziach z tej okolicy, zanim będzie się mogła rzetelnie zająć historią rodziny Winifred. Wiedziała, że okłamuje sama siebie. Oczywiście lokalna historia bardzo się przyda, ale tak naprawdę kierowała nią chęć poznania osobistej historii Dana.

- Żadnego stałego chłopaka? - zapytała.

- Trzej bracia Sandovalowie. Jeśli wierzyć temu, co krzyczeli tamci chłopcy, zanim na mnie skoczyli, lubiła mieć więcej niż jednego naraz. A może była za bardzo nawalona, żeby zwracać uwagę, ilu na nią włąziło.

Carly głośno przełknęła ślinę.

- Skąd młodzi chłopcy mieliby wiedzieć, co się działo z twoją babką?

- Im mniejsze miasto, tym dłuższa pamięć. - Carly otworzyła usta, żeby zadać następne pytanie, ale Dan nic dopuścił jej do głosu. - Teraz moja kolej. Opowiedz mi o swoich rodzicach.

Spojrzała na strużkę piany spływającą we wnętrzu butelki. Kiedy ludzie pytali ją o rodzinę, zwykle rzucała jakąś uwagę bez znaczenia i zmieniała temat. Ale teraz nic mogła. Dan nie był kimkolwiek, a poza tym mówił o swojej rodzinie równie niechętnie jak ona o braku swojej. Jeśli chciała się przekonać, do czego zaprowadzi ich wzajemna fascynacja, musiała dać trochę z siebie.

Nie wiem nic o moich biologicznych rodzicach - powiedziała po chwili. - Para, która mnie zaadoptowała, Glenn i Martha Mayowie, byli w średnim wieku, gdy pojawiłam się w ich życiu. On miał pięćdziesiąt pięć lat, ona czterdzieści osiem.

Dan zmrużył oczy.

- A ty ile miałeś lat?

- Zdaje się, że wzięto mnie od matki tuż po urodzeniu. Rodzice nigdy mi nie powiedzieli.

- A ty nigdy nie pytałaś?

O, pytałam. Odpowiadali, że to nie ma znaczenia, że byłam wtedy o wiele za mała, by wiedzieć, co się dzieje, że ich dom to mój dom, że mnie kochają. - Wzruszyła ramionami. - Wszystko, co zwykle słyszą adoptowane dzieci, kiedy rodzice nie chcą o tym mówić.

To była oficjalna adopcja, przez licencjonowaną agencję?

- Nie. Dlatego dane pozostały tajne, nawet kiedy skończyłam dwadzieścia jeden lat.

Dan skinął głową. Z tego, co zdążył się dowiedzieć o Carly, domyślał się, że niechęć rodziców do wdawania się w szczegóły nie była dla niej końcem sprawy. Na pewno próbowała badać ją na własną rękę.

- Trafiałaś głową na mur? - zapytał.

- Dokładnie. - Skrzywiła się. - Nie zrozum mnie źle. Moje poszukiwania biologicznych rodziców nie miały być policzkiem dla Marthy i Glenna. Kochali mnie jak prawdziwi rodzice.

- A ty ich kochałaś?

Carly zrobiła zaskoczona minę.

- Oczywiście. To byli dobrzy ludzie, starali się zapewnić mi jak najszersze horyzonty i dbali o moje wykształcenie. Kiedy podrosłam, nauczyli mnie wszystkiego o genealogii, która była ich pasją.

- Czyli to przeszłość była dla nich najważniejsza, nie teraźniejszość czy przyszłość.

- Szybki jesteś. Ja potrzebowałam lat, żeby do tego dojść. Fascynowali ich przodkowie, historia. Oboje uczyli na uniwersytecie, on historii Europy, ona łaciny. Byli świetnie dobraną parą.

Dan pomyślał o młodziutkiej Carly, bystrej, ciekawskiej i pełnej energii, wychowywanej przez ludzi, którzy mogli być jej dziadkami; dwoje ludzi, którzy zawodowo zajmowali się przeszłością.

- Jakieś rodzeństwo?

Nie. Uśmiechnęła się cierpko. - Myślę, że ze mną jedną mieli wystarczająco dużo roboty. Nie potrzebowali więcej.

Dan zaczął delikatnie stukać butelką o brzeg miski po chili.

- Powiedzieli ci, dlaczego cię adoptowali? Zawsze pragnęli dzieci?

- Nigdy nie mówili, ale... - Oczywiście Carly zastanawiała się nad tym nieraz. Urwała kawałek tortilli i skubnęła go zębami. Martha była ostatnim potomkiem swojej rodziny w Stanach, jedynaczką wychowaną przez jedynaków. Glenn tak samo. Żadnego rodzeństwa, ciotek, wujków, żadnych bliskich kuzynów. Pojedyncza gałąź drzewa genealogicznego, zawężająca się do jednego nazwiska.

- Jedynacy wychowujący jedynaków.

Kiwnęła głową.

- Była to jedna z rzeczy, które ich łączyły. Ale Glenn i Martha nic mogli mieć nawet jednego dziecka. Więc pewnego dnia zaadoptowali mnie.

- Cieszyli się, że pokochałaś przeszłość tak jak oni?

Carly skubnęła kolejny kęs. Nie była głodna. Po prostu musiała coś zrobić 7. rękami, żeby nie zacząć znów kręcić kosmyka włosów na palcu.

- Myślę, że tak. Nigdy nie rozmawialiśmy o tym w ten sposób.

Więc o czym rozmawialiście? O powstaniu i upadku Imperium Rzymskiego?

Roześmiała się.

- Rozmawialiśmy o źródłach genealogicznych, o tym, jak tropić przodków w żeńskiej linii, a jak w męskiej, o historii, począwszy od czasów ich dziadków, aż do siódmego pokolenia wstecz. O takich rzeczach. - Pochyliła się do niego. - To lubiłam najbardziej: wyobrażać sobie, co ludzie nosili i jedli w piętnastowiecznej Anglii, Włoszech czy Hiszpanii. Uwielbiałam rozmyślać o tym, jakie konsekwencje dla życia zwykłych ludzi miały najazdy wikingów i Duńczyków, o krucjatach, zarazach i latach głodu, o poszukiwaczach przygód, kolonistach, i o tych, którzy zostali w domu, o tym, jak kolejne generacje rodzin zmieniały się i zapominały o sobie nawzajem, o tym,

jaka to frajda znaleźć jakiemuś Amerykaninowi kuzyna czwartego stopnia w Irlandii, a potem słuchać ich, kiedy się wreszcie spotykają, oglądają zdjęcia i dzielą wspomnieniami, które budują most ponad czasem i oceanem.

- Więzi - rzucił Dan.

- Właśnie. Najczęściej ludzie uważają je za pewnik albo mają w nosie fakt, że są elementem ogromnego drzewa genealogicznego. - Rozłożyła ręce.

Drzewa, które może obejmować wiele wieków i krajów i przenikać przez cały... - przerwała gwałtownie, kiedy prawą ręką uderzyła o ścianę i posłała w powietrze kawałek tortilli.

Dan złapał jej lewą dłoń, zanim zderzyła się z jego nosem, i przycisnął do swojego uda. Tak było bezpieczniej. I całkiem przyjemnie.

Przepraszam - powiedziała, czerwieniąc się. Schyliła się, żeby wolną ręką podnieść tortillę. - Trochę mnie ponosi, kiedy mówię o mojej pracy.

- Podoba mi się twój entuzjazm. - On miał podobne odczucia. Kiedyś. Gdy odszedł z Departamentu Stanu i przyłączył się do tej zbieraniny niepokornych, jaką była firma St. Kilda Consulting, znów był pełen entuzjazmu. A potem przemysłowcy narkotyków, którzy chcieli go uziemić, otworzyli ogień w tłumie. Zginęła trójka dzieci i zakonnica. On przeżył. I zastanawiał się, czy Bogu podoba się taki wynik. Bo jemu się nie podobał. - Jak Winifred cię znalazła?

- Kiedy siedzi z Sylvią, zawsze ma włączony telewizor. Pewien plotkarski talk-show zrobił ze mną wywiad na temat rodzinnej historii, którą właśnie opublikowałam. Zaciekawiało ją to na tyle, że zadzwoniła do redakcji. Przesłałam jej wycinek z najnowszego artykułu na mój temat i książkę o rodzinie, z którą pracę niedawno zakończyłam.

Wszystko robisz sama? Łącznie z publikacją?

- Jasne. Komputery ułatwiają sprawę, a rezultat może wyglądać równie dobrze jak każda książka kupiona w sklepie. Ale jeśli moi klienci chcą więcej niż, powiedzmy, dwieście egzemplarzy, zlecam skład drukarni.

Dan spojrział na palce splecione z jego palcami.

- Nie widzę pierścionka ani obrączki.

- Bo nie mam narzeczonego ani męża.

- Chłopaka?

Przekrzywiła głowę i spojrzała na niego.

- Nie. A ty?

- Też nic mam męża ani chłopaka.

- No to mi ulżyło. A kobiety?

- Lubię kobiety.

- Na tyle, by mieć tę jedną, wyjątkową?

- Jak na razie nie - odparł.
 Kąciki ust Carly wygięły się lekko do góry. Uznała, że pora zrewanżować mu się takim samym zwrotem akcji, jakie on fundował jej.

- Jak myślisz, co zrobi szeryf Montoya?
 - Schowa raport do szuflady i zapomni.
 Roześmiała się.

- Czego potrzeba, żeby cię wytrącić z równowagi? Umierających dzieci i kilku kulek z kałasznikowa. Ale powiedzenie tego na głos zaczęłoby rozmowę, której nie chciał.

- Czy Winifred powiedziała ci, co reszta rodziny myśli o jej zamówieniu?
 - spytał.

- Nie. Ale szybko zorientowałam się, że nie wszyscy są zachwyceni rym pomysłem.

- Po szurze na poduszce?
 - Nawet wcześniej.
 Jego palce zacisnęły się na jej dłoni,
 - Co się stało?
 - Nic wielkiego. Kiedy przyjechałam, pokój nic był przygotowany, a gdy go już przygotowano, nie był to najlepszy pokój gościnny w domu. Alma była dla mnie jawnie niegrzeczna. Chociaż może jestem przewrażliwiona. Śmierć Senatora zaskoczyła wszystkich. - Machnęła wolną ręką. - Tak czy inaczej, tylko Winifred ucieszyła się na mój widok.

- Jeszcze ktoś sprawiał ci kłopoty?
 - Syn gubernatora to palant, ale nie sądzę, żeby to było coś osobistego. Taki ma styl.

- A Annę Quintrell? - Mówiąc to, Dan bezwiednie powiodł kciukiem wzdłuż palca wskazującego Carly.

- Zostałam jej przedstawiona po pogrzebie. - Dotyk palca Dana gładzącego jej skórę wzbudził w niej dreszcz przyjemności. Zignorowała to. - Annę Quintrell była grzeczna. Tak jak i gubernator. I cały personel, z wyjątkiem Almy. Może po prostu miała dzień złej fryzury.

Dan przymknął oczy i zaczął układać w głowie fakty, możliwości, scenariusze. Kiedy tak myślał w przyspieszonym tempie, jego kciuk wędrował powoli w górę i w dół palca Carly. Leniwy rytm przesączał się w jej żyły, posłał myśli w rozsypek.

- Jeśli próbujesz utrudnić mi myślenie, to ci się udaje - powiedziała po minucie.

- Co?
 Poruszyła ręką.

- To.
 Dan spojrzął na ich splecione palce.
 Za mocno ściskam?
 Powiodła kciukiem po jego kciuku, w górę i w dół, pieszcząc leniwie. Przez ułamek sekundy, nim zamknął oczy, zobaczyła w nich błysk pożądania.

- Już rozumiesz? - powiedziała. - To przeszkadza myśleć.
 - Można to nazwać i tak. Pogłaskał ją jeszcze raz i wypuścił jej dłoń. - Gdyby Montoya przywiązał cię do krzesła i zaczął przypiekać jak pieczeń na ruszcie, co byś mu o mnie powiedziała?
 Nawet nie próbowała ukryć zaskoczenia.

- Za mało wiem, żeby warto było mnie przypiekać.
 Dan zdawał sobie sprawę, że właśnie tak powinien to zostawić. Ale wiedział, że tego nic zrobi.

Rozdział 22

Taos

Wtorek, późne popołudnie

Lucia usłyszała warkot wielkiego forda expedition swojego męża, trzaśnięcie drzwiczek i dźwięk otwieranych drzwi domu. Armando zawołał do niej po hiszpańsku.

- Po angielsku, moje serce - powiedziała, wybiegając mu na spotkanie do kuchni. - Inaczej dzieci będą opóźnione w nauce, a ty będziesz musiał zatrudniać jankeskich prawników i księgowych.

Armando roześmiał się, objął żonę, uniósł ją z ziemi i przycisnął do swojego krzepkiego ciała. Choć nie zgadzali się co do jego zajęcia, mieli dla siebie dużo uczucia. Armando miał wiele kobiet i było oczywiste, że będzie ich miał jeszcze wiele. Ale tylko Lucia była jego żoną, matką jego dzieci.

Jeden z ochroniarzy pojawił się w drzwiach. Był smukły, ubrany na czarno, a w ręce trzymał czarną teczkę. Armando w milczeniu skinął na niego, by wszedł do środka.

- Chodź ze mną - zwrócił się do żony.

Zdziwiona Lucia wyszła za mężem z domu do wielkiego czarnego samochodu zaparkowanego na podwórku kilka metrów od drzwi.

Nie mogę zostawić dzieci - powiedziała.

- U słyszysz je stąd.

Na kolejny znak Armada ochroniarz otworzył teczkę, wyjął ręczny wykrywacz urządzeń elektronicznych i zabrał się do pracy.

Armando zamknął drzwi i zwrócił się do Lucii.

Miałaś wczoraj wieczorem gości. Byłaś z nimi przez cały czas?

- Robiłam kawę. Poszłam do sypialni po zdjęcia.

Armando syknął przez zęby.

Drżąc nie tylko z zimna panującego na dworze, Lucia czekała, aż mąż coś powie. Ale on tylko zacierał ręce i stał, jakby na coś czekał.

Po kilku minutach ochroniarz wyszedł z domu.

- *Es okej* - powiedział, mieszając języki w typowym slangu pogranicza.

Armando kiwnął głową i poprowadził żonę z powrotem do ciepłego wnętrza.

Jak się mają *los ninos*? - spytał, zamykając za sobą drzwi.

Lucia próbowała zachowywać się, jakby wszystko było normalnie - bo dla Armada było.

- Są na bieżąco z lekcjami mimo tej okropnej grypy - odparła. - Twój brat i ojciec będą bardzo zadowoleni. Spojrzała w jasnobrązowe oczy męża, na jego czarne włosy. Kosmyki siwizny zaczęły się pojawiać w gęstych, naturalnych falach. Życie, jakie sobie wybrał, było brutalne. I odbijało się głębokimi bruzdami na jego twarzy. Jesteś głodny?

- Na twoje *posole i carne asada* zawsze mam ochotę. Odpowiedź przyszła Armandowi łatwo, mimo kaca. Czuł się, jakby jego głową grano w piłkę na mistrzostwach świata.

Zadzwoniła jego komórka. Wyciągnął ją z tylnej kieszeni, spojrzął na wyświetlacz i wygonił żonę do kuchni. Kiedy nie mogła już nic usłyszeć, odebrał telefon.

- *Bueno*. ~ Przez chwilę słuchał. Potem zaczął odpowiadać po hiszpańsku, ale przypomniał sobie o dzieciach w pokoju na tyłach. Dla nich angielski wciąż był drugim językiem. Było o wiele bezpieczniej użyć go w tej chwili zamiast hiszpańskiego. - Słuchaj, Chuy - powiedział cicho. - Przekroczysz granicę w zwykłym miejscu o zwykłej porze. Wszystko jest gotowe. Mano siedzi w punkcie odbioru w Las Trampas. On kwituje dostawę, przelew idzie na Arubę, a twój szef dostaje cynk, że wszystko gra. Zrozumiałeś?

Chuy zrozumiał.

Armando wcisnął guzik i zakończył rozmowę.

Komórka natychmiast zadzwoniła znowu.

Spojrzał na numer, zaklął pod nosem i zignorował połączenie. Komórka była mu niezbędna w pracy, ale była gorsza niż upierdliwa żona. Przewiesił dzwonek na wibrację i wcisnął telefon do tylnej kieszeni. Skoro porozmawiał z Chuyem, nie musiał się już o nic martwić aż do wieczora, kiedy transport dotrze na miejsce.

Poszedł zajrzeć do maluchów. Bratanków kochał równie gorąco jak własne dzieci. Wszyscy malcy byli bladzi, zmęczeni i marudni. Zmierzył im temperaturę babcinym sposobem, przykładając policzek do policzka. Żartami i przekomarzaniem wyłudając uśmiechy, wygładził im kołdry, a potem pozwolił, by każde z dzieci znalazło słodycze, które miał pochowane po kieszeniach.

Lucia stała w drzwiach, patrząc na to uśmiechnięta mimo strachu, jaki czuła za każdym razem, kiedy Armando przyjeżdżał do domu. Minęły lala od ostatniej jatki w przemytniczym „przedsiębiorstwie” Sandovalów, ale Lucia już nigdy nie miała zapomnieć widoku kuzyna i najbliższego przyjaciela Armada wykrwawiającego się na podłodze jego domu z szesnastoma kulkami w ciele. To był cud, że żadne z dzieci nie zostało ranne od gradu ku wystrzelonych z ogródka od frontu.

Po tej historii Lucia wyprowadziła się do osobnego domu i podjęła pracę, by utrzymać siebie i swoje małe dziecko. Do dziś na odgłos wystrzału żołądek jej się przewracał. Nie mogła zmusić Armada do zmiany pracy, nie chciała się z nim rozwieść i bała się, że któregoś dnia zostanie zamordowany w jej domu, na oczach własnych dzieci.

Armando ucałował i połaskotał najmłodsze dziecko, dziewczynkę o oczach po ojcu i świetlistej cerze po matce. W końcu wstał, przeciągnął się ze znużeniem i powiedział sobie, że powinien przyhamować z domową *pulque* i kokainą. Kace, z których otrząsał się z łatwością dwadzieścia lat temu, teraz prześladowały go cały dzień. W tej chwili powinien spać w swoim luksusowym mieszkaniu w Taos, by przygotować się na ten niebezpieczny moment, kiedy heroina dotrze na miejsce i trzeba ją będzie podzielić na porcje dla dystrybutorów.

Ale najpierw musiał się dowiedzieć, co Dan Duran robił w domu jego żony w poniedziałek wieczorem.

Poszedł za Lucią do kuchni i obrzucił wzrokiem czekające na niego zimne piwo i gorącą zupę, z nadzieją, że jego żołądek podoła tej robocie. Usiadł, zjadł ostrożnie kilka łyżek, po czym zaczął jeść z większym entuzjazmem. Nawet piwo mu smakowało. Może po prostu bardziej potrzebował jedzenia niż młodości. Kiedy miska była pusta, zabrał się za *carne asada*. Jadł tak samo, jak robił wszystko inne - szybko i bez ceregieli.

- Jeszcze? - zapytała Lucia.
Pokręcił głową.
Usiadła obok z filiżanką kawy dla siebie i uśmiechem dla niego.
Armando zignorował komórkę wibrującą mu na tyłku.
- Powiedz mi, kto tu był wczoraj wieczorem.
- Dan Duran i pani May.
- Historyczka starej *curandera*
Lucia skinęła głową, nie zaskoczona ani tym, że Armando wie, kim jest Carly, ani tym, że wie o jej wizycie. Jego biznes wymagał, żeby obcy byli natychmiast prześwietlani, a pilnowanie rodziny rozumiało się samo przez się.
Armando dopił piwo i beztrząsco otarł usta dłonią, ale nagle przypomniał sobie, gdzie jest. Wziął wyblakłą płócienną serwetkę leżącą obok jego miski i wytarł dłonie i usta. Kiedyś drażniły go wysiłki Lucii, by poprawić jego maniery i angielski. Teraz wiedział, że miała rację: jeśli jego dzieci miały kiedykolwiek wieść lepsze, łatwiejsze życie, musiały być wychowane tak, by wpasować się w kulturę o wiele potężniejszą niż stary styl życia *Hispanos*.
- Czego chciał Duran?
- On niczego. To Carly zadawała wszystkie pytania - odparła Lucia.
Twarz Armanda stężała.
- O mnie?
- Nie, nie! zapewniła spiesznie Lucia. - O stare czasy, kiedy Senator był młody, a Sylvia jeszcze śmiała się i tańczyła z mężem. O przyjęcia w ogrodzie i o dzieci.
Armando nie był przekonany.
- A Duran o co pytał?
-- O nic. Prawie zasnął na kanapie. Dotrzymywał towarzystwa miłej panience, to wszystko.
- A co chcieli wiedzieć o gubernatorze?
- Posłuchaj mnie. - Lucia pochyliła się i dotknęła twarzy męża, upewniając się, że ma jego pełną uwagę. Nie chciała żadnych kłopotów dla Dana i Carly, którzy robili to, o co poprosiła ich panna Winifred. - Mówiłam tylko o sprawach starszych niż Liza. - Przeżegnała się, jak zwykle, kiedy wspominała o córce Senatora, która tak tragicznie skończyła.
- Co jeszcze powiedział ci Duran? Pomyśl dobrze, *mi esposa*.
Lucia mocno splótła palce, by nie zacząć wrzeszczeć na ohydny zawód swojego męża, na to jego życie, które nie pozwalało mu ufać nikomu, nawet własnej żonie.

Zdaje się, że... tak, zapytał, gdzie jest żona Eduarda.
- Dlaczego?
- Bo wychowuję synów Eduarda.
- Skąd o tym wiedział?
-- Wiedzą o tym wszyscy w pueblo, a jego matka tam uczy. To żadna tajemnica.
Armando zmrużył oczy. Była to prawda, ale nie jedyna możliwa.
- I co mu powiedziałaś?
- To, co kazałeś mi mówić, gdyby ktokolwiek zapytał. Że jest w Meksyku z dziewczynkami.
- A on co na to?
- Nic.
- Nie wypytywał o nią więcej?
- Nie.
Armando zabębnił palcami po zniszczonym drewnianym stole.
- O co jeszcze pytał?
- O nic. Rozmawiałam z Carly, a potem sobie poszli.
Lucia nie miała zamiaru wspominać o pieniądzach, które dostała od Dana. Armando byłby wściekły, że wzięła pieniądze od panny Winifred, chociaż nie chciała ich przyjąć od własnego męża.
Nie mogła. Dla Lucii każdy zarobiony przez niego dolar ociekał przemocą. Nie mogła zmienić swojego męża ani sposobu, w jaki zarabiał na życie, ale mogła odmówić czerpania z tego zysków.
Armando rozluźnił się.
- *Bueno*,
Telefon znów zawibrował mu na siedzeniu. Armando wyciągnął go, spojrzawszy na wyświetlacz. Musiał już iść. Popatrzył na żonę.
- Fle razy Duran zbliżył się do ciebie, twojego samochodu czy twojego domu, dzwoń do mnie. - Ujął dłonią jej podbródek. - Mówię poważnie, Lucia. Za każdym cholernym razem.
Nie wątpiła w to.
- Zadzwoń. Ale co on może zrobić? Jeszcze nie wyzdrowiał po tym wypadku w górach.
Uśmiech Armanda przypomniał Lucii wszystkie powody, dla których nienawidziła narkobiznesu.
Wypadek w górach? - zapytał i roześmiał się.
I wciąż się śmiał, wsiadając do forda i zatrzaskując drzwiczki.
A Lucia stała w drzwiach, drżąc z zimna. Teraz była już pewna, że Armando miał coś wspólnego z wypadkiem Dana.

Rozdział 23

*Rancho Quintrellów
Wtorek, wieczór*

Melissa otworzyła drzwi wejściowe.

-- Dan, Carly, dobry wieczór - powiedziała. Choć nie spodziewała się ich wizyty, uśmiechnęła się i odsunęła na bok, by ich wpuścić. Wejdźcie. Jak tam twoja mama, Dan? Lucia ciągle opowiada, jakich cudów dokonuje, ucząc dzieci.

- Mama jest jak ty, zawsze zajęta i zawsze piękna.

Uśmiech Melissy poszerzył się.

- Koniecznie ją ode mnie uściskaj, kiedy ją zobaczysz. I twojego przystojnego ojca też.

- Na pewno.

Melissa zwróciła się do Carly.

- Winifred wspominała coś, że pani samochód potrzebuje naprawy i że zatrzyma się pani w mieście...

- Skąd wiedziała? - zapytała Carly, nim zdążyła ugryźć się w język.

Melissa omal się nie roześmiała.

- Blaine załatwiał sprawunki w mieście. Usłyszał, że zniszczono pani samochód, od mechanika, któremu powiedział o tym kierowca wozu holowniczego. Do życia w małym miasteczku trzeba się przyzwyczaić. - Nagle pokręciła głową, zirytowana. To ta hołota ze snowboardami. Biorą narkotyki, a potem robią, co chcą, i myślą, że miejscowi nie mogą się denerwować, bo jaśniepaństwo wydaje tu kupę pieniędzy. Założę się, że szeryf powiedział to samo.

Carly potrzebowała chwili, by zrozumieć, że to typowe narzekania tubylca na bogatych turystów, którzy przywozili do miasteczka tyle samo utrapień, ile pieniędzy.

- Szeryf nie mówił nic o snowboardzistach.

- Mam nadzieję, że pani ubezpieczenie pokryje szkody. Samochody są takie drogie, a człowiek nie może się bez nich obejść, choćby zarabiał grosze. - Melissa pokręciła głową. - Mam nadzieję, że to nie opóźni pani pracy nad zleceniem Winifred. Ona nie robi się młodszą.

- Dan zaferował się służyć mi za taksówkarza, dopóki nic naprawią mi samochodu - odparła Carly. - Przyjechałam właśnie po swoje rzeczy.

- Ale co z pani pracą?

- To mnie w żaden sposób nie opóźni - zapewniła Carly. - Zatrzymam się w mieście, żeby Dan nic musiał tu jeździć kilka razy dziennie. Zamiast rozmów, które i tak powinnam odłożyć, dopóki kaszel panny Winifred nie minie, skoncentruję się na archiwum gazety i na skanowaniu zdjęć i dokumentów, które już mi dostarczyła.

- Dokumentów? - Melissa zmarszczyła brwi. - Winifred nic o tym nie wspominała. Jakiego rodzaju dokumenty? Niektóre są zbyt cenne i ważne, by mogły opuścić dom bez zgody gubernatora Quintrella.

Obie wiedziały, że taka zgoda nie zostanie udzielona.

- Mówię o najwykleszych rodzinnych dokumentach - wyjaśniła Carly. - Akty ślubów, urodzenia i zgonów, dyplomy, stare listy, pamiątki, takie jak zaproszenia na śluby i karty okolicznościowe, kartki z podróży, pierwsze rysunki dzieci... wszystkie szpargały, które rodzina uznała za dość ważne, by upchnąć je do przysłowiowego pudła na strychu. Czy raczej pudeł, w przypadku Winifred. Sylvia też miała niemałe zacięcie kolekcjonerskie przed wylewem.

- Aha. W takim razie w porządku. - Ale Melissa wciąż miała zmarszczone czoło. - Chyba powinnam zrobić spis wszystkiego, co pani ze sobą zabiera.

- Zapytajmy Winifred - powiedział Dan, delikatnie popychając Carly dalej. W końcu to jej papiery. Powiedz jej, proszę, że do niej idziemy.

Melissa stała przez chwilę niezdecydowana. W końcu podeszła do interkomu, który łączył apartament Sylvii z resztą domu.

Dan nie czekał na pozwolenie. Po prostu poprowadził Carly korytarzem, który kończył się pod drzwiami pokoju Sylvii.

- Melissa nie wyglądała na zachwyconą - powiedziała Carly.

- Z tego, co słyszałem, gubernator Quintrell nie jest tak bezproblemowym pracodawcą jak Senator. Melissa prawdopodobnie musi codziennie składać raporty nowemu szefowi. Wszyscy będą nerwowi, dopóki nie będą pewni swoich posad.

A gospodynie zwykle myślą, że to one wszystkim rządzą... albo że powinny.

- W przypadku Melissy to nie jest dalekie od prawdy - odparł Dan. - Dostała tę posadę po matce. Zdaje się, że jedna z jej babek też pracowała dla Senatora. Ale w końcu podobnie było ze wszystkimi starymi rodzinami w rodzinie.

Kiedy zbliżyli się do drzwi apartamentu Sylvii, zaczęły zrzucać z siebie wszystko, co się dało, zostawiając tylko tyle ciuchów, by nie wyglądać nieprzyzwoicie. Dan zatrzymał się na czarnym T-shircie, który miał pod wełnianą

koszulą i kurtką. Carly nie miała tyle szczęścia. Wróciła, żeby zabrać swój sprzęt i trochę ubrań. Nie spodziewała się, że odwiedzi dzisiaj Winifred, więc miała na sobie jedwabne body, gruby pulower i płaszcz. Zastanawiała się, czy nie zostać w swetrze, ale uznała, że nie da rady. Miała już dość ciężkich przeżyć na jeden dzień.

Dan patrzył kątem oka, jak wyplątuje się z grubego ciemnozielonego swetra. Gdy w końcu przeciągnęła go przez głowę, zapomniał, jak się oddycha. Coś cienkiego, granatowego i obcisłego jak druga skóra opinało ją od szyi do nadgarstków i chowało się pod paskiem spodni.

Już przedtem zastanawiał się, jakie Carly ma piersi i czy nosi biustonosz. Teraz wiedział. Piersi w sam raz pasowały do męskich dłoni. Biustonosza nie było. Gdyby był, Dan pod obcisłym granatowym materiałem mógłby dostrzec nawet to, czy zapina się z przodu czy z tyłu.

Był ciekaw, czy body jest na tyle elastyczne, że przeciąga się je przez biodra, czy też może zapina się w kroku.

Coś nie tak? zapytała Carly, orientując się, że jest obserwowana. Tak właściwie to nie jest bielizna, jeśli to cię gryzie. To strój gimnastyczny.

- Gimnastyczny, powiadasz. - Uśmiechnął się.

- Tak. - Spojrzała na niego z ukosa. I wcale nie jest bardziej obcisły niż twoja koszulka.

- Uhum - mruknął tylko.

Nagle zorientował się, że jego slipy zrobią się za ciasne, jeśli nie oderwie wzroku od jej sutków napierających na gładki materiał. Uniósł rękę i zapukał do drzwi, chociaż tak naprawdę miał ochotę sprawdzić, gdzie zapina się body Carly.

Zamiast zawołać „proszę”, Winifred sama otworzyła drzwi.

- Nic ci nic jest? - spytała szorstko, patrząc na Carly. - Słyszałam o twoim samochodzie.

Jestem wściekła, ale poza tym wszystko w porządku.

Winifred spojrzała na Dana, jakby szukała potwierdzenia.

- Jest dużo twardsza, niż wygląda - powiedział.

- No i dobrze. Syn Senatora to twarda sztuka. - Winifred kiwnęła na nich niecierpliwie ręką. - Wchodźcie szybko. Nie mogę wywieźć pokoju. Dobrze, że przyprowadziłaś swojego chłopaka - dodała, zwracając się do Carly. - Mam tu dla was mnóstwo rzeczy do zabrania.

Zanim Carly zdążyła sprostować, że Dan nie jest jej chłopakiem, zobaczyła pudła, torby i skrzynki poustawiane pod ścianą.

- Zdjęcia - wyjaśniła Winifred, podążając za jej spojrzeniem. - Dokumenty, wszystko, co chciałaś obejrzeć. Nawet suknia ślubna mojej matki.

- Nic chodziło mi o to, żeby zabierać ze sobą wszystko w tej chwili - odparła Carly. - Mogę zabierać pudło czy dwa naraz i...

- Tu jest lista miejscowych kobiet, które mogły być kochankami Senatora przerwała jej Winifred. - Co do pudeł, zabierzcie, ile zdołacie, a potem wróćcie po resztę. Mnie te rzeczy na nic, a przydadzą się do książki, którą zamierzasz napisać. W mojej linii nie ma potomków rodu Castillo, którym mogłabym je przekazać.

- A gubernator? - zapytała Carly.

- On jest Quintrellem.

Carly spojrzała na Dana.

Z uwagą obserwował starszkę, składając do kupy fakty i przecucia. I nie podobał mu się wynik. Zimny dreszcz przeszedł mu po plecach.

Niebezpieczeństwo.

Czuł dokładnie to samo, kiedy wyszedł z tamtego hotelu w Kolumbii prosto w zasadzkę. Przeżył, ale tylko dlatego, że miał kamizelkę kuloodporną i pistolet. Zaczął strzelać, zanim napastnicy zorientowali się, że muszą celować w nogi. Dziesięciomilimetrowy desert eagle w jego kieszeni był równie skuteczny jak obrzyn na słonie - niezła siła rażenia, jeśli było się dobrym strzelcem.

On był na tyle dobrym strzelcem, żeby przeżyć. Ale nie na tyle, by załtwić tamtych, zanim oberwały dzieci.

- Gdyby potrzebowała pani pomocy - powiedział do Winifred - proszę dzwonić do mnie albo do taty. O każdej porze, w dzień czy w nocy, panno Winifred. W każdej chwili.

Zbyła jego słowa gwałtownym gestem, od którego przesunęła się ciężka indiańska bransoleta, którą zawsze nosiła.

- Odganiaj tylko szczury od poduszki Carly, a ja sobie poradzę.

- Skąd pani wie o szczurze? - zdziwiła się Carly.

- Szwagierka Almy pracuje w biurze szeryfa - powiedziała Winifred. - O mało nie pękła ze śmiechu, kiedy o tym usłyszała.

- Uroczą kobietą mruknęła Carly.

Jeśli nawet Winifred to słyszała, nie dała nic po sobie poznać. Podeszła do narożnego ceglanego kominka i dorzuciła kolejne dwa sosnowe polana do i tak już ostro buzującego ognia.

- Po śmierci Senatora wszystko się zmieni. Jego syn jest niecierpliwym człowiekiem. Chcę mieć swoją książkę za miesiąc, nie za trzy. Zrób to, i zrób to dobrze, a zapłacę ci dwa razy więcej, niż ustaliliśmy.

Carly spojrzała w płonące czarne oczy starej kobiety, zastanawiając się, czy panna Winifred nie zaczęła przypadkiem tracić rozumu.

- Zrobię wszystko, co w mojej mocy.
- Jeśli potrzebujesz pomocnika do pracy, zapłacę - powiedziała Winifred.

Dan położył dłoń na ramieniu Carly.

- Ja nie mam nic do roboty, tylko się objam. Pomogę jej, żeby nie umrzeć z nudów.

- Więc zacznij wynosić pudła - odparła Winifred.

- Melissa sugerowała, że niektóre z tych dokumentów mogą być cenne, więc powinniśmy spytać o zgodę gubernatora Quintrella, zanim je zabierzemy - powiedziała Carly.

- Melissa czasami opowiada takie pierdoły, że szkoda słuchać.

Carly zamrugała.

- Czyli to nie jest problem?

- Nie dla mnie - odparła Winifred. - Co moje, to moje, i do diabła z synem Senatora.

- Dobrze. W takim razie pójdę spakować rzeczy, których będę potrzebować przez te parę dni - powiedziała Carly.

Z ociąganiem zaczęła zbierać się do wyjścia. Miała nadzieję, że na jej poduszce nie będzie żadnych krwawych niespodzianek, ale bała się, że mogą jednak być.

- Pójdę z tobą - zaproponował Dan. - Poczekaj, aż załaduję to do furgonetki.

Nie musisz ze mną iść.

- Owszem, muszę.

Carly uśmiechnęła się, mając nadzieję, że nie widać po niej ulgi, jaką poczuła. Nie była bezradnym kwiatuszkiem, ale okrutny numer ze szczurem, zalany farbą samochód i telefoniczna pogroźka sprawiły, że była wściekła, zniesmaczona i bardziej przestraszona, niż chciała przyznać. Sto razy wolała bezpośrednią wrogość Almy, okazywaną prosto w twarz.

Dan szybko uporał się z pudłami, skrzynkami, torbami i przedpotopową skórzaną walizką, przygotowanymi przez Winifred. Carly zebrała ubrania, które ona i Dan zdjęli z siebie.

- Zajrzę do pani, jak tylko zrobią mi samochód - obiecała.

- Zajrzyj. I zagoń swojego chłopaka do roboty. Ma najlepszy mózg z tej całej bandy.

Carly jednak nie zapytała, jaką „bandę” Winifred ma na myśli. Wyszła z przegrzanego pokoju z westchnieniem ulgi i dogoniła Dana. Razem ubrali się w ciepłe rzeczy, wsiedli do furgonetki i podjechali do domu gościnniego-

- Dzięki, że to robisz - powiedziała, kiedy Dan zaparkował niedaleko jej pokoju. - Wiem, że nie powinnam się przejmować tym martwym szczurem, ale,,. Westchnęła. - Ale się przejmuję.

- Nie miej do siebie pretensji. Nie jesteś przyzwyczajona do takich paskudnych zagrań.

- A można się do nich przyzwyczać?

- O tak. - I do o wiele gorszych, dodał w myślach.

Mówiąc o tym, nie poprawiłby jej samopoczucia, więc zamknął się i wysiadł z auta. W zimnym wieczornym powietrzu przeszli szybko do starego domu. Frontowe drzwi zacięły się jak zwykle, galeria była zimna i ciemna, a w pokoju Carly paliło się światło.

- Czy ty...

- Nie - przerwała mu cicho.

- Niby dzień inny, a gównie takie samo - mruknął.

- Ty razem drzwi są szeroko otwarte. To się nie liczy?

Popchnął ją lekko w dół, każąc kucnąć koło starego kredensu.

- Zostań tu.

- Deja vu - burknęła, ale nie wstała i nie poszła za nim.

Dan mszył cicho w stronę otwartych drzwi. Z pokoju nie dochodził żaden dźwięk. Przykucnął i zajrzał szybko do środka.

Żadnych martwych szczurów.

Żywych też nie.

Aby się upewnić, rozejrzał się po pokoju, a potem po małej łazience obok, wspólnej dla kilku gościnnych pokoi. Czyste, starannie poskładane ręczniki. Czysta szklanka w stojaku.

Wrócił do korytarza.

- W porządku.

Mimo jego zapewnienia Carly wahała się chwilę, nim zajrzała do pokoju. Panował w nim idealny porządek.

No proszę, ktoś kogoś pogonił do roboty.

- Co masz na myśli?

Łóżko porządnie zaścielone. Moja piżama starannie złożona w nogach. Brakuje tylko czekoladki na poduszce.

- Ręczniki w łazience wyglądały na świeże. Pachniało nawet środkiem dezynfekującym.

Carly uniosła brwi.

- Rany, a ja muszę zostawić te spóźnione luksusy.

- Życie to kanał. - Dan podszedł do wysokiego kredensu, który służył jako szafa. - Gdzie masz walizkę?

- Pod łóżkiem, razem z resztą gratów.

Schylił się i wyciągnął walizkę i jakieś torby, a do tego kilka specjalistycznych aluminiowych skrzynek, w jakich wozi się aparaty fotograficzne albo broń. Znajac Carly, stawiał raczej na aparaty.

- Dan?

Słyszac ton jej głosu, zerwał się błyskawicznie. Stała w nogach łóżka, gapiąc się na jakieś pudła wepchnięte w kąt pokoju.

- Co jest? - zapytał.

Carly podeszła do pudeł i spojrzała jeszcze raz. Nie było wątpliwości. Wszystkie zostały źle pozamykane.

- Zostawiłam je ustawione rzędem przy łóżku - powiedziała. - A jeśli jakaś uczynna pokojówka przesunęła je pod ścianę, żebym się nie potykała, jakim prawem grzebała w środku?

- Skąd wiesz?

- Ciagle mam pełno szpejów w pudłach. Taka praca - powiedziała Carly. - Pierwszą rzeczą, jakiej się nauczyłam, było opisywanie ich, żeby bez zagładania wiedzieć, co jest w środku. Robię opis na bokach i na jednej z klap na górze. I zamykam zawsze tak, żeby ta z opisem była na wierzchu.

Dan spojrzal na górne pudło. Na pozakładanych klapach nie było żadnego napisu.

Ciekawe, co ukradli. Albo podrzucili - powiedziała Carly z goryczą.

Dan złapał ją za rękę, nim zdążyła dotknąć pudła.

- Ja to zrobię.

Ale zamiast otworzyć tekturowe pudło, zdjął kurtkę, przysiadł na piętach i zaczął je oglądać.

- Czego szukasz? - spytała Carly.

- Kabli.

- Kabli - powtórzyła. Nagle zrozumiała. Chwyliła urywany oddech. - Chyba nie myślisz, że ktoś chciałby wysadzić moje archiwum w powietrze?

- Paranoja to jedno z wymagań w mojej pracy.

Carly z trudem przełknęła ślinę.

- Co to za praca?

- Jestem na zwolnieniu.

Sięgnął do tylnej kieszeni po składany nóż. Ruch kciuka i błysnęło mordercze ostrze. Tak naprawdę nie spodziewał się w pudle żadnych zabójczych niespodzianek, ale nie miał ochoty zginąć z zaskoczona miną. Delikatnie, cierpliwie odciął wszystkie kłapy od boków, aż nic widocznego nie

łączyło ich z pudłem. Góra pudła uniosła się bez problemu i spadła na podłogę.

Na górze były tylko papiery.

- Jak to wygląda? - zapytał.

Carly odchrząknęła.

- Normalnie.

- Jest tego mniej więcej tyle samo, ile było, kiedy je zamykałaś?

- Chyba tak. Nie pakuję do pełna, bo wtedy wszystko się gniece.

- Okej. - Przerzucił papiery w pudle. Żadnych kabli. Żadnych szczurów. Nawet mysiego bobka. - Chyba wszystko w porządku. Sprawdź z grubsza, czy niczego nie brakuje.

Carly kucnęła obok niego i zaczęła przeglądać zawartość pudła. Notesy, formularze genealogiczne, szare koperty pełne zdjęć i dokumentów, opisane według przybliżonych dat czy rodzinnych powiązań. Niczego nie brakowało, ale coś było nic w porządku.

- Ktoś w tym grzebał - powiedziała.

- Jesteś pewna? - spytał, nie przerywając oględzin pozostałych pudeł.

- Tak. Jestem maniaczką porządku, jeśli chodzi o pracę - odparła. Genealogia i historia rodzin opiera się na drobnych faktach. Liczy się organizacja, organizacja i jeszcze raz organizacja wszystkich najdrobniejszych skrawków informacji, bo inaczej można zwariować, szukając jakiegoś dowodu czy czegośkolwiek, co już się dawno znalazło, a potem znów się wsadza ten dokument w nieodpowiednie miejsce. A w tym pudle koperta z dokumentami jest wetknięta między koperty ze zdjęciami. Zaś koperty ze zdjęciami z kolejnych dekad są pomieszane. Nic wielkiego - dodała, układając koperty - ale fakt jest faktem.

- Brakuje czegoś?

- Nie.

- Sprawdź te.

Uniosła głowę. Pozostałe pudła były otwarte. Z przyjemnością stwierdziła, że kłapy nie są poodcinane od boków. Zaczęła przeglądać zawartość.

We wszystkich to samo - powiedziała po kilku minutach. - Nic nie zginęło, ale jest lekki bałagan. Ciekawe, czego szukali. A może sapa prostu wścibscy.

Dan ustawił trzy pudła w piramidę i podniósł je.

Zaniosę to do samochodu. - Nagle zobaczył minę Carly. - Co?

- Właśnie chciałam zapiąć z zachwytu, jak to miło mieć pod ręką męzczyzną. Ja noszę te kobyły po jednej.

- Ja jestem za leniwy, żeby łaźnić tyle razy. Otwórz mi drzwi, jeśli łaska.

Carly złapała skrzynką z aparatem i walizkę i podreptała za Danem, otwierając mu drzwi, kiedy było trzeba. Powtarzali tę ekspedycję, aż znieśli do samochodu wszystko, czego potrzebowała, z wyjątkiem walizy. Dan podniósł ją i ruszył do drzwi.

- Czekaj - rzuciła Carly. - Zapomniałam piżamy.

Na jego usta wypłynął leniwy uśmiech.

- Jeśli o mnie chodzi, to możesz spać bez.

- Bardzo zabawne. - Podniosła piżamę z narzuty i nagle szarpnęła się do tyłu, chwytając głośno powietrze.

Dan natychmiast był między nią a łóżkiem.

Żadnego szczura.

Żadnej krwi.

Tylko liścik z liter wyciętych z gazetowych nagłówek:

NIE WRACAJ TU

Rozdział 24

*Sdntd Fe
Wtorek, wieczór*

Dworek gubernatora zaprojektowany był tak, by goście czuli się w nim swobodnie, obcując przy okazji z dziełami sztandarowych artystów Nowego Meksyku. Ale gwiazda ogólnokrajowej telewizji, chodząca w tę i z powrotem po saloniku i czekająca na gubernatora, nic czuła się tu swobodnie ani nie była w nastroju sprzyjającym podziwianiu sztuki. Ona sama była sztandarowa. Jeanette Dykstra prowadziła telewizyjny show ciesząc się ogromną oglądalnością. Program *Poza sceną* bazował na plotkach, spekulacjach, wywiadach z zaskoczenia i newsach z rodzaju tych, które kłały dobre imię dziennikarstwa.

Annę Quintrell delikatnie zacisnęła zęby, przylepiła do twarzy uśmiech i ruszyła w stronę królowej dziwek małego ekranu. Dykstra na żywo wydawała się starsza, bardziej kanciasta, niemal anorektycznie chuda. Był to wynik tyranii kamer telewizyjnych, dodających każdemu dziesięć kilo, przez co ludzie zarabiający na życie w telewizji wiecznie się odchudzali.

Annę rozumiała dietetyczny reżim. Nie rozumiała tylko, dlaczego kobiety o brązowych oczach i oliwkowej skórze myślą, że dobrze wyglądają z włosami spalonymi rozjaśnierzem na biało.

- Pani Dykstra, mam nadzieję, że nie kazałam pani czekać - powiedziała. - Moja sekretarka nie wspomniała, że jesteśmy umówione na wieczór.

- Proszę mi mówić Jeanette. - Dziennikarka uśmiechnęła się, ukazując idealne zęby i zero szczeroci. - Najwyraźniej zaszła pomyłka. Byłam umówiona z gubernatorem.

Uśmiech Annę nawet nie drgnął.

- Tak mi przykro. Widocznie ktoś zapomniał panią zawiadomić. Gubernator odwołał wszystkie spotkania po nagłej śmierci ojca.

- Nagłej? - Ciemne brwi Dykstry zeszyły się nad nosem.

- Śmierć zawsze jest nagła, nawet jeśli spodziewana.

Dykstra spojrzała na nienagannie ubraną żonę gubernatora; na żadnym zdjęciu z ukrycia nie dałoby się znaleźć nawet jednego włosa nie na miejscu. Nie było też żadnych plotek czy aluzji na temat małżeńskiej niezgody czy dziewczyn na boku. Ani chłopców. Nic, tylko Ken i Barbie Quintrello- wicz uśmiechający się do świata. Dykstra rozejrzała się po saloniku, taksując kolorowe, starannie dopracowane desenie na ciemnych belkach sufitu, beżowe wyściełane meble, które jakimś cudem wyglądały elegancko, i południowo- zachodnie dzieła sztuki. Tu też żadnych soczystych kąsków.

Milczenie przeciągało się.

- Gubernator na pewno chętnie wyznaczy nowy termin - skłamała Annę. Ma dużo podziwu dla pani pracy.

Taaak? Dykstra wydała dźwięk, który dziwnie przypominał parsknięcie. - W takim razie plotki mówią prawdę.

- Jakie plotki? ^

- Że Josh Quintrell wystartuje w wyborach prezydenckich.

- Mój mąż jest gubernatorem Nowego Meksyku i czuje się zaszczycony zaufaniem wyborców, którzy powierzyli mu to stanowisko.

Wszyscy tak mówią. A potem rzucają kapelusze na prezydencki ring i nie oglądają się za siebie. - Dykstra zmrużyła brązowe oczy. - Pani mąż może się potknąć o parę ładnych kłód w wyścigu prezydenckim.

- Jako że w nim nie...

Dziennikarka mówiła dalej:

- Jego syn jest przepitym łajdaczyną, który przelatuje kobiety szybciej niż złoty medalista w sprincie. Gubernator trzyma swoją biedną, chorą matkę odciętą od świata. Jego drogi, niedawno zmarły ojciec był rozpustnikiem, jakiego nie widzieliśmy od czasów Kennedych. Założę się, że jeśli się dobrze przyjrzeć, w okolicy znajdzie się cała masa bękartów, w których płynie senatorska krew. Rodzina pani męża to materiał na operę mydlaną.

Annę zachowała przyjazny wyraz twarzy. Miała ogromną praktyką w uśmiechaniu się przez zęby do wścibskich dziennikarzy, fanów i wszelkich szumowin, które ciągnęły się za znanymi politykami.

- Mój mąż to wrażliwy, inteligentny, myślący o dobru publicznym człowiek, który bardzo wiele zrobił dla obywateli Nowego Meksyku.

- I nic dla własnej rodziny. Połowa wyborców w Stanach to kobiety. Mają prawo wiedzieć, jakiego rodzaju człowiek ubiega się o ich głos. Jestem pewna, że gubernator chętnie udzieli półgodzinnego wywiadu dla *Poza sceną* na swoim ranczu i zechce się wypowiedzieć na temat swojego tragicznego życia osobistego, tak kontrastującego z zawodowym sukcesem.

- To bardzo miło z pani strony - odparła Annę neutralnym tonem. - Przekażę gubernatorowi pani propozycję.

- Proszę to zrobić. Dykstra poprawiła pasek skórzanej aktówki. I przy okazji wspomnieć mu, że jeśli nie zechce współpracować, *Poza sceną* wyemituje blok na temat jego rodziny tuż przed krajowymi prawyborami. Jeśli chodzi o tematykę, to zamierzam wykorzystać lekarzy jego matki, ludzi, którzy pamiętają jego tragicznie zmarłą, zaćpaną i rozwiązłą siostrę, plotki na temat nielegalnych źródeł finansowania kampanii i wszystkich bękartów Senatora, jakich uda nam się znaleźć do tego czasu. Jeśli gubernator będzie z nami współpracować, skoncentrujemy się na nim, zamiast na jego siostrze, ojcu, bękartach i śmierdzących pieniądzech. - Uśmiechnęła się blade. - Kiedy to sobie przemyśli, na pewno będzie wolał wypowiedzieć się osobiście.

Człowiek, który był czymś w rodzaju skrzyżowania lokaja z ochroniarzem, pojawił się w drzwiach jak za sprawą czarów. A może po prostu podsłuchiwał i postanowił wkroczyć do akcji. Dykstry to nie obchodziło. Powiedziała już, co miała do powiedzenia.

- Proszę dać pani redaktor wizytówkę sekretarki gubernatora - poleciła mu Annę. Odwróciła się do dziennikarki i wyciągnęła rękę. - Miło było panią poznać. Jeśli będę mogła w czymś pomóc, proszę śmiało dzwonić.

Annę utrzymała pokerową twarz, dopóki ochroniarz nie odprowadził Dykstry do wyjścia. Potem odwróciła się i ruszyła szybko do gabinetu męża. Zapukała lekko i otworzyła drzwi, nie czekając na zaproszenie.

- Josh, mamy problem.

Rozdział 25

Taos

Wtorek, późny wieczór

Dan rozejrzał się po wynajętym domu. Jego wnętrze wyglądało jak archiwum fotograficzne po przejściu tornada. Kupki zdjęć leżały wszędzie - na stole, krzesłach, łóżku, komodzie, pod ścianami i na całej podłodze.

- No dobra - powiedziała Carly. Zdjęła lekko zakurzone bawełniane rękawiczki i założyła czystą parę. W normalnych okolicznościach najpierw omówiłabym wszystko z Winifred, ale ona nie była zainteresowana żadnym zdjęciem, na którym nic widnieją wyłącznie Castillo.

Choroba Winifred, która drastycznie ograniczyła możliwość rozmów, sama w sobie była niemałą przeszkodą. Ale jej zacięty upór, by ignorować Quintrellów, Sandovalów i wszystkich innych spoza rodu Castillo, ogromnie utrudniał Carly pracę. Niezależnie od uprzedzeń Winifred wszystkie rodziny były ze sobą ściśle powiązane. Pomijanie tak ważnych zależności było kastrovaniem rodzinnej historii.

Bierz, co dają, i siedź cicho, powtarzała sobie Carly.

Uważała, że zdobycie listy nieślubnych dzieci Senatora nie zrekompensuje przykazu ignorowania Quintrellów. Zwłaszcza że lista miała chyba z metr. Kiedy Senator nie siedział w Santa Fe albo w Waszyngtonie, musiał pieprzyć wszystko, co nosiło spódnice w hrabstwie Taos. Rzuciło to całkiem nowe światło na chorobę zwaną satyriasis.

- Zobaczmy, co tu mamy - mruknęła.

- Katastrofę, ot co. Dan wskazał gestem porozkładane wszędzie papiery. - Będę musiał zawiesić hamaki, żebyśmy mieli gdzie spać.

Carly wyszczerzyła zęby w uśmiechu.

- Gdy tylko je zawieszysz, napełnię je zdjęciami.

- Nie załamuj mnie.

- Cóż. To jest najbardziej bałaganiarska część roboty, i pod pewnymi względami najważniejsza.

Dan pokręcił głową, choć miał ochotę się uśmiechnąć. Z prawdziwą przyjemnością patrzył, jak Carly w skupieniu przegląda kolejne zdjęcia Winifred i określa prawdopodobną datę zrobienia każdego z nich. Znacznie mniejszą kolekcję zdjęć Sandovalów rozłożyła na karcianym stoliku.

Kiedy nie rozkoszował się widokiem, przepuszczał nazwiska z listy Winifred przez własną bazę danych i bazę gazety. Próby ustalenia dat urlopów

Senatora, podczas których mógł się zabawiać z miejscowymi dziewczynami, i wyławianie z dostępnego on-line rejestru osób urodzonych po dziewięciu albo dziesięciu miesiącach było jak zadanie z logiki.

Podobało mu się to.

- Zaczniemy od dagerotypów - powiedziała Carly. - Jeśli nie natykam się na coś, co nie pasuje, zakładam, że dagerotypy pochodzą z okresu mniej więcej między 1840 a 1860.

- Dlaczego?

- Daguerre opatentował technikę fotografii na metalu w 1840 roku. Do 1860 ambrotypy i ferrotypy prawie całkowicie zastąpiły dagerotypy.

- Nigdy nie słyszałem o ambrotypach.

- Większość ludzi nie słyszała. Obraz powstawał na szkłe, zamiast na metalu. Łatwo się je oglądało. Nie trzeba było ustawiać szkła pod kątem, żeby zobaczyć obraz, tak jak przy dagerotypie. Widzisz?

Podążyła Danowi dagerotyp na otwartej dłoni. Musiał przechylać jej rękę w różnych kierunkach, zanim światło padło na metal pod odpowiednim kątem i ujawniło obraz. A i wtedy niełatwo go było obejrzeć.

- Jakby przeskakuje - powiedział Dan.

- Z negatywu na pozytyw - potwierdziła. - W ten sposób odróżniasz dagerotyp od ferrotypu. - Odłożyła obrazek na miejsce. Ambrotypy były o wiele łatwiejsze w produkcji niż dagerotypy. Nie wymagały długiej ekspozycji, podczas której głowę modelu przytrzymywał uchwyt wynaleziony chyba jeszcze przez hiszpańską inkwizycję. Dagerotypy były drogie. Ambrotypy tańsze. Co nie znaczy, że tanie. Żadna nowa technologia nie jest tania. Ambrotypy były bardzo popularne w latach pięćdziesiątych XIX wieku.

- A potem ktoś opracował lepszą technologię?

- Lepszą, tańszą i o wiele szybszą. Ferrotyp.

Dan spojrział na fotografię porzucaną po jego domu. Tyle sposobów, by zrobić zdjęcie. Tyle materiałów, na których można utrwalić obraz.

- Więc ferrotypy to zdjęcia na żelazie?

- Tak. Nazywano je też czasem melainotypami. Ta nazwa pochodzi od czarnego koloru tła. Płytkę fotograficzną można było ciąć nożycami na połowy, ćwiartki i tak dalej. Zdarzały się nawet maleńkie, sześć centymetrów kwadratowych. Potem nie było żadnego znaczącego postępu w fotografii aż do końca lat osiemdziesiątych XIX wieku, kiedy giętka klisza i aparaty Kodaka sprawiły, że każdy mógł zostać swoim własnym historykiem.

- Przysięgłbym, że niektóre z tych papierowych zdjęć pochodzą sprzed 1880 - powiedział Dan, patrząc na łóżko.

Carly podążyła za jego wzrokiem.

- Zgadza się. Proces nadruku na papier został wynaleziony w tym samym czasie co dagerotyp. Ale papier nie stał się popularnym materiałem, dopóki ludzie nie wymyślili, jak powielić obraz. Dopiero wtedy zaczęła się produkcja widokówek, kartek okolicznościowych i stereogramów. Niestety wszyscy kolekcjonowali kartki z podobiznami sławnych i bogatych, a stercogramy dla samej frajdy ich oglądania. Więc obrazki, które znajdujesz w swoim rodzinnym pudle z pamiątkami, mogą mieć tyle wspólnego z twoją rodziną, co dzisiejsze pocztówki ze zdjęciem królowej Elżbiety.

Dan otworzył usta, by zadać kolejne pytanie.

- W tej chwili - ucięła stanowczo Carly - chcę się skupić na opisywaniu dagerotypów Winifred.

Przywołała na ekran komputera arkusz z opisami zdjęć rodziny Castillo. Zawahala się przez moment i spojrzała na Dana, nim podała mu laptopa.

- Nie musisz tego robić, naprawdę - powiedziała. - To strasznie nudne.

Prace przygotowawcze często są nudne - odparł, biorąc od niej komputer - ale bez tego nic osiągnie się niczego konkretnego.

Carly odetchnęła z ulgą.

- Niewielu ludzi to rozumie.

- Widzisz? - Usiadł po turecku na podłodze obok niej. - Jeszcze jedna rzecz, która nas łączy.

Carly spojrziała na jego niewinną minę, w krystalicznie zielone oczy.

- Nabijasz się ze mnie.

Nie, z siebie. Bo przez następne parę godzin będę harował jak wół z piękną kobietą, zamiast uruchomić cały swój czar i zaciągnąć ją do łóżka.

- Mogę to dostać na piśmie?

Uśmiech Dana był jednocześnie rozbawiony i uwodzicielski.

- Nie.

Carly miała ochotę się powachlować, ale nie chciała go zachęcać. Już i tak był stanowczo za bardzo seksowny. Dlaczego moje hormony postanowiły się obudzić właśnie teraz? A może to mój zegar biologiczny zaczyna wpadać w amok?

Chciała w to wierzyć. Naprawdę chciała.

Ale obawiała się, że prawda jest inna: Dan działał na nią już przez sam fakt swojego istnienia. Gdyby był tylko przystojny, dałaby sobie radę. Ale inteligencja połączona z piekielnym poczuciem humoru przenikała przez wszystkie jej mury obronne.

Mam problem. Nagle uśmiechnęła się. I najwyższy czas.

- Co? - zapytał, widząc jej uśmiech.
- Gotów do pisania?

Dan miał ochotę dotrzeć do źródła tego tajemniczego kobiecego uśmiechu, ale uznał, że lepiej jej nie naciskać.

Przynajmniej nie za bardzo.

Na razie.

- Jasne - odparł.
- Dokumentacja Winifred Simmons y Castillo. Zdjęcie pierwsze. Dagerotyp. Wielkość: jedna druga płyty, kasetka: drewno i wytłaczana skóra, załączenie na haczyk z oczkiem, brak nazwiska fotografa czy nazwy studia na aksamitnym spodzie. Stojąca kobieta, ciemne włosy, kapelusz, prawdopodobnie do jazdy konnej. Ubiór prosty, niska talia, długa, obfita spódnica, rękawy lekko bufiaste, duże, dekoracyjne guziki z przodu, z tyłu prawdopodobnie marszczenie albo tumiura, materiał średniociemny do ciemnego z czarnymi akcentami, tło malowane, kolumny i draperia...

Opisując zdjęcie, pstryknęła kilka jego ujęć cyfrowym aparatem podłączonym kablem do laptopa, na którym pisał Dan.

- Szybki jesteś - powiedziała, patrząc na niego.

Tylko w niektórych rzeczach. Inne robię powoli i dokładnie.

Carly otworzyła usta, zamknęła je i powiedziała sobie, że podwójne znaczenie jego słów to produkt jej wyobraźni. Ale kiedy dostrzegła półuśmiech na jego ustach, wiedziała, że cokolwiek sobie wyobraziła, on wyobraża sobie to samo.

I nie mogła go nawet zbesztać, bo narobiłaby sobie obciachu.

- Tak - mruknęła. Data powstania pierwszego zdjęcia to prawdopodobnie połowa lat czterdziestych XIX wieku, sądząc po kasetce i stroju modelki.

Dan chciał o coś zapytać, ale nie zrobił tego. Zarwałoby całą noc, gdyby pofolgował swojej ciekawości. Mimo to ciężko było nie pytać. Dogłębna wiedza na jakikolwiek temat była dla niego fascynująca.

Poza tym mógłby przysiąc, że niektóre z tych zdjęć wyglądały znajomo. Nie mogły to być fotografie z jego przeszłości, bo jego matka nie miała żadnych fotografii starszych niż jej dzieci.

Carly umieściła cyfrowe zdjęcia dagerotypu w odpowiednim miejscu formularza, który Dan skończył właśnie wypełniać.

- Zdjęcie drugie. Dagerotyp. Wielkość: jedna druga płyty, kasetka: drewno i wytłaczana skóra, motyw róż. Stojąca kobieta, inna niż na pierwszym zdję-

ciu, na tyle starsza od pierwszej, że mogłaby być jej matką, ubiór w tym samym stylu...

Dan otworzył kolejny czysty arkusz. Wpisując szybko dane, myślał, jak bardzo różnią się od jego zwykłych raportów, z ich politycznymi plotkami i podtekstami, faktami i ofiarami, naukowymi analizami i najzwyklejszymi przecuciami, gracjami, policją i nieszczęsnymi sukinsynami uwięzionymi między tym wszystkim. Właśnie tych ludzi było mu żal, tym ludziom chciał pomóc i aż nazbyt często nie mógł zrobić nic - co najwyżej pochować zabitych i pomodlić się za żywych.

Może Carly miała trochę racji. Kiedy bada się przeszłość zamiast teraźniejszości, przynajmniej krew jest już zaschnięta.

Szybko opisali i skatalogowali sześć dagerotypów. Kiedy dotarli do siódniego, Dan poczuł się jak myśliwy, który właśnie wytropił swój obiad.

- Znam to zdjęcie - powiedział, wskazując podobiznę młodej pary. - Widziałem je już.
- Gdzie? - rzuciła zaintrygowana Carly. - Winifred je zignorowała, kiedy o nie pytałam.
- W archiwum gazety. Nie pamiętam, czy to był rysunek czy zdjęcie oryginalnego dagerotypu. Ale to jest Andrew Jackson Quintrell I i jego żona Isobel Quintrell y Castillo. Po ślubie używała zangielszczonej wersji swojego nazwiska, Isobel Castillo Quintrell. Więc ten dagerotyp powstał w 1865 roku, kiedy wzięli ślub w Nowym Meksyku. Prawdopodobnie w Santa Fe, ale tego nie jestem pewny. W artykule może być wymienione nazwisko fotografa, dagerotypisty, czy jak mu tam było, i z pewnością jest w nim data ślubu.

Carly uśmiechnęła się szeroko i cmoknęła Dana w policzek.

- Fantastycznie! Ktoś ci kiedyś mówił, że jesteś geniuszem? Pocałuj mnie jeszcze raz i możesz mnie nazywać, jak chcesz.
- Och, co za pokusa.
- Całus czy przezywanki?
- Jedno i drugie.

Przyciągnął ją do siebie, pocałował i wypuścił z leniwym uśmiechem.

- No to zaczynamy przezywanki.

Carly nie mogła złapać oddechu, a co dopiero wrzasnąć na człowieka, który właśnie pokazał, że jeśli chodzi o całowanie, powinna się jeszcze sporo nauczyć. Na samą myśl o tym zakreśliło jej się w głowie.

- Żadnych komentarzy? - zapytał.
- Czy „o rany” się liczy?

Jego ręka owinęła się wokół jej szyi.

- Chcesz spróbować jeszcze?

Jej ciało mówiło „tak”.

Umysł mówił „Jeszcze nie”.

Dan doskonale to wyczuł. Puścił ją z powolną pieśczołą, muskając dłonią linię podbródka.

- Co idzie po dagerotypach?

- Po czym? - Odwróciła gwałtownie wzrok, by nie zatonać w jego zielonych jak dżungla oczach. - Ambrotypy. - Odetchnęła głośno. - Strasznie trudno się przy tobie skupić.

- Dziękuję.

- To nie był komplement.

- Ależ był. Kiedy się skupiasz, potrzeba dynamitu, żeby cię rozproszyć.

Wniosek: jestem dynamitem.

Roześmiała się bezsilnie. Ale po chwili śmiała się już pełną piersią. Dawno nic bawiła się z żadnym mężczyzną tak świetnie, jak z Danem Duranem. Prawdę mówiąc, nigdy się tak nie bawiła.

- Jeśli mam zdobyć premię Winifred za wcześniejsze zakończenie pracy, muszę się skupić - powiedziała. Wodzenie koniuszkami palców po jego szorstkim od zarostu policzku z pewnością nie ułatwiało jej koncentracji. - Pomóż mi, dobrze?

Kiwnął głową, musnął jej palce pocałunkiem i odwrócił się do komputera.

- Ambrotypy.

Westchnęła.

- Tak. Ambrotypy. - Delikatnie podniosła pierwszy z nich dłońmi w bawełnianych rękawiczkach. - Zdjęcie ósme. Wielkość: jedna czwarta płyty. Kasetka prawdopodobnie z połowy lat pięćdziesiątych XIX wieku. Emulsja jest mocno uszkodzona i miejscami złuszcza się ze szkła. Wątpię, by renowacja była możliwa. A choćby nawet, Winifred nic chce za nią zapłacić. Najlepsze, co mogę zrobić, to sfotografować obraz i pobawić się z nim na komputerze.

Dan pisał, a Carly robiła zdjęcia i uważała się nad ambrotypami, które nie oparły się upływowi czasu. Czasami tańsze i szybsze metody okazywały się gorsze na dłuższą metę; dagerotypy przetrwały nietknięte, podczas gdy z ambrotypów zostało niewiele więcej niż czarne, zniszczone płatki i szklana płytka.

- Jak długo trwała moda na ambrotypy? - zapytał Dan, kiedy Carly przewała na chwilę.

- Mniej niż dziesięć lat, dzięki Bogu. Ferrotypy są o wiele trwalsze. Pokręciła głową. - Właściwie szkoda nawet miejsca na dysku, ale nigdy nie wiadomo, Może jakiś bystry technik wykombinuje metodę przywrócenia tych obrazów do życia.

Sięgając po pierwszy ferrotyp, Carly zerknęła z ukosa na Dana. Zachowywał się, jakby tamtego pocałunku nigdy nie było. Ale nawet powtarzając sobie, że nie może narzekać, że przecież robi dokładnie to, o co prosiła, patrzyła na jego usta. Ich miękki, drapieżny dotyk na jej wargach nic dawał o sobie zapomnieć. I nie mogła nie pragnąć więcej.

- Rozpraszasz mnie - powiedział Dan, nie odrywając oczu od komputera.

Popracuj nad koncentracją.

Zachichotał.

- Zdjęcie dwudzieste pierwsze - rzuciła dziarsko. - Ferrotyp. Wielkość: jedna druga płyty, sepia, najprawdopodobniej Isobel Quintrell lub jej bliska krewna, sądząc po linii podbródka, rozstawie oczu i kształcie kości policzkowych. Kobieta jest w pełnej żałobie i trzyma, jak się wydaje, martwego noworodka owiniętego w białą szatkę do chrztu.

Palce Dana znieruchomiały nad klawiaturą komputera.

- Chyba żartujesz.

- Nie.

Spojrzał na nią z niedowierzaniem.

- To prawda - odparła Carly. - Kobiety często fotografowały się ze swoimi zmarłymi dziećmi, a zdjęcia wysyłano do mieszkających daleko członków rodziny jako swego rodzaju pamiątki.

Dan uniósł brwi.

Wiele kultur składa ofiary zmarłym, ale ta jest dla mnie nowa.

- Dziewiętnasty wiek miał o wiele większe zrozumienie dla nieuchronności śmierci i dla pośmiertnych rytuałów niż my w XXI wieku. Wtedy ludzie żyli znacznie bliżej natury.

Więc ci ludzie ze zdjęć, którzy wyglądają jak pośmiertne maski, prawdopodobnie byli martwi?

- Tak.

Zaczęła fotografować ferrotyp i mówiła dalej:

- Pośmiertne czy też pogrzebne zdjęcia, czy jakkolwiek je nazywano, miały spore wzięcie. Były sposobem na połączenie rodzin oddzielonych dużymi odległościami, kiedy najszybszym środkiem transportu był galopujący koń czy płynący statek.

Dan zerknął spod oka na Carly. Miała na sobie dzinsy i jego starą bluzę od dresu, była nieumalowana, bosa. W białych bawełnianych rękawiczkach obsługiwała nowoczesny aparat fotograficzny, rzeczowym tonem opowiadając o największym tabu ludzkości – śmierci.

- Choć i wtedy próbowano upiększać śmierć – dodała. – Ciała zmarłych członków rodziny myto i odziewano w najlepsze ubranie do fotografii. Jedynie przypadki, kiedy spoglądano w prawdziwe oblicze śmierci, to pośmiertne zdjęcia kryminalistów. Wtedy ciała były tylko podpierane, tak by aparat mógł zarejestrować dziury po kulach i twarz. Dowód śmierci. Było to o wiele łatwiejsze niż taszczenie ciała przez cały Zachód, by upomnieć się o nagrodę za złapanie żywego lub martwego bandyty. Oparła pięści o krzyż i przeciągnęła się. To samo dotyczyło powieszonych. Niektórzy fotografowie nieźle zarabiali na kartkach z bandytami po egzekucji.

Dan poprawił się na krześle, ustawiając zdrowiejącą nogę w innej pozycji. Carly zauważyła ten ruch.

- Może powinniśmy zrobić przerwę.

Mam jeszcze ze dwie godziny, zanim nie będę mógł utrzymać rąk przy sobie.

- Ale twoja noga...

- Ma się dobrze. – Położył dłonie na klawiaturze.

Carly przełknęła swoje obiektywy i wzięła kolejny ferrotyp. Opisała kasety, tło i inne cechy, które mogły pomóc przy datowaniu.

- Ta sama kobieta, inna suknia żałobna, inna szata chrzcielna dziecka, które wygląda na mniej więcej dwumiesięczne. Suknia jest mocno wcięta w talii, z tyłu ma krótki tren. Prawdopodobnie koniec lat siedemdziesiątych.

Dan wklepał opis żałobnego zdjęcia. Następne trzy ferrotypy były takie same – zmieniał się tylko styl żałobnych ubrań i wiek zmarłego dziecka.

- No dobrze, zmarłych mamy z głowy – mruknęła Carly, biorąc ostatnie zdjęcie. Przejdźmy do dzieci, którym się udało.

- Sześcioro martwych dzieci i żadne jeszcze nawet nie raczkowało. To cud, że ona to przeżyła – powiedział Dan. – Jesteś pewna, że to cały czas ta sama kobieta?

- Czarny różaniec zwisający z jej dłoni wygląda tak samo na każdym zdjęciu. Kiedy go wyostrzę cyfrowo, będę miała pewność.

Następne trzy ferrotypy przedstawiały żyjące dzieci, dwie dziewczynki i chłopca. Nawet jako niemowlę chłopiec wyróżniał się jasnymi, błyszczącymi oczami ojca, pierwszego Andre w Jacksona Quintrella I. Cechy matki można było dostrzec w kształcie jego podbródka i maleńkich uszu.

- Jeśli masz rację i ta kobieta to Isobel – powiedział Dan – ten chłopiec to AJ Quintrell Junior. A jego siostry to... – zmarszczył brwi i chwilę grzebał w pamięci, przypominając sobie rezultaty swoich dawnych badań; tych, które tak rozzłościły jego matkę, że nie odzywała się do niego przez tydzień – Maria i Elena. I o ich narodzinach na pewno wspomniano w gazecie. O śmierci zresztą też.

- Pamiętasz jakieś szczegóły? Winifred mówiła tylko o tych. – Carly wskazała rząd ferrotypów na łóżku, bardzo podobnych do tych, które właśnie skatalogowali.

Dan pokręcił głową.

- Mama nigdy nie mówiła o swoich rodzicach, a tym bardziej o dziadkach i pradziadkach.

Carly burknęła coś sfrustrowana.

Niezależnie od tego, co myśli Winifred, to także jest część jej rodziny.

- To ona płaci rachunki.

- Aleja nie lubię wykonywać roboty połowicznie.

Zerknął na nią z ukosa, z półuśmiechem.

- Miło mi to słyszeć.

- Przestań.

- Co?

- Niby zachowujesz się niewinnie, ale ciągle rzucasz jakieś zdania z podtekstem, żebym się o nie potknęła.

- Jak się potkniesz, już nie wstaniesz z podłogi.

Próbowała się nie roześmiać.

- Skup się, Dan. Skup się.

- Skupiam się.

- Ale nie na tym, co trzeba.

- Czyli?

- Na seksie,

- Jestem facetem, kotku. To tak, jakbyś mnie prosiła, żebym nie oddychał.

Nie powiedział, jak dobrze znów było poczuć się jak mężczyzna, a nie jak zakrwawiony żywy trup, wściekły na wszystko, czego nie da się zmienić. Gdyby o tym wspomniał, ciekawska Carolina May miałaby tysiące pytań, a on nie mógłby odpowiedzieć na żadne z nich.

Carly dostrzegła zmianę w wyrazie jego twarzy, która z rozbawionej znów stała się mroczna. Była ciekawa, o czym myśli. Nie o seksie. Tego była pewna.

Tłumiąc westchnienie, wzięła ferrotyp z zestawu, o którym Winifred zgodziła się mówić, i zaczęła go opisywać. Gdy skończyła, dodała informację usłyszaną od Winifred.

Data: trzeci stycznia 1870 roku. Ślub Juany Castillo z kuzynem trzeciego stopnia Mateo Cortézem de Castillo. Podniosła kolejny ferrotyp, opisała go, i dodała: - Dwa lata później timarła w połogu. To jej zdjęcie pośmiertne. - Na tapetę trafił następny ferrotyp. Maria, córka Juany. Mateo Cortez de Castillo ożenił się ponownie dwa lata po śmierci żony. Wszelki ślad po nim w historii rodziny Castillo ginie po tym powtórnym małżeństwie. Jego potomkowie się nie liczyli, mimo że byli przyrodnim rodzeństwem Marii.

Grunt to rodzinka mruknął Dan.

- Łagodnie mówiąc. O ile się zorientowałam, Winifred i jej matka nie miały najlepszego zdania o Mateo. To ten, który stracił większą część farmy na rzecz *Anglos*. Dlatego wydał swoją czternastoletnią córkę Marię za Hale^ Simmonsa.

Dan zagwizdał.

- Czternaście lat? Nawet w starych, złych czasach to trochę młodo.
- Hale miał przynajmniej czterdziestkę. Najdziwniejsze, że nie mieli dzieci przez prawie dwadzieścia pięć lat. Dopiero w 1916 urodziła się Sylvia Maria.

Więc tatuś Sylvii miał ponad sześćdziesiąt pięć lat, kiedy zaczął płodzić dzieci z kobietą, z którą żył przez ćwierć wieku? - mruknął Dan sceptycznie. - To wygląda, jakby Maria nareszcie wyrwała się z klatki i zaczęła szukać dawców spermy.

- Chcesz to zasugerować Winifred?

Dlaczego nie? To ona chce odtworzyć historię rodziny matki. Wydaje jej się, że pochodzi od długiej linii matek Teres, czy jak?

Zapytam ją, ale pewnie nie będzie to miało dla niej znaczenia. Simmons nie był Castillo.

- Racja. Więc Winifred urodziła się zaraz po siostrze?

- Jeśli według ciebie dziesięć lat to zaraz po, to tak.

Dan dopisał coś szybko.

- Wpadka w czasie menopauzy?

- Zdarza się. I nie tak znów rzadko.

- Nowy chłopak? Hale pewnie był już za stary na te rzeczy, a nawet jeśli nic, to strzelał ślepekami.

- Zapytam Winifred - rzuciła kwaśno Carly. - Ale po drodze było kilka martwych noworodków, więc zakładam, że to był stały chłopak.

- Jeśli chcesz mieć pewność, odszukaj grób Hale'a, zdobądź próbkę DNA i sprawdź, czy ja albo moja matka jesteśmy z nim spokrewnieni.

Carly szybko przemyślała sprawę.

- Hale nie żyje od bardzo dawna.

- Byłabyś zdumiona, co potrafią laboratoria.

- Ciekawe, czy Winifred zapłaciłaby za test.

- Daj jej spokój. Ja zapłacę.

Carly spojrzała na Dana ze zdumieniem.

- Dlaczego?

Bo jeśli Winifred zda sobie sprawę, że nie może przewidzieć, co wyniknie z jej rodzinnej historii, prawdopodobnie w ogóle z niej zrezygnuje.

Carly oparła ręce na biodrach.

- Miło wiedzieć, że chcesz mnie pozbawić pracy.

Dan wstał, nim zdążyła cofnąć się choćby o krok.

- Powiem ci, czego nie chcę - szepnął z twarzą tuż przy jej twarzy. - Nie chcę usłyszeć twojego krzyku w słuchawce.

Rozdział 26

Taos

Środa, nad ranem

Dan wyciągnął lewą nogę i zaczął masować mięśnie, którym niewiele brakowało do skurczu. Z chodzeniem i bieganiem szło mu całkiem nieźle, ale po paru godzinach siedzenia przy komputerze ból w nodze był gwarantowany. Przejrzał jeszcze raz podsumowanie swojego raportu i kliknął „wyslij”, by poinformować tych w Waszyngtonie, że Kolumbia pędzi po równi pochyłej prosto do piekła. Znowu. Może słaby rząd kolumbijski zdoła wyciągnąć kraj z bagna narkotykowych fortun i prywatnych armii. Może Bank Światowy wpompuje w ten kraj dość legalnych pieniędzy, by na jakiś czas zażegnać niebezpieczeństwo.

Ale nic nie zastąpi przedstawicieli wykształconej klasy średniej i elity, których bogactwo i talenty wyciekały z Kolumbii w przerażającym tempie, jak krwotok.

Chciwość, maszyna napędowa tego świata zmierzającego ku katastrofie.

Dan miał nadzieję, że jego raport choć odrobinę przyspieszy reakcję Stanów Zjednoczonych i świata na rozwijający się błyskawicznie kolumbijski

kryzys. Trzeba pohamować oszustów na szczycie - tych, którzy jadą na grzbiecie społeczeństwa, mordując konkurencję, i zgarniają forszę, dopóki koń pod nimi nie padnie.

Myślenie o tym bynajmniej nie pomagało na ból w nodze.

Więc myśl o roześmianych dzieciakach Gusa. Niedługo grypa im przejdzie i znów zaczną tryskać zdrowiem i inteligencją, dobrze odżywione, kochane przez wszystkich i gotowe wziąć świat w swoje ręce.

Pieprzyć polityków.

To dla tych dzieci próbuję uratować cokolwiek z tego rozpędzonego pociągu śmierci.

Dan wyłączył komputer, odłączył skrzynkę, która automatycznie kodowała wychodzące materiały i rozkodowywała nadchodzącą pocztę, i schował maszynę do tytanowego gniazda.

Za zamkniętych drzwi saloniku, w którym spała Carly, nic dochodził zaden dźwięk. Myśl o niej, leżącej samotnie w ciemności, nie dawała mu spokoju.

Od strony domu Rinconów dobiegło go szczekanie dwóch psów. Przybieirało na siłę, aż w końcu psy zamilkły, uciszone krzykiem pana.

Dan czekał, nasłuchując, co też mogło zaniepokoić psy. Ale słyszał tylko trzaski polan w kominku za sypialnią, rozpadających się na węgle. Wiatr wzdychał nad dachem i zawodził w potężnych gałęziach topoli. Chwilę później psy znów zaczęły szczekać, prowokując kolejny gniewny krzyk właściciela.

Coś jest po nawietrznej domu. Psy szczekają za każdym podmuchem wiatru.

Nagle w salonie rozległ się brzęk tłuczonego szkła i coś łupnęło o podłogę. Rozdzwoniły się wszystkie alarmy.

Dan znalazł się w salonie, nim rozpędzony pocisk znieruchomiał na drewnianej podłodze. Natychmiast zauważył, że to suszona cegła, a nie koktajl Mołotowa czy granat-samoróbka. Do cegły przywiązana była koperta.

Podszedł do panelu alarmu w salonie i wyłączył go.

Psy sąsiadów szalały.

- Co się dzieje? - Głos Carly był ochryply od adrenaliny i głębokiego snu, z którego została wyrwana.

- Nie wstawaj. Mówię poważnie, Carolino May. Leż, jak leżysz.

Nie poruszyła się. Powstrzymały ją nie tyle jego słowa, co stanowczy ton.

Dan wrócił do sypialni, ukląkł przy tytanowej skrzyni i szybko uporał się z zamkami. Tym razem nie wyciągnął dekodera.

Desert eagle nie lśnił chromem. Był matowy, ciemny i budził respekt. I był naładowany. Wywiczonym ruchem Dan zwolnił bezpiecznik i opuścił pistolet wzdłuż nogi. Szybko, bezszelestnie, z wyjątkiem chrzęstu stłuczonego szkła pod butami, przeszedł przez salon i stanął obok wybitego okna.

Przez podarte zasłony do pokoju wpadało światło księżycy. Dan wyrztał i zlustrował podwórko od frontu. Nic się nie poruszało - tylko czarny kształt pędzący drogą.

Ktoś uciekał samochodem, bez świateł.

- Dan? - szepnęła Carly,

- Jeszcze nie - szepnął w odpowiedzi. - Chyba uciekł, ale chcę się upewnić. Nie ruszaj się z łóżka, dopóki nie wrócę.

- Ale dlaczego to ty masz... - Zatkaną ją na widok pistoletu przy jego udzie. - Aha.

Rzucił jej swoją komórkę.

- Wezwij gliny. Mój dom podlega jurysdykcji hrabstwa.

Carly złapała telefon w locie i zaczęła wstukiwać numer.

- Naprawdę będziesz musiał mi opowiedzieć o swojej pracy - mruknęła.

Dan podszedł do kuchennych drzwi. Noc była jasna i zimna. W powietrzu unosił się słaby zapach spalin ze źle wyregulowanego silnika.

Gdyby sądził, że to on był celem, ostrożnie przekradałby się, wokół domu, trzymając się ścian. Ale celem była Carly, więc miał ochotę dorwać gnoja. Rutynowe przeszukanie terenu wykonał w tempie, które przeraziłoby trenerów Służb Specjalnych. Był wszak, co powtarzał im każdego dnia szkolenia, naukowcem, a nie żołnierzem, i nie było mowy o przerobieniu go w sprawna maszynę do zabijania.

Znalazł tylko niewyraźne ślady stóp prowadzące z drogi na zamrożone podwórko i z powrotem. Mieszanka nadtopionego, a potem znów zamrożonego śniegu i błota nie pozwalała uzyskać wielu informacji. Ten ktoś nie był olbrzymem ani karłem, nie nosił szpilek ani niczego, co zostawiłoby charakterystyczne odciski.

Dan zabezpieczył pistolet i wetknął go za pasek dzinsów. Nie było to wygodne, ale przynajmniej wiedział, że broń się nie przesunie.

- Już w porządku, Carly! - zawołał. - Ale nie wychodź z łóżka. Wszędzie pełno szkła i jest cholernie zimno.

Poszedł do przybudówki, odszukał kilka starych palików z ogrodzenia i zaniosł je do domu.

Carly patrzyła w milczeniu, jak przybija paliki do wybitego okna. Wymachiwał młotkiem jak ktoś, kto myśli o zemście. Kolba pistoletu była widoczna na tle jego koszuli.

- Zupełnie jak w więzieniu - powiedziała.
Dan uśmiechnął się ponuro.
- Ciepłej od tego nie będzie, ale przynajmniej powstrzyma nieproszonych gości. Rano przywiozę jakąś sklejkę. - Spojrzał na nią. Była blada, w świetle księżycy wyglądała niemal jak duch. Trzymała coś, co wyglądało jak kartka z życzeniami. Ręka jej się trzęsła. - W porządku, kotku?
- Jasne. Ludzie bez przerwy wrzucają mi cegły przez okna. I zostawiają martwe szczury, dewastują mi samochód, wrzeszczą do mnie przez telefon i... - Przełknęła ślinę, próbując pozbyć się adrenalinowej chryпки. - Ale bezpośrednie groźby to dla mnie nowość. Do tego muszę się jeszcze przyzwyczaić.
Miażdżąc kawałki szkła, Dan podszedł do niej, kucnął obok dmuchanego materaca i wyjął jej list z dłoni. Była to standardowa kartka Z życzeniami, do kupienia w każdym sklepie, z napisem: CHCE CI POWIEDZIEĆ...
Kiedy otworzył kartkę, uruchomił się maleńki magnetofon i rozległ się szep: Zabierz ja. z miasta, zanim zginie.

Rozdział 27

*Ranczo Quintrellów
Środa, rano*

Melissa osłoniła twarz. Pilot posadził helikopter na małym lądowisku i wyłączył silnik. Podeszła dopiero, kiedy śmigła przestały się obracać.
Panie gubernatorze, co za miła niespodzianka - powiedziała. - Uniosła rękę, dając sygnał jednemu z pracowników rancza. - Jim właśnie przywiózł pocztę. Zajmie się pańskim bagażem.
Josh potarł ze znużeniem twarz. On i Annę mieli za sobą długą noc - omawiali, jak poradzić sobie z problemem pod tytułem Jeanette Dykstra. Josh nic chciał wychodzić na scenę tak krótko po śmierci ojca, ale teraz nie miał wyboru.
Dzięki, Jim - powiedział, ściskając dłoń mężczyzny. Jak tam polowanie?
- Kiepsko. Susza mocno przetrzebiła drapieżniki.
Dobre wieści. A bardzo mi ich teraz potrzeba.
- Tak, wygląda pan jak zajeżdżona chabeta, którą zostawili o suchym pysku.

Josh prawie się roześmiał.
- Całe szczęście, że jesteś dobrym strzelcem. Nie zrobiłbyś kariery w polityce.
- Święta prawda. Jim podniósł worek marynarski, który pilot wyładował ze śmigłowca. - Coś mały ten bagaż.
- Tak - mruknął gubernator, ruszając w stronę domu.
Melissa przygryzła wargę i poszła za nim.
- Czy doktor skończył już z Sylvia? - zapytał Josh.
Melissa spojrzała na zegarek, potem na podjazd. Mercedes doktora wciąż stał przy krawężniku.
- Zaraz skończy - odparła. - Powiedziałam mu, żeby na pana zaczekał, tak jak pan prosił.
Josh mruknął potakująco. Kiedy znaleźli się w domu, ruszył do apartamentu Sylwii. Wszedł bez pukania,
Winifred uniosła głowę, zmarszczyła brwi, po czym odwróciła się z powrotem do Sylwii, by wsmarować kolejną porcję śmierdzącej mazi. Nie mogła się doczekać, aż wszyscy wyjdą. W poczcie, którą przyniósł Jim, była paczka z testami DNA. Chciała wysłać próbki jak najszybciej.
I możliwie dyskretnie.
Doktor Sand, pochylony nad pacjentką, zabrał stetoskop, powiesił go sobie na szyi i wyprostował się.
- No i? - zapytała Winifred.
- Wymyka się nam. Puls jest płytki i przyspieszony, oddech też. Skóra blada, prawie żadnych mięśni.
To samo mówił pan tydzień temu.
- Z całym przekonaniem. I teraz też mówię to z przekonaniem. To cud, że ona wciąż żyje. Powinienem wysłać ten cuchnący krem do laboratorium do analizy.
Winifred przymknęła oczy. Wiedziała lepiej niż doktor, jak bardzo bliska śmierci jest Sylvia. Tylko całodzienna troskliwa opieka utrzymywała ją przy życiu. Niech ten rozwiąży sukinsyn spłonie na samym dnie piekieł. A jego syn razem z nim. Otworzyła oczy i posłała siostrzeńcowi ponure spojrzenie.
Myślę, że pora oddać Sylvię do domu opieki - powiedział Josh.
Nie! zaprotestowała Winifred.
Tak. - Głos Josha był zimny i niewzruszony; głos człowieka przyzwyczajonego do posłuchu.
Doktor zajął się pakowaniem ciśnieniomierza i innych sprzętów.
- Utrzymuj ją przy życiu od lat - powiedziała Winifred.

- I jesteśmy ci za to wdzięczni. Niestety zapłaciłaś za to zdrowiem. Większość nocy przesympiasz w fotelu w jej pokoju. Teraz, nawet stojąc dwa metry od ciebie, słyszę, że masz trudności z oddychaniem. - Josh spojrzął na lekarza, który kiwnął głową.

- Zbadam pannę Winifred, zanim wyjdę - powiedział doktor Sands.

- To nic - rzuciła Winifred. - Po prostu nawdychałam się zimnego powietrza, kiedy wyszłam po drewno.

Doktor spojrzął na nią, marszcząc czoło.

- Jeśli pani o siebie nie zadba, dostanie pani zapalenia płuc. Na moje ucho niewiele już pani brakuje.

- Tak czy inaczej, nie możemy cię dopuszczać do Sylvii, kiedy jesteś chora. Jej życie jest zbyt kruche. Doktorze, proszę zorganizować transport dla Sylvii do Domu Opieki Oaza w Santa Fe tak szybko, jak to możliwe. W ciągu najbliższych dni.

- Postaram się... - zaczął doktor.

- Nie pozwolę na to! przerwała mu gniewnie Winifred. Ale siłą jej słów niszczył atak kaszki

Sands pokręcił głową.

- Macie jeszcze butlę z tlenem, której używał Senator?

Josh odwrócił się i spojrzął w korytarz, gdzie czekała Melissa.

- Tak - powiedziała. Zatrzymałam ją, żeby była pod ręką, gdyby oddech Sylvii spłycił się jeszcze bardziej.

- Proszę przynieść całe urządzenie - polecił doktor. Ustawię je w pokoju panny Winifred, ale najpierw osłucham jej płuca. Spojrzął na starszkę. - Proszę pójść ze mną do swojego pokoju. Chyba że chce pani być badana tutaj.

- W ogóle nie chcę być badana.

- Dopóki doktor nie wykluczy wszelkich chorób zakaźnych - powiedział beznamiętnie gubernator - nie mogę cię dopuszczać do siostry.

Winifred znieruchomiała na moment. Potem wstała i podeszła do Josha. Choć był wysoki, niewiele ustępowała mu wzrostem. Patrzyła mu w oczy przez długą, pełną napięcia chwilę.

- Melissa ma rację - powiedziała cicho. - Pozbędziesz się nas wszystkich i sprzedasz ranczo.

- Prowadziłem je wyłącznie dla Senatora. Ale on nie żyje i nie możemy sobie dłużej pozwalać na straty.

- Powiedz raczej, że wolisz wydać pieniądze w mieście. To jest ranczo Sylvii.

- A ja jestem jej opiekunem. Uważam, że w najlepszym interesie mojej matki jest przeniesienie jej do miasta, gdzie będzie miała pierwszorzędną

medyczną opiekę, więc sprzedam ranczo i wykorzystam te pieniądze, by ulżyć jej przez tę resztę życia, jaka jej pozostała.

- Mówisz to, jakbyś ćwiczył wystąpienie telewizyjne - stwierdziła gorzko Winifred.

Nie raczył odpowiedzieć.

Spojrziała w jego niebieskie oczy, tak podobne do oczu Senatora, tak pełne determinacji, tak zimne. Zakaszała raz i już nie mogła przestać. Zrozumiała, że wszystko jej się wymyka, plany i nadzieje, zwycięstwo i sprawiedliwa zemsta Castillo nad Quintrrellami.

Pokój zaczął wirować przed jej oczami.

- Zobaczmy się w piekle - rzuciła ochryple.

Josh w to nie wątpił.

Rozdział 28

Taos

Środa, rano

Zadzwonił telefon, budząc Dana z niespokojnego snu. Był już prawie świt, kiedy znużony zastępca szeryfa wyszedł z kolejnym raportem, który miał trafić do szuflady. Mimo to Dan nie mógł zasnąć. Carly była w pokoju obok, a on wciąż myślał o tym, jaka jest ciepła pod piżamą i jak by smakowała. Wyobrażał sobie ich splecione ciała, gorączkę, napięcie i spełnienie.

Próbował sobie wmówić, że przy nim czułaby się bezpieczniej, ale nigdy nie był dobry w okłamywaniu się. Carly potrzebowała bezpieczeństwa i snu, nie seksu.

Kiedy wreszcie zasnął, śniły mu się black hawks spadające z powietrza, buchające śmiercią ze wszystkich łuf. Obudził się zlany potem w środku nocy. Gdy uświadomił sobie, że ryk śmigłowców lecących nad doliną Taos to tylko wytwór jego wyobraźni, znów zapadł w sen.

Rano czekała go dobra wiadomość: rozmiar porannej stójki dowodził, że jest już całkiem zdrowy.

Jego lekarstwo wydało głośny pisk, kiedy jej stopy dotknęły lodowatej podłogi w saloniku.

Uważaj na szkło! - zawołał. - Mogłem coś przegapić.

Myślałam, że to błyszczące to lód! - odrzyknęła.

Telefon wciąż dzwonił, Dan sięgnął po słuchawkę i stracił stertę fotografii.

- Niech to szlag - burknął, łapiąc zdjęcia i jednocześnie przykładając słuchawkę do ucha.

- To tak się wita brata? - zapytał Gus Salvador.

- Która godzina?

- Słońce wstało.

- Ja też. I co z tego? - Dan spojrzął na zegarek i stwierdził, że jest prawie jedenasta. Spał dłużej, niż sądził. - Wszystko w porządku?

- Jeśli wszystko oznacza dzieciaki i rodziców, to tak.

- Więc czemu mnie obudziłeś?

- Pomyślałem, że chciałbyś usłyszeć najnowsze wieści z rancza.

Dan usiadł, nic zwracając uwagi na zimno w pokoju.

- Gadaj. - Brzmiało to jak rozkaz.

- Winifred ma zapalenie płuc. Sylwię mają przenieść do zakładu w Santa Fe. Ranczo Quintrellów zostanie wystawione na sprzedaż.

Dan potrząsnął głową, jakby ktoś dał mu w twarz.

- Jesteś pewny?

- Tak pewny, jak mogę być przed rozmową z gubernatorem, a będą z nim rozmawiał o drugiej. Zgodził się na wywiad, zanim po południu poleci z powrotem do Santa Fe.

- Jak się ma Winifred?

- Słyszałem tylko, że dostaje antybiotyki, płyny i tlen i że kazano jej leżeć, ale i tak co parę godzin wstaje i zagląda do Sylvii,

- Kiedy ranczo pójdzie na sprzedaż?

- Gubernator właśnie kompletuje papiery w mieście. Tak słyszałem.

- Jeszcze coś?

- Dam ci znać.

- A co z mamą? - spytał Dan. - Zamierzasz jej powiedzieć czy poczekasz, aż dowie się od miejscowych plotkarzy?

W słuchawce zapanowała długa cisza.

Więc ja się tym zajmę - powiedział Dan z westchnieniem.

- Dzięki. Nie chcę się znaleźć na jej czarnej liście za wypowiedanie zakazanego nazwiska.

- Ale nic masz nic przeciwko, żeby się znaleźć na mojej? - odgryzł się Dan.

- Od czego są bracia? Poza tym kochasz dzieciaki, a one kochają ciebie. Nie będziesz się na mnie długo gniewał.

- To szantaż.

- Jasne. - Gus roześmiał się i zakończył połączenie.

Dan spojrzął na drzwi. Stała w nich Carly w jego ulubionej starej bluzie, czarnej i wyblakłej. Nie było widać, czy ma na sobie coś oprócz niej.

Co się stało? spytała. Nic do wiary, że tak długo spałam.

Masz cudowne nogi, miał ochotę powiedzieć. Palce stóp wręcz stworzone do całowania. Kolana i uda też. I...

- Dan?

Otrząsnął się z seksualnej fantazji. Problem z odzyskanym libido polegał na tym, że trudno je było utrzymać pod kontrolą. Od czasów, kiedy był nastolatkiem i szalały w nim hormony, nie zdarzyło mu się, by nakręcał się tak szybko.

I żeby miał taki zwzód.

- Dzwonił Gus. - Naciągnął koc na podolek, mając nadzieję, że ukryje wszystko, co trzeba. - Winifred ma zapalenie płuc, Sylvia zostanie przeniesiona do Santa Fe, a gubernator sprzedaje ranczo.

Carly wypuściła ze świstem powietrze.

- Kiedy się to wszystko stało?

- Prawdopodobnie dziś rano. Kiedy słyszałem helikopter lecący na ranczo.

- Ale - Carly rozłożyła ręce, zmartwiona, że czyjaś rodzinna tradycja dobiega końca - ranczo należało do rodzin Castillo i Quintrellów od wieków.

Gubernator to człowiek z miasta. Nie ma żadnej emocjonalnej więzi z posiadłością.

- Wychował się tu - odparła.

Dan pokręcił głową.

- Kiedy miał siedem lat, został wysłany do jednej z wojskowych szkół, które nie są zamykane nawet na wakacje. Zdziwiłbym się, gdyby od tamtego dnia do dziś spędził na ranczu choćby dwa tygodnie. To starszy brat Joshua, AJ. IV, był wychowywany na dziedzica, To on spędzał czas z ojcem i wśród mieszkańców Nowego Meksyku.

- Co sprawiło, że Josh stał się faworytem?

Wietnam. Jego starszy brat zginął.

Carly roztarta zmarznięte ramiona.

- W głowie mi się kręci od tych wszystkich informacji na temat Quintrellów, których Winifred nie raczyła mi udzielić.

- Sama sobie odpowiedziałaś, dlaczego. Bo to Quintrellowic, nie Castillo.

- Bzdura. Dzisiaj to już praktycznie jedna rodzina.

Nie dla niej. Winifred opowiada swoją historię na własny sposób.

- Cóż, nie spędziłam z nią zbyt wiele czasu. Może zamierzała powiedzieć mi coś więcej o rodzinie siostry. Tak czy inaczej... - Carly pokręciła głową cała ta historia sprowadza się do tak bezużytecznego kawałka białka, jak AJ. Quintrelł V.

Dan uniósł brwi.

- Nigdy go nie poznałem.
- I ciesz się.
- Co masz przeciwko niemu?
- Uważa, że kobiety to nieskończona rolka papieru toaletowego, stworzona tylko po to, by podcierał sobie nią tyłek.

- Zupełnie jak jego dziadzio.

Dlaczego tak jest, że najgorsze nasienie kiełkuje, a najlepsze ginie w młodym wieku?

- Znajdź odpowiedź, a będziesz następnym telewizyjnym guru.

Wiatr dał mocno, tak jak przez całą noc. Ceglane ściany domu nie drżały od naporu zmiennych podmuchów, ale przez wybite okno wpadało zimne powietrze. Carly znów roztarła ramiona.

- Mogę rozpalić ogień w kominku? - zapytała.

- Drewno na opał jest na zewnątrz.

- Więc tak czy nie?

- Temperatura znów spada. Na dworze jest strasznie zimno. Ja przyniosę drewno, a ty nastaw wodę na kawę.

Oczy jej zabłyśły. Westchnęła.

- Kawa. Na co jeszcze czekasz?

Aż wyjdiesz, żebym mógł się ubrać. Albo - sięgnął po koc okrywający go od pasa w dół - możesz zostać i rozgrzejemy się tradycyjną metodą.

- Przez nacieranie? - zapytała z niewinną miną, trzepocząc rękami.

Koc zaczął się podnosić.

Carly odwróciła się i uciekła do kuchni. Uwielbiała drażnić się z Danem, patrzeć, jak jego ponure rysy rozświetla uśmiech. Nic wiedziała, co robił, zanim wrócił do Taos, ale na pewno nie była to łatwa praca.

I o wiele za dobrze czuł się z pistoletem.

Nim zaparzyła kawę, podgrzała tortille i usmażyła jajecznicę. Ogień już trzaskał i tańczył wokół zamrożonych sosnowych polan. Ogrzewanie też było włączone, ale sztuczne, elektryczne ciepło nie było w stanie zrobić wyłomu w zimnym powietrzu płynącym z saloniku, po którym hulał wiatr. Trzęsąc się, podała Danowi śniadanie i poszła się zagrzać przy ogniu.

- Powiedz mi jeszcze raz, dlaczego wynajęłeś ten dom - mruknęła.

- Z powodu topoli - odparł. - Myślałem, że kochasz historię dodał.

- Nie cierpię wstawać z łóżka na zimną podłogę.
- Nic nie szkodzi. Wynagrodziłam ci ten poranny skowyt, robiąc śniadanie razem z kawą.

Wcale nie skowyczałam.

- Pisnęłaś.

Machnęła ręką.

- To zupełnie coś innego.

- A potem skomlałaś, dopóki stopy ci nie zdrętwiały.

- O co ci chodzi?

Uśmiechnął się do niej.

Nie mam bladego pojęcia.

Przewróciła oczami i uśmiechnęła się w kubek z kawą. Nawet z lodowatymi stopami miło było obudzić się w pobliżu Dana. Wprawdzie sporo czasu spędziła bezsennie, żałując, że to „poblizce” nie było o wiele bliżej, ale to był już jej problem. Wysyłała mu sygnały, mówiące, że nie jest jeszcze gotowa, i on je respektował. Fakt, że nic naciskał, nie popychał, nie osaczał, nie żądał, nie truł i nie dąsał się, powiedział jej o nim więcej niż noc dzikiego, szalonego seksu.

Na samą myśl o takim właśnie seksie z Danem zaparło jej dech.

- Kiedy wyjeżdżasz? zapytał.

- Wyjeżdżam? Chcesz, żebym się przeniosła do motelu?

- Nie, chcę, żebyś pojechała do domu., gdzie będziesz bezpieczna.

- Odbyłam już tę rozmowę z zastępcą szeryfa. Jego firma średnio się przejmuje moim bezpieczeństwem, więc niby dlaczego ja powinnam?

Dan spojrzał na jej upartą minę i zrozumiał, że nie wskóra więcej niż zastępcę szeryfa.

- Poza tym - dodała - jak się nad tym zastanowić, to tylko popisy, bez żadnej prawdziwej akcji.

- Jak w tej bajce, gdzie rycerza straszły nieszkodliwe odgłosy?

- Dokładnie. Nikomu nie stała się żadna krzywda. Zmusiła się do obojętnego wzruszenia ramion. - A wianie w podskokach nigdy nie było moim ulubionym sportem.

- Co mam powiedzieć, żebyś zmieniła zdanie?

Zastanowiła się chwilę.

- Nic. Ale jeśli ty chcesz się usunąć ze strefy zrzutu, doskonale cię rozumiem. Zapłacę za wybite okno i...

- Próbujesz mnie wkurzyć? - przerwał jej Dan.

Spojrzała na niego, przełknęła spory haust gorącej kawy i skrzywiła się.

- Nie. Próbuję nic stawiać cię pod ścianą. To mój problem, nie twój.

- Bzdury.
- No, to rzeczywiście logiczny argument.
- A muszę szukać argumentów?
- Dan, nie musisz tego robić. Nie znasz mnie i...
- Naprawdę próbujesz mnie wkurzyć. - Pochylił się nad stołem, przyciągnął ją, pocałował, patrząc w oczy, i uniósł głowę. - To ci nie wyjdzie, Carolino May. Wiem o tobie wszystko, co potrzebuję wiedzieć, z wyjątkiem tego, jak by nam było w łóżku. A prędzej czy później i tego się dowiem. - Posłał jej uśmiech swojej matki, który mógłby stopić lodowiec.

- Jesteś pewien? - zapytała.
- Całkowicie.
- Nie tego o seksie. Reszty.
- Tak.

Westchnęła głośno.

- No dobra. Ale jeśli oberwiesz przeze mnie, skręcę ci kark.
- Brzmi perwersyjnie.
- Ależ z ciebie... facet! Odsunęła się od stołu i odwróciła wzrok, by nie złapać go i nic zrobić paru interesujących rzeczy z jego ciałem. - Zamierzam popracować nad stereogramami.

Mina Dana mówiła, że wolałby, żeby popracowała nad nim.

- Wydrukowałem listę rzeczy, które chciałaś z archiwum - powiedział, dolewając sobie kawy.

- Dzięki. Połóż mi koło torebki i...
- Nie - wszedł jej w słowo. - Załatwimy to razem, tylko najpierw zadzwonię do mamy. Ale zdawało mi się, że w nocy opisaliśmy stereogramy. Czy miałem halucynacje z braku snu?

Zrobiliśmy wszystko z wyjątkiem określenia dat na podstawie samej karty. Kształt, kolor, takie tam. Jeśli to będzie się zgadzać z ubiorami i przypuszczeniami, które ktoś zapisał z tyłu, będziemy mogli z dużym prawdopodobieństwem założyć, że mamy prawidłową datę.

Dan spojrzał na zegarek. Matka powinna być teraz w domu, chyba że miała jakieś dodatkowe lekcje.

- Chcesz iść pod prysznic pierwsza, druga czy konserwatywnie?
- Konserwatywnie?
- Razem. Jego zielone oczy błysnęły.
- Dla mnie to nie brzmi konserwatywnie.
- Chodzi o konserwowanie zasobów naturalnych, czyli wody...
- Weź liberalny prysznic.

Roześmiał się i poszedł do sypialni. Carly nasłuchiwała intrygujących odgłosów jego kąpieli i powtarzała sobie, że dobrze robi, nie przyłączając się do niego. Nie była pewna, czy w to wierzy, ale była pewna, że seks z nim nic byłby przelotną przygodą.

Właśnie to ją powstrzymywało.

Nie wiedziała, czy jest gotowa na coś, co mogło złamać jej serce.

Z westchnieniem założyła białe bawełniane rękawiczki i sięgnęła po stos stereogramów leżący na nocnej szafce Dana. Choć albumy na zdjęcia były dostępne od lat osiemdziesiątych XIX wieku, nikt w rodzinie Quintrellów nie używał ich aż do 1910 roku. Potem albumów było kilka. Gdzieś w latach czterdziestych ktoś próbował nawet zidentyfikować ludzi z kolekcji przodków.

Częścią świadomości Carly zarejestrowała dźwięk zakręcanego prysznicza, a potem pomruk głosu Dana, rozmawiającego z kimś.

Skupiła się z powrotem na stereogramach. Nie było z nimi ani trochę łątwiej. Ktokolwiek próbował zajmować się rodzinną historią, bazował bardziej na swoich domysłach niż na faktach, zostawiając Carly do rozszyfrowania pomieszenie z poplątaniem, do spółki z wąskimi, zlewającymi się literkami niedosłzłego historyka, a raczej historyczki, sądząc po kroju pisma.

Marszczysz brwi.

Zaskoczona uniosła głowę. Dan stał w drzwiach sypialni, świeżo umyty, bez koszuli, boso. Choć dla przyzwoitości włożył stare dżinsy, serce Carly zatrzymało się na moment, po czym ruszyło ze zdwojoną prędkością. Śledzony jej spojrzeniem, Dan założył koszulkę, równie spraną jak dżinsy. Kiedy zniknął ostatni fragment kuszącego męskiego krajobrazu, Carly przełknęła ślinę, próbując ignorować buzowanie krwi w żyłach.

- Kiepscy rodzeni historycy są gorsi niż ich brak - powiedziała ze ściśniętym gardłem.

Dan spojrzał na plik kart fotograficznych w jej dłoni.

- Mówisz o naszej tajemniczej kobiecie-pajaku, tej od chwiejnego pisma?
- Pismo jeszcze bym przeżyła. To te głupio powstawiane daty mnie wkurzają.

- Idź pod prysznic - powiedział. - W łazience jest ciepłutko.

A jej było gorąco.

Odłożyła karty i odwróciła blok leżący na małym stoliku, żeby Dan mógł go widzieć.

- Tu masz określone kategorie datowania stereogramów. Zacznij je sortować, ale bierz je przez chusteczkę. Ja zaraz wracam.

Dan kiwnął głową z nieobecny wyrazem twarzy, bo już czytał równe pismo na pierwszej stronie bloku. Zmuszał się do koncentracji. Wmawiał sobie, że nie słyszy, jak Carly zdejmuje jego bluzę. Naprawdę nisko upadł, skoro zazdrościł własnej bluzie, tak starej, że mogłaby głośować.

Narzucił koc na materac, gdzie spała, sięgnął po stojące obok pudełko chusteczek, wyciągnął jedną i podniósł pierwszą kartę.

Gdyby przyjaciele mnie teraz widzieli, popękaliby ze śmiechu. Seledynowe chusteczki. To tak się prowadzi tajną operacją?

Spojrzał na swoje ręce, stwardniałe i poznaczone bliznami, na delikatną, seledynową chusteczkę, która zahaczyła o odcisk na jego prawej dłoni, i roześmiał się. Tak po prostu odrzucił głowę do tyłu i zaczął wyć ze śmiechu jak wariat, aż ledwie mógł oddychać. W końcu chwycił z trudem powietrze, otarł oczy rękawem i zaczął sortować wyblakłe stereogramy.

Okej powiedział do siebie. - Te mniejsze prawdopodobnie są wcześniejsze, a te większe późniejsze.

Szybko podzielił karty na dwie kupki, bazując na ich rozmiarze. Zajrzał do ściagi i sortował dalej, według typu narożników: zaokrąglonych lub ostrych. Potem podzielił każdą podgrupę na podstawie koloru karty, w którą wprawione były zdjęcia.

Nim Carly wyszła z łazienki owinięta w wielki ręcznik, zapełnił notatkami pierwszą kartką bloku. Kiedy już ubrana wyłoniła się z sypialni, miała na sobie spodnie, sweter i buty. Włosy - wilgotny gąszcz loków - spiały z tyłu spinak z rzeźnego drewna. Spojrzała na posortowane kupki.

Już to mówiłam, ale powiem jeszcze raz. Jesteś szybki.

Dan uśmiechnął się lekko i oparł pokusie. Ledwie.

Notatki pajęczycy i twoje kategorie datowania na podstawie użytych materiałów zgadzają się w bardzo niewielu punktach. Według niej te zdjęcia są o wiele starsze niż faktycznie. Albo młodsze. Brałaś kiedyś pod uwagę używanie plastikowych koszulek?

- Nie, dopóki nie będę miała większej pewności co do dat. Układanie i przekładanie koszulek jest strasznie upierdliwe. A poza tym czekam na przesyłkę z koszulkami w różnych rozmiarach.

- Wyszły ci?

Zaginęły w transporcie. Uwielbiam samoloty i taśmociągi na bagaże.

- MATS nie jest lepsze.

- MATS?

- Wojskowa linia lotnicza - rzucił nieobecny tonem, umieszczając na odpowiedniej kupce ostatnią kartę.

- Więc jesteś wojskowym?

Dan poderwał głowę.

- Skąd ten pomysł?

- MATS.

- Nie jestem. - Właściwie nie. Ale o mało nie zdechłem na ich treningach. - Całe życie byłem cywilem.

Carly przechyliła głowę, poczuła, jak kropla wody ścieka jej z włosów i płynnie wzdłuż kręgosłupa, i postanowiła wygrzebać z walizki swoją suszarkę.

I walnąć nią Dana.

Całe życie byłem cywilem, tere-fere.

- To prawda - rzucił, jakby powiedziała to na głos. - Nigdy się nie zaciągałem i nigdy nie zwolniono mnie ze służby. Nie ten temperament. Zbyt akademicki.

- Przestań mi czytać w myślach.

- Nie muszą. Twoja twarz mówi wszystko.

- Zbyt akademicki? - zapytała z niedowierzaniem.

Dan gładko przełknął zmianą tematu.

- Owszem. Ale wciągnęło mnie coś innego, nim zamknąłem przewód. Inaczej mówiłabyś do mnie panie doktorze.

W pierwszej chwili pomyślała, że to żart. Ale gdy spojrzała na staranną listę stereogramów, przypomniała sobie jego zdolność koncentracji i kojarzenia dziwnych faktów, zrozumiała, że Dan wcale się z nią nie droczy.

- Doktor, powiadasz? No dobra, zaskoczyłeś mnie - przyznała. - Co cię tak wciągnęło?

- Nie pamiętam.

- Nie wierzę.

- Nie tylko piękna, ale i mądra. Do diabła, ale wdepnąłem. Co mam zrobić z kartami, które są całe zaokrąglone, a nie tylko na rogach?

Podziel je na czarne, szare i te w koźlej skórcie.

Szybko posortował stereogramy.

Carly usiadła obok niego, włączyła komputer i zaczęła wpisywać przypuszczalne daty na podstawie materiału użytego do oprawy zdjęć.

Dopiero po jakimś czasie zorientowała się, że Dan uniknął rozmowy o swojej przeszłości.

Znowu.

Rozdział 29

*Ranczo Quintrellów
Środa, wieczór*

Usta Jcanctte Dykstry poruszały się, ale żaden dźwięk nie dochodził z telewizora. Mignęły zdjęcia znanych osób, reklamujące jej następny program. Na ekranie pojawiła się nieprawdopodobnie błyszcząca toaleta i tańcząca szczotka klozetowa, rozsiewająca wokół migotliwy pył.

Winifred nic zwracała uwagi na telewizor, dopóki nie skończyły się reklamy i zapowiedzi. Wtedy wzięła pilota i włączyła dźwięk.

Mężczyzna w niebieskiej koszuli, kolorowym krawacie i szarogranatowym garniturze pochylał się z przejściem do kamery. Jego oczy były tego samego koloru co jego koszula. Wielkość uszu zdradzała, że dobiega siedemdziesiątki, ale jego blond włosy nie siwiały, a policzki nie były obwisłe. Na dłoni miał więcej zmarszczek niż na całej twarzy. Trzymał obowiązkowy żółty notes i ołówek, sugerując, że właśnie skończył pisać jakiś reportaż, a nie siedział przed lustrem, pudrowany i pacykowany przed występem.

- Dobry wieczór. Za pięć minut przerwiemy nasz planowy program, by pokazać państwu zaskakujący wywiad zarejestrowany w dworku gubernatora Quintrella, który, jak mówią pogłoski, ogłosi swoją kandydaturę na stanowisko prezydenta Stanów Zjednoczonych.

Palce Winifred zacisnęły się na pilocie. Mimo bladej spowodowanej chorobą na jej policzkach wystąpiły czerwone wypieki. Miała pracowity dzień pobrała próbki spod policzka Sylvii i swojego, zapakowała je do wysłania i poganiała Blaine'a Sneada, dopóki nie zawiózł paczki do miasta i nie przyjechał z pokwitowaniem. Niby drobiazgi, ale teraz wszystko zabierało tyle energii...

Patrzyła bez ruchu na międzynarodowe wojny, klęski głodu i gadające głowy, które jak co dzień migały na ekranie w ściśle ustalonym porządku. Politycy i eksperci bezdźwięcznie wypowiadali dziesięciosekundowe komentarze.

- Nie ośmieli się - rzuciła ochryple.

Ale wiedziała, że się ośmieli.

Josh ważył się na dużo więcej i wygrywał. Śmierć Senatora dużo zmieniła, ale nie zmieniła tego jednego. Josh Quintrell był sprytny i bezwzględny jak żaden inny pomiot Senatora.

Łzy wściekłości i żalu zalśniły w oczach Winifred. Nawet kiedy Josh pojawił się na ekranie, nie otarła ich. Nie musiała. Wiedziała, jak wygląda guber-

nator. Oczy ojca, jego arogancja i podłość. Ani odrobiny słodczy Sylvii. Ani grama jej dobroci. Nie miał po niej nic. Tylko po Senatorze człowieku, który zgwałcił własną trzynastoletnią córkę, strącając ją prosto w przepaść, razem z żoną. Jedna córka padła ofiarą polio, a druga - ofiarą pijanego zbrojnika, który nie potrafił sobie odmówić żadnej kobiety, nawet własnego dziecka.

A to był tylko początek jego grzechów.

Długo po tym, jak Josh zniknął z ekranu w burzy braw i amerykańskich ~ag, Winifred leżała zapatrzona w telewizor. Miała dużo do zrobienia i nie były to dobre uczynki.

Ale zostaną spełnione.

Ignorując zawroty głowy, które męczyły ją coraz częściej, usiadła i postawiła nogi na podłodze. Chłód kamiennych płyt pod stopami pomógł jej się skoncentrować. Wstała i poczekała, aż jej serce się uspokoi.

Miała dość siły, by dokonać tego, co musiało zostać dokonane. I nie zamierzała zadowolić się połowicznym rezultatem.

Teraz odbierze zapłatę za wszystkie lata nienawiści.

Gdy wreszcie zdołała wyrównać oddech, poczuła się silniejsza. Wzięła zapieczętowaną strzykawkę i małą glinianą buteleczkę z szuflady nocnej szafki. Powoli, przytrzymując się oparć foteli i futryny drzwi, dotarła do pokoju Sylvii.

Jej siostra leżała twarzą do okna, patrząc na basen, na srebrzyste światło księżycy, a może w ogóle na nic. Po raz pierwszy Winifred zobaczyła w Sylvii to, czym naprawdę była - cień przeszłości, półprzejrzystą drwinę z życia, ducha spętanego, choć powinien być wolny, stworzenie utrzymywane przy życiu dla zemsty, która nigdy nie nadeszła.

- Nigdy dość czasu na życie - powiedziała do siostry. - Zawsze jest czas na śmierć. Wybacz mi, *querida*.

Czy miało to być przebaczenie za przeszłość, czy za to, co nastąpi teraz, nie wyjaśniła, a i Sylvii to nie obchodziło. Drżącymi palcami Winifred wyjęła korek z glinianej buteleczki i napełniła strzykawkę. Zamknęła oczy, przeżegnała się i wstrzyknęła płyn do kroplówki, która sączyła lekarstwa w wyniszczoną żyłę Sylvii.

Kiedy strzykawka była pusta, podeszła do kominka, dorzuciła kilka szczap do ognia i usiadła w swoim fotelu obok łóżka. Delikatnie ujęła dłoń Sylvii i trzymała ją, chłodną i kruchą, w swojej dłoni. Siostry patrzyły razem przez okno.

Światło księżycy przesuwano się po dolinie, nieziemskie, nieuchwytnie. Sylvia oddychała coraz wolniej, aż westchnęła po raz ostatni i stała się jak światło księżycy, nieziemskie i nieuchwytnie.

Dopiero wtedy Winifred wstała. Wrzuciła buteleczką do paleniska, z rozmachem, by rozbić glina, i dołożyła na wierzch więcej drewna. W blasku ognia buzującego za jej plecami poszła do własnego pokoju, zagrzebała strzykawką w donicy z trawą cytrynową, umyła ręce i położyła się do łóżka.

Zasnęła, pewna, że ujrzy syna Senatora w piekle.

Rozdział 30

*Ranczo Quintrellów
Środa, 20.00*

Melissa robiła ostatni obchód domu, sprawdzając, czy drzwi i okna są dobrze pozamykane, piekarniki i światła powyłączane, i czy wszystko jest na swoim miejscu, na wypadek gdyby gubernator chciał złożyć niespodziewaną wizytę. Wszędzie panował spokój i porządek - cichy hołd dla jej profesjonalizmu.

Pasek światła wciąż prześwitywał pod drzwiami Apartamentu Sióstr. Melissa zawahała się, w końcu zapukała cicho.

- Winifred? Potrzebuje pani czegoś?

Nie było odpowiedzi.

Melissa odczekała chwilę.

Winifred?

Cisza.

Otworzyła drzwi, zobaczyła, że Winifred śpi, i podeszła cicho do jej łóżka. Doktor Sands nalegał, by do Winifred zaglądano co parę godzin. Melissa schyliła się i zaczęła słuchać jej oddechu, popatrując na zegarek. Po minucie wyprostowała się ze zmarszczonymi brwiami. Antybiotyk niewiele pomógł na zapalenie płuc. Oddech staruszki był nierówny, wyraźnie rzęzący. Melissa poprawiła rurkę doprowadzającą tlen z wprawą studentki pielęgniarstwa, którą była, nim zdecydowała, że woli sprzątać domy niż nocniki.

Wyłączyła górne światło. Rozbłysł rząd nocnych lampek wskazujących drogę do łóżka Sylvii w drugiej części apartamentu. Melissa poszła za światłkami, zajrzała do pokoju chorej i zobaczyła to samo, co widywała od lat - ogień rzucający ruchome cienie na tobołek pod kocami. Sądząc z wysokości płomieni, Winifred była u siostry najdalej pół godziny temu.

Melissa upewniła się, że drewna wystarczy na całą noc, odwróciła się i cicho przeszła z powrotem przez pokój Winifred. Drzwi zamknęły się z klik-

nięciem dobrze naoliwionego zamka. I to należało do licznych obowiązków Melissy.

Ruszyła do części budynku, w której ona i Pete urządzili własny apartament. Kiedyś był tu drugi, oddzielny dom gościnny, wyposażony nawet w kuchenkę, do prywatnego użytku Senatora. Czy raczej do prywatnych nadużyć. Melissa słyszała, jak pokojówki rozmawiają o seksualnych gadżetach i podobnych rzeczach, które zostawiali po sobie „goście” Senatora. Kiedy choroba przykuła go do łóżka, uparł się, by przeniesiono go do biblioteki, skąd mógł widzieć wszystkich wchodzących i wychodzących z domu.

Pospiesznie pokonała zimny zadaszony łącznik między domkiem gościnnym i głównym domem. Jasna noc znów wszystko zmroziła, pozostawiając maleńkie sztylety lodu na błotnistej ścieżce. Melissa otworzyła drzwi i zamknęła je za sobą z westchnieniem. Fajrant.

Nareszcie.

- Pete?

- W gabinecie - odpowiedział.

Zrzuciła wysokie buty, odszukała kapcie i poszła do gabinetu. Pete siedział przy rozkładanym biurku. Na blacie leżały sterty papierów i teczek.

- I co tam? - zapytała.

- Josh nie może się doczekać raportu na temat fundacji.

Poczuła ukłucie niepokoju.

Przecież to dopiero kilka dni.

- Tak. Przy nim Senator był wzorem cierpliwości. Josh to piekielny pracodawca, Ale mam nadzieję, że okaże się dość cenny, by zrobić mnie swoim księgowym, tak jak Senator.

- Nie licz na to. Słyszałam, jak Annę pytała Josha, czy poradzisz sobie z tym zadaniem.

Pete znieruchomiał.

- I co powiedział?

- Zobaczył mnie i rzucił coś, jak to niby ci ufa.

Pete zaklął.

Melissa zaczęła chodzić po pokoju. Przez tyle lat wszystko było takie pewne, a teraz... teraz rozłaziło się w rękach, coraz szybciej.

- Do diabła z tym księdzem. Wszystko szło jak po maśle.

Pete zrobił zdziwioną minę; w końcu pokręcił głową.

- Było, minęło. Teraz jest inaczej. Josh zażyczył sobie, żebym w wolnym czasie zrobił aktualny bilans aktywów i pasywów rancza dla pośrednika. A do tego wszystkie patenty wodne, akty własności ziemi, prawa przejazdu,

nowy obmiar ziemi, badania bakteriologiczne i geologiczne studni, cały kram. Właśnie wszystko porządkuję. To naprawdę łośki rekin - mruknął Pete z podziwem, ale i z rezygnacją. - Dzięki niemu zdałem sobie sprawę, jak dobrze mieliśmy z Senatorem. *Sic transit gloria* i tak dalej.

- Myślę, że powinniśmy odejść - odparła Melissa. - Na dobre. Przestać gadać o Karaibach i Brazylii i pojechać tam. Splotła palce obu dłoni. - Przejdźmy na emeryturę i żyjemy trochę, zanim będziemy za starzy, żeby cieszyć się życiem,

Pete odsunął się od biurka i spojrzał na żonę. Zmarszczki napięcia między brwiami i wokół ust dodawały jej lat.

- Jeszcze trochę nam brakuje do wymarzonej emerytury - powiedział. Kilka lat powinno załatwić sprawę.

Mówiłeś to samo kilka lat temu.

Ale potem koniunktura się pogorszyła i nasze inwestycje popłynęły. Dopiero teraz dochodzimy do punktu, w którym byliśmy.

Wszystko się rozpada wykrztusiła Melissa przez ściśnięte gardło. - Wszystkie nasze marzenia.

Pete wstał zza biurka i podszedł, by ją przytulić.

Hej, kochanie, wszystko będzie dobrze. Mogą minąć całe lata, zanim sprzeda się takie ranczo jak to. A poza tym Josh na pewno da ci dobrą odprawę. Mnie zresztą też, jeśli już do tego dojdzie. Nie może sobie pozwolić, żeby wyglądać na skąpca albo kogoś, kto wykorzystuje zwykłych ludzi. Wytrzymasz, aż sam cię zwolni, kiedy sprzeda ranczo?

Patrzyła na niego w milczeniu, wiedząc, że ma rację. W końcu westchnęła.

- Jasne. Co za różnica, parę lat czy miesięcy dłużej? Ale jeśli ciebie zwolni przedtem, co wtedy?

Pete roześmiał się.

- Wtedy polecimy pierwszym samolotem do ciepłych wód, chłodnych wiatrów i mocnych drinków.

Jeżeli starczy nam pieniędzy.

Żadne z nich nie powiedziało tego głośno. Potrzebowali jeszcze paru lat, żeby nadrobić kilka nietrafnych decyzji giełdowych.

Potrzebowali Josha Quintrella.

I on potrzebował ich, nawet jeśli jeszcze tego nie wiedział.

Rozdział 31

Ranczo Quintrellów
Czwartek. 4.00

Doktor Sands potwierdził to, co wszyscy już wiedzieli: Sylvia Castillo Quintrell umarła we śnie. Podszedł do telefonu i zadzwonił do gubernatora, na prywatny numer.

- Co tam? - w słuchawce dało się słyszeć warknięcie.

- Panie gubernatorze, mówi doktor Sands. Z przykrością zawiadamiam pana, że pańska matka zmarła.

Na drugim końcu linii zapanowała cisza. W końcu Josh powiedział:

- Dziękuję, że pan zadzwonił. Jestem tam potrzebny w tej chwili?

- Nie. Panna Winifred ma listę życzeń siostry. Sylvia zostanie skremowana, a jej prochy rozsypane na ranczu. Biorąc pod uwagę, że chorowała przez tyle lat, byłbym przeciwny autopsji. Nie ma powodu narażać rodziny na dodatkowy stres. To i tak cud, że żyła tak długo.

- Jestem panu bardzo wdzięczny. Mam koszmary o oślizgłych medialnych wampirach śliniących się nad zdjęciami z autopsji. Jak się miewa Winifred?

- Źle odparł Sands. Już przedtem była bardzo słaba. Zapalenie płuc u osoby w jej wieku jest bardzo niebezpieczne, ale ona nie zgadza się pójść do szpitala.

- Sylvia była wszystkim, co trzymało ją przy życiu.

- Przepraszam, że mówię tak otwarcie, ale powinien pan być przygotowany. Jest bardzo prawdopodobne, że życie panny Winifred można mierzyć na dni. Najwyżej parę tygodni. Nie reaguje dobrze na antybiotyki. Oczywiście przejdę na inny, ale u pacjentów w jej wieku przez zapalenie płuc organizm często mówi, że po prostu zmęczył się życiem.

Myśli pan, że się poddała?

- Znalezienie siostry martwej było dla niej ciężkim przeżyciem.

Znowu długa cisza.

- Zajrzę do terminarza rzeki wreszcie Josh - ale nie sądzę, by udało mi się dzisiaj dotrzeć na ranczo. Następne sześć dni planowałem spędzić w New Hampshire i jestem umówiony na wszystkie trzy posiłki dziennie. Ale jeśli uda mi się połączyć odwiedzin u Winifred z nabożeństwem pogrzebowym Sylvii... tak, to by było możliwe. Nocny lot w obie strony. Nabożeństwo pogrzebowe Sylvii Quintrell odbędzie się w ciągu czterdziestu ośmiu godzin.

Na doktorze zrobił niemałe wrażenie sposób, w jaki Josh żonglował prywatnymi i publicznymi obowiązkami, wyrwany ze snu o czwartej nad ranem.

Oprócz kondolencji proszę przyjąć również moje gratulacje. Jestem przekonany, że będzie pan świetnym prezydentem.

- Dziękuję. Przyślę panu zaproszenie na mój następny bankiet dla sponsorów.

Doktor Sands odłożył słuchawkę i zajął się przygotowaniami do przewiezienia ciała Sylvii do krematorium.

Rozdział 32

*Taos
Czwartek, rano*

Ico mamy? - zapytała Carly, spoglądając na listę.

Dan poprawił się na niewygodnym drewnianym krześle, które i tak było najlepszym sprzętem do siedzenia w archiwum. Miał zaczerwienione oczy od gapienia się na stare zdjęcia i ekrany komputerów i był sfrustrowany nieustanną bliskością Carly. Wczorajsze długie godziny nudnej pracy przygotowującej grunt dla historii Winifred powinny były stępić jego pożądanie.

Ale nie stępiły. Dziś pragnął jej tak samo, namacalnie i bez przerwy.

Klnąc w duchu, wklepał kilka komend do komputera. Miał nadzieję, że Carly wkrótce go dogoni, że poczuje to samo. Bo jeśli nawet czuła, nie dzieliła się z nim tą informacją. Jeszcze nigdy czekanie, aż ktoś odkryje prawdę tak oczywistą, nie wydawało mu się tak długie.

Kiedy pracował przy komputerze, Carly rozwinęła arkusz papieru długi na pół metra i szeroki na dwadzieścia pięć centymetrów. Wzdłuż lewego marginesu widniały ołówkowe notatki. Błada siatka dzieliła arkusz na sześć sekcji. Na górze, pośrodku widniał tytuł Siostry Castillo. pokolenie 6. Poniżej każda pozioma sekcja była oznaczona cyframi 5, 4, 3, 2, 1 dla poszczególnych pokoleń rodziny.

- Data ślubu Isobel Castillo i pierwszego Andrew Jacksona Quintrella to jedenasty marca 1865 - powiedział Dan. - Isobel urodziła się w 1850, prawdopodobnie przed jedenastym marca, bo podano, że w dniu małżeństwa miała

piętnaście lat. Quintrell miał trzydzieści, według jego danych wojskowych z wojny secesyjnej. Autor notatki: Johnny Reb, jeśli to istotne.

Carly pisała, łącząc pary małżeńskie i notując ważne daty na marginesie każdej sekcji. Nie była to naukowa metoda tworzenia drzewa genealogicznego, ale jej odpowiadała. Później przeniesie wszystko na gotowe formularze.

Dalej mam się skupiać na kobietach z rodu Castillo? - zapytał Dan.

- Na razie. Później sama opracuję listę prawdopodobnych nieślubnych potomków. Nie mogę uwierzyć, że było ich aż jedenaścioro.

- Wszyscy tylko przypuszczalni - przypomniał.

- Senator był świnią.

Świni są płodne. - Dan spojrzął na ekran komputera. - Siostra Isobel, Juana, wyszła za Mateo trzeciego czerwca 1870 roku, będąc dojrzałą siedemnastoletnią kobietą. Wiek Mateo nie jest podany. Ani historia jego rodziny.

- A to niespodzianka mruknęła Carly. - Gdyby Juana nie była siostrą Isobel, wątpię, żeby informacja o jej ślubie znalazła się w gazecie.

Witamy we wspaniałym świecie klas społecznych. - Dan wcisnął kolejny klawisz. - Juana zmarła w połogu we wrześniu 1872 roku. Córka, Maria, przeżyła. W maju 1887 wyszła za Hale'a Simmonsa. Zmarła na raka, po długiej chorobie, trzeciego sierpnia 1966. Jako że nie wspomniano o mężu w żałobie, zakładam, że Hale kopnął w kalendarz przed nią. Ale w archiwum nie ma nic na temat pogrzebu.

Carly sprawnie wypełniała puste miejsca ołówkiem, który łatwo było wytrzeć, kiedy pojawiała się kolejna informacja.

Po nieprawdopodobnie drugiej trzydziestoletniej przerwie Maria wydała na świat...

- Nieprawdopodobnie długiej? Tak tam jest napisane? przerwała mu Carly.

Nie. To zwykły zdrowy rozsądek.

Carly z uśmiechem postawiła na marginesie znak zapytania.

- Jedź dalej.

- Sylvia Maria Simmons y Castillo, brak dokładnej daty urodzenia. Mamy tylko rok 1916.

- Nie szkodzi. Mam sporo źródeł, do których jeszcze nie zagłębiałam. Na razie poprzestaniemy na archiwum i rzeczach od Winifred, a luki wypełnimy później.

- Osiemnaście lat później, w czerwcu, odbył się jej ślub, absolutnie bajeczny, w powodzi białych róż i rzekach satyny...

Carly zachichotała, słysząc szczebiotliwy ton Dana, i pisała dalej.
- ... z Andrew Jacksonem Quintrellem Ul. Czy teraz już mogą mówić o Quintrellach?

- Trudno ich uniknąć.
- Zobaczmy,.. Babką AJ. III była Isobel, a cioteczną babką Juana, zgadza się?

Carly kiwnęła głową i spojrzała na niego.

- A co?

Próbuję coś zrozumieć. Juana była babką Sylvii, a Isobel jej cioteczną babką, tak?

- Tak. I co?

- Więc A.J. i Sylvia byli kuzynami.

Nie na ryle bliskimi, by ich małżeństwu sprzeciwiły się władze cywilne czy kościelne. Z tego aktu zgonu od Winifred, który mi przetłumaczyłeś, wynika, że Isobel i Juana były tylko przyrodnimi siostrami, a mogły też być tylko kuzynkami. Trzeba być genealogiem, żeby w ogóle zastanawiać się nad stopniem pokrewieństwa ich potomków. Poza tym konsolidacja ziemi była na pierwszym miejscu. Zapytaj europejskich rodzin królewskich. Małżeństwa kuzynów podniosły do rangi sztuki.

Dan jeszcze chwilę wpatrywał się w ekran, próbując dokładnie zrozumieć więzy pokrewieństwa między potomkami przyrodnich siostr czy kuzynek drugiego stopnia. A może trzeciego? Wzruszył ramionami. Jeśli Carly uzna, że to ważne, wtedy będzie wysilał mózg. A jeszcze lepiej, niech ona wysila.

Mam datę ślubu AJ. Quintrella III, powszechnie znanego jako Senator, z Sylaia Marią Simmons y Castillo powiedziała Carly. I daty urodzin czworga ich dzieci, plus daty śmierci trójki z nich.

- I datę śmierci Senatora. Ciekawe, co się stało z jego siostrami? Miał ich trzy, zgadza się?

Carly zajrzała do notatek.

- Trzy, wszystkie starsze od niego. Zostawiam je sobie na później. Winifred chce tylko...

- Historii Castillo wszedł jej w słowo Dan. - Jasne. Przechodzimy do pokolenia trzeciego, dzieci Senatora i Sylvii. Rany. Sporo tego. Kiedy Senator został senatorem, nie mógł się wysrać, żeby gazeta zaraz nie zamieściła o tym artykułu na dwie strony.

- Tak, oto obrazek, bez którego mogłabym się obejść.

Kręcąc głową, Carly wróciła do zdjęć Sandovalów, które sortowała na długim stole. Była tak pochłonięta porządkowaniem materiałów od Winifred,

że nie tknęła niczego innego. Teraz trzeba było sprawdzić, czy nie da się wypełnić paru luk. Wiele zdjęć nie miało dat, ale sporo miało opisy na odwrocie. Poukładała je z grubsza w porządku chronologicznym, od najstarszych do najmłodszych.

- Krzycz, jak znajdziesz coś godnego zanotowania - powiedziała do Dana. Mam wszystkie daty urodzenia dzieci, ale bardzo mało zdjęć Joshua. Starszy brat, Andrew, zabierał cały czas antenowy. Mam nadzieję, że coś się znajdzie w rodzinnych zdjęciach Sandovalów, z przyjąć w ogrodzie.

- Nie licz na to. Sądząc po tym, czego nie napisano w gazecie, z Joshua musiał być niezły kawał cholery, od kiedy zaczął chodzić.

- Szkoda, że nie było więcej gazet. Chętnie poznałabym lokalną historię z punktu widzenia *Hispanos* i rdzennych Amerykanów.

Dan skrzywił się na myśl, co oznaczałyby dodatkowe gazety z punktu widzenia archiwizacji. Nawet przy użyciu jego udoskonalonego programu skanowanie zajmowało kupę czasu.

- „Białe” podejście trochę łagodnieje w latach sześćdziesiątych - powiedział. Poświęca się więcej tuszu dla polityków hiszpańskiego pochodzenia, i w ogóle jest ich więcej na terenach z dużymi jankeskimi populacjami

- Stąd to doroczne barbecue - dodała Carly, układając zdjęcia w rzędku.
- Mierzenie pulsu miejscowych wyborców nad rusztem pełnym żeberek i beczką piwa.

- I to działało. Bez wsparcia społeczności *Hispanos* Senator by nie wypłynął, tak samo zresztą jego syn. Josh Quintrell to pierwszy jankeski gubernator Nowego Meksyku od wielu lat. Wyścig do urzędu był ciężki. Bez Sandovalów nie dałby rady.

- Tych samych Sandovalów, którzy szmuglują narkotyki i urządzają walizki kogutów?

- Aha.

- Chcesz powiedzieć, że poprzez Sandovalów gubernator jest zamieszany w handel narkotykami?

- Jeśli przez „zamieszanie” rozumiesz regularne wypłaty, to prawdopodobnie nie. Ale jeżeli masz na myśli polityczny sponsoring, przyjmowany z całą świadomością, skąd pochodzą fundusze i jak zostały wyprane, to tak.

- Nie widziałam wzmianki o tym w żadnej gazecie.

Znad ich głów dobiegło trzaśnięcie bocznych drzwi, a potem odgłos kroków i przesuwanie po podłodze ciężkich rolek papieru.

Dan spojrzał na sufit i wrócił spojrzeniem do komputera.

- W tej gazecie nie przeczytasz o pranych pieniądzach dla polityków, choćby Gus zużył nie wiadomo ile rolek papieru. - Wzruszył ramionami. - Chyba że ktoś zostanie złapany za rękę z workiem brudnych pieniędzy, ale to nie jest prawdopodobne. Rodzina Quintrellów może mieć różne wady, ale głupota nie jest jedną z nich.

- Nic dziwnego, że Winifred chce się od nich zdystansować.

Winifred nienawidziła rodziny szwagra, za kogokolwiek wyszłaby Sylvia. Zapisał coś szybko, spojrzął na ekran i znów zaczął pisać. Poza tym Castillo są o wiele mocniej związani z Sandovalami, przez pokrewieństwo i małżeństwa. I w końcu Quintrellowie to nie jedyni politycy na świecie, którzy przyjmują brudne pieniądze. W starych złych czasach na Wschodnim Wybrzeżu i w Chicago polityków nie obchodziło nawet, czy forsa jest wyprana, byle była zielona i w dużych ilościach.

- Masz kiepskie zdanie o politykach.

- Realistyczne - sprostował. - I nie zapominaj o bankierach i prawnikach. Pierwsi prowadzą pralnie, a drudzy im to ułatwiają. Potem biorą świeżutkie, pachnące pieniążki i inwestują je w legalne przedsięwzięcia, które kręcą się dzięki nielegalnym. Witaj w prawdziwym świecie, kotku, gdzie nie jest takie, jakie się wydaje, i gdzie każdy trzyma rękę w cudzej kieszeni.

Carly skrzywiła się, nie przestając studiować rewersów zdjęć. Na niektórych widniały daty. Na niektórych nazwiska.

Było wśród nich nazwisko J. Quintrell.

Odwróciła fotografię, wzięła szkło powiększające i zaczęła polowanie na młodego Josha. Aparat uchwycił go w chwili, kiedy odwracał do góry dnem butelkę z piwem nad głową innego chłopaka. Obaj śmiali się i, pijani, wisieli na sobie nawzajem. W tle Senator obserwował scenę z ponurą miną. Koło Senatora stał jeszcze jeden młody mężczyzna, ale ten trzymał się prosto,

- Coś czuję, że Josh wyjechał do szkoły z internatem zaraz po tym - powiedziała.

Dan wstał i podszedł do niej. Pochylił się nad stołem tak blisko, że poczuł korzenny zapach jej szamponu. Wmawiał sobie, że nie odszedł od komputera tylko po to, by wdychać jej niepowtarzalny zapach, że to tylko miła korzyść uboczna. Jak oddychanie.

- Niezły połów - powiedział. - Jeśli jest jeszcze jakieś zdjęcie Josha sprzed powrotu z Wietnamu, to ja go nic znalazłem, nawet w materiałach z lat pięćdziesiątych i sześćdziesiątych, które skanowałem kilka lat temu, kiedy przez trzy miesiące siedziałem w domu.

~ Trzy miesiące? Jakim cudem dostałeś tyle urlopu?

- Przepustka z powodów zdrowotnych odparł Dan, wpatrując się w młodego Josha. - Tak jak teraz.

- Ale nie jesteś wojskowym.

- Nie. Tylko niezdarą. - Spojrzął na datę na zdjęciu, po czym wrócił do komputera.

- Niezdarą - mruknęła Carly. - Jasne. Widywałam zawodowych sportowców o mniej skoordynowanych ruchach. Ten wulkan, na który się wspinałeś, musiał być naprawdę wredny.

Dan zignorował jej słowa i zadał komputerowi wyszukiwanie nazwiska Quintrell, począwszy od okresu obejmującego tydzień przed i tydzień po dacie podanej na zdjęciu. Potem przepuścił przez program artykuły, które odnalazł, klikając kolejno podświetlone miejsca z nazwiskiem. Najczęściej wspomniano o Senatorze; trochę uwagi poświęcono też AJ. IV, kiedy skończył college i ochotniczo zaciągnął się do armii. Wysłano go do Fort Benning w Georgii, na szkolenie rangera.

- Biedny gnojek. Ciekawe, czy wiedział, w co się pakuje?

- Że co? - zapytała Carly.

Dan zorientował się, że wypowiedział swoją myśl na głos. Niedobrze. Zaczynał się czuć o wiele za swobodnie przy panie Carolinie May.

- AJ. IV był rangerem - powiedział.

- Rangerem? Mówimy tu o leśniczym z parku narodowego i misiu Yogim?

Przez kilka sekund Dan zastanawiał się, jak by to było żyć w świecie, w którym pierwszym skojarzeniem ze słowem „ranger” jest postać z kreskówki.

- Oddziały Specjalne.

- Naprawdę?

- Tak. Wojownicy z jajami na wierzchu.

Kolejny obrazek, bez którego mogłabym się obejść - odparła. - Dostał się czy tylko chciał?

- AJ. IV ukończył szkolenie i Senator nie miał z tym nic wspólnego. Staruszek był wściekły, że jego syn nie przyjął ciepłej posadki w administracji w Pentagonie, którą podano mu na tacy.

- Co za artykuł znalazłeś? - Carly zabrała zdjęcie do stolika, gdzie siedział Dan, i zaczęła mu czytać z ekranu przez ramię. - Gdzie to jest napisane?

- Między wierszami.

Przeczytała na głos akapit, który jej wskazał.

- „Senator, choć oczywiście zawiedziony, że jego syn nie skorzystał z nadarzającej się sposobności objęcia stanowiska w biurze rzecznika prasowego

Pentagonu, jest bardzo dumny z faktu, że Andrew Jackson Quintrell IV został przyjęty do elitarniej jednostki Rangers". O czym ty mówisz? Tu jest napisane, że był dumny.

- Nic znałaś go. Każdy, kto sprzeciwił się starszemu, słono za to płacił. Bardzo słono. Chętnie posłuchałbym awantury między nimi, ale to się działo, zanim się urodziłem. Założę się, że AJ. kazał Senatorowi spierdalać w podskokach. I jestem pewien, że właśnie dlatego Josh został zaproszony do domu z zagranicznego college'u. W ten sposób Senator dał do zrozumienia, że w kolejce czeka jeszcze jeden dziedzic.

Carly jeszcze raz obejrzała zdjęcie przez lupę.

- Więc ten przystojny gość, co stoi, jakby kij połknął, to AJ. IV?

Dan spojrział we wskazane miejsce.

- Przystojny, powiadasz?

- Nie każdy może być wysoki, śniady i ociekający seksem jak ty.

Dan miał ogromną ochotę ugryźć ją w delikatne ucho, ale nie zrobił tego. Gdyby zrobił, musiałby jej wetknąć język do ucha, a potem już tarzałby się bez opamiętania po wielkim drewnianym stole.

I to by było takie złe?

- Wygląda na starszego od Josha o więcej niż trzy lata - powiedziała Carly.

- Szkolenie rangerów to piekło.

- Mówisz z własnego doświadczenia? spytała.

- Znam kilku.

- Tych... hm... wojowników z jajami na wierzchu?

- Tak. - Oprócz tego, że przechodził szkolenie pod ich kierunkiem, pisał raporty na temat działań różnych typów sił specjalnych. Ale była to jedna z długiej listy rzeczy, o których nie wolno mu było mówić.

Patrzył, jak Carly przygląda się fotografii, i starał się nie myśleć o tym, jak wspaniale byłoby czuć jej usta na swoim ciele.

- Dlaczego się marszczysz? - spytał po chwili. Niech tylko zaczniesz mówić; lepiej rozmawiać, niż fantazjować o rozebraniu jej do naga i poddaniu się namiętności.

- Próbuję zobaczyć przyszłego gubernatora Quintrella w tej kościstej małej oblewającej piwem swojego koleśka z rządu naczelnych. Oczy się zgażdżają, ale podbródek jest jakiś nie taki, Pewnie przez zarost. Josh ma go sporo. I jego kły są dokładnie takie jak u Senatora; to lekkie skrzywienie, które jest bardziej seksualną zachętą niż skaza. Widocznie później je sobie wyprostował.

- Albo wyremontował sobie całą paszczę po czterdziestce - odparł Dan.

- Wielu polityków tak robi. W Stanach brzydkie zęby są utożsamiane z bie-

dą i zepsuciem moralnym. Wziął szkło powiększające i przyjrzał się zdjęciu. - Masz niezłe oko, Carolino May. Ten podbródek nic jest tak imponujący jak u dzisiejszego Josha. Pewnie uwielbia implanty i chirurgów plastycznych.

- Przynajmniej pozwala, żeby włosy mu siwiały. Większość z nich nie pozwala.

- Z nich?

- Ludzi, którzy dużo czasu spędzają przed kamerami.

- Siwizna jest dystygowana, nie słyszałaś?

- Powiedz to prezydentowi telewizyjnemu, któremu ktoś o trzydzieści lat młodszy usiłuje się wspinać po grzbiecie. Ty, oczywiście, byłbyś wyjątkiem.

Spojrział na nią.

lak?

Będziesz jak twoja mama. Czarny jak smoła, z wyjątkiem jednego srebrnego pasma nad lewą skronią.

- Już mam to pasmo.

- Jeśli pięć włosów na krzyż to pasmo, to faktycznie.

- Mam ich więcej.

Carly udała, że liczy siwe włosy nad jego lewą skronią.

O mój boże! Siedem! Lada moment stoczysz się na samo dno Viagrandu.

Dana kusiło, żeby wstać i pokazać jej, jak bardzo się myli, ale nie zrobił tego. Ludzie wciąż łazili po magazynie nad ich głowami. W każdej chwili jakiś reporter mógł zejść do piwnicy w poszukiwaniu starych artykułów. A on nie chciał, by Carly wstydziła się czy hamowała, kochając się z nim, by musiała przygryzać wargi, zamiast jęczeć czy krzyczeć.

Ktoś na górze odciągnął na bok brezent, uniósł drzwi i zawołał:

- Dan?! Jesteś tam?!

Idź sobie, Gus.

- Złaż na dół, Gus.

- Jak długo tam siedzicie?

Za długo. Za krótko.

- Od śniadania, a co? - zapytał Dan.

- Więc jeszcze nie słyszeliście nowiny.

- Jakiej nowiny?

Gus ukazał się na górnym stopniu.

- Sylvia Quintrell wreszcie umarła.

Rozdział 33

*New Hampshire
Czwartek, południe*

Gubernator Josh Quintrell poprawił się na metalowym składanym krzesłku. Twarz miał skupioną, ale za tą fasadą pragnął się znaleźć gdziekolwiek indziej niż w tej sali pełnej weteranów różnych wojen próbujących strawić niestrawny lunch i wspominających bitwy, które nikogo nie obchodziły. On też używał swoich danych ze służby i medali za rany na polu chwały, by przekonać do siebie wyborców, ale czy gadał o tym przy każdej nadarzającej się okazji? Gdzie tam. Wolałby już ufarbować sobie włosy na różowo i założyć tutu. Dziewięćdziesiąt siedem procent mężczyzn w tej sali nie było rannych, torturowanych i nic zabijało; pozostałe trzy procent nie chciało o tym mówić.

Sałatka z kurczaka była naprawdę niewiarygodna. Powinni dawać medale za zjedzenie jej.

Zabiorę resztki dla mojego szefa kampanii, pomyślał Josh, gromko okłaskując przemówienie, podczas którego większość sali zapadła w śpiączkę. Dlaczego miałyby go ominąć cała ta frajda, którą mi zafundował?

Komórka zawibrowała mu przy pasku. Spojrzał na wyświetlacz, ale numer się nie wyświetlił, sprawdził więc pocztę. Nie było wiadomości, tylko SMS. Wcisnął guzik, zastanawiając się, co mogło być na tyle pilne, że ktoś postanowił przeszkadzać mu w czasie przeznaczonym na kampanię.

W małym okienku ukazały się słowa: Senator miał tajemnice, dla których warto zabić, by nie wyszły na jaw. Prześtań prześwieć fundację.

To dało Joshowi do myślenia.

Po dłuższej chwili, kiedy drugi mówca zaczął głądzić o „naszych dzielnych chłopcach na obczyźnie”, uznał, że przestanie prześwieć fundację przy pomocy Pete'a.

A potem ostro pogoni do roboty nowojorskiego księgowego i poczeka, co wyjdzie na światło dzienne.

Rozdział 34

*Ranczo Quintrellów
Czwartek, wieczór*

Z powodu złej pogody w New Hampshire samolot gubernatora wylądował z opóźnieniem w Santa Fe. Nabożeństwo żałobne Sylvii Quintrell odłożono do przybycia helikoptera gubernatora.

Carly nie miała nic przeciwko temu. Mimo protestów Dana pojechała na ranczo swoim świeżo wyczyszczonym i obutym samochodem wcześniej. Chciała wypytać Winifred o różne sprawy, w tym o niesłubne dzieci Senatora. Dodatkowa godzina przed rozpoczęciem uroczystości dawała więcej czasu na rozmowę z Winifred - i na przygotowanie się do kolejnej poetyckiej masakry w wykonaniu zacnego pastora, który sterczał w korytarzu pod drzwiami apartamentu staruszki, jak sprzedawca samochodów czekający na klienta. Doktor Sands sterczał razem z nim. Nie chciał, żeby Winifred zanadto zmęczyła się mówieniem.

Winifred kazała mu się wynieść.

Dan podał Carly kolejne zdjęcie, żeby Winifred mogła na nie spojrzeć. Pudło z plastikowymi koszulkami i formularzami, które zgubiły linie lotnicze, czekało na ranczu, kiedy Carly przyjechała na nabożeństwo. Teraz, rozmawiając ze staruszką, wsuwała zdjęcia i dokumenty między warstwy ochronnego plastiku.

Winifred zakaszłała. Dźwięk był chrypliwy, suchy i płytki, jak jej oddech. Dan słyszał taki niezdrowy kaszel w miejscach, gdzie z powodu wojny lub zwyczajnej niekompetencji rządu antybiotyki nie docierały do szpitali. Nie był lekarzem, ale wiedział, że zapalenie płuc jest najbardziej niebezpieczne, gdy klatka piersiowa jest ściśnięta, nie kiedy płuca się rozluźniają.

- Jest pani pewna, że może pani rozmawiać, panno Winifred? - spytał łagodnie.

Zignorowała go, wpatrując się przez okulary do czytania w zdjęcie, które trzymała Carly. W normalnych okolicznościach nie potrzebowałaby czy raczej nie przyznałaby się, że potrzebuje - okularów, ale dziś była zbyt zmęczona, żeby się dodatkowo wysilać.

- Andrew - powiedziała. Szkoła podstawowa.

Carly wypisała etykietkę, oddzieliła ją od papierka i przyklepiła do koszulki. Dan podał Winifred kolejne zdjęcie.

- Victoria. Po Pearl Harbor. Miała siedem lat.

Carly zapisała datę i oznaczyła zdjęcie.

Victoria. Dzień lądowania aliantów w Normandii. Polio. Zmarła przed... dziesiątymi urodzinami.

Powinna pani odpocząć - powiedziała szybko Carly.

- Powinam... umrzeć odparła Winifred.

Carly z ponurą miną przerzucała kolejne fotografie. Miała nadzieję znaleźć jakieś zdjęcia Josha i Lizy po dziesiątym roku życia, ale na razie bez skutku. Na zdjęciach byli tylko Andrew i Victoria. Rodzinne fotki skończyły się po śmierci Victorii. Jedyne grupowe zdjęcia po 1944 roku pochodziły z dorocznych przyjęć. Sylvia i dzieci często nie brały w nich udziału, a nawet jeśli, nie było ich na fotografiach.

Kiedy zdjęcia się skończyły, przyszła pora na listę nazwisk.

- To są możliwe dzieci senatora - powiedziała Carly. - To znaczy dzieci urodzone w ciągu dziesięciu miesięcy od czasu prawdopodobnego romansu ich matek z Senatorenem. Żaden z aktów urodzenia nie wymienia Senatora jako ojca. Na kilku figuruje inny mężczyzna, ale pani prosiła, żebym to zignorowała, zgadza się?

Winifred kiwnęła głową i wzięła listę. Jedenaście nazwisk na przestrzeni sześćdziesięciu lat.

Jesus Mendoza. Maria Elena Sandoval. Manuel Velásquez. Randal Mullins. Sharon Miller. Christopher Smith. Raul Sandoval. Maryanne Black. Seguro Sanchez. David McCafl. Suzanne Fields.

Wszyscy albo nikt z nich, mogli być dziećmi Senatora. Czwórka już nie żyła. Dwie kobiety same były babciami lub prabaciami. Żadne nie utrzymywało, że Senator jest jego ojcem.

Nazwiska, którego Winifred się spodziewała na które miała nadzieję - nie było na liście.

- Szukaj dalej. Urodziło się więcej dzieci, niż jest na tej liście.

- Dlaczego Sylvia nie rozwiódła się z Senatorenem? zapytała Carly, odkładając listę.

- Była katoliczką. I chciała zachować ziemię. Dla Andrew.

- A potem Andrew zginął, a ona dostała wylewu.

Nie powiedziała z trudem Winifred. - Próbowała... zabić Senatora. Rzuciła się na niego. Przeżyła. Ale jej mózg nie.

Carly i Dan znieruchomieli.

- Mój Boże - szepnęła Carly. Skąd...

- Wiem? - dokończyła za nią Winifred.

- Tak.

- Powiedział mi... żebym pozwoliła jej umrzeć. I dlaczego.

- Ale pani nie pozwoliła.

Grymas Winifred był zbyt dziki, aby można go było nazwać uśmiechem.

- On ją do tego... doprowadził. To ziemia Castillo. Zawsze była.

- Oczywiście powiedziała Carly łagodnie, chcąc uspokoić coraz bardziej wzburzoną staruszkę. - Senator nie żyje, a ziemia przejdzie na syna Sylvii, który również jest Castillo, nie tylko Quintrell.

Twarz Winifred pociemniała; starsza pani zaczęła kaszleć, bezskutecznie chwytając powietrze.

Doktor Sands wbiegł do apartamentu.

- Koniec pogaduszek, panno Winifred. Mówię poważnie. Schylił się i umieścił jej na twarzy maskę tlenową, którą zdjęła godzinę wcześniej. - Jeśli będę musiał, zawiozę panią do szpitala wbrew pani woli. Gubernator się ze mną zgadza. Jeśli będzie to konieczne, wezwiemy sędziego i uznamy panią za niezdolną do decydowania o sobie.

Winifred spojrzała na doktora płonącymi oczami, walcząc o kontrolę nad oddechem.

Carly chciała pozbiierać zdjęcia i dokumenty, ale Dan już to zrobił. Oboje wyszli z pokoju, zostawiając Winifred i doktora z ich bitwą na siłę woli.

- Powinam była najpierw zapytać ją o te stare hiszpańskie dokumenty - powiedziała Carly,

- Są inni, którzy znają starohiszpański. Winifred to jedyna żyjąca osoba, która pamięta rodzinę Quintrellów na przestrzeni ostatniego półwiecza.

- A gubernator? On też żyje.

- Wie mniej na temat swojej rodziny niż ty. Josh Quintrell nie przyjeżdżał tu nawet na Boże Narodzenie.

- Więc Sylvia próbowała zabić Senatora - powiedziała Carly. - Ciekawe, co ją do tego sprowokowało?

- Może dowiedziała się, że płodzi bękarty, choć doskonale wiedział, jak temu zapobiec. Sprawdzimy daty urodzin w tym okresie. Wszystkich dzieci, nie tylko tych prawdopodobnych.

Odgłos wirników śmigłowca oznajmił, że gubernator jednak dotarł na uroczystość żałobną matki.

Carly była ciekawa, dlaczego.

- Co dlaczego? - zapytał Dan.

- Przepraszam, nie miałam pojęcia, że powiedziałam to na głos.

Dan czekał.

- Dlaczego w ogóle chciało mu się tu przyjechać? Rodzice wysyłali go do internatów, od kiedy skończył siedem lat, i przypomnieli sobie o nim, dopiero gdy zginął jego starszy brat.

- Josh jest dokładnie taki sam jak Senator - odparł Dan.
- Czyli?

Jest politykiem w każdym calu. A ostatnia rzecz, na jaką może sobie pozwolić polityk, to nieobecność na pogrzebie matki.

- Rany, co za pozytywny pogląd na temat ludzkiej natury - rzuciła Carly.
- A niby czemu miałyby być pozytywne?
- Nie wiem.
- No właśnie. - Dan uśmiechnął się ponuro.

Odstawił pudła z materiałami i zdjęciami i gestem puścił ją przodem do następnego pokoju tego, w którym Sylvia spędziła szmat swojego życia. Winifred chciała, żeby uroczystość odbyła się właśnie tutaj. Nikt się nic sprzeciwił.

A może nikogo to nie obeszło. Na stole stały tace z apetycznymi kanapkami, filiżanki do kawy, sosjerki i kryształowe kieliszki do wina. Była też srebrna taca z maleńkimi kubeczkami bez uszek ustawionymi w geometryczny wzór. Najwyraźniej kubeczki były przeznaczone na później, bo ułożono na nich dwie skrzyżowane czerwone wstążki. Błyszcząca satyna kontrastowała z prostymi kubkami z gliny i stojącym przy nich matowym dzbanuszkim. Głina wydawała się zupełnie na miejscu obok całej kolekcji świętych, rzucających zewsząd na stół groźne spojrzenia.

Carly odwróciła wzrok od prymitywnych świątków. W tych rzeźbach było coś niepokojącego, tak jak w sztuce Majów, która zawsze budziła w niej niepokój.

Ogień trząsał wesoło w kominku, jakby miał zrównoważyć mroczną, przytłaczającą obecność świętych.

Melissa, Pete, Alma i Lucia zajęły cztery ze składanych krzesel, które ustawiono na tyłach pokoju. Trzy kolejne krzesła czekały przy płonącym ogniu. Carly domyśliła się, że to miejsca dla rodziny, ruszyła więc w stronę Melissy i wiecznie skwaszonej Almy. Lucia uśmiechnęła się i skinęła jej głową. Czując się jak piąte koło u wozu, Carly odwzajemniła uśmiech i zajęła puste krzesło. Dan usiadł obok niej. Jeśli nawet czuł się nie na miejscu, nic okazał tego.

Chwilę później doktor Sands wwiózł na wózku Winifred; minął składane krzesła i ustawił jej fotel we frontowej części pokoju. Zaciągnął hamulec, sprawdził przepływ tlenu i przeszedł zwawym krokiem pod tylną ścianę. Nie mówiąc ani słowa, usiadł obok Dana.

Do pokoju wszedł gubernator Quintrell. Przywitał się i zamienił parę słów ze wszystkimi oprócz Carly i Dana. Do Pete'a powiedział coś, co najwyraźniej zaskoczyło księgowego.

- Jest pan pewien, panie gubernatorze? - spytał Pete.
- Tak. Uznałem, że to nie jest dobry moment na obcinanie dotacji charytatywnych. Skoncentruj się na doprowadzeniu ksiąg rancza do ładu przed sprzedażą.

- Ma pan już jakieś oferty kupna?

- Kilka. Ranczo tych rozmiarów nieczęsto trafia na rynek nieruchomości. Wszyscy, począwszy od developerów, po firmy od ochrony przyrody, ustawiają się w kolejce i wymachują mi pieniędzmi przed nosem. Powiedz Melissie, żeby zaczęła pakować drobne rzeczy w domu i wysyłać je do Santa Fe.

Powiedziawszy to, gubernator wybrał krzesło najbliższe Winifred i usiadł. Spojrzył na duchownego i kiwnął głową.

Pastor podszedł do kominka i stanął twarzą do zebranych.

Zebraliśmy się tu, by uczcić pamięć dzielnej duszy...

Po trzydziestu sekundach Carly uznała, że pastor nie miał dość czasu, by splądrować dla Sylwii dorobek zmarłych poetów. A może po prostu tylko śmierć Senatora wymagała tak kwiecistego języka. Tak czy owak, trzymał się twardo ziemi z całą jej śmiertelną prozą.

Carly zaczęła zapamiętywać atmosferę pokoju, by móc ją potem opisać. Ktoś przyniósł świeże sosnowe gałązki i ozdobił nimi lniany obrus okrywający stół. Gałązki ułożone były wokół tacy z dziesięcioma... nie, jedenastoma kubeczkami. Świątki zerkały z najbardziej nieprawdopodobnych miejsc.

Im dłużej Carly tu siedziała, tym mniej podobały jej się te prymitywne figurki. Przypomniały jej się słowa Dana o pokutnikach biczących się przy stacjach drogi krzyżowej. Ciekawe, czy członkowie rodu Castillo mieli zwyczaj modlić się przy przydrożnych kapliczkach, które widziała, jadąc przez wiejskie okolice Nowego Meksyku.

Dan poczuł lekki dreszcz, który nią wstrząsnął, i podążył wzrokiem za jej spojrzeniem. Ponure świątki stojące na kominku i na stole wiele osób uważało za okazy kolekcjonerskie, a niektórzy wręcz za dzieła sztuki. Twórców i zbieraczy tych figurek najwyraźniej pociągał koszmar męczeństwa poprzedzający świętość. Mniej groteskowe niż gargulce, bardziej dosadne niż zwyczajowe przedstawienia ukrzyżowania, świątki oddawały ból, zdradę i śmierć o wiele lepiej niż mdłe słowa duchownego.

Dan splótł palce z palcami Carly i ścisnął lekko. Rzuciła mu szybkie spojrzenie i odwzajemniła uścisk. Nie wiedziała, dlaczego figurki budzą w niej taki niepokój.

W końcu pastor zamknął Biblię i podszedł do gubernatora, a potem do Winifred i powiedział coś, zbyt cicho, by dało się usłyszeć słowa.

- Jeszcze tylko kilka minut - mruknął Dan we włosy Carly.

Potaknęła ruchem głowy.

Po krótkiej, nieporadnej szamotaninie Winifred zwolniła hamulec wózka i obróciła się przodem do pokoju. Skinęła głową.

Alma wstała, podeszła do stołu i usunąwszy wstążki, podniosła tacę z kubeczkami.

Carly zauważyła, że naczynka są napełnione czymś o wiele gęstszym niż kawa, ale równie ciemnym. Teraz było ich tylko dziewięć, nie jedenaście. Zgadywała, że brakujące kubki mają coś wspólnego z dwójką nieobecnych Ouintrellów, ale nic była pewna. Tak czy inaczej, ta część ceremonii wydawała się bardziej pogańska niż chrześcijańska.

W rodzinie Castillo kultywujemy obrzęd, który ma pomóc duszy trafić prosto do Boga. - Winifred przerwała, pociągnęła haust z maski tlenowej i mówiła dalej: Tradycja ta miała początek przed tysiącem lat, jako strzeżenienny dla zmarłego. - Kolejny oddech. - Dziś spełniamy toast. Językom współczesnych starożytny napój wydaje się gorzki. - Znów łyk tlenu, Jej głos wzmocnił się, stał się niemal rozkazujący. - A jednak go pijemy. A pijąc, modlimy się za zmarłego. Każda wypita kropla, każda wypowiedziana modlitwa pomoże mojej ukochanej siostrze. Każda nieprzełknięta kropla sprawi uciechę diabłu.

Alma podsunęła Winifred jeden z kubków. Staruszka wzięła go, opróżniła, odwróciła do góry dnem, by pokazać, że jest pusty, po czym odstawiła na miejsce. Złożyła ręce do modlitwy. Alma podeszła do gubernatora i wskazała następnego rządk kubków. Josh spojrział nieufnie na naczynka i wziął jedno z nich. Mikstura musiała być okropna w smaku, bo z trudem się powstrzymał, by jej nie wypluć. Przełknął jednak i odstawił kubek dnem do góry na właściwe miejsce na tacy.

Alma obchodziła wszystkich z małej grupki, od osób najbliższych Sylvi, po najmniej z nią związane, podając kubeczki i czekając, aż zostaną opróżnione i odstawię na miejsce. Carly przygotowywała się na swoją kolej.

Nic smakuj tego - szepnął Dan do jej ucha. - Wlej jak najgłębiej do gardła i przełknij.

- Robiłeś to już kiedyś?

- Nic, ale siadywałem przy różnych dziwnych ogniskach.

Alma stanęła przed nimi. Zostały trzy pełne kubki, ustawione w trójkąt. Dan ominął najbliższy róg trójkąta, wybierając inną porcję, zamiast tej, którą mu przeznaczono.

Alma chciała zaprotestować; kubeczki miały być opróżnione w ustalonym porządku, zgodnie z życzeniem gubernatora. Ale było za późno. Dan łyknął już zawartość, odwrócił kubek, odstawił go na miejsce i zamknął oczy.

Alma spojrzała na Winifred, która uczyła ją, jak powinien wyglądać rytuał. Oczy starej znachorki wciąż były zamknięte. Melissa, która ciągle walczyła z gorzkim wywarem, nie zauważyła uchybienia. Z westchnieniem ulgi, że odstępstwo od rytuału nie zostało zauważone, Alma podsunęła tacę Carly.

Zostały dwa kubki.

Udawaj, że to surowa ostryga, powiedziała sobie Carly. Jeśli potrafisz przełknąć wielkiego, zimnego glutą, dasz radę i z tym.

Wzięła przedostatni kubek i zdołała go wychylić bez udławienia się.

Alma sięgnęła po ostatni, wypijała zawartość, otrząsnęła się bezwiednie i usiadła.

W pokoju było tak cicho, że Carly pewna była, że wszyscy słyszą dźwięk jej języka trącego o zęby, kiedy próbowała się pozbyć ohydny smaku. Dzięki Bogu, że strzeżenienny wyszedł z mody. Nie poradziłaby sobie z drugim łykiem tego świństwa.

Odgłos śmigła wchodzącego na obroty dał sygnał do zakończenia spotkania, przynajmniej jeśli chodziło o gubernatora. Ucisnął dłonie wszystkim - tym razem również Carly i Danowi - i wyszedł.

Carly i Dan podeszli do Winifred, ale musieli zaczekać, widząc, że staruszka wciąż modli się za siostrę.

Czekali długo. Gdy wreszcie uniosła głowę, doktora Sandsa i pastora już nie było. Został tylko personel.

Łzy w oczach Winifred uświadomiły Carly, jak bezużyteczne są słowa. A jednak musiały zostać wypowiedziane i wysłuchane, choć wszyscy wiedzieli, że nic wypełnią pustki, która pozostała.

- Przykro mi - powiedziała Carly.

Winifred skinęła głową.

Jutro.

Carly zrozumiała, że staruszka nie chce teraz rozmawiać, ł nie oczekiwała tego po niej.

- Odprowadzę cię do samochodu - powiedziała do Dana.

Nie odezwał się, dopóki nie wyszli z apartamentu. Schylił się, podniósł pudła ze zdjęciami, które zostawili pod drzwiami pokoju, i spojrział Carly w twarz.

- Nie chcę, żebyś została tu sama - rzekł.

Nie odpowiedziała, z tego prostego powodu, że sama nie była zachwycona tym pomysłem.

- Nikt nie wiedział, że mam naprawiony samochód, dopóki się tu nie pokazałam, więc... Wzruszyła ramionami.

- Więc nikł nie miał dość czasu, żeby zabawić się ze szczurami i farbą, tak?

Kiwnęła głową.

- Bzdura - odparł.

- Przecież sprawdziłeś mój pokój i nic nie znalazłeś.

- To było prawie dwie godziny temu.

- Wszyscy byli tutaj, na nabożeństwie. I powiedziałam już McIissie, że dziś wracam do miasta.

Wiedział, że Carly ma rację. Ale nie chciał zostawiać jej tu samej, nie chciał nawet, żeby sama zjeżdżała z góry swoją terenówką. Podświadomie cały czas dopasowywał elementy układanki i powoli zmierzał do konkluzji, która wcale mu się nie podobała, choć nie widział jej jeszcze wyraźnie.

Zmiał w ustach przekleństwo i ruszył za Carly do drzwi.

- Wiesz, na co mam teraz ochotę? - zapytała.

Na szczoteczkę do zębów?

Na całym świecie nie ma takiej dużej. - Skrzywiła się i przełknęła, czując, jak coś kwaśnego usiłuje wypełznąć jej z powrotem do gardła. Cokolwiek było w tym wywarze, jej żołądek nie był tym zachwycony.

- Mam wodę w samochodzie - powiedział Dan. Jak tylko znikniemy im z oczu, będziesz mogła wypłukać gardło i popluć sobie do woli.

- Czytasz w moich myślach. Zawsze mi się to w tobie podobało.

- Przypomnę ci to.

Zanurzyli się w lodowate powietrze. Kiedy szli do samochodu Carly, śmiłowiec gubernatora poderwał się w górę, obrócił wokół niewidzialnej osi i nabierając prędkości, poleciał wzdłuż doliny.

Carly rozejrzała się po ranczu. Człowiek może budować i opuszczać domy. Bydło może się rodzić, rosnać i trafiać na sprzedaż. Dolina może być uprawiana albo zostawiana odłogiem, a góry wciąż patrzą na to wszystko, niezmiennie. Ziemia trwa. Człowiek przemija. Mimo wszelkiej władzy, jaką za życia skupili w swoich rękach Senator i jego żona, po ich śmierci została tylko ziemia.

Carly zaczęła rozumieć obsesję Winifred na punkcie ziemi Castillo.

- Co jest? - zapytał Dan.

- Tak sobie myślę.

Czekał.

- Po rodzinie Winifred i wszystkich jej ambicjach nic zostało nic prócz ziemi - powiedziała, podchodząc do samochodu. - To ranczo to nieśmiertelność Castillo; bardziej się do niej nie zbliża. A gubernator Quintrell wystawił je na sprzedaż.

Dan pokiwał głową. Chciał coś powiedzieć, ale się rozmyślił. Carly nie musi wiedzieć tego, o czym on już wiedział. Dla nieśmiertelności warto nawet zabijać.

- Pojeżdż do mnie - powiedział nagle. - Zostaw samochód tutaj. Przywiozę cię rano. Nie chcę, żebyś była sama.

Spojrzała na niego. Zobaczyła w jego oczach cień i prośbę. Bez słowa odwróciła się i ruszyła do jego furgonetki.

Rozdział 35

*Ranczo Quintrellów
Czwartek, wieczór*

Jechali dopiero chwilę, ale Carly czuła, że zwymiotuje, jeśli samochód Dana podskoczy na jeszcze jednym wyboju. Odkręciła szybę od strony pasażera. Byli na krętej części drogi, w miejscu, gdzie opuszczała dolinę i wiała się po drugiej stronie grani Castillo. Niżej była tylko ciemność, nad nią tylko gwiazdy.

Dan też miał mdłości i zawroty głowy po paskudnej ziołowej miksturze. Jeśli poczuje się choć trochę gorzej, będzie musiał zatrzymać samochód, wysiąść i zwymiotować.

- Dan? - rzuciła Carly rwącym się głosem. Świat wirował wokół niej jak pijany. Żołądek podchodził jej do gardła. - Stój.

Wcisnął hamulce, nie pytając, dlaczego. Nie musiał. Carly była blada i spocona, głowa kiwała się jej na boki.

Zdołała odpiąć pas, ale nie była w stanie chwycić klamki. Przeciagnął ją na swoją stronę i wywłókł przez drzwi kierowcy. Odepchnęła go, padła na kolana i zaczęła wymiotować. W końcu spróbowała się podnieść, ale nie miała siły.

- Spokojnie, kotku - powiedział Dan, walcząc z własnymi mdłościami. Nagle zaskoczył. Odezwało się szkolenie.

Rzygaj, durniu. Zostałeś otruty.

Rzucił się na śnieg obok Carly i wymiotował, pozbywając się pożegnalnego napitku Sylvii. Zakręciło mu się w głowie, ale żołądek natychmiast poczuł ulgę. Wymarł usta garścią śniegu, splunął i czekał.

Przestało go mdlić.

Carly nie miała tyle szczęścia. Znow nia szarpało; chwiała się, choć była na czworaka. Podparł ją, przytrzymał głowę i robił wszystko, co mu

przyszło do głowy, by pomóc jej zwrócić świństwo, które było w małym kubeczku.

Stawiał na opium albo heroinę. Jego szkolenie obejmowało między innymi zażywanie różnych narkotyków, tak by poznał własne granice, i wiedział, co dzieje się z człowiekiem, któremu dosypano małe co nieco do kawy. Kiedy przeszedł tę część szkolenia, zastanawiał się, dlaczego ludzie wydają ciężkie pieniądze na te świństwa.

Carly przestała wymiotować.

- Lepiej? - zapytał łagodnie.

Próbowała mówić. Nie mogła. Świat wirował wokół niej. Chciała się skupić, ale oczy nie działały. Próbowała złapać się Dana, ale ręce odmawiały współpracy. Jej ciało pragnęło tylko jednego: zasnąć tu i teraz, na zawsze.

Serce przestało bić w piersi Dana, kiedy Carly zwiotczała w jego ramionach. Zaniósł ją do furgonetki, oparł o maskę i zbadał jej puls.

Słaby, wolniejszy, niż powinien być.

Oddech tak samo.

Kurwa.

Jej głowa łupnęła mu o pierś. Złapał ją za podbródek, uniósł jedną powiekę i zobaczył źrenicę jak łebek szpilki. Otworzył jej usta. Mimo niedawnych wymiotów język miała suchy. Wargi z różowych zrobiły się sine. Typowe objawy przedawkowania opiatów.

Nie było sensu zmuszać jej do wymiotów; w żołądku nic nie zostało. Spółka matki natury na pozbycie się niechcianego ładunku. Pomoc medyczna była daleko, a on prędzej sam by zdechł, niż pozwolił, by ktokolwiek z domu na ranczu dotknął Carly.

Ktoś stamtąd zatrzał ich oboje.

On, znacznie cięższy, miał większą tolerancję na narkotyk. Carly była w fatalnym stanie.

Szła pod powierzchnię.

Strach zwałił się na Dana, wywołując falą adrenaliny, która kazała mu zapomnieć o własnej słabości i zwolnionych reakcjach. Odciągnął Carly od samochodu, objął i spróbował zmusić do chodzenia, jednocześnie potrząsając, by ją ocucić. Musiała się ruszać, zanim jej organizm zacznie radzić sobie z dawką narkotyku, której nie zdążyła zwymiotować.

Zwisała mu na ramieniu. Wymykała się.

- Carly!

Jej głowa bezwładnie przetoczyła się na bok.

Złapał ją wolną ręką za włosy, przysunął twarz do jej twarzy i wrzasnął:

- Carly! Musisz się obudzić i zacząć ruszać. I to już!

Jej powieki zatrzepotały. Głowa szarpnęła się słabo do tyłu.

- Dan?

Jestem tu, Carly. Ktoś ci podał opiaty. Większość wyrzygałaś. ~ Mam nadzieję. - Ale nic wolno ci zasnąć, dopóki nie zaczniesz lepiej oddychać. Musisz chodzić, kochanie. Będę przy tobie cały czas.

Carly słyszała, że ktoś coś do niej mówi. Z daleka. Z bardzo, bardzo daleka. We śnie. Z wysiłkiem rozpoznała głos Dana. Choć ciągle mu powtarzała, żeby sobie poszedł, on ciągle na nią wrzeszczał i nie dawał jej spać.

W końcu jej nogi złapały rytm. Nie mogła się na nich oprzeć, ale przynajmniej chwilami była w stanie utrzymać stopy pod sobą.

- Właśnie tak, Carly. Dobrze. Świetnie. O wiele lepiej. Trzymaj się mnie, skarbie. Wygrywamy.

Powoli zaczęła czuć zlodowaciałe stopy i ciało, cięższe niż wór mokrego piachu. Nie rozumiała, jakim cudem stoi. W końcu zdała sobie sprawę, że właściwie nie stoi; Dan ją podtrzymywał, jednocześnie zmuszając, by przedstawiała nogi, jedną za drugą.

- Maszeruj, kochanie - powiedział, ocierając policzek o jej włosy. - Po prostu ruszaj nogami. Ja utrzymam równowagę za nas oboje. Mnie to też rozjaśnia w głowie.

Otworzyła oczy i zrozumiała, że to nie sen. Dan zmuszał ją do marszu, najpierw jedną stroną zamrażniętej drogi, potem z powrotem, drugą stroną. Furgonetka obróciła się na pięcie. Nie, to nie furgonetka zrobiła zwrot. To ona. Ale z każdym krokiem, z każdym uderzeniem serca, z każdym oddechem czuła, że odzyskuje kontrolę.

- Jak dorwę tego drania, który ci to zrobił - mówił Dan - załatwię mu kolumbijskie ubranko; krawat, kutas i jaja, fuli service.

Carly oblizała suche wargi językiem, tylko odrobinę mniej suchym.

- To chyba bolesne.

Dan zatrzymał się gwałtownie.

- Carly?

- Tak sądzi;

Kiedy porwał ją w objęcia, zrozumiała, jak bardzo się o nią bał. Wtulał twarz w jej kark i ścisnął mocno, jak desperat. Skórę miał lepka od potu.

- Co się... - Przełknęła ślinę, bo gardło miała zaschnięte.

- Ktoś wrzucił opiat do naszego drinka za zmarłą. Ja zwymiotowałem, zanim mnie tak naprawdę dopadło. Ty jesteś bardziej podatna, ale zwróciłaś dość, żeby się nie przekreślić.

- Opiat? To znaczy na przykład heroinę?

- Tak.

Przełknęła jeszcze raz. Suchość nareszcie mijała. W głowie kręciło się jej już tylko chwilami. Czuła się, jakby zbito ją skarpetką pełną piasku. W ustach miała zdechłego skunksa.

- I mówisz, że ludzie płacą, żeby się tak czuć? - zapylała z niedowierzaniem.

Uśmiechnął się słabo.

- Przeważnie nic biorą aż tyle, żeby dostać mdłości. Po prostu ich przymula i drzemia.

- Nigdy więcej nie zbliżę się do tego gówna.

- Tym razem też nie wzięłaś z własnej woli.

Oparła się o niego.

- Ciagle jestem zamroczona.

- Tak, wiem, co masz na myśli. - Zmierzył jej puls i posłuchał oddechu. - Nic ci nie będzie.

- Dzięki tobie.

Dan starał się o tym nie myśleć. Gdyby Carly była sama, kiedy narkotyk zadziałał, mogła zjechać z drogi i zginąć w samochodzie, który walnąłby w coś trzydzieści metrów niżej. A nawet gdyby zdała sobie sprawę, że coś jest nie tak, i zdołała się zatrzymać, wysiąść i zwymiotować, nie byłaby w stanie wsiąść z powrotem do auta. Straciłaby przytomność i zamarzła, zanim ktokolwiek by zauważył, że jej nie ma.

Carly westchnęła i oparła się o niego mocniej.

Przepraszam, że taki ze mnie mięczak.

Mięczak? - Uniósł jej głowę i spojrzął w oczy. - Ty jeszcze nie łapiesz?

Patrzyła na niego, nie wiedząc, o co chodzi.

- Mogłaś umrzeć - rzucił szorstko. - Przedawkowanie. Zjechałabyś z urwiska. Albo zemdłała i zamarzła. Wybieraj. Właśnie coś takiego zafundował ci ten ktoś, kto napełnił twój kubek narkotykiem.

- Może mój żołądek po prostu nie zniósł...

Bzdura, kotku - przerwał jej gniewnie. Bzdura. Ja wiem, jak działają opiaty, wiem, co ze mną robią. Zostaliśmy zatruci.

Białe chmurki jego oddechu wyglądały jak dym.

- Ja nie żyję w świecie, gdzie ludzie próbują mnie zabić - powiedziała słabo. Wciąż była zamroczona, ale pod spodem czaił się najzwyklejszy strach. Przynajmniej adrenalina była użyteczna. Rozjaśniała jej w głowie. - Może czasem mnie straszą i chcą zmusić do ucieczki, ale nie próbują mnie zabić. Poza tym każdy mógł wziąć akurat ten kubek. Na przykład ty.

- Powinienem być, ale ominąłem kolejkę. Dostałem porcję Almy.

Carly zamrugała.

- Słucham?

Chciał jej wyjaśnić, że wziął kubek z niewłaściwego końca trójkąta, ale zrezygnował.

Nieważne. Nie doszłaś jeszcze do siebie. Dasz radę wsiąść do samochodu i nie zasnąć, czy chcesz jeszcze trochę pochodzić?

- Strasz mnie dalej. Adrenalina pomaga mi się skupić.

- Adrenalina. - Uśmiechnął się, opuścił głowę i delikatnie skubnął ją w kark zębami.

Jego ręka powędrowała jej po plecach w dół, na pośladki, palce wyprostowały się, zaczęły ścisnąć, pieścić; przycisnął ją do siebie.

- Jak tam z produkcją adrenaliny? zapytał po chwili.

- Przedawkowanie. - Oplotła jego szyję ramionami i zadrżała. Przedawkowanie jak złoto. Porób tak jeszcze.

- Pora wracać do samochodu. Zimno ci.

Roześmiała się.

- Trochę mną telepie, ale nie z zimna.

Dan wziął głęboki oddech.

- Taa. Sio do samochodu.

Otarła się twarzą o jego szyję.

- Jesteś pewien?

- Zobaczymy, czy będziesz miała ochotę na figle na ostrym dyżurze.

- Na jakim ostrym dyżurze?

- Na tym, na który cię zabiorę, jak tylko dojedziemy do miasta.

- Nie ma mowy.

Dan otworzył drzwiczki samochodu od strony pasażera, podsadził ją i zapiał jej pas.

- Gdybym wypila za dużo wina i rzygała - powiedziała zawiózłbyś mnie do szpitala?

Bez słowa zamknął drzwiczki i obszedł maskę samochodu.

- No więc? - zapytała, kiedy wsiadł i trzasnął drzwiczkami. - Zawiózłbyś?

- Nie, dopiero gdybyś straciła przytomność - przyznał niechętnie.

- Chodziłeś do college'u. Ilu twoich kolegów rzygało, traciło przytomność i budziło się następnego dnia z kacem gigantem?

- Sporo.

- Ilu z nich zabrałeś na erkę?

Dan zapalił silnik.

Tak myślałam. A poza tym co powiesz lekarzowi? Że zjadłam nie to ciasteczko, co trzeba, i odleciałam?

- Myślisz kategoriami haszu albo trawki, nie opiatów.
- Ale morał jest taki sam. Idziesz do lekarzy, oni znajdują ślady heroiny czy czego tam, a potem ja tłumaczą szeryfowi, skąd się tam wzięły. Wyobraź sobie jego reakcję, kiedy powiem: Rany, to musiał być ten pożegnalny toast dla Sylvii. Zna pan tych Quintrellów. Ćpają wszyscy, co do jednego. Każę mnie zamknąć, zanim się obejrzą. I nie będę mogła pracować nad historią Castillo, a zdaje się, że o to właśnie chodzi, nie?

Dan miał ochotę trzasnąć czymś o kierownicę; jej głową, swoją głową, obiema.

Miała rację, ale jemu nie musiało się to podobać.

Bez słowa ruszył drogą w dół, zerkając we wsteczne lusterko, czy nie widać jakichś świateł. Nic prócz ciemności. Gdy tylko teren pozwolił, zjechał na bok i wycofał pod osłonę lasu. Kiedy uznał, że widzi drogę, ale nikt z drogi nic zobaczy jego, zgasił silnik. Ciemność spadła na nich jak głaz.

Carly wyprostowała się i wyjrzała przez okno.

- Co będziemy oglądać? Wyścigi łodzi podwodnych?

Z uśmiechem pokręcił głową.

- Jesteś na najlepszej drodze do odzyskania swojej niewyparzonej buzi.

Dzięki tobie - odparła, usiłując stłumić ziewnięcie. - Poza tym, że jestem ostro nabuzowana, czuję się dobrze. Masz jeszcze wodę?

Dan sięgnął pod siedzenie i wyciągnął nową butelkę.

- Daj mi znać, jeśli po tym zrobi ci się niedobrze.
- Ależ z ciebie mamuśka.
- To dar. - Usiadł wygodnie, obserwując swoją pasażerkę kątem oka. Resztę uwagi skupił na drodze.

Po chwili siłowania się Carly zdołała odkręcić butelkę. Wzięła łyk, odczekała, aż woda rozpuści ohydny posmak w jej ustach, i wypłuła przez okno. Za trzecim razem smak w ustach zaczął przypominać jej własny. Pociągnęła łyczek i przełknęła ostrożnie. Potem kolejny łyczek. I jeszcze jeden.

- W porządku? - zapytał Dan.

Jak na razie. To jest inaczej niż po zbyt dużej ilości alkoholu. Picie wody nie pogarsza sprawy.

Dan czekał.

Po ostatnim łyku zakręciła butelkę.

- Teraz zobaczymy, czy się ułoży.
- Dobry pomysł - odparł i skupił się na obserwacji drogi. Po pięciu minutach znów spojrzął na Carly. - I jak?
- Jeszcze jestem przymulona. Ale nie tak jak przedtem. Nie muszę już spać.

Zbadał jej puls. Powolny, ale nic niepokojącego. Była po prostu bardzo, bardzo zrelaksowana. Przekręcił kluczyk w stacyjce, żeby mogła zasunąć szybę.

Proszę bardzo - powiedział. - Śpij jeśli chcesz. Teraz już jest bezpiecznie.

- Więc nie rzucisz się na mnie?
 - W tej chwili? Nie.
 - To po co odmrażamy sobie tutaj tyłki?
 - Bądź miła, nie pytaj.
 - Ale...
 - Naprawdę chcesz wiedzieć?
 - Tak.
 - Chcę zobaczyć, kto tędy przejedzie.
 - Na to wpadłam sama. Ale dlaczego?
 - Ktoś może chcieć sprawdzić, jak zadziałał narkotyk. Albo dokończyć robotę, jeśli jeszcze jesteś... - Wzruszył ramionami.
- Żywa.
- Żadne tego nie powiedziało.
- Ale oboje o tym pomyśleli.

Rozdział 36

*Ranczo Quintrellów
Czwartek, późny wieczór*

Winifred starała się ignorować bezwład ciała i umysłu; narkotyk odebrał jej siłę, a na utratę sił nie mogła sobie teraz pozwolić.

Kto to był?

Kto nas zatruł?

Dlaczego?

Pytania nękały jej umysł, tak jak choroba nękała ciało.

Każdy mógł to zrobić. Kiedy doktor zawiózł mnie do pokoju, byłam cały czas odwrócona tyłem do butelki z pożegnalnym napitkiem. Albo ktoś wlał narkotyk do pustych kubków.

Z gwałtownym szarpnięciem głowy przełknęła środek pobudzający, który wypięła, gdy tylko zrozumiała, co się stało. Gdy fałszywa siła zaczęła krążyć w jej żyłach, Winifred odsunęła od siebie stare pytania i zadała kolejne.

Kto nie mógł nas zatruć?

Osoba, której można powierzyć koperty do wysłania.

Choć ręce miała słabe, rytmicznymi ruchami popychała wózek przez szerokie korytarze domu, aż dojechała do gabinetu Senatora. Nie widziała obrazów, rzeźb, drogich bibelotów z zamierzchłych czasów; myślała wyłącznie o domownikach, o ludziach, którzy mieli dostęp do ziół - i o tych, którzy go nie mieli.

Nic się nie zmieniło. W dalszym ciągu mógł to być każdy. Musi sama zająć się kserowaniem i wysyłką.

Otworzyła drzwi gabinetu i przepchnęła wózek przez próg. Po drugiej stronie pokoju stary zegar tykał między zdjęciami uśmiechniętego Senatora, z tymi jego oczyma wiecznie utkwnionymi w wielką szansę i rękami zawsze gotowymi złapać za damski tyłek.

Powinam była go zabić wiele lat temu.

Ale nie zrobiła tego. Bała się jego syna. I słusznie, jak się okazało.

Podjechała do biurka. Było tu wszystko, czego potrzebowała; kopiarka, komputer, przybory piśmienne. Melissa utrzymywała wszystko tak, jakby Senator wciąż żył, jakby wciąż mógł dyktować listy i gapić się na sekretarkę. Wychodząca poczta - rachunki, czeki i zamówienia - leżała związana na tacy z polerowanego drewna na skraju biurka.

Winifred włączyła kopiarkę i skscrowała stary dokument, który wyjęła z zamkniętej skrzynki ukrytej w jej pokoju. Gdy skończyła kopiowanie, wyłączyła maszynę i odwróciła się do biurka. Z fotela na kółkach niezręcznie było jej sięgać po cokolwiek, ale nie miała wyboru.

Boczna szuflada zacięła się, ale w końcu puściła ze zgrzytem, szarpniętą kilka razy. Winifred odliczyła trzy świeże koperty z logo rancza i zaadresowała je. Do każdej włożyła kopię dokumentu. Po chwili wahania dołożyła pokwitowanie za wysłane próbki DNA do koperty przeznaczonej dla Caroliny May. Do tej samej koperty wsunęła też oryginał dokumentu, złożony bez ceregieli kruchy papier.

Opanowanymi ruchami, którym zadawało kłam oszalałe bicie serca, zakleiła koperty i opatrzyła znaczkami. Potem wymieszała trzy koperty z resztą poczty, związała z powrotem pakiet i położyła na tacy. Ktoś, kto jutro rano zabierze go do miasta - któryś ze Sneadów, Alma czy Lucia - nie zauważy dodatkowych listów.

Winifred wahała się chwilę, ale nie mogła się oprzeć. Chciała, żeby syn Senatora wiedział. Chciała, by zrozumiał, że wygrała. Z ponurą miną wybrała numer jego komórki. Gubernator odebrał po czterech sygnałach.

- Co tam, Pete? - zapytał. - Jakież problemy z księgami?

- To nie Pete - powiedziała Winifred. - Ale masz większe problemy niż zbilansowanie ksiąg rancza.

Winifred? Coś nie w porządku?

Nie, wręcz przeciwnie. - Zakaszłała, ale zdołała odzyskać oddech. Nareszcie będzie w porządku.

- Posłuchaj, jest już późno. Muszę zredagować przemówienie, zdążyć na samolot za cztery godziny i ciągle jeszcze mnie mdli po tym czymś...

- O tak, jest już późno - przerwała mu. - Za późno dla ciebie i za późno dla Senatora. Załatwiłam i jego, i ciebie. - Chciała się roześmiać, ale bała się, że się rozkaszle.

Josh rozmasował nasadę nosa i otrząsnął się jak pies wychodzący z wody, zastanawiając się, o co, u licha, chodzi. Czy ta starucha w końcu sfiksowała?

Jeszcze tego mi potrzeba - ciotki wariatki.

- Winifred - rzucił szorstko - mówisz od rzeczy. Daj do telefonu Melisse i...

Praprababka Sylvii, matka Isobel, była *una bruja* - powiedziała Winifred, nie dopuszczając siostrzeńca do głosu. Wiedziała, że Senatorowi nie wolno ufać, jeśli chodzi o ziemię. Kazała mu podpisać dokument stwierdzający, że...

- Isobel? Jakiej znowu Isobel? - rzucił niecierpliwie Josh. - O co tu chodzi?

- O Castillo - syknęła Winifred. - O małżeństwo Castillo z Quintrellem.

- To było dawno temu. Jak ktokolwiek mógł ufać czy nie ufać człowiekowi, który miał się urodzić za czterdzieści lat?

Winifred chwyciła płytki, ostrożny oddech. Musiała się skupić, żeby gubernator zrozumiał.

By wiedział, że ona wygrała.

- Spisali umowę małżeńską - powiedziała. - Sylvia i drugi Quintrell. W jednym z punktów ustalili, że tylko dzieci, w których żyłach płynie krew Sylvii Castillo, mogą dziedziczyć ziemię. Jej dzieci, nie jego.

- I co z tego? - mruknął Josh. - Sylvia i Senator mieli dzieci i tylko jedno z nich przeżyło. To znaczy ja. Ja odziedziczyłem ziemię, a ta cała rozmowa jest bez sensu.

- Możesz to udowodnić? - zapytała Winifred triumfalnym tonem. - Możesz udowodnić, że Sylvia Castillo Quintrell jest twoją matką?

- Oczywiście, że...

- Nie możesz - odparła. Głos jej drżał z poczucia zwycięstwa, z gniewu i choroby. Taki z ciebie Castillo jak ze mnie Quintrell.

Zwariowałaś. Nie zmuszaj mnie, żebym to udowodnił i cię zamknął. Nic zostało ci wiele czasu, ale chyba nie chcesz go spędzić w kaftanie bezpieczeństwa w pokoju bez klamek. A tak się stanie, jeśli nie przestaniesz opowiadać tych bzdur.

Rozłączył się, zanim Winifred zdążyła cokolwiek dodać.

„Zwariowałaś. Nie zmuszaj mnie, żebym to udowodnił i cię zamknął”.

Możesz mi grozić, możesz się ode mnie opędzać jak od muchy – powiedziała Winifred do głuchego telefonu – ale nie opędzisz się od Jeanette Dykstry.

Ta myśl wywołała uśmiech, potem śmiech, a w końcu kaszel, aż zakręciło jej się w głowic. Winifred czuła swój wiek, grzech i chorobę; były jak tysiące ran, przez które wraz z krwią wyciekała jej siła – nawet złowroga siła nienawiści. Śmierć szła po nią w postaci kruka szybującego na wietrze. Starszka nie wiedziała, kiedy przyjdzie, ale była pewna, że już wkrótce.

Jeśli nie zabije jej zapalenie płuc, zrobi to syn Senatora.

Rozdział 37

*Taos
Piątek, rano*

Carly obudziło pierwsze światło poranka przesączające się przez zasłony sypialni Dana. Przez chwilę leżała zdezorientowana, czując ciepły ciężar przy swoim lewym boku i w poprzek talii. W końcu przypomniała sobie, co się stało poprzedniego wieczoru.

Wciąż nie mogła uwierzyć, że ktoś chciał jej śmierci.

A jednak chciał.

I wcale jej się to nie podobało.

- Nie śpisz, kotku? – zapytał cicho Dan.

- Nie – odparła.

- Jak się czujesz?

- Raczej dobrze.

Objął ją mocniej w talii, przyciągnął bliżej i mruknął z zadowoleniem, kiedy jej pupa wpasowała się w zgięcie jego ciała.

- Dłaczego raczej? – spytał.

- Bo się boję.

Znieruchomiał.

Mnie?

Spojrzała przez ramię i poruszyła biodrami, wyczuwając jego erekcję.

- Nie.

- To dobrze, bo... Wypuścił długi oddech. Pragnę cię, Carly.

- Więc to nie jest ogórek w twojej kieszeni? – mruknęła kwaśno.

Nie mam żadnych kieszeni. Ani żadnych ciuchów.

- Zabawne. Ja też nie.

- To był twój pomysł – powiedział.

- Naprawdę?

- Tak. Stwierdziłaś, że musisz się wykąpać. O trzeciej nad ranem. Następne pół godziny spędziłaś pod prysznicem. Zużyłaś całą ciepłą wodę i dalej nie wychodziłaś, aż zaczęłaś się trząść. – Wtulił twarz w jej kark. – A potem wystartowałaś do łóżka ubrana wyłącznie w mokry ręcznik.

Coś musiało się stać po drodze. To jest twoje łóżko, nie moje.

- Byłaś zmarznięta i szłaś boso po podłodze, na której są jeszcze kawałki szkła. Nie mogliśmy dopuścić, żebyś się zraniła, prawda?

Carly uśmiechnęła się. Nie chciała spać sama, ale nie chciała być niczyją zabawką, nawet Dana. On jednak nic naciskał. Owinał ją w suchy ręcznik, położył do łóżka, przytulił, żeby ją rozgrzać... i zasnęła. Podczas snu musiała zgubić ręcznik.

- Nie chciałem, żebyś się czuła głupio – powiedział Dan, smakując jej ciepłą szyję – więc ja też zdjąłem ubranie,

Mruknęła, lubując się dotykiem jego ciała, przyciśniętego do jej pleców. Podobała jej się delikatna szorstkość jego zarostu ocierającego się o jej skórę. Podobał jej się jego zapach.

Nie mogła się doczekać, by go posmakować.

Ta myśl ją przestraszyła. Nigdy nie uważała się za szczególnie zmysłową. Lubiła mężczyzn, podobały jej się fizyczne różnice między płciami i nigdy nie trafiła na mężczyznę, który nie potrafiłby jej dać rozkoszy. Ale Dan rozpalał w niej wyjątkowo żywą ciekawość. Chciała wiedzieć, jak by to było się z nim kochać, jak zachowywałyby się w jego ramionach, czy podniecenie rozlewające się po jej ciele wreszcie znalazłoby ujście.

- Teraz już pamiętam powiedziała leniwie. – Gorąca woda się skończyła i było mi zimno, a potem rozgrzał mnie ten elektryczny koc.

- Elektryczny koc? Czyżbyś mnie właśnie obraziła?

- To był naprawdę doskonały elektryczny koc.

Skubnął ją w ramię.

- Wtedy jeszcze miałam w głowie jedno wielkie wesołe miasteczko przypomniała mu. – Po prostu uznałam, że coś tak ciepłego musi być podłączone do gniazdka.

Usłyszała i poczuła śmiech Dana.

- To dlatego nie chciałaś mnie pocałować - powiedział. - Nie chciałaś się najeść szmat i kabli.
- Nic, po prostu smakowałam tak fatalnie, że wolałam się tym nie dzielić. Nawet te wściekłe miętówki, które mi kupiłeś, nie zdołały zabić tego smaku. Skrzywiła się. - Pamiętam jak przez mgłę, że wepchnęłam jedną pod język tuż przed zaśnięciem. Co wszystko wyjaśnia.
- Pogubiłam się. Co wyjaśnia co?

Carly oblizała wargi i przełknęła. Wszystko działało jak należy, łącznie ze śliniankami.

- Zwykle po przebudzeniu moje usta nie przypominają gumy Orbit. Naprawdę? - Uniósł jej twarz do góry i pocałował leniwie, testując smak. Raczej wrigleys. Moja ulubiona.
- Jesteś pewien?

Pocałował ją jeszcze raz, zachwycony dotykiem jej języka na swoim i jej nagich pośladków dopasowujących się do jego erekcji.

O tak, jestem pewien.

- Nie orbit? - Patrzyła na niego tymi swoimi dymnozłotymi oczami, które ożywił humor i coś jeszcze - coś gorącego.
- Może powinienem spróbować jeszcze raz.

Odwróciła się przodem do niego.

- Może powinienes.

Stracił na moment oddech, kiedy jej piersi zaczęły muskać jego skórę, kiedy poczuł jej twarde, spragnione sutki.

Jesteś pewna? - powtórzył jej pytanie.

- Całkowicie. Ale nie biorę pigułek, więc będziemy musieli trochę pokombinować.

Pokombinować, powiadasz. Jego uśmiech był jak jego pocałunek; leniwy i gorący. - Tego też spróbujemy, ale kupiłem prezerwatywy, kiedy cię zobaczyłem po raz pierwszy.

Zamrugała.

- Musiałam ci się wydać strasznie łatwa.
- Byłaś jak ogień, a ja byłem przemarznięty do szpiku kości. Pragnąłem cię tak bardzo, że nie mogłem oddychać. Wciąż pragnę.

Wyraz jego oczu i napięcie w jego głosie rozlało się po niej falą ciepła. Nikt nigdy nie pragnął jej tak jak Dan. Wyciągnęła do niego ręce, rozumiejąc nareszcie, że ona pragnie go tak samo. Nie było pytań, wahania, tylko pewność, w której spłonęły wszystkie wątpliwości.

- Pragnę cię tak bardzo, że nie wiem, co robić najpierw - szepnęła drżącym głosem.

Jego powieki opadły - zmysłowy odruch, tak samo niekontrolowany, jak przyspieszone bicie serca, które pompowało krew w jego pulsujące żyły.

- Chodź tu - wymruczał, przekręcając się na plecy i pociągając ją za sobą.
- W ten sposób nie będę cię poganiał.

Roześmiała się, szamocząc się z pościelą, by móc go dosiąść.

- Nie poganiaasz mnie. Doprowadzasz mnie do szaleństwa.

Jęknął, czując jej śliskość przesuwającą się po nim.

- Nie chcę się spieszyć, ale mi to utrudniasz.

- A prosiłam cię, żebyś zwolnił?

- Chcę, żeby ci było dobrze. - Otoczył dłońmi jej piersi i pocierał kciukami brodawki. - Chcę, żeby to był najlepszy seks w twoim życiu.

Ścisnął stwardniałe brodawki ze zmysłową precyzją.

Blizniacze włócznie rozkoszy przesyły ją od piersi aż do ud i sprawiły, że oddech zaczął jej się rwać, a ciało się otworzyło. Poczowała płynny żar, który skapał ją i przy okazji jego. Jego palce zaczęły muskać i rozdzielać gorące fałdki, wsuwać się w nią wywołując rozkosz coraz większą i większą, aż przestała myśleć, widzieć, oddychać - tylko pragnęła, pragnęła, pragnęła.

I nagle - nic.

- Nie - powiedziała. - Nie.

- Spokojnie, skarbie, tylko założę to cholerstwo.

Otworzyła oczy, oszołomione, wygłodniałe. Zobaczyła, jak Dan odrzuca folię i zakłada prezerwatywę niecierpliwym ruchem. Serce podeszło jej do gardła. Zapomniała, jakim jest wielkim facetem.

O wiele za wielkim.

- Teraz za późno na strach - powiedział, pieszcząc ją palcami i ustawiając się u wejścia. - Jesteś dość wilgotna, by mnie przyjąć. Zsuń się w dół. Zaufaj swojemu ciału. Zaufaj nam.

Nie mogła go nie posłuchać, bo jej ciało znów było w ogniu; fale rozkoszy rozchodziły się w górę, wstrząsając nią. Poczował jej obfitą, gorącą reakcję, poczuł, jak rozsuwa uda, by go przyjąć, poczuł gorące satynowe wnętrze napierające na niego i zacisnął zęby, by nie skończyć natychmiast. Chciał być cały w środku, tak głęboko, jak się da, zanim wystrzelili. Chciał poczuć, jak jej orgazm ścisną każdy jego centymetr. Chciał przeżyć to wszystko z nią wszystko to, co sobie wyobrażał...

Dziki dreszcz jej spełnienia zaparł mu dech w piersi i odebrał kontrolę. Przytrzymał ją głęboko, mocno, strzelając w nią raz za razem, aż nie zostało

nic oprócz oszołomionej satysfakcji, która obezwładniła jego ciało. Kiedy Carly osunęła się na niego, zrozumiał, że czuła to samo.

- Carly?
- Rany.
- Uff - sapnął z uśmiechem.
- Czemu sapiesz? Zmęczyłeś się?
- Nie, to z ulgi.

Śmiech wstrząsnął jej ciałem. Uniosła głowę, odgarnęła włosy z oczu i pocałowała go, niemal wstydliwie. Policzki jej poczerwieniały.

- Co znowu? - spytał, dotykając jej twarzy.
- Artykuły w „Cosmo” nie docierają do tego momentu.

Unióśł brwi.

- Naprawdę? Jest coś w seksie, co nie zostało jeszcze opisane w kobiecych pismach?

- Owszem.
- Co?

Pokręciła głową i spojrzała w dół; włosy znów opadły jej na twarz.

- No. - Unióśł łagodnie jej podbródek. - Umieram z ciekawości.

• Jak się mówi „dziękuję za najlepszy seks w życiu”? - wymamrotała, patrząc raczej na jego usta, nie w oczy.

Jego uśmiech rozpałił ją na nowo.

To proste - szepnął, z wargami przy jej wargach. - Dziękuję za najlepszy seks w życiu.

- Nie ty, ja.
- Oboje.

Uderzyła lekko czołem o jego pierś.

- Ktoś z nas mówi od rzeczy.
- Zrób tak jeszcze, kotku. To bardzo przyjemne,
- Właśnie widzę. Masz drugą prezerwatywę czy przyszła pora na kombinowanie?

- Genialny pomysł - odparł, przyciągając jej usta do swoich.

Zadzwoił telefon.

Dan zignorował go.

Telefon wciąż dzwonił.

Odszukał słuchawkę na nocnej szafce i odebrał.

- Czego tam - warknął.
- Chciałem się tylko upewnić, że dotarłeś cały i zdrowy do domu - powiedział Gus. - Dwoje uczestników nabożeństwa żałobnego wylądowało na intensywnej terapii. Widocznie coś było w jedzeniu. Winifred niewiele bra-

kowało, bo była osłabiona chorobą, ale już jest stabilna. Gubernator rzygał jak kot, ale doszedł do siebie i kontynuuje spotkania wyborcze.

Carly usłyszała głos Gusa. Odkleiła się od Dana i położyła u jego boku. Przechylił słuchawkę tak, by mogła słyszeć rozmowę.

- Jeszcze ktoś? - zapytał,
- Alma i Melissa też się pochorowały. Alma była nieźle zamroczona, ale Winifred podała jej coś, zanim sama zaczęła mieć mdłości.

- A pastor?
- Było mu trochę niedobrze, ale nie rzygał. Tak samo Pete. Lucia mówiła, że zwymiotowała raz i było po wszystkim. Poza rym nikt na ranchu nie chorował, nawet kobiety od Sandovalów, które przygotowywały jedzenie i drinki. Ani bracia Snead, którzy podkradali próbki.

Carly naciągnęła koc na siebie i Dana. Kiedy przytulił ją do swego boku, wtuliła głowę w jego szyję.

- Carly i ja też się struliśmy, ale już jest dobrze powiedział. - Czy badała napój, którym wznosiliśmy toast za Sylwię?

- Nic z niego nie zostało.

Nawet kropelki?

- Butelka zniknęła. Tak samo kubki. Jedna z pokojówek widziała, jak Winifred rozbija wszystko i wrzuca do ognia, twierdząc, że to część rytuału. Ale to nic jest do publicznej wiadomości - ostrzegł Gus.

Dan spojrział na Carly. Kiwnęła głową; nie miała zamiaru o tym rozpowiadać.

- Co, powiedział Montoya? - zapytał Dan.

Oficjalnie?

Pieprzę, co powiedział oficjalnie.

- Jasne ~ rzucił Gus. - Szeryf stwierdził, że stara *curandera* pomyliła składniki wywaru, dodała niechcący środek wymiotny i wszyscy się struli.

- Tak to traktuje? Przypadkowe zatrucie?
- O umyślnym truciu nikt nie wspomniał. W raporcie jest zatrucie pokarmowe. Ewentualnie grypa.

Coś ci powiem, ale nie do gazety.

- No dobra - odparł Gus nieszcześliwym tonem.
- Nie wiem, jak z innymi, ale Carly i ja dostaliśmy końską dawkę opiatu. Gus gwizdnał cicho.
- Nic wam nie jest?

- Ja mam wystarczającą masę ciała, żeby osłabić działanie dawki. Carly nie. Gdyby była sama, przysnęłaby i zamarzła. Ktoś spodziewał się, że będzie sama.

Carly wyczuła napięcie w głosie Dana, Przeszedł ją dreszcz na myśl o tym, jak niewiele brakowało, żeby obudziła się po drugiej stronie.

- Co? - zdumiał się Gus. Skąd możesz to wiedzieć? Zaraz, zapomnij, że to powiedziałem. Jesteś jak mama, zawsze wszystko wiesz. Jasna cholera, braciszku. Jasna cholera. Dlaczego ktoś chciał skrzywdzić panią May?

Ktoś nie chce, żeby historia rodziny Senatora została zbadana i opublikowana. Carly przytrafiały się różne rzeczy, odkąd tu przyjechała. Groźby i wandalizm.

- Sugerujesz, że stoi za tym gubernator Quintrell? zapytał Gus ostrożnie. Jest pierwszy na mojej liście - odparł Dan. - Ale ktoś musi z nim współpracować.

- Dlaczego?

Quintrell nie miał okazji dodać niczego do napoju Winifred.

- Jesteś pewny? Doktor mówił, że Winifred niewiele brakowało. A jeśli ona umrze, historia nie zostanie napisana.

Gubernator nie zbliżył się do tego świństwa oprócz momentu, kiedy je pił. Poza tym Carly jasno powiedziała, że dokończy zlecenie niezależnie od wszystkiego.

Carly energicznie pokiwała głową.

- Nie skończy, jeśli będzie martwa ~. stwierdził Gus.

Dan odchrząknął karcąco.

- Co mogę zrobić? - zapytał Gus.

- Odszukaj nazwiska wszystkich, którzy urodzili się w tym hrabstwie trzy lata przed i trzy lata po wylewie Sylvii. - Przypomniał sobie pracę ze zdjęciami i dodał: - Martwe noworodki i poronienia też.

Gus milczał.

Dan spojrzał na Carly i zobaczył w jej oczach to samo pytanie, które musiało gryźć jego brata.

- Zechcesz mi wyjaśnić, po co? zapytał w końcu Gus.

- Nie wiem.

- Nie wiesz? Więc skąd...

- Nazwijmy to przecuciem - przerwał mu Dan.

Przecucie. Do diabła, bracie. Ty i ten srebrny kosmyk doprowadzicie mnie do szału. Na pewno dobrze się czujecie?

Dan musnął usta Carly.

- Doskonale.

- To powiedz to mamie. Wie, gdzie byłeś. Wszyscy wiedzą, że z jedzeniem było coś nie tak. Na pewno się martwi, a jest zbyt uparta, żeby do ciebie zadzwonić i zapytać. Dam ci znać, jak będę miał te nazwiska.

- Dzięki. Gus?

- No?

- Nie mów nikomu, o co cię poprosiłem. Nikomu.

- Chcesz powiedzieć, że mam nie ufać nikomu, włącznie z rodziną? Dan milczał.

- Okej - zgodził się Gus. - Buzia na kłódkę. Rozłączył się.

- Po co ci te nazwiska? - zapytała Carly, kiedy Dan odłożył słuchawkę.

- Coś doprowadziło Syłwię do ostateczności. Biorąc pod uwagę wyczyny Senatora, mogła to być któraś z jego kobiet. Pytanie tylko dlaczego? I kto? Kiedy będziemy to wiedzieć, może dowiemy się też, kto chce cię przyhamować. Najchętniej raz na zawsze.

Carly skrzywiła się.

- Sądzisz, że powinnam wyjechać, prawda?

- Tak - odparł.

- Nic się nie stało, nikt nie zginął, więc dajmy sukinsynowi spokój? - spytała, podnosząc głos.

- Tego nie powiedziałem.

- Przecież jest jasne jak słońce, że szeryf nic nie robi w tej sprawie. Czy zamierzasz mu o tym powiedzieć?

- Strata czasu.

- Chcesz zrobić wszystko sam. Usunąć kobietę z drogi i ruszyć z gołymi rękami na jakiegoś gnoja o morderczych zapędach.

Milczał.

- Mam rację? - nic ustępowała.

- Nie ruszę z gołymi rękami.

Przypomniała sobie, jak stał przy oknie z pistoletem w dłoni.

- Nie chcę, żebyś oberwał przez coś, co nie ma z tobą nic wspólnego - powiedziała.

- Wszystkie elementy są ze sobą związane, Carolino May. A zwłaszcza ja i ty.

- Więc przestań próbować się mnie pozbyć.

- Próbuję cię chronić.

- A ja próbuję chronić ciebie.

Otworzył usta, zamknął i pokręcił głową.

- Nie wierzę, że prowadzimy tę rozmowę.

- Więc jej nie prowadź.

Roześmiał się bezsilnie.

- Co znowu? - zapytała.

- Wyobrażam sobie reakcję moich... przyjaciół, gdyby to słyszeli. Czy pomoże ci informacja, że zostałem przeszkolony w najróżniejszych typach samoobrony, płynnie mówię pięcioma językami, a dziesięć z ostatnich dwunastu lat spędziłem w upadających państwach?

- Szczerze gratuluje, choć wygląda na to, że masz niebezpieczną pracę.
- Czasami. Przeważnie nie.
- Może to ja powinnam ratować ciebie. - Uśmiechnęła się.
- Nie rozumiesz, o co chodzi.
- Chodzi o to, że zostaję.

Spojrzał w jej dymnżółte oczy i zrozumiał, że nie wygra tej sprzeczki.

- Jeśli zostajesz, to musimy ustalić kilka podstawowych zasad - powiedział.

Nie ma żadnego jeśli. Zostaję i tyle. Czekaj - powiedziała, czując, że Dan znów chce się sprzeciwić. - Pozwól mi dokończyć. Nie jestem stuknięta ani naiwna. Wiem, jak niewiele brakowało mi wczoraj do śmierci. Ale jeśli nawet ucieknę, ten, kto za tym stoi, nie wycofa się. W tej chwili Winifred jest w niebezpieczeństwie. Każdy, kto zadaje nieodpowiednie pytania, jest w niebezpieczeństwie. Nie mogę po prostu wzruszyć ramionami, powiedzieć „to nie mój problem” i pójść swoją drogą. Jest tak, jak powiedziałeś. Wszystko jest ze sobą powiązane. A ja nie będę mogła żyć ze świadomością, że jestem najsłabszym ogniwiem, przez które rozpadło się czyjeś życie.

Dan nie mógł zaprzeczyć. Czuł to samo. Był to jeden z powodów, dla których trzymał się tej swojej czasami niebezpiecznej pracy.

- Okej - powiedział.

Carly zamruwała.

- Tylko tyle? Żadnego wyklócania się? Po prostu okej?

Pamiętaj o tym, kiedy znów zaczniesz się sprzeciwiać radom rozsądnego człowieka.

- Ty nie radzisz, ty rozkazujesz.

Spojrzał na nią tylko.

Westchnęła ciężko.

- Okej.

Dan uśmiechnął się, pocałował ją i wyskoczył z łóżka, bojąc się, że mógłby zmienić zdanie.

Albo że ona je zmieni.

Rozdział 38

*Taos
Piątek, rano*

Dan zaparkował przed domem rodziców, obok samochodu, który ostatnio widzieli na podwórku Lucii Sandoval.

- To nic potrwa długo - powiedział do Carly. - Poczekaj. Zostawię silnik na chodzie, żebyś nie zmarła.

Spojrzała na niego z ukosa.

- Próbujesz się mnie pozbyć?

- Daję ci szansę uniknięcia paskudnej rodzinnej kłótni.

- Na temat?

- Opiatów.

Sięgnęła do klamki i otworzyła drzwiczki.

Dan zaklął pod nosem, wysiadł i otworzył jej furtkę. Kiedy go mijała, przytrzymał ją za ramię.

- Cokolwiek usłyszysz, nie wdawaj się w tę przekłętą historię bez pozwolenia mojej matki.

- Nie sądzę, żeby mi go udzieliła.

- Ma prawo do prywatności. Tak jak Lucia, której jedynym błędem było zakochanie się w niewłaściwym człowieku.

Carly spojrzała w oczy Dana, zielone, pełne cieni i determinacji.

- Uszanuję ich prywatność.

- Dziękuję. - Odwrócił się niemal gniewnie, puszczając ją. - Nie podoba mi się, że to robisz.

- Że prosisz mnie o cenzurowanie rodzinnej historii?

- To też.

Zapukał do drzwi i zawołał. Odpowiedział mu głos ojca.

- Cudownie mruknął Dan. - To doda pieprzyka naszej kotłowanince.

- Kotłowanince? Jest takie słowo?

- W domu mojej matki owszem.

Carly przygryzła wargę, żeby się nie uśmiechnąć. Myśl, że mężczyzna taki jak Dan skacze na paluszkach wokół swojej matki, bardzo jej się podobała.

- Kapuję.

Drzwi stały otworem. John uśmiechnął się szeroko na widok Carly i Dana.

- Oto odpowiedź na modlitwy. Twoja matka i Lucia siedzą w szklami i gadają o babskich sprawach.

- Carly jest twoją odpowiedzią - rzekł Dan, zapraszając ją gestem do środka. - Ja muszę porozmawiać z mamą.

Uśmiech Johna zniknął.

- Mam nadzieję, że nie o pradziadku.

- Nie.

W kuchni jest świeża kawa - powiedział John do Carly. Ty też chcesz, Dan?

- Nie, dzięki. To będzie krótka, miła rozmówka.

Przeszedł przez kuchnię do przyległej szklarni. Temperatura była tu mniej więcej taka jak w kuchni, tylko wilgotność większa.

- Cześć, mamo - powiedział, ściskając ją. - Dzień dobry, Lucia. Jak tam dzieciaki?

- Już zdrowe - odparła. Leki twojej matki bardzo pomogły.

- Przeważnie pomagają. Uśmiech Dana zniknął, kiedy spojrzał na Dianę. - Ale mogą też szkodzić.

Diana zachłysnęła się z oburzenia.

Kto zaopatruje ciebie i Winifred w opiaty do leków? - spytał. - Armando?

Lucia jęknęła cicho.

- Co ty wiesz o opiatych? - mruknęła Diana.

- O wiele więcej, niż chciałabyś usłyszeć. - Spojrzał na Lucię. - Prawda? Zaczerwieniła się i odwróciła wzrok.

- Armando ci powiedział, tak? - naciskał Dan.

Skinęła słabo głową.

- O czym ty mówisz? - zapytała Diana.

- Moja praca polega między innymi na tropieniu brudnych pieniędzy - odparł Dan spokojnie. - Nielegalnych pieniędzy, Takich, jakich góry zarabia Armando Sandoval i jego rodzinka na przemyśle meksykańskiej nery albo kolumbijskiej koki, zależnie od tego, która gałąź rodziny przygotowuje łądunek.

Diana wzruszyła ramionami. Wszyscy wiedzieli, co robi Armando.

- I co z tego?

- To, że kiedy za bardzo się do nich zbliżyłem, jego kolumbijscy kuzyni wydali na mnie zlecenie. - Odruchowo potarł lewą nogę. - Historyjka o wypadku w górach była tylko historyjką.

Tym razem nie tylko Diana westchnęła zszokowana. Carly stała w drzwiach i słuchała. Oczy miała wielkie, przerażone.

Lucia przeżegnała się i wbiła wzrok w podłogę.

- *Lo siento.*

Dan wiedział, że jest jej przykro, wiedział też, że nadal i tak kocha męża. Odgrodziła się murem od rzeczywistości, aż w końcu widziała w Armandzie tylko swojego mężczyznę i ojca swoich dzieci.

- To nie ma nic wspólnego z tobą - powiedział. Ale ma wiele wspólnego z moim pytaniem,

- A co? - zapytał zimno John. - Przeszedłeś aresztować własną matkę za narkotyki?

- Przecież wiesz, że nie.

- Więc co cię to obchodzi? Używa tak małych ilości, że żaden wykrywacz nawet by nie pisnął.

- Zakładałem, że to Carly była celem - powiedział Dan. Ale to mogłem być ja. Armando mógł uznać, że to będzie pewny, czysty strzał.

Lucia zatkała uszy dłońmi i zaczęła kręcić głową.

- Nie! Nic o tym nie mówił. Śmiał się tylko, gdy powiedziałam, że zraniłeś się w górach. Słyszałam już wcześniej ten śmiech. Wiem, że tak się śmieje, kiedy chodzi o... interesy.

Dan spojrzał na matkę. Widząc ciemność w jej oczach, pożałował, że w ogóle otwierał usta.

- Ty i Winifred macie to samo źródło zaopatrzenia.

- Tak - potwierdziła Diana. - Alnę.

- Ona miałaby możliwość - powiedziała Carly od drzwi. - Ale też chorowała, prawda?

- *Si.* Tak - przyznała Lucia.

- Nigdy nie pytałam, skąd Alma bierze leki - powiedziała Diana. - Pojeżdżam, że to rzeczywiście może być Armando.

- Leki. - Dan wykrzywił usta. - Świetna nazwa.

- Używam opiatów jako leku, tak jak używano ich, zanim prawa *Anglos* określiły, co jest dozwolone, a co nie, ale nie zlikwidowały biedy i chorób. *Guranderos* istnieją, bo są potrzebni. Używamy tego, czego używaliśmy zawsze, darów ziemi: maku i peyotlu, wilca i grzybów. - Ciemne oczy Diany błyszczały gniewnie. - Żadne jankeskie prawo tego nie zmieni.

Była to odwieczna kłótnia, która nigdy do niczego nie prowadziła, zwłaszcza że Dan w głębi duszy zgadzał się z matką.

- Chodzi o to, że ktoś dodał dużą dawkę opiatu do napoju, który piliśmy w czasie nabożeństwa - powiedział,

Diana położyła dłoń na sercu.

- Ale ja słyszałam, że to było jedzenie.

Nie, to była próba zamordowania Carly albo mnie. A że mnie nikt ostatnio nie groził, muszę zakładać, że to Carly była celem. Przynajmniej dopóki

Armando mi nie powie, że było inaczej. - Spojrzał na Lucię. - Zadzwoń do niego. Powiedz mu, żeby spotkał się ze mną w Kogucim Dziobie w Las Trampas za pół godziny.

Rozdział 39

Taos

Piątek, przedpołudnie

Dlaczego nie mogę jechać z tobą? - zapytała Carly. - I dlaczego Gus ma biegać na dół i zaglądać do mnie co parę minut?

- Co pół godziny.
- Nieważne. Wiesz, o co mi chodzi. I nie mów mi, że o pilnowanie gości w archiwum.

Dan westchnął. Zimne powietrze przenikające przez szpary w drzwiach spływało schodami w dół. Noga bolała go jak diabli.

Ale nie zwracał uwagi na nic oprócz Carly.

- Człowiek, z którym się spotkam, to międzynarodowy *narcotraficante*. Nie chcę nawet, żebyś przebywała w tym samym kraju co on, a co dopiero w tym samym pomieszczeniu. Ma na koncie pięć morderstw, o których wiemy, po obu stronach granicy, i nie liczę tych biednych nielegalnych imigrantów, którzy zginęli na pustyni, taszcząc czterdziestokilowe plecaki meksykańskiej hery przez granicę. Ci ludzie chcieli tylko szansy na lepsze życie. Znaleźli śmierć.

- Czytam gazety i oglądam telewizję - odparła. - Wiem, co się dzieje.
- Ale to nie dzieje się tobie. I wolę, żeby tak zostało. Wrócę przed lunchem. Jeśli cię tu nie będzie, to lepiej, żebym cię znalazł w gabinecie Gusa albo u moich rodziców.
- To rada czy rozkaz? - wycedziła przez zęby.
- Co chcesz, byle podziałało.

Chciała się sprzeciwić, ale zamknął jej usta pocałunkiem i całował, aż zmiękła i odwzajemniła pieszczotę. Powoli, z ociąganiem, uniósł głowę.

- Zostań tutaj, Carolino May.
- Grasz nie fair.
- Ja w ogóle nie gram.
- Ale... - Przymknęła na chwilę oczy. - No dobrze, wygrałeś.
- Nie, oboje wygrałiśmy.

Patrzyła, jak wspina się po schodach i wychodzi pod pochmurne niebo. Blizny na jego nodze, które widziała i których dotykała dziś rano, były ledwie zagojone; wiedziała, że muszą boleć. A jednak nic chciał zwolnić tempa.

Nawet w łóżku.

Nie myśl o tym, powiedziała sobie pospiesznie. Ten facet ją rozpraszał, a czekało ją mnóstwo pracy, jeśli za parę tygodni chce mieć szkic historii Winifred. Nawet gdyby Dan dotrzymał słowa i wykombinował program, który przynosiłby mikrofilmy na skaner i do jej komputera, i tak musiała pracować po szesnaście godzin dziennie, żeby dotrzymać nowego terminu.

Zebrała się w sobie i podeszła do szafek z mikrofilmami. Gdzieś w tych metalowych szuflach znajdowała się odpowiedź na stare pytania i na dwa zupełnie nowe.

Kto próbował ją zabić?

I dlaczego?

Rozdział 40

Las Trampas

Piątek, przedpołudnie

Śnieg leżał cienką warstwą na wąskiej drodze. Zabudowę stanowiła mieszanina nowszych domów z pustaków i starszych, z nierównej, popękanej cegły. I stare, i nowe budynki miały blaszane dachy. Przyczepy mieszkalne w różnym wieku i w różnym stanie stały przyczepnięte pod niepewną osłoną zapadających się drewnianych stodół i gospodarczych przybudówek. Ogrodzenia składały się z wierzbowych tyczek, ram od sprężynowych materaców i starych opon. Kury i kundły o obwisłych uszach zgodnie wydrapywały sobie pożywienie z zimnego błota.

Od czasu do czasu wykwitwały w tej nędzy oznaki dobrobytu w postaci domów pokrytych świeższą farbą albo jaskrawszymi malowidłami ściennymi. Dan zaparkował w pobliżu jednego z nich. Stare, suszone na słońcu cegły długiego piętrowego budynku były schowane pod freskiem, który łączył styl meksykańskich muralistów z zamasytym graffiti latynoskich gangów. Rezultatem było dość złowrogie malowidło, krzyczące, że obcy nie są tu mile widziani.

Dan zignorował je. Koguci Dziób, kombinacja baru piwnego i taquerii, był otwarty, ale kiedy tylko Dan się przedstawił i powiedział, że przyjechał porozmawiać z Armandem Sandoval, wszyscy z wyjątkiem barmana i kucharza w jednej osobie zebrali manatki i poszli sobie gdzie indziej. Dan nie był zaskoczony. Zaniósł piwo do opustoszałego stolika i czekał. Pomieszczenie pachniało meksykańskimi papierosami, świeżymi tortillami i pieczoną papryką. Stoliki byli jak mężczyźni, którzy przy nich siadywali: ciemne, mocne i poharatane.

Dan opróżnił kieszenie na stół. Jako że wszystko oprócz garści pieniędzy i kluczyków zostawił w furgonetce, nie zajęło mu to wiele czasu. Zdjął też buty, postawił je na stole i pociągnął łyk piwa. Gęste i aromatyczne, miało posmak ziemi i Ameryki Południowej.

Gdzieś na tyłach budynku trzasnęły drzwi. Po minucie do sali weszło pewnym krokiem dwóch mężczyzn, młodszych od Dana. Pierwszy był smukły i ubrany na czarno, z wyjątkiem grubej złotej sprzączki paska. Na jego szyi wisiał ciężki, wysadzany diamentami krzyż. Pistolet, który miał w prawej ręce, był z błyszczącej stali, z kolbą wykończoną srebrem i złotem. W lewej trzymał teczkę z takiej samej miękkiej skóry jak jego marynarka i spodnie. Drugi mężczyzna nosił džinsy i był uzbrojony w automat bez ozdób - czysta stal. Krótką lufę wycelował w serce Dana.

Barman zniknął w kuchni. Nie wrócił.

Dan wstał bez słowa, wyciągnął ręce na bok i stanął w rozkroku i czekał, aż go obszukają.

Pierwszy mężczyzna spojrział z aprobatą na rzeczy na stoliku.

- *Señor Sandoval*, on powiedział, że pan zrozumie.

Drugi mężczyzna stanął z boku, tak by nie przeszkadzać, ale móc trzymać Dana na muszce.

Dan patrzył, jak pierwszy z goryli wyciągnął z teczki lekki, niezwykle czuły wykrywacz metalu. Najnowszy model, cholernie drogi.

Nie są zacofani, jeśli chodzi o technikę. Ale to nic nowego.

Sandoval mógł używać ludzkich wołów roboczych do przenoszenia heroiny i od czasu do czasu wałnąć kolbą kogoś, kogo nie lubił, ale jeśli chodziło o prowadzenie interesów, korzystał z najlepszych technologii, jakie można było kupić za pieniądze.

Mężczyzna schował wykrywacz i wyciągnął kolejny gadżet. Zbadał nim dokładnie włosy i ubranie Dana, wetknął mu go nawet za majtki.

Szkoda, że nie miałem tego modelu w Kolumbii, pomyślał gorzko Dan. Założę się, że znalazłbym pluskwę, zanim mnie namierzili z jej pomocą. A wtedy te dzieci by nie zginęły.

Ale nie chciał o tym myśleć. Musiał zachować spokój i samokontrolę.

Ostatni test był równie staromodny jak walenie kolbą po łbie - dokładne oklepanie całego ciała, z lekko seksualnym podtekstem. S/czupłemu mężczyźnie sprawiło to o wiele większą uciechę niż Danowi, który wiedział, że taka rewizja miała zastraszyć i upokorzyć delikwenta. Nie udało się. PI/L-chodził znacznie gorsze rewizje.

- *Bueno* - powiedział mężczyzna. Sięgnął po buty Dana i wyszedł z sali.

Dan patrzył, jak jego buty znikają za drzwiami.

- Ostrożnie z nimi. Dopiero je rozchodziłem.

- Siadaj - warknął drugi mężczyzna, którego automat wciąż gapił się lufą w serce Dana.

Dan zgarnął ze stołu swoje kluczyki i drobne i usiadł.

Z jego twarzy i postawy nikt nie mógł wyczytać zniecierpliwienia. Oparł się wygodnie, założył ręce na piersi i przekonująco udał drzemkę.

Jeszcze jeden element gry.

Armando miał najwyraźniej lepsze rzeczy do roboty, niż patrzeć, jak jego gość śpi. Po kwadransie położył kres drzemce, wchodząc do sali. Pistolet w kaburze pod pachą był wystarczająco ostentacyjny. Ten w jego bucie trochę mniej.

Dan zauważył oba. Nie zareagował. Nie przyszedł tu walczyć i nie sądził, by Armando miał na to ochotę. *Narcotraficante* po prostu zgrywał macho, żeby nie stracić szacunku swoich ludzi.

Nie podobało mu się, że Dan zażądał spotkania.

Dan o tym wiedział, tak jak wiedział, że obmacywanie w wykonaniu *un pato* było zemstą Armanda.

- Jestem zajęty - powiedział Armando. - Czego chcesz?

Jego obcesowość zaskoczyła Dana. Spodziewał się długiej gry pozorów, kluczenia. Widocznie Armando spodziewał się transportu albo właśnie jakiś wysłał.

Nie mój problem, uznał Dan. Nie tym razem. Tym razem moim jedynym problemem jest utrzymanie przy życiu Caroliny May.

- Jestem na zwolnieniu - powiedział. - Inaczej mówiąc, do Nowego Meksyku przyjechałem z powodów osobistych, nie zawodowych. *Tu comprendes?*

Grube czarne brwi Armanda uniosły się, kiedy usłyszał ten poufały zwrot zamiast bardziej oficjalnej hiszpańszczyzny.

- *Si*. - Jego ton mówił, że nic kupuje tego.

- To ty kazałeś Almie dodać opiaty do pośmiertnego toastu? - zapytał Dan.

Armando nawet nie próbował ukryć zaskoczenia. Spodziewał się różnych pytań, ale to mu najwyraźniej nie przyszło do głowy. Spojrzał na Dana i pokręcił głową.

- Nie.

Dan mu uwierzył.

- A wiesz, kto to zrobił?

Armando wzruszył ramionami. Nie wiedział i nie obchodziło go to.

- *Senorita* Winifred jest stara. Starzy ludzie robią błędy... pomyłki. Nawet *las brujas*.

Dan przyjrzał się rozmówcy. Żadnej nerwowości, żadnego szurania nogami czy oblizywania warg, żadnych nieświadomych ruchów rąk, odwracania wzroku. Albo Armando jest znakomitym łgarzem, albo mówił to, co uważał za prawdę.

- *Bueno* powiedział Dan. - Czy jesteś w jakikolwiek sposób, zawodo-wo albo osobiście zainteresowany panią Caroliną May?

Armando zmarszczył brwi.

Nie podoba mi się, że gada z Lucią. - Znów wzruszył ramionami. - Ale to mała rzecz, jak bzyczenie muchy.

Kącik ust Dana podjechał do góry.

- Czy twoi kolumbijscy kuzyni wciąż próbują mnie zabić?

- W Kolumbii może tak, ale nie tutaj. Tutaj ja jestem *el jefe*. A ja mówię, że zabijanie *Anglos* z dobrymi układami jest złe dla interesu.

Zgadza się. Wpadłbyś po same uszy *wjalapenos*.

- *Si*. Nowy Meksyk to nie Kolumbia.

Jeszcze, pomyślał Dan.

Robił wszystko, co w jego mocy, by tak pozostało.

Rozdział 41

Tdos

Piątek, południe

Carly przeciągnęła się i pochyliła z powrotem nad czytnikiem mikrofilmów. Pracowała nad artykułami o śmierci Isobel Castillo Quintrell. Isobel zmarła w 1880 roku w wieku zaledwie trzydziestu lat. Prawdopodobnie wycieńczyło ją małżeństwo, które zawarła jako piętnastolatka. W ciągu kolejnych piętnastu lat urodziła trójkę żywych dzieci; do tego dochodziło dzie- sięć poronień i martwych noworodków.

- Przecież znano już wtedy metody kontroli urodzeń - wymruczała Carly do dyktafonu. - Musiało być oczywiste, ile ją kosztują te wszystkie ciąży. Dlaczego... Nie, odwołuję. Była głęboko wierzącą katolicką żoną.

Czytała szybko, wychytując fakty, które mogłaby wykorzystać do opisa- nia pogrzebu w swojej książce.

- Wcześniej zmarła jej jedyna siostra, Juana Castillo y Castillo, wydając na świat pierwsze dziecko w 1872 roku. Komentarz: siostry Castillo miały trudności z porodami i ciążami; może był to skutek zbyt wielu małżeństw między kuzynami. A może wyszły za mąż i zaczęły zachodzić w ciążę za wcześnie. Ciekawe, czy są jakieś badania na temat związku między małżeń- stwami w bardzo młodym wieku a przedwczesną śmiercią żon.

Przebiegła wzrokiem tekst w poszukiwaniu osób uczestniczących w po- grzebie. Nie znalazła żadnych nieznanymi nazwisk, przeszła więc do następ- nego punktu, od czasu do czasu mówiąc do dyktafonu. Zamierzała umieścić w książce reprodukcje gazetowych artykułów i zdjęć; już zaczęła układać listę dla Dana, żeby wiedział, co ma dla niej skopiować. Teraz chciała jesz- cze ustalić, jak blisko były ze sobą dzieci sióstr Castillo.

Okazało się, że w najważniejszych uroczystościach rodzinnych - pogrze- bach, ślubach, chrzcinach, *Quinceaneros* - brali udział wszyscy kuzyni pierw- szego stopnia. Następne pokolenie nie było już tak zżyte. Zbierali się z oka- zji niektórych pogrzebów, ale poza tym raczej rzadko. Quintrellowie stali się fundamentem tworzącego się jankeskiego systemu politycznego. Rodziny Castillo, Simmons i Sandoval trwały jako stały element społeczności *Hispa- nos*, tworząc niemal równoległy rząd. Zamiast podatków były daniny. Zamiast bydła - przemyt. Zamiast angielskiego hiszpański i indiański na- rzecza.

Ale płynęła w nich ta sama krew; obie kultury dzieliły te same geny, na- dzieje, rozczarowania i radości.

Carly zapomniała o liście i po prostu cieszyła się mozaiką rodziny i hi- storii Nowego Meksyku, która nabierała kształtów i barw w jej umyśle. Właśnie to najbardziej kochała w swojej pracy - moment, kiedy fakty prze- stawały chaotycznie wirować i układały się we wzór pokoleń, na tle po- nadczasowej ziemi i nieustannie zmieniającej się kultury. To chciała dać przyszłym pokoleniom Quintrellów i Castillo - świadomość, że każdy czło- wiek jest ogniwem łańcucha łączącego przeszłość z teraźniejszością i przy- szłością.

Trzaśnięcie drzwi piwnicy wyrwało ją z zamyślenia.

- Szybko wróciłeś - powiedziała, nie odrywając oczu od czytnika. A mo- że to Gus przyszedł mnie niańczyć?

- Proszą zgadywać dalej.
Obróciła się gwałtownie i zobaczyła szeryfa Montoyę.
Nie wyglądała na uszczęśliwionego swoją obecnością tutaj.
Carly czuła to samo.

- Dzień dobry - powiedziała chłodno. - Co pana sprowadza?
- Słyszałem, że miała pani wczoraj jakieś kłopoty na ranczu Quintrellów.
To się nazywa jasne postawienie sprawy.
- Kłopoty? - Wzruszyła ramionami. - Po prostu coś mi zaległo w żołąd-
ku i wymiotowałam.
- A co z pani syjamskim bliźniakiem Duranem?
- On też rzygał.
Szeryf zdjął kapelusz i trzasnął nim o udo. Śnieg posypał się na podłogę.
Dlaczego mi pani o tym nie powiedziała? - zapytał szorstko.
- Od kiedy to obywatele mają donosić gliniarzom o każdym hacfiec?
- Nie wierzę, żeby była pani taka głupia, pani May.
- Zdziwiłby się pan - powiedział Dan ze schodów. - Taos ogarnęła ostat-
nio istna epidemia głupoty.
Montoya zeszytniał, po czym odwrócił się do niego.
- Musiałeś złapać podwójną dawkę. Coś ty, do diabła, robił u Armanda
Sandovala?
Dan gwizdnął.
Ma pan niezły głuchy telefon, szeryfie. A może Armando doniósł panu
o tym osobiście?
Szeryf nie odpowiedział.
A Dan nic spodziewał się odpowiedzi.
- No więc? - rzucił Montoya.
Po raz pierwszy od lat Dan żałował, że nie ma już przy sobie papierów
federalnych. Złota odznaka FBI była czymś, co szeryf był w stanie zrozu-
mieć. Ale ostatnio Dan nosił przy sobie tylko wizytówkę z napisem ST. KJL-
DA CONSULTING. Niżej widniał bezpłatny numer telefonu.
Ta wizytówka raczej nie zrobiłaby wrażenia na szeryfie.
- Nikt mi nie powiedział, że pracujesz na moim terenie - warknął Mon-
toya. - Wy, federalni potraficie być cholernie bezczelni.
Federalni? Brwi Carly uniosły się do góry, ale nie odezwała się słowem.
Nikt panu nie powiedział, bo nie pracuję już dla FBI - wyjaśnił Dan
- Więc dlaczego gadałeś z Sandovalem?
- A co to pana obchodzi?
- Słuchaj no...

- Nie - uciał Dan. - To pan niech posłucha. Dopóki Armando Sandoval
nie zostanie uznany przez sąd za *narcotrajicante* i mordercę, jest szanowa-
nym obywatelem. I to, co mamy sobie do powiedzenia, to nie pański interes.
Szeryf był na przegranej pozycji i wiedział o tym.
- A nie przyszło ci do głowy, że może byłbym w stanie pomóc? - spytał.
- Nie po naszych pierwszych zgłoszeniach, które pan schował do szufla-
dy - powiedziała Carly z za jego pleców.
Ciemny rumieniec oblał twarz szeryfa.
- Mam dość problemów z turystami - wymamrotał, nie odrywając oczu
od Dana. - Nie potrzeba mi jęków miejscowego, który wtyka nos w niewła-
ściwe miejsca i obrywa za to.
- Carly nie jest miejscowa. I nic zasłużyła na to, co ją spotkało.
Montoya spojrział na nią przez ramię.
- Ktoś chce, żeby pani wyjechała.
Zapewne wycedziła. - Ale to wolny kraj. Nic mam ochoty wyjeżdżać.
Szeryf zmrużył oczy.
Pani May, jeśli dopisze mi szczęście, mam jednego funkcjonariusza na
dwieście kilometrów kwadratowych. Oto jak wolny jest ten kraj.
- Czy to groźba? - zapytała.
- Nie, fakt, który wyjaśnia, dlaczego nic mam cierpliwości dla tych, co sami
przysparzają sobie kłopotów. A wy oboje macie kłopoty wypisane na czole.
- Armando Sandoval to nic kłopot?
Armando Sandoval to diabeł, którego szeryf zna - powiedział Dan. -
Gdyby nie on, *narcotraficantes* zabijaliby się nawzajem, dopóki następny
jefe chingon nie wzięły w garść tego bagna i nie przywrócił spokoju. Dopó-
ki Armando jest na urzędzie, szeryf ma pewność, że żadni wyborcy w hrab-
stwie Taos nie dostaną się w krzyżowy ogień narkotykowej wojny. Wyborcy
są więc zadowoleni, a szeryf ma duże szanse zachować stołek. Wszyscy są
na wygranej pozycji i tylko czasem jakiś przypadkowy przybłąda zostaje
zmielony w trybach miejscowej polityki.
Carly skrzywiła się, pewna, że właśnie ona jest przypadkowym przybłądą,
który wpadł do maszynki do mięsa.
- Jesteś o wiele bystrzejszy niż kiedyś - powiedział spokojnie szeryf.
A teraz zabierz tę miłą panią i jedźcie sobie na długie, miłe wakacje na Ba-
hamach.
- Chwila... - zaczęła Carly
- Mam za mało ludzi, żeby panią chronić, jeśli pani tu zostanie - prze-
rwał jej Montoya. - Zanim dotrę do źródła tych szcurów, pociętych opon

i zepsutego jedzenia, może panią spotkać przykra niespodzianka. Na przykład śmierć.

Rozdział 42

Taos

Piątek, wczesne popołudnie

Carly przytrzymała płytą ze sklejki, a Dan wbił gwoździe. Efekt był paskudny, ale przynajmniej po małym domku nie hulał wiatr. A w tej chwili wiał na dworze tak mocno, że wyciskał jej łzy z oczu.

- Ciągle uważam... zaczął Dan.

Nie przerwała mu, - Nie, dopóki nie będziesz miał czegoś nowego do powiedzenia.

- Kurwa.

- To nic nowego.

Rzucił coś po portugalsku.

To samo słowo, tylko język inny skwitowała Carly.

Dan wbił w milczeniu resztę gwoździ, pozwalając, by huk stali o stal wyraził jego frustrację. Im dłużej myślał o sytuacji Carly, tym mniej mu się podobała. Nie potrzebował szóstego zmysłu, by wiedzieć, że sprawa zaczyna się wymykać spod kontroli.

Jak takie słodkie i na pozór ugodowe stworzenie może być tak cholernie uparte?

Carly skrzywiła się, kiedy ostatni gwoździe wbił się po łebek, aż młotek zrobił dołek w sklejce.

Ulżyło ci? - mruknęła.

Posłał jej jadownicę spojrzenie, a potem uśmiechnął się.

Tak - odparł.

Carly odetchnęła z ulgą i odwzajemniła uśmiech.

- Dzięki.

- Za co?

- Że nie tłukłeś mnie młotkiem, aż się poddam.

- A podziałałoby?

Jej uśmiech zniknął.

- Boję się, Dan.

Wetknął młotek za pasek dżinsów i przyciągnął ją do siebie.

- To pierwsze rozsądne słowa, jakie powiedziałaś od wiciu godzin. - Nim zdążyła zaprotestować, pocałował ją i całował, aż zapomniała o wszystkim, nawet o strachu. Wreszcie oderwał usta od jej ust i oparł czoło o jej czoło. - Przejdziemy przez to. Może od czasu do czasu będziemy na siebie wrzeszczeć, ale za bardzo szanuję twoją odwagę, by chcesz wybijać ją z ciebie młotkiem. W porządku?

- W porządku. Ale w tej chwili nie czują się odważna. Wciąż myślę, co by się stało, gdybym była sama na tej drodze, gdyby nie było nikogo, kto by mnie wyciągnął z samochodu i kazał mi chodzić, i...

- Ja też ciągle o tym myślę. Nie chcę cię stracić, Carołino May. Wątpięm, czy kiedykolwiek znajdę kogoś takiego jak ty.

Zaburczało jej w brzuchu.

- Widzisz, co ze mną robisz?

- Głodzę cię?

- Sprawiasz, że czuję się przy tobie na tyle bezpiecznie, by czuć głód.

Uśmiechnął się i wziął ją za rękę.

- Chodź. Zostało trochę chili. Ja je podgrzeję, a ty sprawdź jeszcze kilka tych tak-zwanych-ewentualnych senatorskich dzieci.

Otworzył drzwi i weszli do stosunkowo ciepłego wnętrza domu.

- Problem w tym, że wiele z tych dzieci nie żyje - powiedziała Carly, marszcząc brwi. - Inni się wyprowadzili, a ja mam tylko miejscowe plotki. Jedynym sposobem na ustalenie, że to potomkowie Senatora, jest badanie DNA. Do tego potrzeba próbki DNA Senatora. Konieczna jest więc ekshumacja, chyba że zamroził swoją spermą dla potomności, albo coś w tym stylu.

Jestem pewien, że gdyby to zrobił, byłaby to wiadomość na pierwszą stronę. - Drzwi zamknęły się za Danem, odcinając wnętrze od wiatru. - Co do ekshumacji w celu pobrania próbki tkanek, czarno to widzę bez nakazu sądowego, a nie wydaje mi się, żebyśmy zdobyli taki nakaz.

- Chyba że gubernator się zgodzi, a to pewnie nastąpi mniej więcej wtedy, kiedy letnia olimpiada na Syberii. Joshowi Quintrellowi nie podoba się pomysł Winifred.

- Myślisz? Dan włączył palnik na kuchence i zabrał się do podgrzewania chili.

- Po co drażyć sprawę ewentualnych potomków? - spytała Carly. - To strata czasu. Nie zdobędziemy żadnych dowodów, a plotki i pogłoski, niechętnie umieszczam w swoich książkach.

- Po co drażyć tę sprawę? - odparł. - Bo Winifred ci kazała, a to ona płaci rachunki.

Carly uśmiechnęła się kwaśno.

- Rozumiem. Ale to nas nie zbliża do odpowiedzi na pytanie, dlaczego ktoś chce mnie stąd wykurzyć.

- Jeśli założymy, że ktoś nie chce, żebyś odtworzyła rodzinną historię...
- Słuszne założenie.

... to odtworzenie historii zbliży nas do tego, kto cię straszy - dokończył Dan.

Carly z rezygnacją wzruszyła ramionami, wyjęła segregator z jednego z pudeł w salonie i usiadła przy karcianym stoliku.

- No dobra - powiedziała, otwierając segregator, - Przeczytam ci, co mamy do tej pory. Daj znać, jeśli któreś z nazwisk z czymś ci się skojarzy. Jesus Mendoza, syn Carloty Mendozy, pokojówki na ranchu, zaciągnął się do wojska, poszedł na wojnę, dostał medal, ożenił się z kobietą z San Diego, miał czwórkę dzieci, umarł piętnaście lat temu. Żadne z jego dzieci nic miało związku z Taos ani z Quintrellami, a przynajmniej niczego takiego nie byłem w stanie wykryć.

Dan owinał tortille w folię aluminiową i włożył do piekarnika.

Maria Elena Sandoval, córka jednej z wielu Sandovalówien płaczących się po Nowym Meksyku w ogóle, a po ranchu Quintrellów w szczególności. Banda kazirodców, jedno lepsze od drugiego.

Dan zachichotał.

Maria Elena wyszła za *gringo* i wyprowadziła się do Kolorado. Dwoje dzieci. Żadnych szczególnych kontaktów z Nowym Meksykiem. Ona nie żyje, jej dzieci pożeniły się i same mają już dzieci. Jedno mieszka na Florydzie, drugie w Kalifornii.

Dan spróbował chili, zamieszał i słuchał nazwisk kolejnych ludzi, który byli już starzy jak świat albo od dawna nie żyli. Żadne z nazwisk nie dało mu do myślenia.

Randal Mullins. Jego matką była Susan Mullins. Pracowała na ranchu.

Dan zmarszczył brwi.

- Mullins. Syn Susan.

Carly sprawdziła.

- Tak.

- Gdzieś słyszałem to nazwisko. Czy on nie jest uwieczniony na pomniku, który Senator wystawił miejscowym bohaterom z Wietnamu?

Carly przerzuciła kartki i znalazła artykuł z listą poległych żołnierzy. Przejrzała palcem wzdłuż kolumny nazwisk.

- Bingo - powiedziała po chwili. - Randal Mullins. Zginął w sześćdziesiątym ósmym. Cztery lata po śmierci pierwszego syna Senatora. Ciekawe, czy się znali?

- To możliwe - odparł Dan. Wielu chłopaków starało się poznać innych żołnierzy ze swojej okolicy. Czuli się wtedy mniej samotni. Ale że Mullins i A.J. nie żyją, ich znajomość niewiele nam pomoże.

- Myślisz, że gubernator wiedział o Mullinsie? W końcu facet mógł być jego przyrodnim bratem.

- Wątpię. Josh spędzał tu niewiele czasu jako dzieciak, więc pewnie nie słyszał plotek. Zdaje się, że był w Wietnamie, kiedy Mullins zginął. Musiałbym sprawdzić.

Carly westchnęła.

- Tak czy inaczej, Randal się nie ożenił, więc nie możemy zapytać jego dzieci, co wiedzą o dzieciństwie ojca, ani czy uważają za prawdopodobne, że ich babka urodziła dziecko Quintrella.

- Randal mógł mieć dzieci bez ślubu.

- Bękarty bękarta - mruknęła Carly i postawiła znaczek przy nazwisku Randala. - Jak moglibyśmy wytropić jego dzieci?

Miał przyrodnią siostrę, Berty. Moja mama chodziła z nią do szkoły.

- Wspominała o niej?

-- Nie. - Dan wygarnął chili do miski. - Gdzieś w archiwum jest zdjęcie dwóch ślicznych uczennic podstawówki tańczących wokół majowego pała. Jedną z nich była mama, drugą Betty.

- Czy Betty albo jej matka żyją?

Susan Mullins została zamordowana razem z moją babką w 1968. Zabił je jakiś gnojek, naćpany anielskim pyłem.

- Więc Susan знаła twoją babkę?

Dan wzruszył ramionami.

- Obsługiwały te same ulice, jeśli o to ci chodzi.

Carly skrzywiła się.

- A co z Betty?

- Umarła dwadzieścia lat temu, kiedy rozwiódł się z nią mąż. Samobójstwo. Pracowała na ranchu Quintrellów, dopóki woda i prochy całkiem jej nic zniszczyły. Chyba masz artykuł na ten temat w komputerze albo w wydrukach.

- Tak?

- To któryś z tych, gdzie nazwisko Quintrell wystąpiło raz albo dwa razy. Jakie gorące ma być chili?

- Dowolnie, byle powyżej zera - odparła, przerzucając kopie artykułów.

Dan uśmiechnął się, nałożył chili do miski, wetknął w nie łyżkę i postawił miskę na stoliku.

- Tortille?

- Poproszę - rzuciła nieobecny tonem, sięgając po laptopa.

Dan usiadł obok niej, rozpakował tortille z folii i wrzucił jedną do jej miski. Carly zwinęła ciasto, nabrała chili i zaczęła jeść, czekając, aż komputer będzie gotowy do użytku. W końcu zadała mu wyszukanie w bazie danych artykułu zawierającego nazwisko Quintrell i imię Betty.

- Betty nazywała się Mullins? - zapytała.

- Nie. To było jakieś pospolite nazwisko, Smith, Jones czy Johnson, coś w tym stylu.

Skąd ty to wszystko wiesz? I nie mów mi, że się tu wychowałeś. Wiele osób się tu wychowało, a nie mają zielonego pojęcia o miejscowych sprawach.

Dan milczał chwilę.

Byłem dziwnym dzieckiem - powiedział. - Interesowali mnie ludzie. Ciekawiło mnie, jacy byli w młodości, jacy byli ich rodzice i dziadkowie. Wzruszył ramionami. Może dlatego, że nie wiedziałem, kim był mój dziadek. A może byłem po prostu wścibski. Mnóstwo czasu spędziłem nad starymi szkolnymi rocznikami i pracowałem w archiwum gazety, próbując wszystko skomputeryzować, tak żeby po naciśnięciu guzika wyskakiwały gotowe schematy.

- Schematy?

Kto był wymieniany z nazwiska, a kto nie, kto stał obok Quintrellów na zdjęciach, a kto nie, kto chodził na śluby, pogrzeby, chrzciny i wiece polityczne. Takie tam. Jak już mówiłem, byłem wścibski.

Albo ciekawy tych wszystkich spraw, o których nie chciała mówić twoja mama.

To też.

I czego się dowiedziałeś?

Więcej, niż powinienem był wiedzieć - odparł sucho. - W końcu mama zobaczyła, jak rysuję te wykresy, ukazujące ludzi z rancza i ich powiązania z miejscową społecznością. To była moja praca maturalna. Rany, ależ mama była wścibka. Powiedziała, że przeszłość jest martwa i pogrzebana, i tak powinno zostać.

Łyżka Carly zatrzymała się w pół drogi do ust.

- Kłóciłeś się z nią?

- Nie, zapytałem tylko, czy to prawda, że Senator był moim pradiadkiem.

Carly przełknęła z trudem.

- I co powiedziała?

- Że jeśli jeszcze raz wspomnę o nim w jej domu, mogę się zacząć pakować.

- No, no.

- Właśnie, Więc zmieniłem temat pracy na konserwację materiałów archiwalnych gazety za pomocą specjalnych programów komputerowych. A potem złożyłem podania do wszystkich college'ów poza stanem, jakie mnie chciały. Miałem wyżej uszu tego miasta.

- I gdzie wylądowałeś?

- W Georgetown. Wspominałem już, że byłem prymusem, a do tego pływałem jak szatan stylem grzbietowym i wygrywałem konkursy strzeleckie? W Georgetown dali mi pełne stypendium.

- Sportowe?

- Nie. Chcieli mojego mózgu, nie ciała.

Carly uśmiechnęła się.

- Nie wiedzieli, co tracą.

Musnął kciukiem jej podbródek.

- Ja też nie. Czekaj, chyba nazywała się Smith.

- Kto?

- Betty Smith, Potem wyszła za kogoś... jakiegoś Shillinga czy Shaftera, czy coś w tym guście. Melissa jest ich córką.

- Melissa Moore?

Kiwnął głową i odgryzł wielki kęs tortilli.

- Więc Melissa może nam opowiedzieć o swojej matce, która była przyrodnią siostrą Randy'ego Mullinsa, który mógł być bękartem Senatora? - zapytała Carly.

Dan przełknął tortille.

- Tak. Jeśli cokolwiek wie i zechce o tym mówić.

- Jestem pewna, że Winifred pomoże nam ją przekonać.

- Jeśli czuje się na tyle dobrze, żeby się tym przejmować. A co z resztą nazwisk potencjalnych bękartów?

- Nie cierpię tego określenia.

- Jakiego?

- Bękart. Jakby to była wina dziecka.

- Masz rację. - Pociągnął ją za niesforny kosmyk włosów, ten, który kręciła na palcu, kiedy była czymś przejeja. - Ale „dziecko pozamałżeńskie” za długo się mówi, a „owoc miłości” to eufemizm, od którego robi mi się niedobrze. Moja matka nie była owocem żadnej miłości.

Nuta goryczy w głosie Dana przypomniła Carly, że małe miasteczka mają długą pamięć i niską tolerancję dla życiowych błędów. Diana cierpiała, będąc

nieślubnym dzieckiem. Jej syn akceptował to, ale nie musiało mu się to podobać,

Wróciła do listy dzieci być może poczętych, a z całą pewnością zapomnianych przez Andrew Jacksona Quintrella III, którego większość ludzi nazywała Senatorem, a własna szwagierka rozpustnym sukinsynem. Im więcej Carly o nim wiedziała, tym bardziej zgadzała się z Winifred.

- Sharon Miller powiedziała.

Dan pokręcił głową.

- Nic mi to nie mówi.

- Była córką sekretarki Senatora. Urodziła się dwa lata po jego przejściu na emeryturę i powrocie do Taos w siedemdziesiątym siódmym.

- Co się z nią stało?

Matka zabrała ją i wyjechała z Taos, kiedy Sharon miała rok. Potem nie kontaktowały się z Quintrellami, a przynajmniej nic takiego nie znalazłam w archiwum. Następny jest Christopher Smith. Syn kolejnej sekretarki. Była mężatką, więc być może było to dziecko męża, a nie Senatora. Trwało to sześć lat.

- Małżeństwo?

- Praca u Senatora.

Dan nałożył sobie kolejną porcję chili, zastanawiając się, ile jeszcze dzieci spłodził ten lubieżny stary cap.

Rozdział 43

*Ranczo Quintrellów
Piątek, wieczór*

Zimowe słońce zaszło, zostawiając tylko słabą żółtozieloną poświatę nad zachodnim horyzontem. Światło odbijało się w wielkich szklanych płaszczynach biegnących przez front wielkiego domu. Lodowaty wiatr szarpał wszystko, co napotkał i porywał świeżo spadły, suchy śnieg.

- Brr - mruknęła Carly, otworzywszy drzwiczki samochodu. - Właśnie dlatego nie jeżdżę na nartach.

- Patrz pod nogi - ostrzegł Dan. - Nie posypali ścieżki solą ani piaskiem.

- Może nie życzą sobie gości.

- Raczej się objijają, kiedy nie ma gubernatora. Poza tym dom jest na sprzedaż. Od kiedy dano ogłoszenie, cały personel poczuł się jedną nogą za drzwiami.

Mrużąc oczy od wiatru, Carly patrzyła, jak resztki koloru wyciekają z nieba. W końcu odwróciła się w stronę budynków. W architekturze starego domu widać było wyraźnie wpływy hiszpańskie; nowy był współczesny od dachu po fundamenty. Ale nie gryzły się ze sobą - były po prostu znakiem różnych kultur i czasów.

Wieki tradycji, a on to tak po prostu zostawia - powiedziała ze smutkiem.

- Gubernator?

- Tak.

- Tak naprawdę nigdy nie był częścią rancza ani nawet rodziny, jak się nad tym zastanowić - odparł Dan. - Ten przywilej był zarezerwowany dla dziedzica, Andrew Jacksona Quintrella IV. Josh znał tylko długi szereg woj-skowych szkół.

- Mimo wszystko...

Objął ją w talii i przytulił, osłaniając od wiatru.

- Nie każdy kocha przeszłość, Carolino May.

Carly westchnęła, opierając się o niego.

- A ty byś to zostawił?

- Bez namysłu. Niech gubernator sprzeda to komuś, kto kocha ziemię, ciszę i wiatr.

Spojrzała na niego. W zapadającym mroku kontury jego twarzy ginęły w odcieniach czerni. Tylko oczy były jasne, żywe.

- Mówisz, jakbyś sam kochał to miejsce.

Ziemię? Tak. Ale ludzi? Dan wzruszył ramionami i wpatrzył się uważniej w ścieżkę. - Większość może iść do diabła.

Wyczuwała, że mówił poważnie.

- Nie masz stąd żadnych dobrych wspomnień?

- Jasne, że mam.

Więc dlaczego tak nienawidzisz tego miejsca?

Nic nienawidzę go. Po prostu nie lubię ludzi, którzy są okrutni bardziej, niż wymaga tego ich przetrwanie.

- Jak Senator?

Między innymi. Ale są też ludzie, którzy wycierali sobie gęby moją matką, bo była córką miejscowej dziwki.

I tobą, bo byłeś synem swojej matki.

- To się skończyło, kiedy sprąłem kilku Sandovalów.

Skrzywiła się.

I wciąż za to płacisz.

Im mniejsze miasto, tym dłuższa pamięć. Szkoda, że tutejsi ludzie nie są tak wspaniali jak ziemia.

- Niektórzy są.
- Cholernie ich mało. Choć oczywiście ci źli nie są gorsi niż gdziekolwiek indziej dodał. Po prostu nie są lepsi, niż muszą. A czasami... cóż, czasami to po prostu nie wystarczy.

Zapukał.

Po chwili drzwi otworzyła Melissa. Najwyraźniej czekała na nich, od kiedy zobaczyła światła samochodu na podjeździe.

- Witajcie. Winifred powiedziała, że wpadniecie z wizytą. Wspominała, że chce pani porozmawiać z ludźmi, porobić zdjęcia i uchwycić atmosferą okolicy nocą.

- Zgadza się odparła Carly.

Był to najlepszy pretekst, jaki jej przyszedł do głowy, żeby obejrzeć cmentarz i zorientować się, czy szalona córka Senatora została na nim pochowana.

Melissa wzruszyła ramionami, jakby to wszystko wydawało się jej bez sensu, ale uważała, że to nie jej interes.

- Oboje wyglądacie o wiele lepiej, niż się spodziewałam po rozmowie z szeryfem.

Carly mruknęła coś niezobowiązująco i przyjrzała się Melissie, próbując dostrzec w niej wnuczkę Senatora. Jasne włosy, starannie ufarbowane, żeby ukryć ślady siwizny. Oczy odpowiedniej wielkości i kształtu jak na Quintrellów, ale innego koloru. Długie nogi, jak u gubernatora, długie palce. Jak u Dana.

Ani kroku dalej, nakazała sobie stanowczo. Palce są długie albo krótkie, grube albo cienkie. To cztery kategorie obejmujące całą ludzkość, a to oznacza dwadzieścia pięć procent szans, że niespokrewnieni ludzie będą mieli podobne dłonie.

- Słyszeliśmy, że ty też chorowałaś powiedział Dan.

- Mam nauczkę, żeby nie jeść kanapek - odparła, klepiąc się po zaokrąglonym biodrze. I tak miały za dużo kalorii.

Więc szeryf wciąż uważa, że to było jedzenie? - zapytała Carly.

- Tak mówił.

Zanim Carly zdążyła powiedzieć coś więcej, poczuła, że ręka Dana obejmuje ją mocniej w pasie. Zerknęła na niego. Lekki przeczący ruch głowy sugerował, że Dan nie chce denerwować Melissy.

Na razie.

Carly uśmiechnęła się i nie powiedziała nic. Zgadzała się z Danem, że przyjaźnie nastawiona Melissa jest bardziej użyteczna, niż kiedy się zirytuje.

- Wchodźcie, wchodźcie - powiedziała Melissa, - Jest strasznie zimno. Czasami się zastanawiam, czy ta zima się kiedykolwiek skończy.

Jakiś głos zawołał z tylnej części domu.

- To Dan Duran i Carly May! - odrzyknęła Melissa, - Przyszli się zobaczyć z Winifred.

Carly i Dan nie spojrzeli na siebie. Wyraźnie prosili również o rozmowę z Melissa.

- To mój mąż - wyjaśniła. Gubernator kazał mu pracować nad księgami. Z tego, co mówił Josh, jest sporo zainteresowanych kupnem rancza.

Carly zauważyła, że uśmiech Melissy nie jest szczerzy. Najwyraźniej niepokoiła się o przyszłość swoją i swojego męża. I miała powody.

Jedną nogą za drzwiami. Czy im się to podobało, czy nie.

- Przykro mi to słyszeć - powiedziała Carly. ~ To smutny koniec długiej tradycji.

Melissa kiwnęła sztywno głową.

- Słyszałam, że pani matka i babka pracowały na ranczu - podjęła Carly.

- Tak.

- Czy ma pani teraz czas, żeby o tym ze mną porozmawiać? Pani rodzina jest integralną częścią historii Quintrellów. Pani punkt widzenia byłby nieoceniony.

Melissa ściągnęła usta.

- Gubernator zapowiedział bardzo wyraźnie, że nikomu z nas nie wolno rozmawiać z panią o historii Quintrellów. Przykro mi.

- Mnie też - odparła Carly.

Dan spojrzął na Melissa.

- Do kiedy obowiązuje ten zakaz? - spytał. - Aż ranczo zostanie sprzedane?

Melissa zeszywniała.

- Gubernator Quintrell nie mówił.

- Ale to on wypisze wam referencje. Rozumiem. Spojrzął na Carly. - Chodźmy zobaczyć, jak się ma Winifred.

- Chwileczkę - powiedziała Melissa, dotykając rękawa Carly.

Carly spojrziała na nią, zaciekawiona.

- Tak?

- Chodzi o Winifred. - Melissa westchnęła. Ona... nie czuje się dobrze.

- Wiemy - odparła Carly. Nie zostaniemy długo.

Palce Melissy zacisnęły się na ręce Carly.

- Nie, pani nie rozumie. Wydaje mi się... - Głos uwiązł jej w gardle. - Wydaje mi się - szepnęła że Winifred traci rozum.

- Dlaczego? - spytał Dan szorstko. - Dlaczego tak myślisz? - dodał łagodniej.

Melissa zmarszczyła brwi.

Śmierć Sylvii, zapalenie płuc, zatrucie, sprzedaż rancza... po prostu wydaje mi się, że zaczęła tracić grunt pod nogami.

Carly spojrzała na Dana. Wpatrywał się w Melissę tak intensywnie, że obie kobiety poczuły się nieswojo.

- Co się stało? - zapytała Carly, poklepując palce zaciśnięte na jej rękawie.

Uścisk Melissy powoli zelżał.

Zawsze nienawidziła Senatora, ale ostatnio to jest jak jakaś obsesja. Wstępuje w nią ta dzika siła, ile razy ktoś o nim wspomni. To nienormalne. A teraz jeszcze zaczęła wygadywać jakieś bzdury, że ranczo jest jej, a nie gubernatora, bo ona jest ostatnia z rodu, a ranczo może być odziedziczone tylko przez potomka Castillo.

Dan uniósł brwi.

- Na jakiej podstawie tak twierdzi?

Właśnie o to chodzi - odparła Melissa, podnosząc głos. - Nie ma żadnych podstaw. To czyste wariactwo. Gubernator jest synem Sylvii i Senatora. Ma w żyłach krew Castillo, po matce, ale Winifred tak bardzo nienawidziła Senatora, że nie może znieść, że jego syn obejmie spadek, więc upiera się, że ranczo należy do niej. - Westchnęła, sfrustrowana. Wydaje mi się, że traci kontakt z rzeczywistością.

Carly przypomniawszy sobie wszystkie okazje, kiedy widziała ekscytację Winifred, i zastanawiała się nad poczytalnością staruszki. Spojrzała na Dana. Nie patrzył na Melissę. Sądząc z wyrazu twarzy, zastanawiał się nad czymś intensywnie.

- Zaprowadzę was do niej - powiedziała Melissa z nieszczęśliwym uśmiechem. - Tylko nie zmęczcie jej za bardzo i nic wierzcie we wszystko, co mówi. Może za parę dni będzie lepiej. Dajcie mi płaszcze. Chcecie kawy albo herbaty do ciastek?

Ja dziękuję - odparła Carly. Nie miała najmniejszej ochoty pić ani jeść w domu Quintrellów niczego, czego by nie przygotowała osobiście

- Ja też dziękuję. - Dan pomógł Carly zdjąć płaszczy i sam zrzucił kurtkę. - Późno jedliśmy lunch.

Poszli za Melissa długim korytarzem prowadzącym do pokoju Winifred. Lekko zapukała do drzwi.

- Winifred? Czuje się pani na siłach, żeby przyjąć gości?

- Tak.

Głos był ochrypły, niemal niecierpliwy.

Melissa otworzyła drzwi i weszła za Danem i Carly do pokoju. Winifred siedziała w swoim rozkładanym fotelu, który wolała od szpitalnego łóżka Sylvii. Obok fotela stał ciężki stalowy cylinder butli z tlenem, Staruszka poprawiała plastikową rurkę, by móc swobodniej rozmawiać.

- Proszę oszczędzać siły - przypomniała jej Melissa.

Winifred burknęła z niesmakiem.

Melissa wyszła, by powiesić okrycia.

- Znaleźliście jeszcze jakieś nazwiska? - zaczęła Winifred bez wstępów.

- Chodzi pani o ewentualne dzieci Senatora? - spytała Carly.

Staruszka potaknęła.

Melissa nie zamknęła za sobą drzwi. Dan zauważył to, ale nic nie powiedział.

- Nie mamy nowych nazwisk - odparła Carly.

Winifred pokręciła głową.

- To po co tu przyszliście?

- Chcieliśmy porozmawiać z Melissa o jej matce i babce.

Niewiele czasu wam to zajęło - burknęła Winifred.

- Gubernator zabronił jej rozmawiać - wyjaśnił Dan. - A że to on będzie pisał referencje dla Melissy i jej męża... - Wzruszył ramionami. - A pani, panno Winifred? Pani też gubernator zamknął usta?

Jej suchy śmiech skończył się kaszlem.

- Nie ośmieliłyby się. Dlaczego obchodzi was rodzina Melissy?

Nie odwracając oczu od Winifred, Carly sprawdziła, czy jej dyktafon jest włączony.

- Susan Mullins pracowała w domu Quintrellów i w 1941 urodziła nieślubne dziecko - odparła. - Na akcie urodzenia tego chłopca, Randala Mullinsa, nie wymieniono ojca.

- Bękart Senatora - powiedziała Winifred.

- Jest pani pewna?

- Nie było takiej spódniczki w zasięgu jego ręki, której nie potrafiłyby podnieść. Dla niego to była kwestia honoru. Zasadzał się nawet na mnie po tak zwanym wylewie Sylvii. Powiedziałam mu, że go otruję, jeśli mnie jeszcze raz dotknie. Uwierzył mi.

Dan pokręcił głową.

- Ten człowiek był chory.

- Ten człowiek był złem wcielonym - odparła Winifred.

Carly spróbowała uspić wściekły gniew, który zobaczyła w jej oczach, zmieniając temat.

- Kiedy Susan wyszła za Douga Smitha, mieli córkę, Berty Smith.
- Matkę Melissy - powiedziała Winifred po chwili. - Piękna kobieta, ale takie samo ziółko jak jej matka. Zawsze się zastanawiałam, czy Melissa jest dzieckiem Senatora.

- Melissa mogłaby być jego wnuczką, nie córką - sprostowała Carly.
Oczy Winifred zmieniły się - były teraz matowe jak kamień, czarne jak jej myśli.

- Tego rozwiązałego sukinsyna i tak by to nie obchodziło.
- A co ty na to powiesz, Melisso? - zapytał Dan, odwracając się do uchylonych drzwi. - Czy Senator był twoim ojcem albo dziadkiem? A może jednym i drugim?

Przez chwilę panowała cisza. W końcu drzwi na korytarz otworzyły się szerzej i do pokoju weszła Melissa, wciąż z okryciami przewieszonymi przez ramię.

- Mógł być moim dziadkiem - powiedziała spokojnie. - Moim ojcem jest Mel Schaffer.

Mógł być twoim dziadkiem? - zdziwiła się Carly. - Nie wiesz tego na pewno?

Melissa wzruszyła ramionami.

Moja babka nie była zbyt wiarygodną osobą. Brała za dużo leków, za dużo piła. Wiele z tego, co mówiła, nie było prawdą.

- Zupełnie jak moja babcia - mruknął Dan.
- Liza - powiedziała Melissa. - Słyszałam o niej.
- Wielu ludzi słyszało.
- Nieważne - odparła Melissa, zwracając się do Winifred. Sugerowanie, że Senator mógłby być moim ojcem, jest nie tylko chore; to jedno z tych wariackich oskarżeń, które mogą pani przysporzyć mnóstwo kłopotów. Senator by je wyśmiał, ale jego syn tego nie zrobi.

Winifred zmrużyła oczy. Nie odezwała się.

Dłoń Melissy powędrowała do ramienia staruszki.

- Przepraszam. Nie powinnam była tak wybuchnąć, ale martwię się o panią. Gubernator może... bardzo utrudnić życie.

- Nie będę tu dość długo, żebym musiała się tym przejmować - odparła Winifred. Ty też nie.

Melissa zacisnęła usta,

Dan wtrącił się do rozmowy.

- Co pani wie o Randalu Mullinsie?
- Zginął w Wietnamie.

- Miał dzieci? - Choć pytał Winifred, patrzył na Mchssę. Kiedy powieki jej drgnęły, zrozumiał, że zna odpowiedź.

- Nic o tym nie wiem - odparła Winifred. - Nie był żonaty.

- Wyłącz dyktafon, Carly - powiedział Dan.

Carly spojrzała na niego i posłusznie wcisnęła pauzę,

Dan wpatrzył się w Melisę.

Cisza narastała.

- No dobrze - skapitulowała w końcu Melissa. - Ale jeśli powiecie gubernatorowi, że wam mówiłam, wyprę się.

- Joshowi Quintrellowi nie powiedzielibyśmy nawet, która jest godzina - odparł Dan.

Melissa westchnęła głośno.

- Randy Mullins był moim wujkiem, czy raczej przyrodnim wujkiem. Nieważne. Machnęła niecierpliwie ręką. Słowa z jej ust padały ostro, pospiesznie, jakby chciała jak najszybciej przebrnąć przez coś obrzydliwego. - Nienawidził mojego ojca, Mela, i zaczął uciekać z domu już jako siedmiolatek. Przeważnie mieszkał u Angusa Sncada na wysokich pastwiskach albo w jego zimowej kwaterze na ranczu. Laurie była córką starego, siedem lat młodszą od Randy'ego. Randy spędzał większość czasu ze staruszką Sneadem. Laurie wychowywała ciotka, kiedy jej matka odeszła. Angus Snead praktycznie wychował Randy'ego.

Carly wstrzymała oddech. Miała nadzieję, że jej dyktafon jak zwykle obudził się po pięciu sekundach pauzy. Czuła, że Melissa nie zechce opowiedzieć tej historii drugi raz.

- Tuż zanim Randy został wysłany do Wietnamu, poszedł się upić z kolegami i wywracać miasto do góry nogami. Angus był chory, więc Laurie pojechała do miasta, żeby odebrać Randy'ego z aresztu. Jakies dziewięć miesięcy później urodziła bliźniaki.

- Jima i Blaine'a Sneadów - powiedział Dan. - Są twoimi kuzynami. I bardzo prawdopodobne, że również wnukami Senatora.

- Może tak, może nie. - Melissa wzruszyła ramionami, - Nigdy nie traktował ich inaczej niż kogokolwiek innego.

Włącznie z tobą? - zapytał Dan.

- Ja jestem kobietą. Oczywiście, że traktował mnie inaczej niż Sneadów. Bardzo, bardzo uważałam, żeby nie znaleźć się z nim sam na sam, kiedy był na ranczu. Winifred ogromnie mi pomogła. - Melissa uśmiechnęła się do staruszki. - Powiedziała mi, żebym się pilnowała, i pilnowałam się.

Carly skrzywiła się gorzko. Im więcej słyszała o Senatorze, tym mniej go lubiła.

- Nawet po tym, jak zachorował na serce po siedemdziesiątce? - spytał Dan. - To go nie przyhamowało? Bo z pewnością zakończyło jego karierę polityczną.

- Jeszcze parę lat temu był całkiem dziarski - odparła Winifred. - Ale po osiemdziesiątce nie miał już siły, żeby powalić niechętą kobietę na podłoga

Panno Winifred... - Melissa zrobiła nieszczęśliwą minę. - Nigdy mu nie udowodniono żadnego gwałtu. To tylko pogłoski. Wokół takich ludzi jak on zawsze krążą plotki.

Carly spojrzała na Dana, który wzruszył tyłko ramionami i powiedział:

Jeszcze jedna rzecz, która nigdy nie przedostała się na łamy miejscowej gazety. Czy Sneadowic wie, kto jest ich dziadkiem?

Nikt tego nie wie na pewno - odparła Melissa, przyciskając kurtki do piersi.

- A podejrzewają? - zapytała Carly.

- Czemu pani chce to wiedzieć?

- Jest ciekawa - rzucił Dan od niechcienia, ale jego spojrzenie było twarde, uważne.

- Och, do diabła, na pewno ktoś im powiedział. Melissa ścisnęła ubrania coraz mocniej. - Plotki rozchodzą się szybciej niż prawda.

- Czy to dlatego gubernator jest taki drażliwy? - nie dawała za wygraną Carly. - Słyszał plotki i nie chce, żeby prawda wyszła na jaw?

Jaka prawda? - rzuciła niecierpliwie Melissa. W plotkach jest jej bardzo niewiele.

- Zna pani stare powiedzenie, że nie ma dymu bez ognia.

Melissa pokręciła głową.

- Senator umarł. Pozwólcie, żeby to wszystko umarło razem z nim. Czy Sneadowic przyniosłoby jakiś pożytek wygrzebywanie starych plotek i kłamstw? Są dorosłymi ludźmi i mają w nosie, kto jest, a kto nie jest ich dziadkiem. - Spojrzała ze złością na Carly. - A choćby nawet, nie ma powodu, żeby wilczarz i przestępca znaleźli się w rodzinnej historii Quintrellów.

- W historii Castillo wtrąciła szorstko Winifred. - To jest historia Castillo i bękarty Senatora nie mają w niej udziału.

- Więc dlaczego pani chciała... - zaczęła Carly, ale Winifred nie dała jej dojść do słowa.

- To właśnie próbuję... - Staruszką wstrząsnął atak kaszlu, potem kolejny.

- Lepiej już idźcie - powiedziała Melissa z zatroskaną miną. Podała okrycia Danowi.

Wziął ubrania, ale nie ruszył się z miejsca. Nie chciał. Miał przecucie, że Winifred jest słabsza, niż to okazuje.

- Nie powinnaś wezwać doktora? - zapytał Melisse.

- Był tu dzisiaj - odparła, umieszczając w nosie Winifred rurkę z tlenem.

Nie może zrobić nic więcej; najwyżej zabrać ją do szpitala, ale ona nie chce się zgodzić. Gubernator musiałby zwrócić się do sądu o uznanie jej za niepoczytalną. Bez tego nikt nie może nic zrobić. A poza tym, jeśli Winifred chce tu zostać tak długo, jak to możliwe, kimże my jesteśmy, by jej tego zabronić?

Winifred wciąż kaszłała. Twarz jej poczerwieniała z wysiłku.

Carly wzięła płaszcz od Dana i wyszła na korytarz. Suchy, zgrzytliwy kaszel Winifred biegł za nimi aż do frontowych drzwi. Kiedy drzwi otworzyły się i zamknęły za nimi, otoczyła ich smagana wiatrem zimna noc.

Żadne nie odezwało się słowem.

Oboje zastanawiali się, co chciała im powiedzieć Winifred.

Rozdział 44

Grañ Castillo

Piątek, późny wieczór

Znoktowizorem to będzie pestka. I dobrze. Przez to zimno tracę czucie w palcach, a ten wiatr...

Wiatr zawsze był wrogiem strzelca.

Snajper obserwował przez noktowizor Dana i Carly, którzy wyszli właśnie z domu. Wsiedli do furgonetki Dana, ale zamiast skierować się na drogę do Taos, pojechali w stronę zabudowań gospodarczych.

Co znowu?

Światła samochodu uszkodziłyby noktowizor, więc snajper śledził ich dalej przez lornetkę. Minęli stodołę i wyjechali na polną drogę prowadzącą na cmentarz.

Do licha. Ja wybrałem ru sobie dobre miejsce, a ci jadą w przeciwnym kierunku.

Zmarznięty, zeszywniały, przeklinając w duchu, patrzył, jak furgonetka staje pod rodzinnym cmentarzem Quintrellów. Gdy tylko zgasły światła, przerzucił się z powrotem na noktowizor zamontowany na lufie karabinu. Raczej dla treningu; nic zamierzał teraz strzelać. Cmentarz znajdował

się jakieś półtora kilometra od głównego domu, ale nie to stanowiło problem.

Dwuipółmetrowe ogrodzenie z kutego żelaza sprawiało, że strzał byłby prawdziwą loterią.

Kąt nie był dość duży, by dało się strzelić nad ogrodzeniem, chyba że cel stałby wyprostowany z dala od płotu, a nie płał się pochylony między grobami tuż pod nim. Nagrobki stanowiły dodatkowe utrudnienie, nie wspominając już o drzewach posadzonych nad niektórymi grobami.

Zmienny wiatr niósł rwący się odgłos rozmowy. Błysnęła latarka.

Snajper wrócił do obserwacji przez lornetkę.

Skończone to, po coście przyjechali, i wyjedźcie wreszcie na drogę.

Był obolały z zimna. Najwyższa pora załatwić sprawę i zwijać się stąd.

No szybciej, szybciej. Utrudniajcie mi sprawę jeszcze bardziej, a zabiję was oboje.

Rozdział 45

Ranczo Quintrellów Piątek, późny wieczór

Carly zabijała dłonie, bo palce marzły jej nawet w rękawiczkach.

- Nie mogę się doszukać żadnego sensownego porządku w układzie tych grobów - powiedział Dan.

- Zwykle im bliżej grobu założyciela, tym wyższa ranga - wyjaśniła. - Ale grobu Lizy nie ma obok mogił jej brata i siostry.

Dan zmiotł śnieg z ostatniego nagrobka.

Niestety. To jest kamień pamiątkowy Quintrella, który zginął podczas wojny secesyjnej.

- Naprawdę? - Carly podeszła do nagrobka, zrobiła zdjęcie i wetknęła aparat z powrotem do kieszeni. - Samuel Quintrell. Ciekawe, czy był bratem, czy ojcem, czy wujkiem, czy...

- Nieważne - przerwał jej Dan. - Winifred interesują tylko...

- Castillo - dokończyła z niesmakiem.

- Spróbujmy w niższej części.

Carly spojrzała na część cmentarza zarezerwowaną dla pracowników rancza.

- Chcesz powiedzieć, że niektórzy pracownicy mogli mieć wyższy status niż senatorska córka?

- Jeśli mówimy o mojej babce, to tak - odparł Dan, idąc wzdłuż białego ogrodzenia. - Liza miała fart, że w ogóle została tutaj pochowana. Pewnie by się tak nie stało, ale Quintrellowie nie chcieli robić zamieszania, które ściągnęłoby jeszcze większą uwagę na jej żalosne życie.

Carly omiotła latarką skromne nagrobki równoległe do ogrodzenia.

- To kuzyni Isobel, jej służący i nie wiadomo kto jeszcze.

- Wszystko w jednym. W tamtych czasach cała rodzina: dalecy kuzyni, powinowaci kuzynów, powinowaci powinowatych, szli za pieniędzmi. Isobel je miała, a Andrew Quintrell je pomnażał. Kiedy Senator zajął się polityką i poprzez Sylwię zacieśnił związki z Sandovalami, fortuna rosła dalej.

- Ależ z ciebie cynik.

- To moje drugie imię.

- Naprawdę? zapytała.

- Lepsze to niż Warden.

- Warden?

- Moje drugie imię.

Jasny jak światło księżycy śmiech Carly popłynął w mrok i w końcu ucichł, porwany wiatrem.

Po kilku chwilach poszukiwań pod ogrodzeniem Dan ukląkł i zgarnął za spę śniegu z nagrobka.

- No i proszę - rzucił rzeczowym tonem, jakby mówił o pogodzie. - Elizabeth Isobel Quintrell, urodzona w 1936, zmarła w 1968.

- Trzydzieści dwa lata - powiedziała Carly. - Nie pożyła sobie.

- Żyła krótko, ale za to przyjemnie.

- Jak możesz tak mówić?

Musiała lubić swoje życie. Nie zrobiła niczego, by je zmienić.

Carly spojrzała na posrebrzony śniegiem ciemny nagrobek.

- Może nie mogła.

Ależ z ciebie wrażliwa duszyczka. - Delikatnie dotknął jej policzka. - Nigdy nie próbowała, Carolino May. Ani razu.

- Nie zasłużyła na taką śmierć.

- Nikt nie zasługuje, ale to i tak się zdarza. Chcesz zrobić zdjęcie tego nagrobka?

Carly ukląkla i poczekała, aż aparat automatycznie złapie ostrość. Błysnął flesz. Obejrzała zdjęcie, uznała, że jest dobre, i wyłączyła aparat.

Myślisz, że Susan Mullins też jest tutaj pochowana? W końcu była długoletnią pracownicą.

- A jej córka była prawdopodobnie bękartem Senatora.

- To też.

Ruszyli dalej wzdłuż ogrodzenia, szukając zagłębień w śniegu oznaczających miejsca, gdzie ziemia zapadła się wraz trumną, zniszczoną działaniem czasu i wody. Ale poza kilkorgiem Sandovalów i dwójką Sneadów nie natrafili na żadne znane nazwisko.

Wiatr przybierał na sile, gwizdał lodowato między żelaznymi sztachetami płotu.

Carly wyprostowała się i spojrzała na osrebrzoną śniegiem grań wznoszącą się nad doliną kilkaset metrów dalej.

- Co robisz tam na górze? - zapytała. Bo to byłeś ty, prawda? Tamtego dnia, kiedy chowano Senatora.

Dan podążył za jej spojrzeniem ku grani Castillo.

- Ja, mój tato i jeden ze Sneadów. Prawdopodobnie Jim. Blaine nie jest taki dobry w podchodach.

- Nic rozumiem.

Tato i ja zaparkowaliśmy przy drodze i wspięliśmy się tylną ścianą grani. Jest tam stary szlak. Myśliwi często go używają, podobnie jak ich zwierzyna. Tata i ja obserwowaliśmy całą ceremonię z góry. Żaden z nas niczego nie zauważył, ale kiedy zaczęliśmy schodzić, zobaczyłem ślady. Ktoś jeszcze był na grani. Z psem. I też obserwował pogrzeb.

- I myślisz, że to był Jim Snead?

- To jedyny człowiek, jakiego znam, który potrafi się do mnie zbliżyć niezauważony. Mam wyczulone zmysły.

I dlatego ciągle zerkaś na grań? - zapytała. - Myślisz, że teraz też jest na górze?

- Od kiedy wyszliśmy z domu, kilka razy czułem, że jestem obserwowany. Potem to wrażenie znikło. Pewnie to tylko wiatr porusza gałęziami.

- Albo Jim Snead patrzy na nas z grani?

- Może.

- Dlaczego?

- Nie wiem.

Ale wiedział, że gdy tylko odstawi Carly w ciepłe, bezpieczne miejsce, wespnie się na grań i sprawdzi ślady, pod warunkiem że wiatr miotający śniegiem nie zasypie wszystkiego, zanim on zdąży tu wrócić z Taos.

Gdyby był sam, zacząłby się wspinać na grań od razu, kiedy tylko kark zaczął go swędzieć. Ale nie był sam.

- Czy da się wejść na grań z tej strony? - zapytała Carly.

- Jasne.

- To trudne?

- Nie, jeśli ma się dobre buty.

- Idziemy.

- Co? Dan nie wierzył własnym uszom.

Chcę się wspiąć na grań i popatrzeć na dolinę. Chcę zobaczyć ranczo w świetle księżyca i w ciemności, tak jak musiało wyglądać sto lat temu.

Dan wsłuchał się w swój głos wewnętrzny. Nie usłyszał nic, co warte by było kłótni, więc poddał się.

- Będę przecierał szlak.

Rozdział 46

*Grań Céstillo
Piątek, noc*

Idą prosto na mnie.

Snajper szybko ocenił kąty strzału i drogi ucieczki. Powinien przyciąć się na ziemi i poczekać, aż obejdą grań z drugiej strony. Taki miał plan.

Ale w planie nie było odmrażania sobie tyłka, kiedy tamci dwoje fotografowali groby, a w końcu postanowili urządzić sobie nocną wycieczkę na grań Castillo. Wiedział, że jeśli poczeka jeszcze dłużej, będzie zbyt zmarznięty, by celnie strzelać. A wtedy ktoś może zginąć, zamiast tylko puścić trochę farby na śnieg.

Nie, żeby miał coś przeciwko zabijaniu; jak wszystko inne, i to stawało się łatwiejsze, kiedy człowiek się przyzwyczaił. Ale śmiertelny wypadek był zawsze badany o wiele dokładniej niż zwykły „przypadkowy” postrzał.

Wciąż szli w jego stronę. Jeszcze trochę i będzie musiał polegać na własnych oczach, zamiast na noktowizorze. Już w tej chwili cel nie mieścił się w obiektywie lunetki.

Dan i Carly skręcili w końcu, idąc dzikim szlakiem używanym latem przez konie i bydło, puszczone luzem na wypas.

Snajper zaczął oddychać swobodniej w miarę oddalania się celów. Kiedy zrozumiał, że zamierzają wspiąć się na sam szczyt, kilkaset metrów od niego, jeszcze raz ocenił i przekalkulował możliwe kąty strzału.

I uśmiechnął się. Jeśli staną tam, by podziwiać widok, to będzie bułka z masłem.

Znów nabrawszy pewności siebie, zachował pozycję; odwrócił tylko wzrok, tak by obserwować ich zaledwie kątem oka. Zwierzęta, nawet cywilizowane, jak ludzie, często wyczuwają bezpośrednio spojrzenie.

A z tego, czego dowiedział się o Danie Duranie, ten chłopak na pewno nie był cywilizowany. Był zaledwie udomowiony.

Rozdział 47

*Grań Castillo
Piątek, noc*

Carly szła za Danem szlakiem, który tylko on mógł dostrzec. Lodowaty wiatr podążał za nimi, popychając i szarpiąc. Przypomniała sobie o no-dze Dana.

- Tyle wystarczy - powiedziała. - Stać już...
- Moja noga ma się dobrze.
Powiedz mi jeszcze raz, że nie umiesz czytać w myślach.
- Nie umiem czytać w myślach,
- Dlaczego ci nie wierzę? - mruknęła.
- Nie mam pojęcia. I przestań przewracać oczami.
- Skąd wiedziałeś?
- Usłyszałem je.

Carly zachichotała i brnęła za nim dalej.

Dan, słysząc jej chichot, uśmiechnął się. Odnajdywał szlak bardziej instynktownie niż za pomocą oczu. Zwierzęta nie są głupie. Wybierały najłatwiejszą drogę, omijając głązy i skupiska karłowatych drzew, kręcąc, kłuczając i powoli nabierając wysokości. Ludzie przeważnie są zbyt niecierpliwi, by korzystać z rozumu. Po prostu parli w górę stoku, jakby ktoś mierzył im czas stoperem.

Miejscami podejście było łatwe. Na ziemi leżało niewiele śniegu, który wiatr zmiotł na bok, zostawiając tylko zmrożoną warstewkę. Ten sam wiatr wypełniał zagłębienia i szczeliny lodowym pudrem, który przyciągał ludzi z całego świata na wysokogórskie stoki narciarskie w Taos. Ale nawet dla narciarzy ta strona grani Castillo była mało atrakcyjna. Była wystawiona na podmuchy wiatru, więc śnieg mógł się zbierać wyłącznie w jarach, zbyt kamienistych i wąskich, by nadawały się do bezpiecznej jazdy. Druga strona miała grubszą okrywą, gdyż grzbiet grani osłaniała ją od wiatru.

Dan był ciekaw, czy szlak, który wraz z ojcem przetarli w półmetrowej okrywie, jest wciąż widoczny, czy też zasypał go już świeży śnieg.

Tuż przed wyjściem na poszarpany grzbiet zatrzymał się i przeszukał wzrokiem płamy księżycowego światła i cienia. Szukał jakiegokolwiek zmiany, jakiegoś ruchu - czegokolwiek, co wyjaśniałoby chwilowe, niepokojące uczucie, że jest obserwowany.

Jesteś paranoikiem, przekonywał sam siebie.

- Co znowu? - zapytała Carly.
- Co?
- Ten ponury uśmieszek.
- Gadałem sam ze sobą - odparł.
- O czym?
- O paranoi.
- Tak w ogóle czy w szczególności?
- W szczególności.

Czekała, ale nie powiedział nic więcej.

- Czasami zmuszenie cię do mówienia jest jak wrywanie kurzych zębów - mruknęła.

- Kury nie mają zębów.

- Dlatego tak trudno je wyrwać. Czym się objawia ta paranoja?

Momentami czuję się, jakbym był obserwowany - odparł spokojnie.

Oddech Carly uniósł się długą chmurką.

- Ja też. Zwykle w starym domu. Czy to znaczy, że ja też jestem paranoiczka?

Roześmiał się cicho i pokonał ostatnie kilka metrów brakujących do grzbietu, ciągnąc ją za sobą.

- Nie, w twoim przypadku to zupełnie inny rodzaj obłądu.
- Nie paranoja?
- Nie, Carlino May. Ty jesteś...

Nagle obrócił się i zatoczył do tyłu. Poleciał w dół, na drugą stronę grani, pociągając Carly za sobą.

Odgłos wystrzału rozległ się wściekłym grzmotem po dolinie.

Dan zatrzymał się w schowanym pod śniegiem jarze. Huknął o dno tak mocno, że zakreśliło mu się w głowie.

- Dan? Dan!

Carly zahamowała na kolanach i zaczęła odgarniać z jego twarzy śnieg.

Dan otworzył oczy i jęknął.

- Sukinsyn spudłował.

- Nie wydaje mi się, żeby spudłował - powiedziała przez ściśnięte gardło. - Krwawisz.

- Ale ty nie, Spudłował.
- Jesteś ranny. Pomogę ci wstać.

Zaczęła się podnosić, ale pociągnął ją w dół, do niepewnej kryjówki, jaką dawał im jar. Przyłożył usta do jej ucha. We włosach miała śnieg, a szalik zsunął się jej z głowy.

- Cicho - szepnął, nareszcie zaczynając myśleć, w miarę jak przestawało mu dzwonić w uszach. - On może tu przyjść, żeby dokończyć robotę. I mam nadzieję, że to zrobi.

Carly zauważyła, że zdjął rękawiczkę i wyciągnął pistolet. Nic wiedziała nawet, że był uzbrojony. Zadrżała, nie tylko z zimna, choć mróz był wystarczający, by wywołać dreszcze. Był jak wampir wysysający z niej ciepło i życie.

Sama tego chciałaś, powiedziała sobie. Mogłaś zostawić tę robotę, ale nie zrobiłaś tego. Zapłacił za to Dan. Więc teraz zagryź zęby i wytrzymaj.

Najchętniej uciekłyby z krzykiem w noc, ale nic chciała zostawić Dana. A że on nie zamierzał opuścić tego miejsca, musiała tu z nim leżeć w śniegu, patrząc, jak krwawi, i wiedząc, że ta kula była przeznaczona dla niej.

Prz gryzła policzek, mocno, bardzo mocno, aż chęć krzyku rozplynęła się w cichym jęku, którego nie potrafiła stłumić. W ustach miała posmak soli i strachu.

Wszystko dobrze, kotku - mruknął Dan do jej ucha.

Odwróciła do niego głowę i szepnęła:

- Pieprzysz.

Jego zęby błysnęły bielą w ciemnej, zakrwawionej twarzy.

Leżeli cicho jakiś czas; krew z rany na głowie Dana ściekała mu po twarzy i kapała na śnieg. Carly przyłożyła mu garść śniegu do czoła w nadziei, że zatamuje krwawienie. Pomogło, ale tylko trochę.

Dan otarł krew z oczu wolną ręką. Na grani, dziesięć metrów nad nimi, nic się nie poruszało. Nie było słychać odgłosu śniegu pod stopami. Nikt się nie zbliżał.

Zimno wgryzało się w Dana, pozbawiając czucia. W końcu uznał, że bardziej niebezpiecznie będzie zostać tutaj, niż ruszyć się z miejsca. Żadne z nich nie było odpowiednio ubrane, by spędzić noc w śniegu i na lodowatym wietrze.

Poza tym, mimo świeżego śniegu, który Carly co chwila przykładała mu do czoła, czuł się tak, jakby dostał przez łeb rozgrzanym do białości młotkiem. Wiedział, że kiedy rana odtaje, będzie krzyczał z bólu. Dzięki Bogu, że Carly będzie mogła go stąd wywieźć.

- Zrób mi kilka śnieżek - mruknął do niej.
- Co?
- Kulek ze śniegu.

Carly zastanawiała się przez chwilę, czy od postrzału można zwariować, ale zaczęła ostrożnie zgarniać śnieg i zgniatać w twarde, niezbyt kształtne piguły. Znalazła kilka drobnych kamyków i dodała je do śniegu.

Dan czekał, przypominając sobie, gdzie stał, kiedy oberwał, w którą stronę upadł, i skąd mógł paść strzał.

Ze szczytu grani, z miejsca, gdzie zakręca w stronę doliny. Prawdopodobnie z tamtej kupy głazów po prawej. Albo z tych drzew kawałek dalej. Dwieście pięćdziesiąt metrów. Najwyżej trzysta. Z noktowizorem to dość łatwy strzał.

Bez noktowizora niemożliwy.

Zimno ścisnęło go pazurami. Bez specjalnego ekwipunku - przynajmniej termicznego koca - człowiek musiał się poruszać, żeby przeżyć. Ten wiatr był zabójczy.

- Masz - szepnęła Carly. Niektóre mają kamienie w środku.
- Świetnie - mruknął, uśmiechając się blade. - Dawaj je najpierw.

Poczuł, że coś zimnego i twardego dotyka jego lewej dłoni. Nie potrafił zbyt celnie rzucać lewą ręką, ale to nie miało znaczenia. Chciał się tylko przekonać, czy snajper jest nerwowy.

Jednym płynnym ruchem uniósł się na kolana, śmignął pigułą w kierunku, który sam obrałby, gdyby chciał się wycofać z grani w stronę rancza, i padł z powrotem na brzuch.

Żadnego wystrzału, żadnego echa, żadnego ruchu.

Cisza.

Wiatr.

Znów cisza.

Bolesny łomot w głowie i dotyk Carly dygoczącej u jego boku.

Pora iść.

- Ruszaj za mną - powiedział.
- A jeśli on znów zacznie strzelać?

To już po nas, pomyślał.

Ale powiedział tylko:

- Idziemy.

Rozdział 48

*Grań Castillo
Piątek, noc*

S najper śledził Carly i Dana przez noktowizor. Zauważył, że Dan wykorzystuje każdy skrawek cienia, skałkę czy drzewo jako osłonę. Ani razu nie było okazji do czystego strzału.

Kiedy upewnił się, że wracają w stronę rancza, zsunął się po tylnym stoku grani.

Rozdział 49

*Ranczo Quintrellów
Sobota, nad ranem*

K sięzyc roztaczał swój srebrzysty przepych za oszkloną ścianą z widokiem na góry Sangre de Cristo. Jedyne światło we frontowej części domu paliło się w gabinecie Senatora cienki pasek między krawędzią drzwi i podłogą z polerowanego marmuru.

Korytarzem przemknął cień; dźwięk kroków tłumiły perskie dywany. Cień sunął w kierunku tylnej części domu. Spod podwójnych drzwi prowadzących do apartamentu sączyła się słaba poświata. Cisza; tylko szelest materiału ocierającego się o ścianę i pomruk ciężkich zawiasów jednego ze skrzydeł drzwi, otwierającego się powoli pod naciskiem dłoni.

Cień wśliznął się do środka, zostawiając drzwi lekko uchylone. Nocna lampka w łazience rzucała słaby blask, zaciemniając jeszcze bardziej wszystko, na co nie padało światło. Winifred leżała w fotelu. Rurka z tlenem wysunęła się z jej nosa. Co kilka sekund połyskiwała słabo na piersi, poruszana rytmem płytkich oddechów. Ciało staruszki okrywały ciężkie koce.

Łatwizna. Tak bardzo mi wszystko ułatwiają.

Dłonie w rękawiczkach uniosły koce i podciągnęły je wyżej. Potem przygłęły do twarzy Winifred.

Nozdrza staruszki zadrgały, szukając tlenu, a znajdując tylko materiał, zbyt gęsty, by przez niego oddychać. Usta otworzyły się, suche jak wełniany koc. Głowa szarpnęła się gwałtownie. Głód tlenu narastał. Próbowwała uwolnić ręce, ale było już za późno. Mogła tylko otworzyć oczy i spojrzeć w twarz mordercy.

W końcu całkiem znieruchomiała.

Dłonie w rękawiczkach ułożyły koce jak przedtem. Zawahały się nad plastikową rurką podłączoną do stalowej butli, a w końcu odsunęły się, zostawiając rurkę syczącą cicho pod szyją Winifred.

To już dwoje. Jest mi winien za dwoje.

Cień wycofał się, zabierając ze sobą życie kobiety.

Rozdział 50

*Ranczo Quintrellów
Sobota, nad ranem*

Pete Moore obudził się z zeszywniałym karkiem i zobaczył ślady śliny na arkuszu kalkulacyjnym, nad którym zasnął w gabinecie Senatora. Wyprostował się z jękiem i sięgnął po kubek kawy, zimnej jak cały pokój.

Teraz, kiedy stary drań już nie żył, można by przemyścić do gabinetu kuchenkę mikrofalową. Naprawdę nie cierpiał zimnej kawy. Ale zimna jest lepsza niż żadna. Ostatnio Melissa była zbyt zajęta Winifred i pakowaniem rzeczy przed sprzedażą domu, by robić mu gorącą kawę.

Wziął łyk gorzkiego płynu, otrząsnął się i wypił kolejny. Zegar wybił trzecią. W ciszy jego bicie brzmiało jak dalekie kościelne dzwony. Senator uwielbiał ten dźwięk.

Pete wpatrywał się chwilę w cyfry na arkuszu, który posłużył mu za poduszkę. Liczby i ich znaczenie były tak samo mętne, jak jego umysł. Pora się poddać i iść do spać.

Wychodząc, zgasił światło w gabinecie. Szeroki korytarz był jasno oświetlony światłem księżycy. Nie miało to dla Pete'a znaczenia, bo wiele razy chodził tędy nocą, kiedy cały dom już spał, a Melissa czekała w ich małym mieszkaniu, oglądając telewizję. Oszklony łącznik był zimny jak sama noc. Pete przyspieszył kroku.

Otworzył drzwi mieszkania i wszedł do środka, zatraskując je za sobą. Mrugające, niebieskawe światło telewizora rozjaśniało pokój. Sztuczny śmiech w tle starego serialu komediowego zagłuszał świst wiatru.

Melissa spała na kanapie, cicho pochrapując. Pete pochylił się i potrząsnął ją za ramię.

- Pora iść do łóżka powiedział.

Obudziła się i ziewnęła.

- Zajrzę do Winifred. Słyszałeś jeszcze jakieś strzały?

- Nie. Pewnie jakiś głupek potknął się o własne nogi, niosąc nabitą strzelbę.

- Kłusownicy nie powinni pić - mruknęła Melissa, kręcąc głową, Pete wyszczerzył zęby w uśmiechu.

- Może sam się zabił zamiast pumy. Pójdę z tobą i sprawdzę, czy wszystkie drzwi są pozamykane, na wypadek gdyby naszemu kłusownikowi zachciało się coś zwędzić.

- Jim Snead by go wytropił i oskórował jak kojota, i wie o tym każdy w okolicy, kto nosi broń.

Trąc oczy i ziewając, ruszyła za mężem do głównego domu i do apartamentu w jego drugim skrzydle. Przy każdych drzwiach czekała, aż Pete sprawdzi zamek. W końcu przeszedł przez apartament, by sprawdzić wejście na jego drugim końcu.

- Co za smród - powiedział, krzywiąc się. - Czyżby przestała panować nad wypróżnieniami?

- Mam nadzieję, że nie.

Stalowy cylinder butli z tlenem połyskiwał w świetle nocnej lampki. Melissa podeszła do rozkładanego fotela, zobaczyła, że rurka wysunęła się z nosa Winifred, i sięgnęła po nią. Skóra staruszki była chłodna.

Zbyt chłodna,

A w pokoju było za cicho.

- Winifred? - rzuciła Melissa dziwnym głosem.

Pete podszedł szybko.

- Co się dzieje? Gorączka jej skoczyła?

- Ona chyba nie żyje.

Klnąc pod nosem, Pete pochylił się nad Winifred. Nie oddychała. Na chudym nadgarstku nie dało się wyczuć pulsu. Mięśnie były wiotkie.

I ten zapach.

Wezwij doktora - powiedział Pete. - Ja zadzwonię do gubernatora.

Rozdział 51

Taos

Sobota, wczesny ranek

Szaroniebieskie zasłony otaczające szpitalne łóżka dawały złudzenie prywatności, lecz za nimi trwała bieżąca typowa dla ostrego dyżuru. Dan

i Carly już dawno by się stąd wynieśli, ale szeryf zapowiedział, że chce ich przesłuchać osobiście i może to zrobić w szpitalu albo w areszcie - ich wybór.

Carly była za szpitalem, ale teraz zaczęła się już zastanawiać, czy dobrze wybrała.

Na łóżku za zasłonką z lewej strony czekała na wyniki badań kobieta z porażeniem mięśni twarzy o nieznanym podłożu. Następne łóżko zajmował delikwent po wywrotce na lodzie, który czekał na operację kolana, gdy tylko chirurg skończy z nagłym atakiem wyrostka. Kolejna wywrotka, tym razem ze złamanym nadgarstkiem, czekała na powtórne zdjęcie, dla skontrolowania, czy gips trzyma kości we właściwym położeniu. Za zasłonką z prawej siedziało wrzeszczące dziecko z wysoką gorączką i rozhisteryzowaną matką.

A w środku siedział Dan, rana postrzałowa. Zrobiono mu rentgen i tomografię czaszki, oczyszczono i zdezynfekowano ranę, i podano tabletki przeciwbólowe, których nic zażył. Lekarz powiedział mu, że ma szczęście, że żyje - co Dan sam dobrze wiedział.

Carly spojrzała na jego ponuro zaciśnięte usta.

- Jesteś pewien, że nie chcesz środków przeciwbólowych? Ja i tak będę prowadzić, czy je weźmiesz czy nie.

- To, co tu dają, nie działa na mnie skuteczniej niż aspiryna i głaskanie po główce - odparł. Ale zgadza się, ty będziesz prowadzić. Gdybyś mi nie pomogła na ostatnim odcinku i nic wywozła nas stamtąd, to nie wiem, czy bym dał radę.

- Więc dlaczego nie poprosiłeś o coś skutecznego?

Bo nie chcę być półprzytomny, jeśli ten snajper znów się na ciebie zasadzi. Ale powiedział tylko:

- Nie boli aż tak bardzo. - Nic kłamał. Kiedy pieczenie i oszołomienie minęło, tępy ból łatwo było ignorować. Bywało już z nim o wiele, wiele gorzej. - To zwykłe drażnienie.

- Od kuli.

- Owszem, prędkość dodaje trochę zjadliwości. Na szczęście mam twardą czaszkę.

Mruknęła coś pod nosem, ale zrezygnowała z prób namówienia go do wzięcia czegoś mocniejszego niż aspiryna.

Głos szeryfa przebił się przez gwar w izbie przyjęć.

- Szukam rany postrzałowej.

- Parawan piąty odpowiedziała pielęgniarka. - Proszę nie marudzić długo. Pacjent jest na chodzie, a my potrzebujemy łóżka.

Po chwili zasłonka szurnęła na bok i zaspany, zirytowany Montoya spoj-
rzał wściekle na Dana.

Mnie też miło pana widzieć - powiedział Dan - ale wystarczyłyby funk-
cjonariusz z nocnej zmiany.

- Co się dzieje, do diabła? warknął szeryf.

- Może pan zacznie krzyczeć - zaproponowała Carly - żeby ludzie nie
musieli specjalnie nadstawiać uszu.

- Jak chce pani prywatności - odparował szeryf- to możemy iść do aresz-
tu.

Nic, dziękuję - rzekł Dan. - To, co powiemy, i tak obiegnie całe miasto,
jak tylko pańska sekretarka przepisze raport na maszynie. Dobra stara Doris
ma długi język i niezbyt wysokie IQ.

Nic ona jedna - odgryzł się szeryf. Otworzył notatnik, wyjął długopis
i zapytał: - Co się stało?

Carly i Dan zdążyli już ustalić, że to on będzie odpowiadał na pytania
szeryfa. Carly była wykończona, a że nie podobał jej się szeryf i jego podej-
ście, prawdopodobnie okazałaby mu, jak bardzo go lubi. Wtedy, jak zapew-
nił Dan, przesłuchanie zajęłoby parę godzin. On żywił do szeryfa podobne
uczucia, ale pogodził się z tym już dawno.

Wczoraj wieczorem około ósmej Carly i ja pojechaliśmy odwiedzić Wi-
nifred zaczął. Potem postanowiliśmy spędzić jakiś czas na terenie ran-
cza, żeby Carly mogła poczuć atmosferę tego miejsca.

- Więc tak się to teraz nazywa - mruknął Montoya.

Palce Dana owinięły się wokół dłoni Carly i ścisnęły ją delikatnie, przypo-
minając o umowie.

Carly pokazała szeryfowi wszystkie zęby w uśmiechu.

- Spędziliśmy trochę czasu na cmentarzu, szukając nagrobków i robiąc
zdjęcia - ciągnął Dan.

- Ile czasu?

Dan wzruszył ramionami.

- Trzydzieści, czterdzieści pięć minut. Dość, żeby zmarznąć.

Montoya czekał z przygotowanym długopisem.

- Carly chciała się wspiać na grań Castillo, żeby zobaczyć widok z góry -
powiedział Dan.

- W ciemnościach? - głos szeryfa ociekał niedowierzaniem.

Księżyc jasno świecił - wyjaśniła Carly, obdarzając Montoyę kolejnym
szerokim uśmiechem.

Szeryf odchrząknął.

- Więc postanowiliście poszwendać się po zaspach. I co potem?

- Wspięliśmy się od nawietrznej strony grani - powiedział Dan. - To było
łatwe podejście.

- Piękny spacer - dodała miękko Carly, ale nagle przypomniała sobie, co
się stało, i zadrżała. - Z początku.

Dan chciał wspomnieć, że kilka razy miał uczucie, że jest obserwowany,
ale zrezygnował. Domyślał się, jak Montoya zareaguje na taką dziewczyn-
ską rzecz jak „uczucie”.

- Gdy tylko dotarliśmy na grzbiet grani - ciągnął spokojnie - kula dra-
snęła mnie i straciła na drugą stronę. Udało mi się pociągnąć Carly za sobą,
żeby jej sylwetka nie była widoczna na tle nieba, kiedy ten gnój będzie od
niej mierzył drugi raz.

- Więc zakładasz, że to nic był wypadek - powiedział Montoya.

- Tak odparł Dan. - Właśnie to zakładam. Po wszystkich poprzednich
atakach na Carly nie trzeba mistrza intelektu, żeby się domyślić, o co cho-
dziło.

- A o co chodziło?

- Ktoś chce wykurzyć Carly z miasta - wyjaśnił Dan zwięźle.

- Może. A może ktoś kłusował na koty albo niedźwiedzie i przez pomył-
kę wypalił do człowieka.

Dan poczuł, że Carly sztywnieje. Ścisnął lekko jej dłoń, w nadziei że nic
straci panowania nad sobą.

- To możliwe - powiedział neutralnym tonem. - Macie dużo kłusowni-
ków na ranczu Quintrellów?

- Zdarzają się - odparł Montoya. - Co zrobiliście po upadku z grani?

- Leżeliśmy i nasłuchiwali, czy „kłusownik” przyjdzie dokończyć to, co
zaczął.

- I co chcieliście zrobić, rzucić w niego śnieżkami? zapytał szeryf.

- Mam pozwolenie na broń. Przecież pan wic, bo pan sprawdzał.

Montoya burknął coś gniewnie. Nie wiedział, dlaczego zawsze go wku-
rzał - ale wkurzał go, i to cholernie.

- Wiem. I co, poszedł za wami czy nie?

- Nie. Czekałem, aż w końcu uznałem, że bardziej niebezpiecznie było
zostać, niż iść - odparł Dan.

- To znaczy?

Nie byliśmy odpowiednio ubrani, żeby spędzić noc na śniegu.

Szeryf spojrział na Dana i westchnął. Mógł nie znać tego syna znachorki,
ale musiał przyznać, że facet nie jest tchórzem ani głupcem. Trzeba mieć
cojones, żeby leżeć w śniegu i czekać, aż ktoś przyjdzie i wypali do ciebie
drugą kulkę.

- I co, spróbował jeszcze raz? - spytał, zaciekawiony mimo uprzedzeń.
- Nie, nie było więcej strzałów.
- Cóż, mnie to wygląda na kłusownika - stwierdził Montoya. - Pomylił się i zwał gdzie pieprz rośnie. Co powiedzieli na ranczu?
- Nie zatrzymaliśmy się tam. Pojechaliśmy prosto do miasta. To zaskoczyło szeryfa.
- Niezależnie od tego, jak mocno oberwałeś, to musiało boleć jak jasna cholera. Dlaczego nie zostaliście na ranczu i nic poczekaliście na górskie pogotowie albo mojego funkcjonariusza?

Większość złych rzeczy, które spotkały Carly, wydarzyła się na ranczu - odparł Dan.

Montoya zmrużył oczy.

- Co to ma niby znaczyć?
- Dokładnie to, co powiedziałem. Mam powtórzyć?

Szeryf pomyślał, że powinien nauczyć Dana trochę szacunku, ale w końcu uznał, że więcej z tego będzie kłopotu niż pożytku. Poza tym na izbie zrobiło się całkiem cicho, a to znaczy, że wszyscy podsłuchują.

- Usłyszałem za pierwszym razem. Jeszcze coś?

Carly pomyślała o miejscu, gdzie Dan zobaczył ślady zaparkowanego samochodu i człowieka, który wspiął się na górę. Czekwała, aż powie to szeryfowi.

- Nic mi nie przychodzi do głowy - odparł Dan.
- Jeśli sobie coś przypominasz, dzwoń.
- Nie ma sprawy.

Carly odczekała, aż szeryf schowa notes do kieszeni spodni i przejdzie przez izbę przyjęć do wyjścia. Pochyliła się do Dana i szepnęła mu do ucha:

Dlaczego nie powiedziałeś o tym miejscu, gdzie stał samochód?

Musnął wargami jej szyję i odparł:

- Bo nie chciałem, żeby jakiś gliniarz w grubych buciorach zdeptał ślady, zanim tam wrócę. - Spojrzał na zegarek. - Chodź. Jeśli się pospieszymy, złapiemy trochę snu przed świtem.
- Przed świtem?
- To świetna pora na tropienie.
- Świt. - Carly zamknęła oczy i westchnęła, zastanawiając się, czy jeszcze kiedyś prześpi całą noc.

Rozdział 52

Grań Castilto, sobota, świt

Dan zaparkował furgonetkę tuż obok miejsca, gdzie poprzedniej nocy stał drugi samochód.

Carly otrząsnęła się z resztek snu i sięgnęła do klamki.

- Mam nadzieję, że nie będziemy potrzebowali rakiet śnieżnych. Ostatni raz używałam ich jako dziecko.
- Tego się nie zapomina. To jak...
- Jazda na rowerze - dokończyła. - A każde dziwne białe mięso smakuje jak kurczak.

Dan pomyślał o niektórych rzeczach, jakie jadał.

- Nie wierz w to. Czasem smakuje jak to, czym jest, czyli jak paskudztwo. Zostań tu, w cieple, a ja obejrzę ślady opon.
 - Paskudztwo? Co to było?
 - Naprawdę chcesz wiedzieć?
- Zastanawiała się chwilę.
- Nie - odparła.
 - Słuszna decyzja.

Dan wysiadł, zamknął drzwiczki i zapiął kurtkę. Sypał śnieg, ale było niemal ciepło w porównaniu z suchą, bezchmurną, lodową nocą. Powietrze było nieruchome, cisza gęsta od padających płatków.

Tak jak przypuszczał, samochód zaparkował na śladach pozostałych od dnia pogrzebu Senatora, kiedy wraz z ojcem wspięli się na grań Castillo. Choć od tamtego dnia spadło kilkanaście centymetrów śniegu, nie znalazł żadnych wyraźnych odcisków bieżnika. Z zatoczki korzystał więcej niż jeden samochód, toteż ślady opon krzyżowały się we wszystkie strony.

Dan spojrzął z zatoczki na grań, która wznosiła się powyżej. Tak jak się spodziewał, „kłusownik” skorzystał ze szlaku, który wraz z ojcem przebili na szczyt. Niestety, jacyś miłośnicy pięknych widoków zrobili to samo. Szlak był zdeptany i nie mógł dostarczyć żadnych informacji.

- No i? - zapytała Carly gdy wrócił do furgonetki.
- Co najmniej dwa samochody parkowały tu w ciągu ostatniego tygodnia I co najmniej dwie wycieczki wlażyły na grań.
- To coś niezwykłego?
- Nie. Miejscowi od lat bawią się tu na śniegu. Kiedy wiatr zmiecie śnieg z bardziej dostępnych stoków, zawsze jeszcze zostaje grań Castillo.

- Więc niczego się nie dowiemy ze śladów?
Raczej nic. Ale i tak pójdę się rozejrzeć. Może mi się poszczęści i znajdę łuskę.
- Czy nie lepiej, żeby szeryf się tym zajął?
Jeśli nie zjawi się tu w ciągu najbliższych paru godzin, to niczego nie zobaczy.
Carly wysiadła z samochodu. Czując łagodne ukąszenia białych płatków śniegu na skórze, pomyślała, jak mała jest szansa, że sceptycznie nastawiony szeryf przyjedzie w środku śnieżycy przeszukać miejsce zdarzenia przy padkowej, jego zdaniem, strzelaniny.
- Nie ma trupa, nie ma zbrodni? - mruknęła z sarkazmem.
Właśnie. Gdyby ten drań mnie zabił, zobaczylibyśmy jakąś akcję. A tak...
Dan wzruszył ramionami. Trudno mieć pretensje do Montoi.
- Ja mam.
Przyciągnął ją do siebie i pocałunkiem roztopił śnieg na jej ustach.
- Mówiłem ci już, jak bardzo cię lubię, Carolino May?
I nawzajem odparła. Oczy jej pociemniały, kiedy spojrzała na opatrunek na jego czole. Tak mało brakowało. Tak cholernie mało. Dlaczego zawsze myślimy, że mamy dużo czasu? - Następnym razem nie pozwól mi spać tak długo. Obudź mnie wcześniej, żebyśmy mogli się zabawić.
Pocałował ją tak, jak chciał ją pocałować przed świtem. Gdy wreszcie oderwał usta od jej ust, jej policzki były zaróżowione, a w oczach płonęło dymne złoto.
- Umowa stoi - powiedział. Ale jeśli cię zaraz nie puszcze, ani się obejrzysz, jak zaczniemy się turlać po śniegu.
Zmrużyła uwodzicielsko powieki.
- Naprawdę?
Przestań. Puścił ją i odsunął się o krok. - To ty jesteś tą rozsądną.
- Od kiedy?
- Od kiedy nie mogę sobie ufać, będąc przy tobie.
Oblizła wargi i roześmiała się, widząc jego minę.
- Okej, będę grzeczna. Bardzo, bardzo grzeczna.
- Kiedy zaczniesz?
- Kiedy tylko się na ciebie rzucę.
Śmiejąc się i z rękami w kieszeni, żeby nie zrobić czegoś głupiego, Dan ruszył w górę zbocza.
- Czeka! - zawołała Carly. A co z rakietami, które pożyczaliśmy od twoich starszuchów?
- Nie będą nam potrzebne. Szlak jest udeptany. Uważaj na oblodzone miejsca.

Skinęła głową i ruszyła za nim po nierównym szlaku. Poślizgnęła się tylko raz. Dan kilkakrotnie i za każdym razem tłumaczył, że patrzył na różne inne rzeczy, a nie na ścieżkę. Wreszcie spojrzał za siebie, stwierdził, że Carly dotrzymuje mu kroku, i skoncentrował się na tym, gdzie stawia nogi.

Na szczycie grani ścieżka rozwidlała się na szlaki sanek, śniegowe anioły i kilka innych śladów, których nie dało się wyjaśnić. Dan skręcił w lewo, w stronę miejsca, skąd razem z ojcem obserwował pogrzeb Senatora. Po kilku krokach szlak znów stał się wyraźny. Wyglądało na to, że oprócz Dana i Johna nikt tędy nie szedł. Jim Snead - jeśli to był Jim - wybrał inną drogę na grzbiet grani,

- Żle skręciliśmy - zawołał Dan do Carly.

Zawrócił, minął ją i ruszył w przeciwnym kierunku wzdłuż grzbietu grani. Tu też ślady rozchodziły się na wszystkie strony, a potem zbiegały w pojedynczą ścieżkę. Dan zatrzymał się i przyjrzał niewyraźnym odciskom: wyglądały, jakby ktoś przeszedł tędy i wrócił po własnych śladach.

- Można się było domyślić - mruknął,

- Czego? - zapytała Carl.

- Przeszedł tędy tylko raz.

Carly spojrzała w dół na dolinę, gdzie leżało ranczo Quintrellów.

- Czy nie byliśmy gdzieś tam? - spytała, wskazując na lewo.

- Byliśmy, ale on nie wiedział, że tam pójdziemy, kiedy zaczął nas śledzić. Posuwał się tędy, wzdłuż grani.

- Zdaje się, że sporo wiesz o tropieniu.

- Chyba masz rację - odparł, Dużo polowałem jako chłopak, i z tatą, i ze Sneadami.

- Dlaczego z nimi?

- Byli najlepszymi myśliwymi w okolicy, dopóki Blaine nie zaczął ostro ćpać i nie poszedł do więzienia. Potem bardzo szybko przestał być taki dobry,

Carly spojrzała na dolinę osnutą białym welonem.

- Powinnaś się martwić, że śnieg pada coraz gęściej? - spytała.

- Jeszcze nie.

- A kiedy mam zacząć?

- Mniej więcej wtedy, gdy wrócimy do Taos - odparł z uśmiechem.

Stąpaj po moich śladach. W jarach śnieg może być luźny, a jesteś taka maleńka, że mógłbym cię w nim zgubić.

- Maleńka?! - obruszyła się. - Nie jestem mała od czwartej klasy.

- Dla mnie jesteś maleńkim, kruchym kwiatkiem.

O mało nie przewróciła się ze śmiechu.

Dan puścił do niej oko i zawrócił na ślad nieznanego. Łatwo było nim podążać. Mężczyzna nic miał rakiet śnieżnych, więc zostawił w śniegu dołki, które mógł zawiąć dopiero mocny wiatr. Sądząc po przesuwających się chmurach, zanosilo się na to lada chwila.

Carly była tak zaabsorbowana przeskakiwaniem z dołka do dołka, że o mało nie wpadła na Dana, kiedy zatrzymał się przy grubym pinionie.

- Co jest? - spytała.
- Widzisz, jak ślad zygakuje? Zupełnie jakby facet szukał zasiadki.
- Czego?
- Zasiadki, czyli miejsca, z którego można oddać strzał, samemu nie będąc widocznym.
- Faktycznie wygląda to na kłusownika.
- Albo snajpera.

Rzeczowy ton Dana po raz kolejny kazał Carly zastanowić się, jak on właściwie zarabia na życie. Bo jakoś nic sądziła, żeby był sprzedawcą butów.

- Co mógł zobaczyć z tych miejsc, które sprawdził i uznał za nieodpowiednie? - spytała.
- Choćby drogę łączącą autostradę z ranczem Quintrellów.
- Przerażasz mnie.
- Najwyższy czas.

Dan ruszył po śladach nieznanego; szedł szybko, pamiętając o nasilającej się śnieżycy. Było jeszcze kilka zasiadek, które opuścił snajper. W końcu znalazł odpowiednie miejsce, i zainstalował się w nim.

Dan położył się na brzuchu i ocenił widok wzdłuż lufy niewidzialnego karabinu.

Carly obserwowała go, coraz bardziej przerażona.

No i? - spytała, nic mogąc już patrzeć, jak strzela do wyobrażonych celów.

- Na cokolwiek czekał, było prawdopodobnie na drodze albo na ranczu - odparł Dan. - Tu miał przewagę wysokości i czyste pole ostrzału w obu kierunkach.

- A to znaczy?

Właściwie nic. Szeryf pierwszy powie, że kłusownicy lubią drogi i pastwiska, bo zwierzęta muszą przez nie przechodzić, a bez osłony stanowią łatwe cele.

Wstał, spojrzął na ślady i zaczął przeszukiwać teren. Po kilku minutach znalazł to, czego szukał.

- Tu zmienił kierunek. Widzisz, gdzie się opierał trójnog? Prawdopodobnie usłyszał, jak rozmawiamy, i zaczął nas śledzić przez noktowizor.
- Nie podoba mi się to, co mówisz.

- Będzie jeszcze lepiej. - Dan przeszedł na bok, gdzie ślad przecinał grzbiet i ginał po nawietrznej stronie grani. - Tu jeszcze raz zmienił pozycję, a tu znowu. Musi doskonale znać ten teren, bo wiedział, gdzie wyprowadzi nas szlak, którym szliśmy. Wybrał odpowiednie miejsce i czekał na nas.

- Gdyby to był kłusownik, po co miałby nas śledzić? - spytała Carly.
- Szeryf powiedziałby, że wcale nie chciał nas śledzić.
- Jak to?
- Przyszedł na grań, żeby zapolować na zwierzynę.
- Ale strzelił do ciebie.

Dan wzruszył ramionami.

- Może był zmarznięty, zmęczony czekaniem i postanowił oddać najlepszy możliwy strzał, zamiast tego, jaki planował.

- Czy kłusownik nie przyszedłby tu przygotowany do leżenia w śniegu całą noc?

- Gadasz jak szeryf.
- I nadal niczego nie pojmuję.
- Miał nie więcej niż pięć minut, żeby znaleźć nową zasiadkę, ustawić noktowizor i poczekać, aż pojawimy się na tle nieba. A ta zasiadka wygląda na „zasiadkaną” dłużej. Spędził tu więcej niż pięć minut.
- Czekając, aż będzie mógł bezpiecznie uciec?

- Być może. - Dan ruszył wzdłuż dołków zrobionych przez mężczyznę po opuszczeniu kryjówki. - Ale nie ruszył od razu w dół stoku.

- Dokąd poszedł?
- Sprawdził, jak udało mu się polowanie. Najpierw jednak poczekał, aż sobie pójdziemy. Widzisz, jak jego ślady wchodzą na nasze?
- Dlaczego czekał? -

Dan spojrzął na splątane ślady i ciemne plamy w miejscu, gdzie leżał i krwawił na śniegu. Ten człowiek wiedział, co robi. Wyczekał na odpowiedni moment, strzelił ale nie trafił w Carly, więc czekał dalej.

I nie strzelił jeszcze raz.

- Dan?
 - Może wrócił szukać kuli.
 - Po ciemku?
 - To możliwe. Prawda jest taka, że nie wiem, co tu zaszło,
 - A szeryf ma to w nosie.
 - Na to wygląda,
 - Istny kociokwik - mruknęła Carly.
- Ponury uśmiech wypłynął na twarz Dana.
- Można to i tak ująć.

Rozdział 53

*Santa Fe
Sobota, rano*

Masz tu dzisiejszą porcję wariatów. - Asystent Jeanette Dykstry rzucił na biurko kupkę poczty. Tom, facet w średnim wieku, do niedawna przekazywał stacji informacje o korkach i innych utrudnieniach w ruchu drogowym, ale żona kazała mu zmienić zajęcie, kiedy o jeden raz za dużo omal nic rozbił się w śmigłowcu. Jego nowa praca polegała na czytaniu listów do Dykstry i szukaniu w nich obiecującego materiału.

Jeanette uniosła głowę znad notatek o biseksualnym kochanku najmłodszego członka Izby Reprezentantów. Temat wyglądał obiecująco, ale nie gwarantował jej wejścia w głównych wiadomościach o szóstej. A tego właśnie potrzebowała,

Masz coś soczystego? zapytała bez wielkiej nadziei.

- Może anorektyczne zwierzaki neurotycznych właścicieli - odparł Tom.
- Dalej.
- Kolejne porwanie przez kosmitów.
- Co ci ludzie sobie myślą? - Dykstra pokręciła głową. - Czy jestem jakimś szmatławcem z supermarketu?

- Ale ta ofiara zgubiła małe co nieco dziewięć miesięcy później.

Dykstra przewróciła oczami.

- To może hazard? podsunął Tom.
- Nie mów, niech zgadnę. We wtorki w Kościele katolickim.
- Bingo rzucił niewinnie.

Jeanette jęknęła.

Tom wyszczerzył zęby w uśmiechu.

- Szef policji podobno lubi małych chłopców.

Dykstra przekrzywiła głowę, okazując wreszcie trochę zainteresowania.

Dowód?

- Jest drużynowym skautów. I kupuje cukierki dla dzieci z podstawówki, które chcą jechać na wycieczkę.

- Bardzo zabawne - mruknęła z niesmakiem. - W następnym wcieleniu będziesz komikiem. A to następne wcielenie zacznie się bardzo szybko, jeśli dalej będziesz marnował mój czas.

- W dzielnicy latynoskiej kogut do walki wyrwał się na wolność i porwał twarz dziecku.

- Zdjęcia?

- Jeśli się pospieszysz. To się stało wczoraj. Sąsiedzi zgłosili zdarzenie. Matka chłopca nie chciała wnieść oskarżenia. Boi się gościa, który trzyma te koguty.

- Ciekawe czemu burknęła Dykstra, kompletnie niezainteresowana. Wychowała się w latynoskiej dzielnicy, więc dobrze wiedziała, jak to jest bać się sąsiadów, którzy mają dość pieniędzy, żeby kupić koguty do walki, przyjmować zakłady i nosić broń.

Tom wyciągnął kopertę z listem przypiętym na zewnątrz.

- Pani Mendoza, ta, która do ciebie napisała, twierdzi, że wiele razy skarżyła się policji na obecność kogutów i hałas podczas walk. Gliniarze dziękowali jej uprzejmie i obiecywali, że wpadną, kiedy nic innego nie będzie się działo w mieście.

Musiałabym mieć naprawdę kiepski dzień, żeby robić program o kogutach w latynoskiej dzielnicy. Trzy miesiące temu zrobiłam materiał o psych walkach, krwawy jak diabli, a oglądalność nawet nie drgnęła. Kogo obchodzi koguty? Mówiąc to, zanotowała, że trzeba sprawdzić, czy matka zgodzi się na wywiad, zanim dziecku zagoi się twarz.

Kosmici-bandyci, zwierzaki-cudaki. Ludzie od stu lat podniecają się tymi samymi skandalami.

- To wszystko? - spytała.

Tom przerzucił kupkę poczty.

- W misce *posole* ukazała się twarz Matki Boskiej z Gwadelupy.

- Zmyślasz.

Podał jej list i zdjęcie.

Spojrzała na fotografię.

- No dobra, nie zmyślasz. - Wrzuciła zdjęcie do śmieci. - Kiedy ci wariaci wreszcie zrozumieją, że wiem, na czym polega cyfrowa obróbka obrazu? Daj mi komputer, a znajdę Ostatnią Wieczerzę w rżesie na stawie. - Spojrzała na asystenta. - Skończyłeś mnie już torturować?

- Prawie. Najlepsze zostawiłem na koniec. Wyciągnął z kupki kopertę z logo rancza Quintrellów i pomachał nią przed nosem szefowej. - Ciotka gubernatora jest wariatką.

Dykstra ożywiła się.

- Ignorował ją czy maltretował? A może odmawiał leczenia?

- Tego nie napisała.

- Kto?

Tom pomachał kopertą.

- Ciotka.

Dykstra złapała kopertę, wyjęła list i zaczęła czytać. Był krótki i rzeczowy. Dołączono do niego kopię starego dokumentu w starohiszpańskim i tłumaczenie - niemal równie archaiczne. I list, i tłumaczenie napisano tym samym charakterem pisma: kunsztownym, lecz prawie nieczytelnym.

O ile jednak pismo panny Winifred Simmons y Castillo było trudne do odczytania, o tyle treść jej listu była bardzo jasna: jeśli gubernator Josh Quintrell chce odziedziczyć rancho Quintrellów, powinien poddać się testowi mtDNA, by udowodnić ponad wszelką wątpliwość, że jest potomkiem Isabel Castillo.

Ciotka z pewnością była szurnięta, ale to nieważne. Historia o gubernatorze i kandydacie na prezydenta to jest coś. Przy odrobinie szczęścia można ją doić przez parę tygodni, może nawet dostać migawkę w wieczornych wiadomościach. Trzeba umówić się na wywiad z tą starą nietoperzycą, ale najpierw...

- Wiesz coś na temat mtDNA? - zapytała Dykstra.
- Nic a nic - odparł Tom.

Oddała mu list.

Więc bierz się do roboty. O trzeciej chcę zrobić krótką zapowiedź tematu.

Rozdział 54

*Chimdyo
Sobota, popołudnie*

Ubrana w nieodprasowane levisy Annę Quintrell czekała na męża przy drzwiach. Podjechał pod dom jednym z tysięcy białych anonimowych aut do wynajęcia, które zawałały parkingi przy lotniskach. Na prośbę Josha państwo Quintrellowie przenieśli się do Chimayo, gdzie zamieszkali w skromnym rustykalnym letnim domku jednego ze sponsorów. Tylko w ten sposób mogli schować się przed Dykstrą.

Wolne media bywają czasem jak wrzód na tyłku.

Gubernator spędził kilka dni na Wschodnim Wybrzeżu w ośrodku religijnym, gdzie dyskutował o duchowych aspektach pełnienia urzędu. Uważał, że to strata czasu - jak większość działań każdego polityka - kiedy więc zadzwonił Pete, natychmiast skorzystał z pretekstu do wyjazdu. Wszyscy

zgodzili się utrzymać to w tajemnicy, by miał czas na żałobę bez prześladowań medialnych wampirów czających się na każdym skrzyżowaniu.

Przykro mi - powiedziała Annę do męża. Ledwie go poznała w ubraniu, które nadawało się raczej na ryby niż do pokazywania się publicznie. Wyglądał, jakby przyjechał autostopem, a nie przyleciał prosto z ostatniego bankietu dla sponsorów. Wiem, że nie przepadałeś za ciotką, ale mimo wszystko to niełatwe.

Josh wszedł do domu i zdjął kapelusz, ukazując srebrną grzywę - swój znak firmowy.

- Zaczynam mieć dość tłuczenia się na rodzinne pogrzeby. W ogóle zaczynam mieć dość. - Myślał o wyczerpującym wyścigu do prezydentury, który go czekał. Jedenaście miesięcy piekła.

Ale z drugiej strony, przy odrobinie szczęścia, w przyszłym roku o tej porze mógł być prezydentem Stanów Zjednoczonych Ameryki. Całkiem nieźle jak na chłopaka, za którego nikt nie dawał złamanego grosza.

- Czy prawnik z Fundacji Sorensona skontaktował się z tobą? - zapytała Annę.

- Nie. Trzy razy musiałem przekładać lot przez pogodę. Jestem nieuchwytny, chyba że ktoś ma mój prywatny numer na komórkę. Czego chciał ten prawnik?

- Żeby część zapłaty za kupno rancza uznać za kwotę przeznaczoną na cele publiczne.

- Ja też bym tak chciał, ale za ogłoszenia wyborcze muszę płacić tradycyjne, czyli z własnej kieszeni.

- Tradycyjnie to by było z cudzej kieszeni - odparła Annę, uśmiechając się lekko. - Ojciec zawsze tak robił. Jadłeś w samolocie?

- W klasie turystycznej?

- Nigdy nie leciałam klasą turystyczną.

- Jeśli masz szczęście, dają ci orzeszki.

Annę skrzywiła się.

- Musimy dzisiaj coś robić czy możesz trochę odpocząć?

Josh odstawił walizkę z laptopem i zdjął kurtkę.

- Powinienem się spotkać z prawnikiem, żeby załatwić sprawy Winifred. Melissa się tym zajmie.

- Świetnie. - Josh przetarł oczy i przeciągnął się. - Jestem za stary na latanie w klasie turystycznej.

Annę pokręciła głową.

- Nie za stary. Za mądry. Ale nie martw się. Kiedy zostaniesz prezydentem, będziesz miał własny samolot.

Josh uśmiechnął się. Z tym uśmiechem wyglądał raczej na czterdzieści niż na ponad sześćdziesiąt lat.

Zorganizowałaś jakieś jedzenie czy mam zostać w tych łachmanach, naciągnąć kapelusz na oczy i wymknąć się do supermarketu? - spytał.

- Nie musisz odparła. - Już zabawiłam się w gosposię. Padłbyś ze śmiechu na widok moich workowatych dżinsów i bluzy.

Zachichotał.

- Dzięki. Wiem, że nie znosisz niechlujnych ubrań, ale to świetny sposób, żeby nie dać się namierzyć mediom.

- Strasznie się boję, że spotkam kogoś, kto mnie rozpozna.

Nikt nie patrzy na przeciętnych ludzi. Włącz telewizor, dobrze? Chcę zerknąć na lokalne wiadomości o trzeciej. Kazałem wszystkim trzymać śmierć Winifred w tajemnicy, dopóki nie wrócę, ale nigdy nic nie wiadomo.

Annę sięgnęła po pilota i włączyła mały telewizor w kuchni na kanał informacyjny lokalnej kablówki.

- Chcesz piwo i kanapkę? - zapytała,

- Zrobię sobie.

- Z kanapką sobie poradzę. Jeśli chcesz coś gorącego, musisz sobie radzić sam.

- Nie ożeniłem się z tobą dla twoich talentów kulinarnych - powiedział Josh, zerkając na zegarek, a potem na telewizor.

- Wiedziałaś, że mnie stać na kucharza.

Uśmiechnął się lekko.

- A ty wiedziałaś, że jestem na prostej drodze do Białego Domu. - Niektóre rzeczy wiązały ich silniej niż miłość. Jedną z nich była ambicja. Oboje wiedzieli, jaki interes ubijają, wymieniając się obrączkami.

Na ekranie jakiś sprzedawca sidingu reklamował swój towar.

Josh ściszył dźwięk i klapnął na jeden ze stołków przy barku. Patrzył, jak Annę robi kanapkę, rozmyślając, że oto trafia się jedyna okazja do sesji fotograficznej reklamującej wartości rodzinne. Annę wchodziła do kuchni tylko po to, by omówić menu na planowane przyjęcie.

Po ekranie przemknęły migawki zapowiadające wiadomości o trzeciej. Joshowi często przypominały striptiz: Słyszeliście już, że niebo się wali? Szczegóły poznacie o pełnej godzinie. Widzieliście rysę na niebie? Szczegóły poznacie o pełnej godzinie. Niebo zawałiło się w waszej okolicy? Szczegóły poznacie o pełnej godzinie. Więcej czasu poświęcano nakręcaniu widzów niż samej informacji. Nastawienie na dziesięciosekundową sensację zredukowało dyskusje polityczne do wymiany sloganów o szóstej, z cotygodniowym

weekendowym podsumowaniem „wiadomości” dla ludzi, którzy żyli na ciemnej stronie księżycy.

Ale każdy z tych księżycowych jaskiniowców to jeden głos, przypomniał sobie Josh.

On miał zdobyć jak najwięcej tych głosów, żeby potem móc się spokojnie cieszyć władzą. Fakt, że sposób sprawowania tej władzy przeraziłby maluczkich, nie miał znaczenia. Maluczcy mieli głos, więc to do nich trzeba się było umizgać, dzięki nim najważniejsi politycy w kraju opuszczali urzędy bogatsi niż przed ich objęciem i dzięki nim pienili się tacy „dziennikarze”, jak Jeanette Dykstra. Ale proszę, o wilku mowa...

Josh włączył dźwięk.

Dykstra z poważną miną patrzyła prosto w kamerę i pochyliła się lekko, mówiąc językiem ciała: Słuchajcie, mam tu niezły kawałek!

- Tylko w *Poza sceną* - oznajmiła. - Ciotka gubernatora Joshua Quintrel-la, Winifred Simmons y Castillo, żąda, by jej siostrzeniec poddał się badaniu krwi i udowodnił, że jest potomkiem Sylvii Castillo Quintrell. Więcej informacji w miarę rozwoju wydarzeń.

Na ekranie pokazała się kolejna dziesięciosekundową reklamówka.

Josh już nie słuchał.

- Czyżbym słyszała twoje nazwisko? - zapytała Annę, stawiając przed nim kanapkę z indykiem.

Skinał głową.

- Winifred zwiariowała przed śmiercią.

- Co masz na myśli?

- Chce, żebym udowodnił, że jestem Quintrellem.

Annę, sięgająca właśnie do lodówki po piwo, znieruchomiała.

- Słucham?

- Przecież mówię. Sfiksowała.

- No cóż, teraz już nie żyje, więc to nie ma znaczenia.

Josh przypomniał sobie drapieżne, wścibskie oczy Dykstry i pomyślał, że to nie będzie takie proste.

Komórka zawibrowała mu w kieszeni. Wyciągnął ją i zobaczył numer swojego nowojorskiego księgowego. Wcisnął guzik i rzucił:

- Byle szybko. Mam spotkanie i nie mogę rozmawiać.

Annę spojrzała na męża. Uśmiechnął się do niej zdawkowo, jak zawsze, kiedy był zajęty czymś innym.

- Okej - powiedział do telefonu. - Dzięki. Proszę mi przysłać rachunek.

- Kto to był?

- Nikt ważny. Ziewnął. - Zostaw to piwo i zrób mi kawy. Muszą jechać na ranczo.
- Teraz? Myślałam, że Melissa dopilnuje rozsypania prochów Winifred razem z prochami Sylvii.
- Dopilnuje. - Josh ziewnął jeszcze raz. - Ale nie chcą, żeby ta dziwka Dykstra pomyślała, że nie kochałem mojej starej cioteczki. Przy okazji obojczyście wraczą wszystkim odprawy, pokażą się lokalnej społeczności i uściśną parą rąk.
- W takim razie nie bądą na ciebie czekać.
- Nie czekaj. - Przetarł oczy. - Być może zostaną w Taos. Zapowiadali kolejną śnieżycę.
- Dlaczego nie zanocesz na ranczu?
- Pete i Melissa zwykle jadą w sobotę na kolację i do kina, i zostają na noc, żeby zdążyć na poranną mszę. Na ranczu nie będzie nikogo, żeby mnie nakarmić i przygotować mi łóżko.
- Nie powinieneś być im mówić, że ranczo jest praktycznie sprzedane. Przestali się przejmować.
- Nie mogłem ich tak po prostu wyrzucić bez ostrzeżenia. Pracowali tam długie lata.
- Annę wzruszyła ramionami.
- Senator ich rozpuścił. To jest posada, nie synekura. Ale nigdy mnie nie słuchał, kiedy mu to mówiłam.
- Nie przejmuj się. Senator nie słuchał nikogo, nawet Boga.

Rozdział 55

*Taos
Sobota, popołudnie*

Carly patrzyła jak zarchiwizowane dane z komputera gazety przepływają na jej twardy dysk. Niemal podskakując z radości, otwierała plik po pliku i czytała wspaniałe słowa: dane udostępnione. Dzięki temu zaoszczędzi sobie długich tygodni mozolnego grzebania w odnośnikach.

- Tak! - Triumfalnie rąbnęła dłonią w stół.
- Dan uśmiechnął się szeroko i wklepał kilka kolejnych komend. Następne pliki przeskoczyły z komputera do komputera.
- Wątpiłaś we mnie? - zapytał.

Przewróciła oczami, nie odrywając wzroku od rosnącej listy artykułów.

- Tym razem nie. Ale pierwsze sześć prób zakończonych fiaskiem to inna historia.

- Spodziewałaś się doskonałości za pierwszym razem?
- Przecież mi ją dałeś odparła nieobecny tonem, gapiąc się na ekran. I to nie tylko za pierwszym.

Wyszczrzył ząby w uśmiechu.

Mówisz o seksie?

Carly próbowała powstrzymać rumieniec. W końcu dała za wygraną i szturchnęła Dana, uważając, żeby nie trafić w opatrunek na czole.

- Przecież wiesz, że nie można ze mną gadać, kiedy jestem czymś zajęta.
- Będę pamiętał.

Jęknęła, wiedząc, że właśnie podsunęła mu kolejny sposób na przeniknięcie przez jej bariery obronne. Jakby potrzebował jakichś sposobów. Wystarczyło, że spojrzał na nią w odpowiedni sposób, a już była gotowa wskoczyć mu na kolana i ruszyć na poszukiwanie skarbów.

- Puk puk powiedział Gus z górnego schodka.
- Czy to początek kiepskiego kawału? - zapytał Dan.
- Nie, tylko ostrzeżenie, że nic jesteście sami.

Carly znów musiała walczyć z rumieńcem. Gus wpadł tu dziś już wcześniej. Ona i Dan byli mniej więcej ubrani, ale tak napaleni, że aż powietrze skwierczało.

- Doceniam - odparł Dan. Uwaga, wysyłam kolejną dwumiesięczną porcję artykułów.

Gus zszedł po schodach i stanął przy krześle Carly. Postukał w stół trzymaną w dłoni kopertą.

- Mówiłem ci, że da radę powiedział z uśmiechem. - Nawet z guzem na głowie.

Miałeś rację. Twój brat jest niesamowity. Mózgowiec w wilczej skórze.

Uśmiech Gusa zbladł. Obraz brata leżącego w śniegu na grani Castillo zepsuł mu poranek. Reszta dnia szła w tym samym kierunku. Spojrzał na kopertę, którą przyniósł.

- Mielicie jakieś wieści o Winifred? - zapytał.
- Coś w jego głosie kazało Carly oderwać wzrok od monitora.
- Nie, a co?
- Wśród *Hispanos* krążą plotki.
- Dan wcisnął klawisz i odwrócił się do brata.
- Jakie plotki?

- Bo nie pracują - odparł Dan, sięgając po komórkę. Żałował, że nie wziął ze sobą telefonu satelitarnego. Ale nic wziął. Telefon leżał w skrzyni razem z koderem-dekoderem, pistoletem, amunicją i kilkoma innymi rzeczami, którymi nie powinny się bawić dzieci w żadnym wieku. Wystukał numer, posłuchał chwilę, wystukał kolejny, po czym nagrał swoje nazwisko i numer kontaktowy.

Okej - powiedział. - Co jeszcze jest w liście od Winifred?

Carly wyłowiła coś, co wyglądało jak bardzo stary akt prawny. Rozłożyła go ostrożnie i pokręciła głową.

- Nie powinna go była tak wkładać do zwykłej koperty. Jest uszkodzony.
- Może się spieszyła - odparł Dan.
- Co to jest? - spytał Gus, próbując obejść brata i zajrzeć Carly przez ramię.
- Jakiś dokument. - Carly przebiegła wzrokiem tekst. 1934 rok. Na dole jest angielskie tłumaczenie. A przynajmniej wydaje mi się, że to tłumaczenie. Za słabo czytam po hiszpańsku, żeby dokładnie porównać.

- Mogę? - zapytał Dan.

Odsunęła się na bok, żeby mógł przeczytać tekst.

- To dosłowne tłumaczenie - powiedział po minucie.

- Czego? - zapytał niecierpliwie Gus.

Wygląda to na małżeńską lub przedmałżeńską umowę między rodziną Quintrellów i Syla Simmons y Castillo - odparła Carly, czytając angielską wersję. W zamian za wkład finansowy rodu Castillo i poparcie miejscowej społeczności Quintrell gwarantuje, że tylko dziecko zrodzone z ciała Sylvii Quintrell odziedziczy ziemię, a co za tym idzie, dziedziczą wyłącznie potomkowie tego dziecka, po wieki wieków, amen. Jeśli ktokolwiek niemający w sobie krwi Castillo będzie próbował przejąć dziedzictwo, a także w przypadku bezdziejnej śmierci Sylvii lub rozwodu, ziemia, wszelki żywy inwentarz i budynki powrócą do rodziny Castillo.

Gus zrobił zaskoczona minę.

- Wydaje mi się - ciągnęła Carly - że ten dokument został sporządzony na podstawie starszego wzorca. Gdybym miała zgadywać, tym wzorcem była pierwotna umowa małżeńska między Andrew I i Isobel z 1865 roku. Może jest gdzieś w tych szpargach, które dała mi Winifred.

- Wygląda na to, że Castillo nigdy ufali Quintrellom - wtrącił Gus.

- Byli realistami - powiedziała Carly. - W połowie lat sześćdziesiątych XIX wieku kobiety często umierały przed mężami, którzy potem żenili się ponownie i zakładali nową rodzinę. Castillo chcieli dopilnować, żeby dzieci drugiej żony Quintrella nie odziedziczyły rodowej ziemi.

- Więc skąd ta nowsza umowa? - spytał Gus, patrząc na dokument z początków XX wieku. - Wtedy kobiety nic umierały już tak często przy porodach.

- Ta druga umowa wynikała z oceny moralności Senatora - stwierdził sucho Dan. Castillo bali się, że użyje ich wpływów w społeczności *Hispanos*, by wygrać wybory, a potem porzuci ich ukochaną Syla dla kobiety, w której żyłach nie płynie krew rodu.

Ale dlaczego to ma mieć znaczenie teraz? Przecież dzieci Quintrellów figurują we wszelkich oficjalnych dokumentach.

Carly odłożyła starą umowę na stół i wyjęła z koperty kolejny kawałek papieru. Był to odręcznie spisany testament, w którym Winifred zostawiła Carly wszystkie należące do niej przedmioty, wraz z prawem przeszukiwania, kopiowania i pozyskiwania w jakikolwiek inny sposób informacji z materiałów dostępnych na ranchu, jeśli mogą być pomocne przy odtwarzaniu rodzinnej historii. Testament dawał również Carly wolny wstęp na rancho, dopóki pozostanie ono w rękach spadkobierców Castillo. Dokument nosił datę z zeszłego wtorku.

- Co to jest? - zapytał Dan, patrząc na nią.

Carly podała mu kartkę.

- Winifred musiała się czuć gorzej, niż mówiła. Dopilnowała, żebym mogła zachować jej papiery i miała wstęp na rancho w przypadku jej śmierci przed ukończeniem książki.

Mądra kobieta - odparł Dan. - To się przyda, gdyby gubernator próbował ci wszystko odebrać i unieważnić umowę. W najgorszym razie da nam to przynajmniej czas na skopiowanie papierów i zdjęć.

Gus zrobił zdezorientowaną minę.

- O czym ty mówisz?

- Gubernator nie życzył sobie publikacji żadnych rodzinnych historii przed listopadowymi wyborami - odparł Dan.

Carly wyjęła ostatni kawałek papieru z koperty. Otworzyła szeroko oczy.

- Zdaje się, że Melissa miała rację.

Podziała kartkę Danowi.

- Co masz na myśli? - dopytywał się Gus.

- Winifred - wyjaśniła Carly - zażądała, by gubernator udowodnił, że jest potomkiem Castillo.

- To jest w oficjalnych dokumentach - powiedział Gus. - Żaden problem.

- Winifred uważała inaczej - rzucił Dan. - Żądała specjalnego testu, który udowodniłby, że gubernator jest Castillo.

- Jakiego testu? - zapytał Gus.

- Wysłała próbki śliny Sylvii i swoje do Genedyne - wyjaśniła Carly. - To pozwoli porównać mtDNA.

- Nie bardzo rozumiem - powiedział Gus.

- MtDNA jest przekazywane dzieciom tylko przez matkę - odparła Carly. - Ojcowskie mtDNA nigdy nie przedostaje się do żeńskiej komórki przy poczęciu. Zostaje w ogonku plemnika, który odpada na zewnątrz jajeczka.

- No i? - dopytywał się Gus. Pomóżcie mi. Ledwie przeszedłem przez biologię.

- Chodzi o to ciągnęła Carly - że każde dziecko Syl vi i Castillo Quintrell będzie miało jej mtDNA, ale tylko jej córki przeniosą je do następnego pokolenia.

- I co z tego? Gubernator już odziedziczył majątek. Czy Winifred myśli, że został podmieniony na porodówce przez kosmitów?

- Myślę, że chce przysporzyć gubernatorowi jak najwięcej kłopotów - odparła Carly. - Wyrażała się... hm... bardzo jasno na temat Senatora. Nie lubiła go.

- Jeśli to, co mówiła, jest prawdą, to miała powody - wtrącił Dan.

- Bo lubił kobiety? zapytał Gus.

- Bo Sylvia próbowała zabić męża i skończyła jako warzywo.

Gus wybałuszył oczy na brata.

- Żartujesz.

- Nie. Dan wstał. - Zamierzam porozmawiać z mamą,

- Jesteś albo wredniejszy, albo odważniejszy, niż sądziłem - powiedział Gus.

Tak się robi z człowiekiem, kiedy oberwie kulkę. - Dan wygrzebał kłuczyki z kieszeni i wręczył je Carly. Ty prowadzisz. Ja muszę podzwonić do paru osób.

Rozdział 56

*Droga do Taos
Sobota, popołudnie*

Gubernator jechał krętą, zaśnieżoną drogą.

- Co znowu? - mruknął, czując wibrowanie telefonu na udzie.

Na wyświetlaczu zidentyfikował się Mark Rubin.

Josh skręcił na pobocze i odebrał.

- Cześć, Mark. Domyślam się, że widziałeś najnowszy numer Dykstry?

- Jasne. Od tamtej pory telefony się urywają. Reporterzy dobijają się o rozmowę z tobą, chcą numeru twojej ciotki i polują na wywiady ze wszystkimi, począwszy od kolegów z podstawówki, po towarzyszy z Wietnamu. Co się, u diabła, dzieje? Kiedy cię pytałem o ewentualne miny na drodze do prezydentury, nic nie mówiłeś o rodzinie.

- A o czym tu mówić? - mruknął Josh znużony. Ciotka nienawidziła mojego ojca i przeniosła tę nienawiść na mnie. Koniec pieśni.

- Nie tym razem. Wszyscy mówią, że jeśli z twoim pochodzeniem wszystko jest koszer, to dlaczego nie zrobić tego testu? To nic wielkiego.

- Nie sądzisz, że to poniżające dla kandydata na prezydenta wyczyniać takie cyrkowe popisy, ledwie królowa plotek piątej kategorii pstryknie palcami?

- Niepoddanie się prostemu testowi da jej więcej amunicji. Wyślij próbkę, Josh. Pomieszaj szyki tej dziwce.

Gubernator uśmiechnął się krzywo, dotykając świeżego strupka na szyi. Wkurzała go sama myśl o poddaniu się Dykstrze. Ale wiedział, że tak trzeba.

- Spokojnie - powiedział. - Zaciąłem się dziś przy goleniu i wysłałem gazik do Genedyne, tak jak chciała moja ciotka. Powinienem mieć wyniki za dzień czy dwa.

- Mam złożyć oświadczenie?

- U Dykstry?

- Tak.

Ani słowa.

- Ale...

Kiedy dostanę wynik - przerwał mu Josh - każę jej go zezreć przed kamerą, na żywo.

Rubin jeszcze się śmiał, kiedy gubernator się rozłączył.

Rozdział 57

*Taos
Sobota, popołudnie*

Carly tylko dwa razy źle skręciła, zanim znalazła drogę do domu Duranów. Dan niewiele jej pomógł. Non stop wisiał na telefonie. Zgasiła silnik

i czekała, aż skończy gadać. O ile była w stanie się domyślić, właśnie rozmawiał z jakąś Cheryl, techniczką z Genedyne, która miała również powiązania z St. Kilda Consulting.

Zgadza się powiedział. - Zostały wysłane w środę, dotarły w czwartek.

- W komputerze nic takiego nie ma - odparła Cheryl. - Czy to mogło być zlecenie specjalne?

- Sprawdź wszystko, co masz.

- Właśnie sprawdzam.

Dan zasłonił słuchawkę i powiedział do Carly:

To potrwa chwilę.

Carly zapaliła silnik, żeby kabina nie wyiębła. Śnieg padał coraz gęściej, a gwałtowne podmuchy wiatru waliły w furgonetkę i tworzyły szalone śnieżne wiry.

Masz jeszcze zestawy testowe, żeby wysłać próbkę do laboratorium? - zapytał Dan Carly.

- Tak. Winifred prosiła tylko o dziesięć, ale pomyślałam, że mały zapas nie zawadzi. Kolejne dwanaście kazałam przysłać na twój adres. Powinny być w dzisiejszej poczcie.

- Jesteś genialna. - Przyciągnął ją do siebie i cmoknął w policzek. - Nie, nie ty, Cheryl. Masz coś?

Najpierw chcę usłyszeć to samo - wypaliła techniczka.

- Jesteś genialna - rzucił natychmiast Dan.

Dwie próbki, jedna z etykietką Sylvia Castillo, a druga Winifred Castillo, wyłącznie mtDNA.

- Jest w nich dość materiału na więcej testów?

- Synku, zdumiałbyś się, gdybyś wiedział, ile mogę wyciągnąć z najmniejszej drobinki. Czego potrzebujesz?

Dan spojrzał na Carly.

- Y-DNA, mtDNA i...? - zapytał, podając jej słuchawkę.

Carly zaczęła mówić:

- Proszę dojechać do przynajmniej dwudziestu pięciu markerów Y-DNA, a jeśli chodzi o mtDNA, test na zgodność ze wszystkimi niuansami, jakie da się wyciągnąć. I proszę Boga, żeby było mnie na to stać.

- Ja stawiam - powiedział Dan, biorąc od niej słuchawkę. Jasne, Cheryl? Zrób z tymi próbkami co trzeba i przyślij wszystko, razem z rachunkiem, do mnie. I niech nikt się nie dowie.

- Rozumiem. Kiedy chcesz to mieć?

- Jak najszybciej. Ktoś próbował mnie zabić.

Cheryl gwizdnęła.

- Steele wie?

Nie. To prywatna sprawa.

- Śmierć też. Oddzwonię do ciebie najdalej za dwadzieścia cztery godziny.

- Czekaj. Doślę jeszcze inne próbki. Te same testy, ten sam pośpiech.

Dawaj, co masz. Właśnie dostaliśmy nową maszynę. Jest taka szybka, że aż mnie przeraża. Jeszcze coś?

- Nie.

- Więc marnujesz mój czas i swoje pieniądze.

Dan nie zwracał sobie głowy pożegnaniem. Cheryl też. Rozłączył się i wbił wzrok w przednią szybę.

- Coś nie tak? - spytała Carly.

- Nie, jeszcze nie. - Westchnął głęboko i poprawił wełnianą czapkę przytrzymującą opatrunek nad czołem. - Ale już się zbliża.

Carly spojrzała na dom; światła w oknach błyszczały w przedwczesnym zmierzchu spowodowanym śnieżycą.

- Dobrze, że taty nie ma w domu - powiedział Dan. - Musiałbym z nim walczyć, żeby się dostać do mamy.

- Może nie powinniśmy...

- Za późno. To już nic jest zabawa. - Wysiadł i przez otwarte drzwi rzucił: - Ale ty nie musisz iść. To nie twój problem.

- Co takiego?

Carly zgasiła silnik, wyskoczyła z furgonetki i pobiegła za Danem. Wpadła na frontowy ganek równo z nim. Otoczył ją ramieniem, jakby robił to przez całe życie, zapukał, i otworzył drzwi.

-- Goście! - zawołał od progu. Znając swoją matkę, ruszył prosto do kuchni.

Przyprowadził Carly.

- Wchodźcie - powiedziała Diana, przechodząc do kuchni ze szklarni. Jej oczy były pełne ciepła, a od uśmiechu kręciło się w głowie. - Jedliście lunch?

- Nic jesteśmy głodni, dzięki - odparł Dan. Późno jedliśmy śniadanie.

- Nauczyła pani syna gotować zabójcze chili - dodała Carly.

- Dobrze gotuje, kiedy mu się chce. - Diana spojrzała badawczo na syna, potem na Carly. - Powinam zapytać, po co przyszliście?

Nim którekolwiek zdążyło odpowiedzieć, odwróciła się do zlewu i zaczęła myć ręce.

- Rozmawiałaś dzisiaj z Winifred? - zapytał Dan.

Diana znieruchomiała.

- Nie. Coś się stało?

- Ty mi powiedz. Na pewno słyszałaś plotki. Poczta pantoflowa *Hispanos* doskonale działa.

Diana zacisnęła dłoń na krawędzi zlewu.

- Więc to prawda? Ona nie żyje?

- Nikt tego jeszcze nie ogłosił.

Diana wstrząsała dreszcz. Przeżegnała się i szepnęła:

- Dokonało się. Nareszcie się dokonało.

- Jeszcze nie - powiedziała Carly. - Ktoś postrzelił Dana.

Diana obróciła się gwałtownie, przerażona.

Zdaje się, że plotki zapomniały wspomnieć o mnie - powiedział Dan, ściągając czapkę.

Diana zachwiała się i splotła drżące dłonie, by nie wyciągnąć ich do syna, który patrzył na nią chłodnym wzrokiem.

- Nicei...

Jak widzisz, nic mi nie jest. Mam twardą głowę. Ten gość celował w Carly. Ja mu tylko wlałem w drogę.

Spojrzenie Diany przeniosło się na Carly; wreszcie zauważyła opiekuńczą postawę Dana stojącego obok młodej kobiety.

- Przestań zadawać pytania - rzuciła obcesowo. - Wtedy przemoc też się skończy.

- Wiesz, kto za tym stoi? - zapytał Dan.

Diana odchyliła głowę i wyciągnęła z kieszeni chusteczkę. Choć zainstalowała w domu jeszcze jeden nawilżacz, znów krwawiła z nosa.

Dan wyjął czystą chusteczkę z pudełka i podał ją matce.

- Dziękuję - powiedziała. Zaraz przestanie.

Aleja nie przestanie pytać - powiedział Dan spokojnie. - Wiesz, kto za tym stoi?

- Nie.

- A domyślasz się?

- Nie.

- Ale byłabyś szczęśliwa, gdyby temu komuś się udało, co?

Diana skrzywiła się. Zerknęła odruchowo na tylne drzwi; John, który pojechał kupić część do starego traktora, miał wrócić lada chwila.

- Nie ma go tam - powiedział Dan, starając się panować nad gniewem. - A nawet gdyby był, ja będę pytał dalej. Jeśli cokolwiek stanie się Carly, to po moim trupie.

Podał matce kolejną chusteczkę i odebrał zabrudzoną.

Długo panowała cisza. W końcu Diana westchnęła i włożyła chusteczkę do kieszeni. Krwawienie na razie ustało.

- Nie pytałbym cię, gdybym miał jakąkolwiek inną możliwość - powiedział Dan, chowając zakrwawioną chustkę do kieszeni dzinsów. - Nie jestem już nastolatkiem ciekawym dziadków i dzieciństwa własnej matki. Jestem mężczyzną przeszkolonym w ocenie zagrożeń i w usuwaniu ich, jeśli to konieczne. I proszę cię, nic stawaj mi na drodze. Nie chcę ci zrobić krzywdy. - Skrzywił się ponuro. - Cokolwiek stało się w przeszłości, Carly jest niewinna. A niewinnych trzeba bronić. Ty mnie tego nauczyłaś, mam.

Diana zwiesiła głowę. To, co mówił Dan, było prawdą. Ale była jeszcze inna prawda, tak ohydna, że na samą myśl o niej ścisnął jej się żołądek, a zimny pot oblewał ciało.

- Zabierz ją stąd - powiedziała ochryplym głosem. - Daleko. I nie wracajcie, dopóki ostatni diabelski pomiot nie umrze.

- Nie wyjadę - odparła Carly łagodnie. - Obiecałam Winifred. I dotrzymam słowa. Wie pani cokolwiek, co pomogłoby mi wykonać moją pracę?

- Wiem, że zło istnieje.

Carly nie miała pojęcia, co odpowiedzieć.

Diana spojrzała na nią i dostrzegłszy, że młoda kobieta nic nie rozumie, ciągnęła:

Ty nie wierzysz w zło, tylko w dobro. Zło zna swojego wroga. Dobro zna tylko siebie. Dlatego dobrzy ludzie umierają młodo. - Przeniosła spojrzenie na syna. - Zabierz ją stąd.

Porwanie jest niezgodne z prawem. - Dan przyszpilił matkę ponurym spojrzeniem. - Czy wiesz cokolwiek, co pomogłoby nam odkryć, kto za tym wszystkim stoi?

- O niczym nie słyszałam.

- A próbowałaś usłyszeć? - nie ustępował.

Zawahala się.

- Nie.

- To spróbuj - rzekł. - Proszę cię. Jeśli dowiemy się, która część historii Quintrellów stanowi problem, będziemy też wiedzieli, kto to robi. Twojej przeszłości nie można zmienić, ale przyszłość Carly tak.

Diana zamknęła oczy, próbując odegnać wspomnienia pijanych mężczyzn, matki, która nigdy nie słyszała krzyków własnego dziecka, i ojca, który był jeszcze gorszy, o wiele gorszy.

- To się znowu dzieje - szepnęła.

- Co? - zapytał Dan miękko. Była taka blada, taka znużona; jej zamknięte powieki drżały.

- Zło. Śmierć, która nie powinna mieć miejsca. Moja matka, jej krzyki i śmiech, potem już tylko krzyki.

Dan po raz pierwszy w życiu słyszał, jak matka mówi o swoim dzieciństwie.

- Dlaczego krzyczała? - spytał.

- Bo zmarły chodzi wśród żywych. Wiem to na pewno. Widziała go przyjaciółka mojej matki. Susan. Powiedziała mojej matce, a matka powiedziała mnie.

Dan zmiął w ustach przekleństwo. Jego babka, mitomanka i ćpunka, zagubiona we własnym pokręconym umyśle.

- Moja matka widziała ducha pewnego człowieka - ciągnęła Diana, otwierając oczy. Były wielkie, przerażone, utkwione w nicości. - Chodzącego trupa, używającego imienia żywego człowieka.

Ból w oczach matki sprawiał, że Dan miał ochotę w coś walnąć. Brzydził się sobą, że jej to robi.

Dwa dni później już nie żyła - powiedziała Diana łamiącym się głosem.

- Kogo widziała? - zapytała łagodnie Carly.

- Kaina.

Carly spojrzała na Dana, który obserwował matkę ze smutkiem i litością.

- Właśnie tak powiedziała twoja matka? - zapytał.

- Pamiętam. Dokładnie pamiętam jej słowa. Żyją w moich snach, W koszmarach. - Mówiła teraz szybko; przeszłość była jak rzeka przelewająca się przez pękającą tamę, jak nurt szukający ujścia. - Powiedziała: „Umarły chodzi po świecie i jada na ranczu mojego ojca. Kain żyje, a Abel umarł”.

Potem zaczęła krzyczeć i śmiać się, i rozbijać wszystko, co jej wpadło w ręce. Kaleczyła się szkłem, rzucała nożami i talerzami, wszystko ochlapwała krwią. Wrzeszczała, że pierworodna córka nareszcie wyrówna rachunki z Bogiem, a potem rzuciła się na mnie z nożem. A jej oczy... jej oczy...

Gardło Diany ścisnęło się; poprzez terazniejszość patrzyła w przeszłość, jakiej nie powinno nigdy oglądać żadne dziecko.

Dan chwycił matkę w objęcia, próbując ją pocieszyć.

- Uciekłam - rzuciła sucho. Po jej policzkach płynęły łzy. - Wiedziałam, że ona potrzebuje pomocy, ale nie pomogłam jej. Nienawidziłam jej i diabła, któremu mnie sprzedała, więc schowałam się w kościele i nikomu nic powiedziałam. - Dreszcz wstrząsnął jej ciałem. - Następne, co pamiętam, to że już nie żyła. Mogłam jej pomóc, ale za bardzo jej nienawidziłam. Chciałam jej śmierci. Była zła i to zło przeszło na mnie. Nieważne, ile dobrego robię. I tak jestem zła jak moja matka i jej brat, i mój dziadek, który zrobił z niej narkomankę i dziwkę, co sprzedała własne dziecko.

Dan wtulił policzek we włosy matki. Nienawidził siebie za pytania, które przyniosły tak wielki ból.

I nic poza bólem. Nic ze wspomnień Diany i jego na wpół oszalałej babki nie pomogło wyjaśnić teraźniejszości.

Widziałem zło - powiedział, unosząc twarz matki i całując ją w policzek. - Ty nie jesteś zła. Jesteś po prostu człowiekiem. Byłaś maltretowanym, przerażonym dzieckiem i wyrosłaś na kobietę, do której dzieci biegają ze śmiechem, wiedząc, że są z nią bezpieczne. Nie jesteś zła. Kocham cię i jestem z ciebie bardzo dumny.

Na widok gorzkiego uśmiechu Diany Carly poczuła pod powiekami palące łzy.

Powiem jeszcze tylko jedno, a potem już nigdy nie będziemy o tym rozmawiać - szepnęła Diana. - Nigdy.

Dan spojrzał w oczy kobiety, która była jego matką, a zarazem kimś, kogo w ogóle nie znał.

Nie mogę ci tego obiecać, bo jestem pewien, że nie powiedziałaś mi wszystkiego. Czemu?

- Bo te słowa udławiłyby mnie na śmierć - odparła głosem pełnym bólu - i zniszczyłyby cię. Zabierz swoją kobietę daleko stąd. Zło jej pragnie, a zło zawsze wygrywa.

Rozdział 58

*Ranczo Quintrellów
Sobota, popołudnie*

Melissa pakowała właśnie walizkę, kiedy Petc stanął w drzwiach mieszkania.

- Gubernator tu jest - powiedział.

- Niemożliwe. Żaden śmigłowiec nie poleciałby w taką pogodę.

- Przyjechał samochodem. Założę się, że ma nasze czeki z odprawą.

Usta Melissy wykrzywiły się.

Wiedzieliśmy, że tak będzie.

- Jak szybko możemy się spakować i wyruszyć do krainy wiecznego słońca? - zapytał Petc. - Mam dość tego miejsca.

- Mebli nie warto zabierać - odparła. - To samo z naczyńiami i innymi gratami. Najlepiej po prostu wyjechać i potem urządzać się na nowo, niż zwracać sobie głowę przeprowadzką.

Kilka dni? Dłużej? - naciskał Pete.

- Skąd ten pośpiech?

- Gubernator to nie Senator. Z trudem trzymam przy nim nerwy na wodzy. Pora się stąd ruszyć i zacząć nowe życie.

Melissa popatrzyła na męża.

- Tydzień - powiedziała. - Potrzebujemy przynajmniej tyle, bo inaczej bilety będą kosztować fortunę.

Pete kiwnął głową.

- Okej. Tydzień. A potem znikamy. Jeśli w księgach będzie bałagan, gubernator może sobie z nim radzić sam. Mam dość tego rancza. Za dużo ludzi tu umiera.

- Wszyscy byli starzy jak świat. - Melissa wzruszyła ramionami. - Czego się spodziewałeś?

Rozległ się dzwonek przy drzwiach.

Ja otworzę - powiedział Pete. Ty skończ pakować walizkę. Coraz bardziej pada. Jeśli nie wyjedziemy w ciągu godziny, możemy w ogóle nie wyjechać.

Zawahała się, ale w końcu poszła za mężem do przedpokoju, zamiast wrócić do pakowania. Mężczyźni rozmawiali chwilę o fatalnej pogodzie i o tym, ile smutku przyniosła śmierć Winifred.

Josh, najwyraźniej równie niecierpliwy jak Pete, już po kilku minutach przeszedł do rzeczy: od północy cały personel rancza jest zwolniony. Kiedy tylko opuszczą ranczo, otrzymają trzymiesięczną odprawę, która ułatwi im nowy start.

- Przykro mi - powiedział gubernator. - Wiem, że długo i wiernie pracowaliście dla rodziny Quintrellów. Ty i Melissa dostaniecie ekstra odprawę w wysokości półrocznych poborów. I oczywiście chętnie zapewnię wam wszelkie potrzebne referencje.

- Doceniam to. - Pete zdobył się na uśmiech. - Zawiadomię resztę personelu, kiedy zjawią się w poniedziałek, chyba że pan sam chce to zrobić?

Josh przymknął oczy.

- Powinienem, ale nie mam czasu. Nie miałem czasu nawet, żeby tu przyjechać, ale nie mogłem załatwić tego przez telefon. Nie z wami dwojgiem. Uniósł wzrok, zobaczył Melissę i podszedł do niej. Bardzo mi przykro, Melisso. Żałuję, że nie da się inaczej.

- W porządku - odparła z niemal szczerym uśmiechem. - Ostatnio zaszło wiele zmian, więc ta też nie jest tak całkiem niespodziewana.

Kilka minut później Pete i Melissa patrzyli, jak gubernator odjeżdża. Jego biały samochód z wypożyczalni już po chwili znikł w gęstym śniegu.

- Nie zwolnił nas, sami odeszliśmy - powiedziała Melissa. Tylko on o tym nie wiedział.

- I dobrze. Kiedy się odchodzi, nie dostaje się odprawy. - Pete uśmiechnął się. - Rio de Janeiro, nadchodzimy!

Rozdział 59

Taos

Sobota, popołudnie

Paczka z laboratorium czekała pod drzwiami wynajętego domku. Carly podniosła ją i poczekała, aż Dan otworzy drzwi, zamknie je i na nowo włączy alarm.

- Okej - powiedziała. Wyrzuć to z siebie.

- Co?

- To, przez co wyglądasz, jakbyś chciał kogoś zabić.

- Po prostu nie mogę sobie wybaczyć, że byłem taki głupi.

- A konkretnie?

- Przede wszystkim tego, że chociaż już parę razy wyszło mi to bokiem, zachowywałem się, jakbym był na wakacjach.

- Strzelano do ciebie, wrzucono ci cegłę przez okno salonu, musiałeś znosić szydercze uśmieszki szeryfa, rzygałeś jak kot po narkotykach i dwa razy wyciągałeś broń ze szczerym zamiarem zastrzelenia kogoś. Która część przypomina ci wakacje?

Dan uśmiechnąłby się, gdyby nie był tak zniesmaczony samym sobą.

- Moja praca polega na zbieraniu i analizowaniu faktów i wyciąganiu trafnych wniosków. Niestety, jak dotąd nie byłem zbyt skuteczny. Tak to jest, gdy się siedzi za blisko problemu.

- Nie bardzo mi się podoba, że mnie nazywasz problemem.

- Nie chodzi tylko o ciebie, kotku. Chodzi o cały ten bałagan z Quintrellami. Mama wie o wiele więcej, niż mi powiedziała.

- Myślisz, że twój ojciec też wie?

Carly odłożyła paczkę, otrzepała śnieg z kurtki i powiesiła ją przy drzwiach. Zdjęła buty i przeszła po podłodze w grubych wełnianych skarpetkach. Dan zrobił to samo.

- Jeśli nawet coś wie, nigdy się do tego nie przyznał. Ale nie sądzę, żeby wiedział. Nie naciskałby mamy dość mocno, żeby zmusić ją do mówienia.

- A kto oprócz twojej mamy może coś wiedzieć?

- W tym cały problem. Jej matka nie żyje. Nie wiem, kto jest ojcem mamy, a ona twierdzi, że też tego nie wie. - Dan wzruszył ramionami. - Senator mógł wiedzieć, ale on też już nam nie pomoże.

- Tak samo Sylvia i Winifred.
- Jim Snead - powiedział Dan.
- Kto?
- Wilczarz. Jego rodzina od zawsze kręciła się wokół rancza.
- Tak jak rodzina Melissy - powiedziała Carly. - Ale Melissa nie będzie o tym mówić. A Sandoval?
- Oni mówią tylko o sprawach, które uległy przedawnieniu - odparł Dan. Jim jest naszą najlepszą opcją.
- Czy on nie ma brata?
- Blaine. Jeśli nic będzie za bardzo nawalony albo naćpany, może ze mną pogada. Ale może mieć taki sam problem z przedawnieniem, jak Sandoval. Jest na zwolnieniu warunkowym.

- Urocze.

Dan wzruszył ramionami i zaczął układać kawałki piniona w małym gli-nianym kominku.

- Witamy na wsi. Ci, którym się wydaje, że przestępstwa zdarzają się tylko w mieście, nigdy nie mieszkali nigdzie indziej. Ludzie są ludźmi, niezależnie od tego, gdzie przyszło im żyć.

Carly patrzyła, jak Dan rozpala w kominku. Smuzka dymu uniosła się do góry, po czym małe płomyki wgrzyły się w pachnące drewno. Po chwili ciepłe światło tańczyło na palenisku.

Gdyby Winifred żyła - powiedziała - mogłaby nam dać pozwolenie na pobranie próbki tkanek Senatora. I twojej babki.

- Poco?

- Myślałam o Sylvii. O tym, jak wpadła w szal i zaatakowała męża. Co mogło ją doprowadzić do ostateczności? Przecież wiedziała, że to najszybszy rozporek na całym Zachodzie. Czy wybuchł wtedy jakiś skandal, lokalny albo na większą skalę?

- To był sześćdziesiąty siódmy, tak? - zapytał.

- Tak.

Dan zaczął przeglądać w myślach informacje dotyczące tego okresu. Wreszcie pokręcił głową.

- Tylko inwazja hippisów na Taos, wojna w Wietnamie, tego typu sprawy. Żadnych głośnych rozwodów. Nikt się nie wymieniał żonami ani nie został przyłapany na świntuszeniu z ogrodnikiem. Żadnych skandali w związku z wyborami czy praniem pieniędzy.

- To nam niewiele pomoże. Próbuję wejść w skórę Sylvii. Jak bym się czuła, będąc żoną największego uwodziciela po Don Juanie? Czego by było trzeba, żeby mi odbiło?

Dan zachichotał.

- Co cię tak śmieszy? - spytała.

- Gdybyś ty była żoną Senatora i dowiedziałaś się o jego romansach, następnego dnia on obudziłby się bez ekwipunku.

- Dlaczego tak myślisz?

Kobieta tak namiętna w łóżku musi mieć niezły temperament. - Wstał i podszedł do niej. - Podoba mi się to, Carolino May.

- Nie boisz się o swój... hm... ekwipunek?

- Możesz się bawić moim ekwipunkiem, kiedy tylko zechcesz.

- Właśnie się na niego nadziałam - odparła ze śmiechem. Staną na palcach, żeby go pocałować, zamarudziła chwilę i w końcu zmusiła się, by się odsunąć. - Znowu mnie rozpraszasz.

Miał ochotę rozpraszać ją dalej, ale grzecznie schował ręce do kieszeni. Był już najwyższy czas, żeby przestał się czuć jak na wakacjach i zaczął używać mózgu. A stanie blisko Carly nie przyspieszało jego procesów myślowych.

Za to z pewnością przyspieszało mu puls.

- Okej - powiedział. - Sylvia była przyzwyczajona do niewierności. Co nam pozostaje?

Carly miała kilka pomysłów. Od większości z nich ścisła jej się żołądek.

- Może miała jakąś przyjaciółkę, której ufała, a która ją zdradziła z Senatorem?

- Może. AJe wtedy byłoby równie prawdopodobne, że rzuci się na przyjaciółkę, zamiast na męża.

- Tak sądzisz?

- Tak. Ty byś się rzuciła na męża czy na kochankę?

Carly wahała się chwilę, po czym przeszła do kolejnej opcji.

- A gwałt? Gdybym się dowiedziała, że mój mąż zgwałcił jakąś kobietę, to nie wiem, co bym zrobiła. Pewnie próbowałabym go walnąć najcięższą patelnią.

Dan przemyślał jej słowa i skinął głową.

- Dobry pomysł. Melissa może to wiedzieć. To ona próbowała zbyć sugestie Winifred na temat gwałtów.

- Jeśli nawet Melissa wie, ostatnio nie była zbyt chętna, żeby o tym mówić.

- Ostatnio nie naciskaliśmy zbyt mocno - odparł.

- A jakie mamy środki nacisku?

- Pozwólmy jej wybrać: albo porozmawia z nami, a wtedy my nie porozmawiamy z gubernatorem, albo nie porozmawia z nami, a wtedy my porozmawiamy z gubernatorem i powiemy mu, że rozmawiała.

Carly uniosła brwi.

- Przypominaj mi czasem, żebym nigdy nie wchodziła między ciebie i twój cel. - Wzięła głęboki oddech. - Winifred powiedziała, że Sylvia chciała zabić Senatora, tak?

- Tak.

- Więc przychodzi mi do głowy jeszcze tylko jeden powód. Chciałabym zabić męża, gdybym się dowiedziała, że uprawiał seks z naszą córką.

Dan gwizdnął.

- Mnie też sprowokowałyby to do najgorszego - przyznał.

- To by również wyjaśniało, dlaczego twoja mama tak bardzo nienawidzi Senatora. Mogła być owocem kazirodztwa.

Dan aż się wzdrygnął. Jednak zdawał sobie sprawę, że to możliwe.

- Moja babka nie była święta, ale dlaczego miałaby mówić swojej córce coś takiego, zwłaszcza gdyby to była prawda?

- A dlaczego nie? Była wiecznie naćpana i nawalona i nienawidziła życia i świata, bo jej ojciec miał popęd kozła i moralność glisty.

Dan patrzył w ogień, układając sobie w głowie możliwości wynikające ze słów Carly. Nie podobał mu się obraz, jaki się z nich wyłonił, ale nie mógł go zignorować.

Carly podeszła do komputera i zaczęła szukać informacji na temat Elizabeth, znanej jako Liza Quintrell. Najpierw pojawiły się zdjęcia. Mała Liza na kolanach Senatora. Liza podsadzana na kucyka. Liza z błękitną wstęgą zdobywczyni pierwszego miejsca w wyścigach na rodeo i dumny ojciec stojący obok.

- Z ręką na jej łydce i pożądaniem w oczach - rzucił Dan zza pleców Carly.

- Liza ma tu jakieś trzynaście, najwyżej czternaście lat.

- Mniej więcej wtedy zaczęła szaleć - odparł,

- To ostami raz, kiedy Senator i jego córka pozwolili razem do zdjęcia - dodała Carly. - Potem fotografował się ze wszystkimi, tylko nie z nią.

- Jeśli twoje podejrzenia są słuszne, to Liza wolała nie zbliżać się do ojca.

Carly podzieliła ekran i przywołała fotografię ze ślubu Senatora.

- Ciagle mam przed oczami zdjęcie, na którym obejmuje swoją młodą żonę i... Zobacz, jak patrzy na tę drugą kobietę. Powiększyła odpowiednią część fotografii, wycięła i umieściła obok zdjęcia Lizy z Senatorem. - Żałuję, że Sylvia go nie zabiła.

Dan przyjrzał się obu fotografiom. Drapieżne spojrzenie Senatora nie zmieniło się; inna była tylko kobieta, na którą patrzył.

- Jak pomyśle, ile moja babka i matka przez niego wycierpiały - powiedział - sam mam ochotę go zabić. Jest tylko jeden problem.

- Za wcześnie umarł?

Mimo ponurych bruzd wokół ust Dan uśmiechnął się i pociągnął za kosmyk, który Carly owijała wokół palca.

- To też. Ale zakładamy, że tajemnica, która tak niepokoi Josha, przetrwała śmierć Senatora.

- Istnieje paragraf mówiący o przedawnieniu kazirodczego gwałtu? - zapytała Carly.

- Jasne. Zawsze znajdzie się jakiś paragraf o przedawnieniu. - Dan wzruszył ramionami. - Nawet jeśli udowodnimy, że Senator miał dziecko z własną córką, nie widzę, jak mogłoby to zaszkodzić Joshowi. Co najwyżej wzbudzi współczucie dla niego. Wątpię, żeby gubernator przejmował się ujawnieniem sekretu sprzed pięćdziesięciu lat. Wypłacze się publicznie, założy fundację na rzecz badania i zwalczania przyczyn kazirodztwa i pójdzie do kościoła pomodlić się za duszę Senatora i swojej biednej siostry. I na pewno nie obniży to jego notowań.

- Czyli wszelka odpowiedzialność prawna za zbrodnie Senatora, choćby najgorsze, umarła razem z nim?

- Tak. Przynajmniej w kontekście zagrożenia dla kariery politycznej jego syna. Josha gryzie coś innego.

- Gorszego niż kazirodztwo? Przerazająca myśl.

- Prawda? - Dan zmarszczył brwi.

- Myślisz, że Winifred wie... wiedziała? Do diabła, kiedy Melissa zadzwoni do nas z jakimiś wieściami?

- Kiedy tylko Josh się tu zjawi i ustali wersję dla mediów. Ale sądzę, że plotki *Hispanos* mówią prawdę. Winifred nic żyje.

- Ciekawe, czy wiedziała.

- O tej tajemnicy?

- Nic. Że umrze. To by wyjaśniało, dlaczego przysłała mi ten list.

- Nie zdziwiłbym się. Winifred nie pasowała do naszych czasów. Może do żadnych. - Dan znów zapatrzył się w ogień. - Gdybyś chciała zdobyć dowód kazirodztwa pięćdziesiąt lat po fackie, kiedy zainteresowani nie żyją, a żyjący potomkowie nie chcą pomóc, co byś zrobiła?

- Dowód?

- Genetyczny.

- Potrzebowałabym próbki tkanek Senatora. Próbka córki też by się przydała.

- Ale nie jest konieczna?

Nie na tym etapie. Tak naprawdę potrzebujemy próbki domniemanego dziecka z kazirodczego związku Senatora.

- Dziecka, powiadasz. Czyli potrzebujemy próbki DNA mojej matki.

- Tak.

Dan wyciągnął z kieszeni zakrwawioną chusteczką.

- To się nada?

Rozdział 60

*Grań Castillo
Sobota, popołudnie*

Jasny punkt rubinowego światła przebił się przez padający śnieg, kiedy snajper sprawdzał optyczny celownik. Litry wody, które wylał na ostry zakręt, były już niewidoczne - płaszczyzna litego lodu pod warstewką śniegu. Jeśli lód nie wystarczy, żeby wyrzucić ich auto z szosy na kilkudziesięciometrową stromiznę, bez trudu dokończy robotę. Choć wolałby wypadek. Mniej pytań.

Na drodze z rancza zabłyśły światła samochodu. Droga znajdowała się na terenie prywatnym, ale władze hrabstwa posyłały na nią pług śnieżny wystarczająco często, by była przejezdna. Światła zbliżały się z zaskakującą prędkością. Najwyraźniej kierowca uważał, że napęd na cztery koła poradzi sobie ze wszystkimi niespodziankami, jakie miała w zanadru aura.

Człowiek uczy się na błędach, pomyślał snajper.

Albo ginie.

Czekał cierpliwie, niewidzialny na grani.

Furgonetka parła naprzód w świetle późnego popołudnia. Raz po raz podskakiwała na wybojach; było ich tyle, że nie dało się wszystkich ominąć.

Kiedy samochód zbliżył się do zabójczego zakrętu, palec snajpera oparł się o spust.

Przednie opony trafiły na oblodzone muldy i furgonetka zaczęła sunąć w kierunku stoku. Kierowca opanował poślizg i prawie odzyskał kontrolę nad autem, kiedy czerwony punkt błysnął na wewnętrznej stronie przedniej prawej opony. Rozległ się grzmot, przytłumiony padającym śniegiem. Opona zapadła się, światła podskoczyły w górę i w bok.

Furgonetka zatańczyła dziko na lodzie, wyprysnęła z szosy i, koziołkując, poleciała w ciemność poniżej.

Snajper czekał, wpatrując się w padający śnieg.

Kiedy był już pewien, że nikt nie widział wypadku, przypiął rakiety śnieżne i okrężnym szlakiem zszedł na drogę, a potem w dół zbrocza, by odszukać wrak.

Najpierw znalazł mężczyznę. Ewidentny zgon na miejscu. Idiota nie przypiął pasa. Snajper zszedł jeszcze niżej, do samego wraku. Kobieta wciąż żyła, półprzytomna i zakrwawiona, z twarzą posiekaną okruchami szkła, w które zamieniło się okienko pasażera. Przysiadł na piętach, sprawdził jej puls i westchnął.

Jedną ręką ujął jej podbródek, drugą bok czoła i delikatnie poszukał odpowiedniego kąta.

Po chwili otworzyła oczy i spojrzała na niego.

- Ty - powiedziała słabo. - Zabiłam ich oboje dla ciebie... Senatora i Wini-fred... żeby zachować tajemnicę.

- To dobrze.

Rozległ się pojedynczy suchy trzask.

Snajper wstał i odszedł, znikając po chwili za ścianą białych płatków.

Rozdział 61

*Droga na ranczo Quintrellów
Sobota, rano*

Dan nie był zachwycony, że Carly jedzie z nim, ale pomysł zostawienia jej z matką też niezbyt mu się podobał. Poza tym to Carly miała pozwolenie wejścia na ranczo. Towarzysząc jej, nie złamie prawa.

A że to, co chciał zrobić Dan, znalazłszy się na terenie rancza, nic było zgodne z prawem, nie zdradził Carly swoich planów. Gdyby coś poszło nie tak, będzie mogła powiedzieć, że nie miała zielonego pojęcia o jego zamiarach, i zrobić naprawdę zdumioną minę.

Śnieg padał teraz z przerwami, a niejednostajną masą, która zasypywała wszystko. Dwudziestu pięciu centymetrów, które już napadały, było naprawdę dość. Jeśli w ciągu dnia śnieżyca ustanie, zacznie wiać wiatr i tworzyć zasy z sypkiego puchu. Dan chciał wrócić do Taos, zanim to nastąpi,

Czuł, że jeśli wprowadzi jeszcze jedno zdjęcie do komputera, wypełni jeszcze jeden genealogiczny formularz albo jeszcze chwilę będzie myślał o tym, co powiedziała jego matka, to zwyczajnie zwariuje.

Na drodze był tylko jeden paskudnie oblodzony odcinek, ale że prowadził, jakby każdy centymetr był pokryty litym lodem, bez trudu utrzymał panowanie nad furgonetką.

Rany - mruknęła Carly, przytrzymując się deski rozdzielczej, kiedy samochód wpadł w poślizg.

- Trzeba pamiętać o tym miejscu, kiedy będziemy wracać.

Wycieraczki pracowały niemrawo, ugniatając śnieg z boku szyby. Furgonetka objechała podnóża grani Castillo i ruszyła w dolinę, w stronę rancza Ouintrellów. Śnieżny szkwał stopniowo rzedniał, aż zupełnie ustał. Na niebie pojawiło się kilka wstążek błękitu i poświata w miejscu, gdzie za chmurami znajdowało się słońce.

Oprócz lampek na podjeździe i wzdłuż chodników w żadnym z budynków rancza nie paliło się światło.

- Lucia miała rację - powiedziała Carly. W niedzielę wszyscy mają wolne.

Lucia była tak zadowolona, że Carly i Dan nie chcą się z nią widzieć, że trajkotała do telefonu przez kilka minut, zanim Dan zdołał się wreszcie rozłączyć, nie będąc nieuprzejmym.

Podjechał pod front domu i wyłączył silnik.

- Gotowa?

Nawet z pozwoleniem Winifred czuję się jak złodziejka.

- Dlatego wejdziemy frontowymi drzwiami, zapalimy wszystkie światła i będziemy się zachowywać jak państwo na włościach.

Wysiedli z furgonetki. Carly niosła swój cyfrowy aparat, komputer i tekturowe pudło, na wypadek gdyby znalazła coś, co warto będzie zabrać. Dan miał walizkę, do której przed wyjściem z domu spakował coś, co wyglądało na napęd twardego dysku, rozmaite kable i złączki, przenośny komputer, aparat fotograficzny i jeszcze jakiś sprzęt, którego nie potrafiła zidentyfikować. Wiedziała tylko, że przez kwadrans gadał przez komórkę z jakimiś ludźmi z St. Ki Ida Consulting, zanim wyjechali z Taos.

- Zacziesz w pokoju Winifred - przypomniał jej.

Potem pokój Sylvii i gabinet Senatora - powiedziała. - Pamiętam. A ty co będziesz robił?

- Nie zadałaś tego pytania - rzucił.

Już chciała zaprotestować, ale zmieniła zdanie.

Poszła do pokoju Winifred, pstrykając po drodze wszystkimi włącznikami, jakie jej się nawinęły pod rękę.

Kiedy tylko Carly zniknęła mu z oczu, Dan naciągnął gumowe rękawiczki. Nie zapalając żadnych świateł, ruszył do gabinetu Senatora, włączył kom-

puter, złamał śmiechu wartość zabezpieczenia w niecałe trzy minuty i zaczął kopiować zawartość twardego dysku na dysk, który przyniósł ze sobą.

Kiedy komputery zawierały przyjaźń, przeszukał biurko z wprawą, która zapewne zdenerwowałaby Carly. Nic nie wpadło mu w oko. Nie było żadnych kluczy do szafek z aktami ani do skrytek pocztowych. Nic poza spinaczami do papieru i długopisami. W teczkach znalazł tylko parę zaproszeń na lokalne imprezy, najnowsze sprzed dziewięciu miesięcy.

Dan przeszukał nieliczne książki w gabinecie. Żadnych kartek powitykanych między stronice, żadnych oślich uszu, nic nie schowano pod obwoluciami. W szafie był jedynie zapas przyborów biurowych. Zamkniętą na klucz szafkę na dokumenty otworzył w kilka sekund; zawierała wyłącznie tecki opatrzone pieczęcią ZESKANOWANE. Najwyraźniej dokumentacja rancza była w pełni skomputeryzowana.

To mu znacznie ułatwi pracę.

Zobaczył, że komputery wciąż przesyłają sobie bajty, poszedł więc do mieszkania Melissy i Pete'a. Oszklony łącznik był lodowaty. Zamknięte na klucz drzwi otworzyłaby małpaz kartą kredytową. Nie było tu gabinetu, tylko wielka sypialnia. Szuflady komody pełne były najzwyklejszych rzeczy. Nic nie przyklejono od spodu. Żadne niespodzianki nie znalazły się między materacami ani pod łóżkiem. W szafie były ubrania, buty, pudełka po butach...

Bingo.

Jedno z pudełek, podniszczone na rogach i z pogniecioną pokrywką, było spięte nową gumką. Dan ostrożnie je wyjął i zdjął pokrywkę. W środku znalazł pliki pocztówek, listów i zdjęć.

Wyłożył wszystko na łóżko, w takim samym porządku, w jakim leżało w pudełku. Potem włączył światło i zaczął robić zdjęcia. Cyfrowy nikon, którego używał, miał bezpośrednio, bezprzewodowe połączenie z jego komputerem. Działo do stu dwudziestu metrów. Gabinet Senatora był o wiele bliżej. Dan sfotografował przód i tył każdego dokumentu z pudełka.

Gdy pstryknął ostatnie zdjęcie, poskładał wszystko na kupki i schował do pudełka. Założył wieczko, spiął pudełko gumką i odstawił dokładnie tak samo, jak je znalazł.

Wyłączył światła i ruszył z powrotem do gabinetu Senatora. Komputery skończyły. Dan odłączył swój, kazał komputerowi Senatora zapomnieć, że był włączany, i postawił go na wolnym od kurzu prostokącie na biurku.

Pokojówkom nie chciało się dokładnie sprzątać. Nic dziwnego. Nie mieszkali tu już nikt oprócz Pete'a i Melissy.

Sprawdziwszy, czy sfotografowane dokumenty zostały odebrane przez jego komputer, spakował wszystko do walizki i poszedł do samochodu. Zamienił

walizkę na pas z narzędziami - między innymi akumulatorową wiertarką i kolekcją półmetrowych wiertel, które były w stanie przebić się przez wszystko, od betonu po stal. W kieszonkach pasa, jak przzerośnięte naboje, tkwiły niewielkie pojemniki z laboratorium Gencdyne.

Dan złapał kilof i łopatę z paki furgonetki i ruszył na cmentarz Quintrelłów.

Rozdział 62

Taos

Poniedziałek, popołudnie

Kuląc się przed wiatrem i śniegiem, Gus zapukał do drzwi domku Dana, jednocześnie przekręcając gałkę. Zamknięte, choć samochód stał na podwórku. Gus pokręcił głową. Brat był jedynym znanym mu człowiekiem, który zamykał drzwi na klucz, będąc w domu.

- Dan, to ja, Gus! Zaraz mi tyłek odmarznie!

Trzydzieści drugich sekund później drzwi otworzyły się. Carly wyjrzała, odsunęła się na bok i zatrzasnęła je z powrotem, ledwie Gus wszedł do saloniku. Mimo to najróżniejsze genealogiczne wykresy i papierzyska zaczęły fruwać, uniesione lodowatym podmuchem wiatru.

- Przepraszam powiedział Gus. Wskazał zabite sklejką okno. - Co się stało?

Cegła wskakuje przez okno, szyba się tłucze - powiedział Dan. - Cwany najemca bierze sklejkę i zatyka dziurę.

- Ktoś ci wybił okno?

- Owszem.

- Co na to szeryf?

- Zareagował na to tak samo jak na wszystkie nasze zgłoszenia, czyli nie zrobił nic. Dlatego Carly mieszka tutaj, a nic na ranczu.

- Kurczę, a ja się nastawiałem na siostrzeńców albo...

- Zamknij się - warknął Dan.

Gus zaczął wydawać stłumione dźwięki, jakby próbował mówić przez knebel.

Carly zachichotała.

Dan posłał bratu spojrzenie wyrażające coś pomiędzy rozbawieniem a irytacją.

- Okej, okej - powiedział Gus i zwrócił się do Carly: Kiedy mój starszy... o wiele starszy brat ma taki wzrok, to znaczy, że zaraz w coś przykopie. A ja nie lubię kopniaków. - Sięgnął pod kurtkę i wyciągnął dużą kopertę z logo gazety. - Tu jest lista okolicznych dzieci, które urodziły się w ciągu dziesięciu miesięcy od wizyt Senatora. Gwiazdką oznaczyłem dzieci kobiet w odpowiednim wieku, by zainteresowały Senatora.

- Od pokwitania do menopauzy? - zapytała Carly.

- O ile wiem, nic miewał wielu kochanek powyżej trzydziestki - odparł Gus. - A już na pewno żadna nie wyglądała na więcej.

Carly stanął przed oczyma obraz Senatora z ręką na łydce trzynastoletniej córki.

- Dziwne, że nikt nigdy nie pociągnął go do odpowiedzialności - rzuciła.

- To jeden z przywilejów władzy - stwierdził Dan.

- Jak wzbogacanie się na urządzie? - odgryzła się.

Właśnie tak. Dan otworzył kopertę, wyjął z niej płytkę CD, którą pożyczzył bratu, i jeszcze jedną. Ile jest tych nazwisk?

- Nie liczyłem - odparł Gus. - Płodna z nas gromadka, tu w Taos.

- Widziałeś się ostatnio z mamą? - zapytał Dan.

- Dziś rano.

- Jak się miewa?

- Jest wstrząśnięta tym, co spotkało Pete'a i Melisę, ale...

- A co ich spotkało? - przerwała mu Carly, zdziwiona. - Gubernator ich zwolnił?

Gus spojrział na nią i na Dana.

- Nie wiecie. Było to stwierdzenie, nie pytanie. - Zginęli w wypadku samochodowym, wczoraj, w drodze do miasta.

- Gdzie? - zapytał Dan głucho.

- Kojarzysz to miejsce, gdzie droga z rancza okrąża podnóże grani Castillo i biegnie dalej serpentyną do autostrady.

- Kojarzę - odparł Dan. - Co się stało?

- Widocznie byli spóźnieni, bo Pete jechał za szybko. Trafił na lód, stracił panowanie nad samochodem i wypadł z drogi. Znaleźli ich dopiero dzisiaj rano. Sneadowie szli tamtędy z zapasami dla pasterskich szałasów.

Dan skinął głową. Była to powszechna tradycja praktykowana przez okolicznych farmerów. Pozwalała zabłąkanym turystom doczekać nadejścia pomocy.

- Sneadowie zobaczyli światło pod śniegiem u stóp grani, od strony miasta. To były reflektory. Zeszli na dół i znaleźli Melisę. - Gus pokręcił głową. - Pete'a odnaleźli jakieś sto metrów powyżej samochodu. Widocznie

nie zapiął pasa. Gdyby wiatr nie odwiał śniegu, a pies Jima miał gorszy węch, nikt by go nie znalazł aż do wiosny.

- Co szeryf ma do powiedzenia na ten temat?

Nie przeprowadzono jeszcze autopsji, ale wszystkie obrażenia wyglądają na spowodowane paskudną wywrotką.

Carly pomyślała o snajperze na grani Castillo, który był w stanie strzelać w kierunku rancza i na drugą stronę grani.

Spojrzała na Dana.

Pokręcił lekko głową i powiedział do brata:

Dzięki za pomoc. A teraz idź i spędź trochę czasu z rodziną. Uściskaj wszystkich ode mnie, okej? I nic dzwoń do mnie. Nie pokazuj się ze mną. I z mamą. Przez jakiś czas.

- Co jest grane? rzucił gniewnie Gus.

Nie wiem. I dopóki się nie dowiem, trzymaj się z daleka ode mnie i od niej.

- A co z Carly?

- To samo odparła cicho. - Po prostu trzymaj się z daleka. Traktuj to jak tymczasową kwarantannę.

- Pomyśl o dzieciakach - dorzucił Dan.

« Wy mówicie poważnie. - Gus wybałuszył oczy na brata.

- Tak.

- Czy mama wie?

Nie pytaj jej - odparł Dan. - Nie pytaj nikogo. I nikomu nie ufaj.

- Nawet...

- Nikomu - uciał szorstko Dan.

Gus sapnął gniewnie, odwrócił się i ruszył do drzwi.

- Do zobaczenia, bracie. A kiedy się znów zobaczymy, lepiej, żebyś miał dla mnie wyjaśnienie. I to dobre.

Drzwi zamknęły się za nim z hukiem.

Rozdział 63

Taos

Poniedziałek, popołudnie

Carly przez chwilę gapiła się na drzwi. W końcu spojrzała na Dana.

- Myślisz o tym samym co ja? - zapytała.

- Ze komuś właśnie uchodzi płazem morderstwo? - powiedział.

- Czy to nie jest jedyne przestępstwo, które nie ulega przedawnieniu?

- Zgadza się.

- Ale jakoś nie dają rady połączyć przeszłości z teraźniejszością.

- Ja też. Jest zbyt wielu ludzi, którzy nienawidzili Senatora, i zbyt wiele powodów, dla których ktoś mógł chcieć go zabić. Albo...

- Co?

- Szantażować go.

- Czy to nam w czymś pomaga?

- Po prostu kolejna garść klocków, które nigdzie nie pasują. A co?

Carly zmarszczyła brwi.

Kiedy dochodzę do takiego punktu ... wiesz, za dużo faktów i żadnego spójnego obrazu, zatrzymuję się i próbuję innego spojrzenia i sposobu kojarzenia informacji.

Dan skinął głową. On też tak robił. Czasami to pomagało, a czasami tylko jeszcze bardziej gmatwało sprawę. Tak czy inaczej, był to nowy mur do rozwalenia.

- Więc gdybyśmy podeszli do tego inaczej? - powiedziała Carly. - Gdybyśmy założyli, że Winifred nie majaczyła na temat Senatora i jego syna? Wtedy musielibyśmy uznać, że był jakiś racjonalny powód jej nienawiści.

Dan znieruchomiał.

- Mów dalej.

- Gdybyśmy założyli, że twoja babka nie była tylko patologiczną kłamczucha i narkomanką? Że wiedziała, co mówi, przynajmniej chwilami? Przyjmijmy, że jej czyny miały racjonalną podstawę.

Dan uniósł brwi.

- To już naciąganie.

- Czekaaj.

Carly poszła do sypialni, wróciła z dyktafonem i przy drugiej próbie znalazła to, co chciała odnaleźć. W pokoju rozległ się szept Diany Duran, przeplatany głosem Dana.

- To się znowu dzieje.

- Co?

- Zło. Śmierć, która nie powinna mieć miejsca. Moja matka, jej krzyki i śmiech, potem już tylko krzyki.

- Dlaczego krzyczała?

- Bo zmarły chodzi pośród żywych. Wiem to na pewno. Widziała go przyjaciółka mojej matki. Susan. Powiedziała matce, a matka powiedziała mnie. Moja matka widziała ducha

pewnego człowieka. Chodzącego trupa, używającego imienia żywego człowieka. Dwa dni później już nie żyła.

Dał się słyszeć głos Carly, pytający łagodnie:

- Kogo widziała?
- Kaina.

Po chwili Dan zadał kolejne pytanie. Udręczony głos Diany odpowiedział:

- Pamiętam. Dokładnie pamiętam jej słowa. Żyją w moich snach. W koszmarach. Powiedziała: „Umarły chodzi po świecie i jada na ranczu mojego ojca. Kain żyje, a Abel umarł”.

Carly wyłączyła dyktafon.

- Senator miał dwóch prawowitych synów.

Dan spojrział na kopertę, którą wciąż trzymał w dłoni.

- I całe mnóstwo dzieci, których nie uznał.
- Czy to możliwe, żeby Josh zabił starszego brata?

Dan zmrugał oczy. Podeszedł do komputera, przywołał odpowiednie pliki, przeszukał je.

Mało prawdopodobne. Josha nie było w Wietnamie, kiedy jego brat walczył za kraj. Zresztą byli świadkowie śmierci Andrew. Zginął, ratując swoich towarzyszy. Gdyby przeżył, miałby tyle medali, że nic mógłby ustać prosto.

Więc Kain i Abel to nie jest dokładna analogia. - Carly milczała chwilę.

- Ale gdyby któryś z bękartów...

- Jakimś cudem zajął miejsce ślubnego syna? dokończył Dan.
- Tak.
- Jak? Kiedy?
- To by musiało nastąpić po wylewie Sylvii.
- Dlaczego?

Bo niemożliwe, żeby Sylvia pozwoliła mężowi umieścić któregoś z bękartów w rodzinie jako spadkobiercę.

- Słusznie. Zwłaszcza jeśli uważała, że pieprzył ich córkę.

Carly skrzywiła się.

- Jesteś wulgarny.
- Nie da się sympatycznie mówić o kazirodztwie.

Westchnęła.

- Masz rację. Po prostu cała ta sprawa jest dla mnie obrzydliwa.

Martwiłbym się, gdyby nie była. - Pocałował ją delikatnie.

- Przepraszam - powiedziała. Na chwilę zapomniałam, że twoja mama...
- Może być dzieckiem z kazirodczego związku?

Skinęła głową,

Odprowadził Carly do „warsztatu”, który sobie urządzili. Łóżka używali jako stołu, karcianego stolika jako terminalu komputerowego, a krzesła przykrytych skórą jako szafek na akta. Nadmiar dokumentów układali na podłodze.

- Okej - powiedział. Nawet jeśli te pomysły nie prowadziły do niczego, lepiej błądzić po nowym terytorium, niż miotać się w kółko po wciąż tym samym. - Jeżeli przyjął twoje założenia, zamiana miała miejsce po wylewie Sylvii.

- Chyba że to zamiana tak ją rozjuszyła, że rzuciła się na męża - odparła Carly. - Nie przeszłaby nad tym do porządku dziennego.

- Zgoda.

Dan usiadł przed jednym z trzech komputerów, których używali - dwa należały do niego, jeden do Carly - włączył. Miał w tym komputerze bardziej poręczny program do wyszukiwania danych niż ten zainstalowany na laptopie Carly; na twardym dysku znajdowały się już wszystkie informacje dotyczące rodziny Quintrellów oraz baza danych rancza, o której jej jeszcze nie wspominał.

- W tym czasie - powiedział - Josh miał około dwudziestu siedmiu lat. Ktoś, kto chciałby zająć jego miejsce, musiał być w podobnym wieku i podobnej budowy. Ta osoba musiałaby też „umrzeć”, kiedy dokonano zamiany. Szukam więc bękartów płci męskiej, między metrem osiemdziesiąt a metrem osiemdziesiąt pięć wzrostu, w wieku od dwudziestu dwóch do trzydziestu dwóch lat, który umarł kilka lat przed lub po 1967. Akty zgonu nie podają wzrostu, więc najpierw zajmę się wiekiem.

Włożył płytkę CD, którą zostawił Gus, i już po chwili przeszukiwał bazę.

- Wietnam - powiedział. - To musiał być Wietnam.
- Miejsce śmierci?

Dan skinął głową.

- I zamiany. Jeśli była jakaś zamiana.

Jeśli jej nie było, nasze założenia szybko upadną, prawda?

- Założenie - odparł zamyślony - to matka wszystkich pomyłek i ma bardzo wiele dzieci.

Carly patrzyła na monitor.

- Przypomnij mi, że mam ci ukraść ten program.
 - Zmodyfikuję go specjalnie dla ciebie. Ale nie za darmo.
- Spojrzała na niego z ukosa i rzuciła:

- Umowa stoi.
- Nie chcesz wiedzieć, jaka jest cena?
- Jeśli tylko będzie mnie stać, to coś wymyślę. Albo ty.

- Rozpraszasz mnie - rzucił.
- Dziękuję.
- A niech mnie - powiedział, patrząc na ekran.
- Słucham?

Jest pięciu kandydatów, którzy pasują do profilu. Dziewięciu, jeśli wziąć pod uwagę całe dziesięć lat rozpiętości wiekowej.

- Aż tylu?
- To tylko ci, którzy zmarli albo zaginęli i są mniej więcej w podobnym wieku. W interesującym nas okresie urodziło się o wiele więcej niż dziewięciu chłopców.

I wszyscy są synami Senatora? - zapytała Carly.

Dan roześmiał się.

Nie. Po prostu nie ma dowodów, że nie są jego bękartami.

Już mi lepiej. Ale i tak Senator mógłby zapędzić Dżingis Chana w kozi róg.

Jak to?

Według pewnych badań Y-DNA w Azji, około ośmiu procent populacji to bezpośredni potomkowie Dżingis Chana - odparła. - W porównaniu z przeciętnym mężczyzną to kosmicznie wysoka skuteczność reprodukcji.

- Na czym polegał jego sekret?
- Gwałt i morderstwo. Wymordować mężczyzn i chłopców, zapłodnić kobiety i dziewczęta i ruszać dalej. Jeśli wierzyć ustnym przekazom, był niezmordowany nie tylko na polu bitwy.

Dan uniósł brwi.

- Proszę, proszę, czego to się dowiaduję, zadając się z naiwną panią genealog.

- Naiwną?
- I piękną. Wspomniałem już, że piękną?
- Teraz wiem, że ta kula uszkodziła ci mózg.

Zanim zdążył się odgryźć, poczuł muśnięcie jej warg na skroni. Naprawdę ciężko było się skupić.

- Kandydaci - powiedział głośno. Jakie jeszcze warunki powinni spełnić oprócz śmierci czy zniknięcia, czy... kotku, jeśli dalej będziesz mi oddychać do ucha, zaraz wylądujesz na moich kolanach, i to bez ciuchów.

Carly wyprostowała się i odsunęła o krok, żeby jej nic kusiło.

- Kandydaci. Hm, wiek, śmierć, to już mamy. - Odetchnęła głośno. - A co ze wzrostem, kolorem oczu i tak dalej?

Daj mi chwilę.

Podeszła do własnego komputera, przywołała rodzinne zdjęcia z opisami i zadumała się nad nimi. AJ. IV miał czarne włosy, jak Senator, i ciemne oczy po matce. Josh miał czarne włosy i niebieskie oczy - żywa kopia Senatora. Liza była ciemnooką blondynką. Siostra, która zmarła jako dziewięciolatka na polio, miała brązowe włosy i niebieskie oczy. Diana Duran miała czarne włosy i ciemne oczy. Dan miał czarne włosy i niesamowite, piękne, zielone oczy...

Nawet nie zaczynaj.

Carly wróciła myślą do fenotypów. A było z czego wybierać. Od ciemnych włosów i czarnych oczu po niebieskookich blondynów. Niewiele z tego wynikało.

Zaczęła się więc zastanawiać, dlaczego Pete i Melissa musieli umrzeć. Kto na tym skorzystał?

Prawdopodobnie ich dzieci, ale były już dorosłe i mieszkały poza stanem.

Powróciła myślami do intrygującego pomysłu zamiany tożsamości. Senator musiałby o tym wiedzieć. Tylko czy poszedł na to z własnej woli, po to, by jego nieślubny syn odziedziczył ziemię i władzę, czy też uzurpator miał na niego jakiegoś haka?

Na przykład kazirodztwo?

Morderstwo?

Carly wyjęła żółty notatnik i zaczęła myśleć na papierze. Kto na pewno wiedział o kazirodztwie. Kto mógł wiedzieć. Kto jeszcze żyje i mógłby zagrozić gubernatorowi -jeśli faktycznie był on oszustem.

Na pewno wiedzieli Senator i Liza. Biorąc pod uwagę psychiczne rozchwianie Lizy, mogła powiedzieć albo dać do zrozumienia najlepszej przyjaciółce, że ojciec ją zgwałcił. Prawdopodobnie więcej niż raz. Zaczęło jej odbijać, kiedy miała trzynaście lat, ale Dianę urodziła jako szesnastolatka. Oczywiście mógł ją zapłodnić któryś z chłopaków lub klientów. Kiedy Genedyne zrobi badania, okaże się, czy Diana ma Y-DNA Senatora. Do tego momentu było to tylko założenie wynikające z okoliczności i wspomnień żyjących osób.

Carly zakreśliła Senatora i Lizę. Liza oczywiście mogła szantażować ojca - i pewnie robiła to w ten czy inny sposób - ale ona nie żyła już od lat, a Pete i Melissa zginęli wczoraj, więc łączenie ich poprzez szantaż było mocno naciągane.

Susan.

Susan Mullins, babka Melissy Moore. Ona też zginęła dawno temu.

Razem z Lizą.

Carly poczuła przypływ energii, jak zawsze, kiedy trafiała na obiecujący genealogiczny trop.

Jeśli Susan wiedziała, mogła o tym powiedzieć swojej córce albo synowi - albo nawet Sneadom, którzy być może są wnukami Senatora.

Ciekawe, czy zgodziliby się wysłać próbki do Gnedync.

Jeśli córka... jak jej było na imię? Letty, Kitty, Betty? Właśnie tak, Betty. Jeśli Betty wiedziała, mogła powiedzieć własnej córce, Melissie.

Carly wykreślała linie związków genetycznych, sprzyjających okoliczności. Na razie wszystko było prawdopodobne. Wszystko mogło się wydarzyć. Ale to nie dowodziło, że się zdarzyło. Właśnie dlatego sądy tak ostrożnie traktują dowody poszlakowe.

Podniosła głowę i zobaczyła, że Dan na nią patrzy.

- Jest? - zapytała.

- Po prostu obserwuję analityczny umysł przy pracy.

- Raczej obdarzony bujną wyobraźnią. - Owinęła na palcu kosmyk włosów i prychnęła z niesmakiem. - Ale przez chwilę miałam niezłą frajdę.

- Z czego?

- To zbyt pokręcone, żeby się dało wytłumaczyć.

- Zaufaj mi. Mam bardzo pokręcony umysł.

Carly wahała się.

- Będiesz się śmiać.

- Nie. Na tym etapie śledztwa żadna hipoteza nie jest zbyt śmiała czy śmieszna.

Spojrzała na niego i przekonała się, że naprawdę tak myśli.

- Jeśli się uśmiechniesz, to cię ugryzę - ostrzegła.

- Teraz mnie prowokujesz.

Carly przewróciła oczami, ale oparła się pokusie.

- Jeśli był jakiś uzurpator, to Senator musiał brać w tym udział, tak?

Dan kiwnął głową.

- Facet nie był ojcem roku, ale poznałby własnego syna.

- Mamy więc dwie możliwości. Senator zgodził się na to po dobroci albo był szantażowany.

- Czym?

- Kazirodztwem.

- Skąd uzurpator wiedziałby o kazirodztwie?

- Od Susan Mullins - odparła Carly. - Była przyjaciółką Lizy...

Współpracownicą sprostował Dan. - Puszczają się razem, żeby zapłacić za narkotyki.

- Ale mogła wiedzieć.

- Zgadza się. To nawet prawdopodobne. Molestowanie w dzieciństwie to jedna z rzeczy, które zbliżają prostytutki.

- Boże - rzuciła Carly. - Skąd się biorą ci zwyrodnialcy? - Uniosła dłoń.

Pytanie retoryczne. Tak, jestem naiwna. Nie chcę nawet myśleć o tych chorych, obrzydliwych... - sapnęła głośno. - Przepraszam. Empatia bywa przekleństwem.

- Nie potrafisz myśleć o nich jak o klockach układanki, a nie istotach ludzkich, które cierpiały, płakały, pragnęły i przegrywały? zapytał.

Carly znieruchomiła.

- Ty też to czujesz, prawda?

- Staram się nie czuć.

- Ale czujesz.

- Tak. I tylko mi to przeszkadza w wykonaniu roboty.

Carly chwyciła dłoń Dana i mocno uściśnęła.

- Układanka. Dobra. No to jazda. Gdzie byliśmy?

- Zakładamy, że Susan Mullins mogła wiedzieć o kazirodczym związku Senatora z córką.

- Związku? Czyli więcej niż raz czy dwa razy?

- W kazirodztwie, tak jak w gwałcie, chodzi raczej o władzę niż o seks - powiedział Dan. - Dopóki dziecko mieści się w przedziale wiekowym interesującym napastnika, akty kazirodcze powtarzają się.

Nie chciała o to pytać, ale nic mogła się powstrzymać.

- W przedziale wiekowym?

- Gwałt nie zależy od wieku ofiary. Obiekty gwałtu zwykle są w tym samym wieku i typie co obiekty zdrowego zainteresowania seksualnego. AJe niektórych zwyrodnialców interesują tylko dzieci przed okresem pokwitania. Jeszcze inni preferują najmłodsze dzieci.

Carly zaczęła mrowić skórą.

Dan mówił dalej, niewzruszonym, neutralnym tonem.

- Niektórzy pedofile preferują dzieci tuż po okresie pokwitania. Wydaje się, że Senator należał do tej ostatniej kategorii. Młode, ale nic obsceniczne. Zdaje się, że w niektórych stanach trzynastcie lat jest wciąż uważane za wiek odpowiedni do małżeństwa. W pewnych krajach tylko menstruacja odróżnia kobietę od dziecka. Z tygodnia na tydzień dziewczynka staje się seksualnie osiągalną kobietą.

Klocki układanki. Carly zmuszała się, by oddychać. Zwykłe klocki.

- Inaczej mówiąc - ciągnął Dan - akty kazirodcze prawdopodobnie się powtarzały do momentu opuszczenia domu przez Lizę, a być może trwało to dłużej, dopóki Liza nie skończyła trzydziestu lat. Więc Susan mogła o tym wiedzieć, co pozwoliłoby jej szantażować Senatora. Ale czy rzeczywiście tak było... Wzruszył ramionami.

Jeśli o tym wiedziała, mogła powiedzieć swojej córce, Betty,
Dan kiwnął głową,
- Która mogła powiedzieć Melissie mówiła dalej Carly - która z kolei mogła kontynuować szantaż.
- Tylko do momentu śmierci Senatora.
Carly potaknęła.
- W takim razie po co aranżować wypadek Melissy? - zapytał Dan. - Śmierć Moore'ów, oczywiście jeśli nie był to zwykły wypadek, mogła przynieść korzyść tylko komuś żyjącemu, kto miałby coś do stracenia, gdyby Melissa żyła.
- Jeśli faktycznie mamy do czynienia z uzurpatorem i Melissa o tym wiedziała, to czy nie mogła szantażować i Senatora, i oszusta?
Zgadza się. Jej poniekąd-kuzyni też mogli to robić, jeśli wiedzieli.
Carly zamruwała.
- Poniekąd-kuzyni? Ach, Sneadowie. O nich nie pomyślałam. Ich ojciec, Randal Mullins, mógł wiedzieć o molestowaniu i przekazać tę informację swojej kochance...
- Ludzie mieli raczej jednoznaczne zdanie na ten temat - przerwał jej Dan. Randal i Laurie Snead to była jednorazowa przygoda, jeśli w ogóle poszli ze sobą do łóżka.
Carly westchnęła.
Więc nie sądzisz, żeby Sneadowie byli w to zamieszani?
- Jim Snead ma moją nominację na snajpera. Zna ten teren lepiej niż ktokolwiek i jest niezawodnym strzelcem na dowolną odległość poniżej czterystu metrów. Tylko nie znalazłem jeszcze sensownego powiązania między nim a tobą.
- Mną? Wyprostowała się. - Mną?
Jim albo jego brat opróżniają pułapki na szczury na ranczu.
Carly przypomniała sobie szczura w swoim pokoju. Szczura, który był jeszcze ciepły. Martwy i rozmazany po poduszce, ale ciepły.
Jim jest zatrudniony na ranczu jako myśliwy kontrolujący pogłowie drapieżników. Ma wolny wstęp do domu. Jeździ do miasta z pocztą i przywozi sprawunki. Czasami na posyłki biega Blaine. To zależy od tego, jak prosto się trzyma, kiedy przychodzi prosić o jakąś fuchę.
Czyli mówisz, że to był Jim Snead.
- Nie. Mówię, że miał odpowiednie umiejętności i możliwości. Nie potrafię tylko znaleźć powodu, a bez motywu cała reszta jest jednym wielkim gdybaniem.

- Są jeszcze Sandovalowie - powiedziała Carly.
- Nie kumam.
- Biorąc pod uwagę liczbę Sandovalów płaczących się po życiu Senatora i Lizy, któryś z nich mógł wiedzieć o kazirodztwie lub podstawionym synu albo o jednym i drugim, a tym samym miał możliwość szantażowania Senatora i gubernatora. Bóg i szeryf wiedzą, że niektórzy z nich mają środki i odpowiednią mentalność, by łamać prawo. - Carly wymamrotała pod nosem przekleństwo. - Właśnie rozwiązał się nam worek z potencjalnymi podejrzanymi.

Dan zamknął oczy i spróbował zająć się tym, w czym został wyszkolony. Szukaniem powiązań.

Zapomnij, że jesteś tak blisko problemu. Posłuchaj własnej rady.

Klocki układanki. Nic poza tym. Nie ludzie. Klocki.

Ale wciąż pamiętał, jak to było, kiedy Carly wisiała mu bezwładnie w ramionach, pamiętał niekończący się marsz w tę i z powrotem po zamarznętej drodze, pamiętał, jak bliska była śmierci.

Rozdział 64

*Chimayo
Poniedziałek, wieczór*

Po Rubin - powiedziała Annę, podając komórkę mężowi. - Nie przyjmuje T odmowy do wiadomości.
- Spodziewałem się tego - mruknął Josh, biorąc telefon. - Cześć, Mark.
- Skrzeczysz jak żaba.
- Mówiłem ci, że potrzebuję wolnego. No i przeziębilem się.
- Masz grype - poprawił go natychmiast Rubin. - Tylko plebs się przeziębiam.
- Co jest takie pilne, że nie mogło poczekać do środy? - zapytał Josh, po czym przykrył słuchawkę i kichnął. - Przepraszam, co mówiłeś?
- Dykstra odparł Rubin. Co dziesięć minut wchodzi na wizję i wałkuje tę sprawę z testem DNA. Inne sieci już podchwyciły temat. Nawet „New York Times” się zainteresował.
- Widocznie mają kiepski tydzień. - Josh znów kichnął.
- Zgadza się. Więc nadajmy sprawie trochę tempa. Chcę, żebyś udzielił wywiadu Jansenowi Worthy'emu.

- Uderzamy na sam szczyt, co? - rzekł Josh, Ten facet jest podporą głównych wiadomości od niepamiętnych czasów.

To się nazywa wpływ i wiarygodność. A Worthy ma wystarczająco dużo jednego i drugiego, żeby pogrzebać Dykstrę. Więc pokaż się w jego programie i opowiedz wyborcom o swoich niedawnych osobistych tragediach i tak dalej.

Mam zagrać kartą współczucia?

- Jasne że tak, do diabła. Straciłeś ojca, matkę i ukochaną ciotkę...

Kichnięcie Johna przypominało raczej parsknięcie niedowierzania.

- ...a teraz ta nedorobiona dziennikarka szarpie twoje życie jak sęp. Nie zadowolilo jej zakłócanie twojej żałoby, więc żąda, żebyś udowodnił coś, o czym wszyscy wiedzą, i robi to tylko po to, żeby sobie podpompować sflaczałą oglądalność. Zaczęła cię prześladować, nie czekając na wynik testu. Dlaczego? Bo wie, że potem nie będzie już miała tematu. Ty oczywiście wiesz, że osoby na wysokich stanowiskach zawsze wzbudzają zainteresowanie mediów, ale tego już za wiele. Jeśli nie zdołasz uzyskać tym wywiadem chóralnego głosu sympatii, to nie jesteś żadnym politykiem.

- Kiedy?

- Jutro. Jansen jest w Arizonie na swoim ranczu. Zgodził się polecić do Taos na wywiad. Ekipa od przekazu satelitarnego będzie na miejscu przed południem.

- Na moim ranczu? Dlaczego nie w dworku w Santa Fe?

- Bo to sprawa osobista - wyjaśnił cierpliwie Rubin. Jesteś synem w żałobie. Włóż ciemną sportową marynarkę, proste kowbojki i dzinsy. Jasno-niebieska koszula, żadnych kowbojskich akcentów, koszula i tyle. Kiedy będzie pytał o rodziców i ciotkę, zamilknij na chwilę, zrób dzielną minę i patrz w kamerę bez emocji, z męskim opanowaniem. Wiesz, jak to idzie. Jakies pytania?

- Tylko jedno.

- Jakie?

- Mogę mieć wyniki testu już jutro. Czy ten cyrk jest naprawdę konieczny?

- Ja ci daję darmowy czas w wieczornych wiadomościach, a ty mnie pytasz, czy to konieczne?

Gubernator westchnął.

- Przepraszam. To pewnie przez gorączkę.

- Zażyj coś. To jest zbyt ważne, żeby to spieprzyć. Jeśli będziesz miał wyniki testu przed wywiadem, daj je Jansenowi i niech je wetknie Dykstrze

w dupę. A potem będziemy się mogli zająć czymś ważnym, na przykład pozyskiwaniem głosów.

Josh rozłączył się i poszedł szukać aspiryny.

Rozdział 65

Taos

Wtorek. 10.00

I jak ci idzie? - zapytała Carly Dana.

Nie oderwał oczu od ekranów dwóch komputerów, przy których siedział.

- Już prawie dotarłem.

- Dokąd? - Wstała i rozprostowała plecy. Oboje pracowali już od paru godzin.

- Do końca łańcucha pokarmowego fundacji dobroczynnych.

- A co to konkretnie znaczy?

- Jeśli znaczy to, co myślę, to ktoś doił Senatora na jakieś dziewięć tysięcy miesięcznie, przynajmniej od 1986. A właściwie osiemnaście tysięcy. Dwie oddzielne wpłaty, na dwie różne fundacje.

Carly odsunęła się od wykresów powiązań ludzi, okoliczności i miejsc, które właśnie rysowała. Czują się jak naćpany pajak snujący oszalałą sieć.

- Dlaczego dwie oddzielne? Dlaczego nie jedna? - zapytała.

- Prawo wymaga od banków zgłaszania wszelkich transakcji powyżej dziesięciu tysięcy dolarów. To sposób na spowolnienie procesu prania pieniędzy.

Carly otworzyła usta, by zadać następne pytanie.

Mam cię - rzucił Dan tonem pełnym satysfakcji.

- Co? - zapomniała, o co chciała pytać.

Dwa ze stałych zleceń Senatora były przykrywką. W wydatkach figuruje dwa razy po dziewięć tysięcy na cele dobroczynne, ale ta kwota jakoś nie jest księgowana na koncie żadnej fundacji. Trafia na konto na Arubie. Żadnego nazwiska. Żadnego numeru. Żadnego sposobu na wytropienie, kto się dzięki temu tuczył. A przynajmniej takie było założenie, bo sposób zawsze jest. Inaczej nikt nie mógłby odebrać tych pieniędzy z konta na Arubie.

Carly znów chciała o coś zapytać, ale zmieniła zdanie. Palce Dana przebiegły po klawiaturze. Był jak ogar na świeżym tropie pędzący prosto po

zwierzyń. Wklepał ostatnią sekwencję poleceń i rozparł się wygodnie na krześle, czekając, aż komputer wypłuje nazwiska.

Coś mi się zdaje, że robiłeś to już przedtem - powiedziała.

- Właśnie tym się zajmuję. Tropieniem brudnych pieniędzy. Fundacje dobroczynne to ulubiony sposób. Wszystkim wydaje się niestosowne sprawdzanie czyichś dobrych intencji. To jak pytanie własnej matki, czy była dziewicą, kiedy wychodziła za męża.

Carly trzymała się tego wątku, który ją interesował.

Więc znajdujesz brudne pieniądze. I co dalej?

- Zależy, czego życzy sobie klient. Zwykle dostaje się znaleźne. Od dwudziestu do czterdziestu procent odzyskanej kwoty.

- Odzyskanej kwoty?

Okupu za porwanie. Szantażu, jak ten. Dóbr ukradzionych w taki sposób, że klient nie ma żadnych środków prawnych, by je odzyskać. Brudnej forsy na kontach różnych watażków czy bossów narkotykowych. Tego typu rzeczy.

- Czy to jest zgodne z prawem?

- Przeważnie.

- A kiedy nie jest?

- To nie jest. - Dan oderwał wzrok od paska postępu na ekranie. - To problem?

- Hm...

Uśmiechnął się.

- Jeśli zostają przyłapani, nie grożą mi paragrafy, Carolino May.

- Tylko wypadki w górach?

- Tak.

Westchnęła.

- A... hm... często chodzisz się wspinać?

To był pierwszy raz, od kiedy rzuciłem pracę u Wuja Sama. Kontakt miała nawiązać pewna kobieta, ale urodziła dziecko o miesiąc za wcześnie, więc wzięłem zastępstwo.

- To się często zdarza?

Przedwczesne porody?

- Takie zastępstwa.

- Nie.

- Dzięki ci. Panie.

Dan pociągnął ją na kolana.

- Czy to znaczy, że nie uciekniesz z krzykiem, chociaż nie mam normalnej fuchy od dziewiątej do piątej?

Przeczesała palcami jego gęste włosy.

- A wyglądam, jakbym uciekała z krzykiem?

Komputer dał sygnał dźwiękowy, że skończył pracę.

Oboje spojrzeli na ekran.

- Kto to jest ten Pedro Moreno, który ma ponad dwa miliony baksów na koncie na Arubie? zapytała Carly.

- Pete Moore. Tak brzmi jego prawdziwe nazwisko. Zangielszczył je, żeby sobie ułatwić życie.

Dziewięć tysięcy miesięcznie? - spytała Carly, przypominając sobie słowa Dana.

- Dwie wpłaty na miesiąc, po dziewięć tysięcy każda.

Ale to nic są pensje Pete'a i Melissy?

- Według ksiąg rancza Pete dostawał miesięcznie trzy tysiące z groszami. Melissa zarabiała jakiś tysiąc mniej.

- Skąd to wiesz?

Dan wzruszył ramionami.

- Jakimś cudem zawartość komputera na ranczu wylądowała na moim twardym dysku, a ty nigdy nie słyszałaś, że to powiedziałem.

Przerażasz mnie.

- Średnio bystry dwunastolatek mógłby się włamać do tego komputera. Tak naprawdę ciekawe jest, że co najmniej jeszcze jedna fundacja przelewała „datki” na to samo konto. Minus trzy procent, oczywiście.

- Trzy procent?

Opłata za przelew - odparł. - Kiedy kwota rośnie, prowizja spada. W okolicy miliarda opłata wynosi przeważnie jeden procent albo i mniej.

Carly policzyła w myśli i wybałuszyła na niego oczy.

- To dziesięć milionów dolarów za samo elektroniczne przeniesienie pieniędzy z jednego miejsca na drugie - powiedziała. - Trochę słono, nie sądzisz?

- Nie, jeśli masz brudny miliard i zyskujesz dzięki temu czyste dziewięćset dziewięćdziesiąt milionów. Czyste pieniądze, od których z radością zapłacisz podatek i które zainwestujesz w legalne inwestycje. Inaczej musiałabyś chować cały miliard, i to w gotówce. W każdej sekundzie tryliony śmierzących dolarów śmigają po świecie, a przy każdej transakcji on-line banki odgryzają kawałeczek z tego tortu.

- Głowa mnie rozbolała.

Więc pomyśl o tym, co Pete mógł mieć na Senatora i gubernatora, co byłoby warte osiemnastu kawałków miesięcznie.

- Gubernator też?

- Według ksiąg, owszem. Josh był prawnym pełnomocnikiem Senatora przez ostatnie cztery lata. Więc jeśli nie zdawał się całkowicie na Pete'a w kwestii prowadzenia księgowości, musiał wiedzieć, że około dwustu tysięcy rocznie idzie na podejrzone cele charytatywne. Tak podejrzone, że Senator nawet nie próbował ich odliczać od dochodu.

- Jesteś pewien?

- Chcesz zobaczyć zeznania podatkowe? spytał Dan, kładąc palce na klawiaturze.

- Nie. Nie chcę nawet wiedzieć, że je masz.

- Że co mam?

- Nic. - Okręciła włosy wokół palca. - Więc wróciliśmy do punktu wyjścia. Potrzebujemy czegoś, co mogło zaszkodzić i ojcu, i synowi.

Przynajmniej mamy dobre wyjaśnienie, dlaczego ktoś zabił Pete'a i Melissę. Szantażyści nie są szczególnie lubiani przez swoje ofiary.

- Ale dlaczego zginęli teraz? - zastanawiała się Carly. - Dlaczego nie wiele lat temu, kiedy Josh uzyskał pełnomocnictwo? Musiał wiedzieć o szantażu, a przynajmniej domyślać się, że coś śmierdzi.

- Posiadanie pełnomocnictwa to nie to samo, co korzystanie z niego. Mógł się po prostu nic wtrącać do wydatków Senatora. Ostatecznie to były pieniądze staruszka odparł Dan. - Udało ci się wyodrębnić potencjalnych bękartów, którzy mogli wskoczyć na miejsce prawdziwego Josha w Wietnamie?

To brzmi tak dziwnie. Wystarczy spojrzeć na Josha, żeby wiedzieć, że jest synem Senatora.

- Tak, ale którym synem?

Szkoda, że Melissa nie żyje. Zapytałabym ją mruknęła Carly.

A właśnie, coś mi się przypomniało - powiedział Dan. Na moim twardej dysku jakimś cudem wylądowała też kolekcja rodzinnych pamiątek Melissy.

Nie słyszę ani słowa z tego, co mówisz. Wydrukuj mi to.

Uśmiechając się, Dan podłączył drukarkę, sprawdził zapas papieru i zabrał się do pracy. Kiedy komputer wypluł pierwszy wydruk, Carly porwała go i zaczęła czytać.

- Oglądaj obie strony powiedział.

- Co?

- Drukuję je tak, jak znalazłem. Wiele z tych rzeczy ma materiał na obu stronach.

Carly kiwnęła głową i wróciła do czytania. Drukarka wypluwała kartki z przerażającą szybkością.

Dan puścił wydruk ostatniej partii dokumentów i odwrócił się do niej.

- Co tam masz? - zapytał.

- List, Pismo jest trochę... przyzwyczajam się, okej?

- Jaka data?

- Listopad 1985. Odwróciła kartkę na drugą stronę i sprawdziła podpis.

-- Betty Schaffer.

Dan połączył w mózgu genealogiczne dane.

- Córka Susan Mullins i jej męża Douga Smitha. Musiała mieć koło czterdziestki, kiedy to pisała. Czekaj, czy to nie w tym roku się zabiła?

Carly nie odpowiedziała. Skupiała się na czytaniu ścisłego, nierównego pisma.

Dan podszedł do jej komputera, przeszukał stare wzmianki gazetowe i znalazł krótką notkę w kolumnie z nekrologami. Berty Shaffer, z domu Smith, Córka Susan Smith, z domu Mullins, zmarła w Wigilię Bożego Narodzenia 1985 roku. Niedawno rozwiedziona z mężem. Między wierszami można było wyczytać, że Betty, pełna prochów, wódy i żalu nad samą sobą, musiała stać czoło rodzinnym świętom. Nie wiadomo, czy przesadziła z dawkowaniem, czy chciała ze sobą skończyć. Tak czy inaczej, umarła. Zostawiła jedyną córkę, Melissę Moore, z domu Schaffer. Przed śmiercią Betty żyła z zasiłków w pokoju w fatalnej dzielnicy. Nie wspomniano o żadnych posługach religijnych.

- Czy to jest list samobójczy? zapytał Dan.

- Nie. Betty chwali się córce jakimś nowym „źródłem”. Piętnaście kawałków. I może być więcej, o wiele więcej. Wysłała Melissie „klucz” na przechowanie.

Brwi Dana podjechały do góry. Kiedy fotografował dokumenty, nawet nie próbował ich czytać. Za bardzo mu było spieszno, żeby wynieść się z mieszkania, zanim Carly go przyłapie w miejscu, w którym nie powinien być.

- Czy te wymuszane wypłaty sięgają aż tak daleko w czasie? - zapytała Carly.

- Niezupełnie. Pierwsza, przynajmniej na to konto, na które się włamałem, była w osiemdziesiątym szóstym. Betty umarła w osiemdziesiątym piątym, kilka dni po tym, jak się pochwaliła swoim „źródłem”.

Myślisz to samo co ja?

Szantaż może być niebezpieczną grą. Stawiam, że ktoś jej pomógł w samobójstwie. Sprawdzanie, gdzie Josh i Senator przebywali w tym czasie, to robota, którą zostawię komu innemu.

Carly podniosła kolejną kartkę.

Dan wziął dolną połowę kupki wydruków i zabrał się do czytania.

Poza kilkoma pełnymi niedowierzania mruknięciami Carly panowała cisza.

Dan nie był zdziwiony. Przez parę ładnych lat studiował ciemną stronę ludzkiej natury. Bez słowa zaczął układać zdjęcia i dokumenty w porządku chronologicznym.

Czy... Carly odchrząknęła. Czy to ja zwariowałam, czy rzeczywiście wyłania się z tego obraz wyjątkowej nikczemności?

- Nie zwariowałam.

- Już nigdy nie zapytam, w jaki sposób ludzkie losy tak obrzydliwie się gmatwiają. - Wypuściła głośno powietrze i pokręciła głową.

- Nikt nie zaczyna z myślą, że tak skończy.

Po prostu klocki układanki, tak?

- Tak. Zaczniemy od klocka o nazwisku Susan Mułlins - powiedział Dan spokojnie. Podniósł jeden z listów, które przeczytali oboje, ale na razie nic patrzył na niego. - W 1941 roku Susan wydała na świat Randal Mullinsa, zwanego Randym, senatorskiego bękarta. Senator posuwał ją, przekonany, że jest pełnoletnia. Nie była. Rzucił ją, kiedy się dowiedział, ale trzymał ją na prochach, żeby jej było wszystko jedno.

- Uroczy człowiek.

Wyjątkowy przyjemniaczek. Sześć lat później Susan wychodzi za mąż. Facet jest pijakiem i damskim bokserem. Ale ona i tak przy nim tkwi. Jej senatorski dzieciak zaczyna uciekać w wieku siedmiu lat i zwykle ląduje u Angusa Sncada. - Dan przerwał i zmarszczył brwi. - Kiedy Jim mówił o przeszłości, zawsze wydawało mi się, że Randy był jego starszym kuzynem.

Biorąc pod uwagę, jak ograniczona jest miejscowa pula genów, to może i był. Czekaj chwilę, odświeżę sobie pamięć. - Carly zaczęła przerzucać kartki notesu, aż odnalazła sekcję zatytułowaną „Randal Mullins” - Z Randy’ego wyrósł dzikus, wagarowicz i młodociany rzezimieszek. Ma na koncie kłusownictwo, publiczne pijatyki, barowe bójkę. Na ochotnika pojechał do Wietnamu, był zwiadowcą, dostał kilka odznaczeń, zginął w zasadzce w sześćdziesiątym ósmym”.

W tym samym roku, w którym Josh Quintrell został ranny - dodał Dan.

- Zgadza się. Mów dalej.

Dan spojrział na kartkę, którą trzymał w dłoni.

To jest list z sześćdziesiątego ósmego. Chaotyczny, Susan była najwyraźniej nawalona, kiedy go pisała. Ogólny sens: jest święcie przekonana, że widziała swojego syna Randy’ego w Taos.

- Po jego śmierci?

- Tak. Ale tak naprawdę wytraciło ją z równowagi dopiero to, że kiedy do niego podeszła, spojrzała mu w oczy i zaczęła płakać z radości, powiedział

jej, że się pomyliła. A przecież nie mogła nie rozpoznać własnego syna. Zaczęła krzyczeć, a on tylko pokręcił głową, powiedział, że mu przykro z powodu jej straty, i poszedł sobie. Nieźle ją ostraszyło.

- Zrozumiałe mruknęła Carly. - I bardzo możliwe, że podzieliła się tym wstrząsającym doświadczeniem ze swoją przyjaciółką i towarzyszką Lizą Quintrell, która widocznie powiedziała coś swojej córce, a twojej matce.

- To prawdopodobne, ale nie do udowodnienia przed sądem.

- Wiem. Po prostu kolejne pasmo całej pajęczyny poszlak.

Dan uśmiechnął się.

- Przędziesz wręcz artystycznie. A teraz do tyłu. Sprawdźmy fakty i upewnijmy się, czy ci, którzy byli w mieście, nie byli poza miastem, i na odwrót.

- Zrozumiałam. Czy to znaczy, że jestem nienormalna?

- Nie, nienormalna jesteś dlatego, że to wszystko sprawia ci taką samą frajdę jak mnie, choć oboje wiemy, że racjonalnie rzecz biorąc, jest bardzo duża szansa, że nadpobudliwa i pijana kobieta mogła wziąć niebieskookiego przyrodniego brata za niebieskookiego syna, który rzadko się pokazywał w domu, od kiedy skończył siedem lat.

- W tym też się nic pogubiłam. To już niepokojące. - Uśmiechnęła się. - Dopóki myślę o tym jako o grze, to jest zabawne. Ale kiedy pomyślę, że to prawdziwa...

- Nie myśl w ten sposób - rzucił. - W tej chwili to jest gra. Gdy dojdziemy do punktu, w którym wkracza prawo, wtedy to przestanie być grą. Ale jeszcze tam nie doszliśmy. I może nigdy nie dojdziemy.

- Gra. Dobrze. - Carly dopisała datę listu do notatek. Były jeszcze inne notatki dotyczące tego roku. - To był rok śmierci Lizy. I Susan.

- Na liście nie ma daty? zapytał Dan, pochylając się do przodu.

- Nie, to tylko nasze założenie, że napisała go w tym samym roku, kiedy Josh wrócił z Wietnamu, a jej syn zginął. Może w tekście znajdzie się jakaś wskazówka. - Marszcząc brwi, jeszcze raz odczytała bezładne rzędkę piśma.

- Masz coś?

Nie. Czekaj. Wspomina, że pstryknęła mu ukradkiem zdjęcie dzień po tym zdarzeniu.

Dan zanurkował po papiery i pospiesznie je przejrzał.

- Niemowlaki, starsze dzieci, dziesięć zdjęć w towarzystwie najróżniejszych zabitych zwierząt... ładny kozioł, trzeba przyznać... standardowe zdjęcie z wojska i jedno zdjęcie w mieście, mężczyzny przy parkometrze.

Carly wyłowiła z kieszeni szkło powiększające i przyjrzała się fotografii. Ten sam podbródek.

- Co?

Taki sam podbródek, jaki ma Josh. Taki sam, jak u szczęśliwego nastolatka stojącego obok tego kozła. Musiałabym zobaczyć więcej zdjęć, żeby mieć pewność... z albumów klasowych i tak dalej, ale ten facet wygląda jak młodszy Josh.

Dan przewrócił kartkę.

- Trzeci sierpnia sześćdziesiątego ósmego.

Carly przełknęła ślinę,

- Ona zginęła dwa dni później, Dan. Liza też.

- I jeszcze jedna prostytutka. Straty operacyjne, nie ma wątpliwości. - Jego głos był obojętny, ale oczy spoglądały ponuro.

- To znaczy? - zapytała.

- To wojskowy termin określający różne rzeczy, które stają między tobą a celem misji.

Carly się skrzywiła.

- Na przykład ludzie?

- Zdarza się. - Zmrużył oczy. Obraz całości zaczął się wreszcie wyłaniać i był wyjątkowo ohydny. - Gdzie masz artykuł o tym potrójnym morderstwie?

Carly odszukała artykuł w komputerze i odwróciła monitor do Dana.

- Oszałały hippis, co? - powiedział, czytając go po raz drugi. - Pociął ładacznice w imię boże. Ciekawe, czy cała trójka zginęła razem, czy też zawlókł je na jedno miejsce.

- A to ma znaczenie?

- Pomyśl, że jesteś uzurpatorem. Zostałaś rozpoznana. Zabijasz świadka i każdego, z kim ten świadek prawdopodobnie rozmawiał. Ale nie chcesz, żeby to wyglądało na zaplanowane, bo to by mogło zainteresować gliny, więc załatwiasz jeszcze kogoś i dorzucasz na kupkę.

Carly chwyciła urywany oddech.

- A potem znajdujesz wielkiego hippisa, tak naćpanego, że mu wszystko jedno, wtykasz mu pod język trochę anielskiego pyłu, turlasz nim po ciałach, wręczasz mu zakrwawiony nóż i znikasz. - Dan mówił takim tonem, jakby czytał rozkład jazdy autobusów. - Kiedy prochy zaczynają działać i biedny ćpun pędzi w noc z nożem, jest za bardzo odleciany, żeby działać racjonalnie. Gliny próbują go skuć, on się wścieka, więc pakują w niego siedem kulek i jest po wszystkim. Mówi się trudno, przykro nam, wypadki chodzą po ludziach. Sprawa zamknięta.

- To już nie wygląda jak gra. - Carly roztarta gęsią skórę na ramionach.

- Mówimy o człowieku, który zabił własną matkę.

- Powiedz jedno słowo i już cię tu nic ma.

Spojrzała w spokojne, zielone oczy Dana i zrozumiała, że chciałaby ją zabrać w bezpieczne miejsce. A ona chciała, żeby był tam z nią.

- Pojedziesz ze mną i zostawisz to glinom?

- Nie mamy żadnego dowodu, który skłoniłby gliny, żeby chciały dobrać się do tyłka gubernatorowi Nowego Meksyku i kandydatowi na prezydenta. Tak się jakoś składa, że wszyscy, ale to wszyscy, którzy mogliby cokolwiek udowodnić, nie żyją.

- Z wyjątkiem Josha Quintrella. Czy też Randy'ego. Czy ktokolwiek to jest.

- Jakoś nie widzę go w kolejce do konfesjonału - powiedział Dan.

- Więc zostajesz, dopóki nie będziemy mieli czegoś, co zmusi gliny do słuchania.

Skinął głową.

To ja też. - Znów roztarta ramiona. - Nie podoba mi się to, ale nie mogę tak po prostu uciec i zostawić mordercy w spokoju. Zwłaszcza takiego, który kandyduje na prezydenta.

Dan wziął ją na kolana i otarł policzek o jej włosy.

- To właśnie jedna z rzeczy, które w tobie kocham, Carolino May, nawet jeśli od czasu do czasu doprowadza mnie to do szału. Nie oczekujesz, że ktoś z odznaką i spluwą odwali całą robotę i ucywilizuje ludzką bestię.

- Ja też to w tobie kocham, choć podejrzewam, że od czasu do czasu będzie mnie to doprowadzać do szału. - Jak na przykład wypadki w górach.

- Więc czego potrzebujemy, żeby zapewnić sobie uwagę glin?

- Niezbitego dowodu na zamianę tożsamości.

- MtDNA. To dlatego Winifred nasłała Dykstrę na gubernatora. Żeby go zmusić do wykonania testu.

- Winifred nie mieszkała na ranchu ani nawet nie przychodziła często z wizytą przed wypadkiem Sylvii. Skąd mogła wiedzieć, że jej siostrzeniec nie jest tak do końca jej siostrzeńcem?

Carly zmarszczyła brwi.

- A jaki inny miałaby powód, żeby tak bardzo nienawidzić Gubernatora? Dlaczego zachowywała się, jakby linia Castillo skończyła się na Sylvii? Dlaczego upierała się przy odtwarzaniu genealogii rodziny?

- Zgadza się, ale nie bardzo widzę, jak moglibyśmy to teraz udowodnić. Gdyby Winifred mogła to udowodnić wcześniej, zrobiłaby to. A tylko to się liczy. Dowód. Taki, który nadaje się do sądu.

- Winifred nie wiedziała nic o mtDNA, dopóki ja się nie pojawiłam - odparła Carly.

- Nie obwiniaj się. Ty jesteś tu jedyną niewinną osobą.

Sięgnął po kolejny plik pamiętek Melissy. Carly westchnęła i też sięgnęła po następną porcję. Czytali oboje w ciszy, zakłócając tylko trzaskiem ognia. Kiedy skończyli, oparła się o jego pierś.

- Zdaje się, że tobie lepiej idą podsumowania - powiedziała.

- Betty Smith Schaffer umarła wkrótce po swojej próbie szantażu, nie wiemy, czy skutecznej czy nie - rzekł Dan. - Jej śmierć uznano za samobójstwo. Materiał dający podstawę do szantażu przekazała swojej córce, której mąż, księgowy, wiedział, jak przepuścić pieniądze przez pralnię, tak by nie dało się wytropić jego ani Melissy. Strzygli Senatora przez prawie dwadzieścia lat, mniej więcej na dwieście kawałków rocznie.

- Pieniądze na miłą emeryturkę.

- Jeśli je mądrze zainwestujesz - rzucił Dan sucho. - Co ciekawe, jeśli to jest ten „dowód” zamiany, który miała Melissa, to nie wytrzymałaby w sądzie. A mimo to Senator płacił.

- Bo nie chciał, żeby ktokolwiek kwestionował tożsamość Josha. - Carly zmarszczyła brwi. A co z danymi z wojska?

- Gdybym był na miejscu Senatora, poprosiłbym o wszystkie teczki moich dzielnych chłopców z Taos, podmienił odpowiednie zdjęcia zębów, próbki krwi i odciski palców i wybudował pomnik zmarłym żołnierzom.

- Czy mogło mu to ująć na sucho?

- Jasne, dopóki nikt nie przyjrzałby się danym zbyt uważnie. A dlaczego ktokolwiek miałby to robić? Ludzie widzą to, co spodziewają się zobaczyć. Nikt nie spodziewa się, że syn Senatora jest kimś innym, niż twierdzi.

- Drzazgą ze starego spróchniałego pnia.

Uśmiech Dana nic był przyjemny.

- Taa. Nic dziwnego, że mama za bardzo bała się przeszłości, żeby o niej mówić.

- Myślisz, że wie?

- Myślę, że... przerwał nagle i wyciągnął brzęczącą, wibrującą komórkę z kieszeni. Dzwoniono z Gencdyne. - Duran - rzucił do słuchawki. - Co masz dla mnie?

- Masz długopis i kartkę czy ufasz swojej pamięci? - zapytała Cheryl.

- Jedno i drugie.

Wszystkie kobiety mają to samo mtDNA, z drobną wariacją w próbce czwartej kobiety. To zupełnie normalne. Nic nie trwa wiecznie. A sprawdziłam całe dziewięć metrów łańcucha. Prawdopodobieństwo, że te kobiety nie pochodzą z tej samej żeńskiej linii, jest praktycznie zerowe. Prawdopodobnie są z tej samej, trzy- lub czteropokoleniowej grupy.

Tłumaczenie? spytał Dan, pisząc szybko w notesie.

Wspólna babka albo prababka. Z samego mtDNA wynika, że to mogą być siostry. Jak dorzucisz Y-DNA, okazuje się, że to dwie siostry i dwie córki.

Dan notował szybko.

- Męska próbka, którą mi przysłałeś, ma dokładnie takie samo Y-DNA jak dwie żeńskie próbki. Ergo, to jego córki.

Dan zmrużył oczy. Nie było to miłe, ale spodziewał się tego. Senator rzeczywiście miał dziecko ze swoją córką, i tym dzieckiem była jego matka.

- Rozumiem - powiedział. - Czy druga męska próbka jest już gotowa?

- Właśnie z nią skończyłam.

Puls mu przyspieszył.

- I co?

- Ewidentna zgodność mtDNA matki i Y-DNA ojca.

Dan nie wierzył własnym uszom.

- Jesteś pewna?

- To moja robota, skarbie. Jestem pewna. A biorąc pod uwagę pozycję zainteresowanych osób, jestem naprawdę pewna.

- Cholera. - Dan przetarł oczy. - Prześlij mi mailem wyniki tych wszystkich testów.

- A mogę sobie najpierw zrobić przerwę na kawę? Pracowałam czternaście bitych godzin.

- Proszę cię bardzo - odparł. I dzięki.

Mówił do głuchej słuchawki. Cheryl już się rozłączyła.

- Nie wyglądasz na zadowolonego - powiedziała Carly.

- Bo nie jestem. Przez naszą piękną sieć poszlak właśnie przejechał buldożer i rozniósł ją na atomy.

- Co?

- Josh Quintrell jest synem Sylvii.

Rozdział 66

Taos

Wtorek, południe

Hłas śmigłowców wstrząsnął ciszą zaśnieżonych pastwisk i przeniknął przez stare ceglane ściany.

- Trzecia wojna światowa? - zapytała Carly z przekąsem.

Dan oderwał oczy od komputera, na którym pisał właśnie raporty, i spojrział na nią. Była oklapnięta, wykończona i ogólnie sprawiała wrażenie kogoś, kto właśnie przegrał bitwę. On wyglądał i czuł się tak samo. To mnie nauczy nie zakochiwać się w błyszczącym łańcuszku poszlak.

Prawdopodobnie gubernator i jego drużyna prasowa lecą na ranczo na „prywatny” wywiad, który reklamują co piętnaście minut od jakichś czterech godzin.

Carly skrzywiła się. Telewizor Dana był mały, ale głośny. Słyszała każde słowo każdej zapowiedzi specjalnego wywiadu Jansena Worthy'ego z gubernatorem Quintrellem na jego rodzinnym ranczu, z aluzjami na temat jakiegoś przełomowego oświadczenia, wyłącznie na tym kanale, wyłącznie dla was.

Jesteś masochistą - stwierdziła, wskazując telewizor.

To mi pomaga pamiętać, jak mylące mogą być poszlaki. I po raz kolejny przekonuje o roli zbiegów okoliczności i przypadków w codziennym życiu.

- Pokręcił głową. - Muszę przyznać, że po raz pierwszy mój instynkt tropiciela wywiódł mnie na takie manowce. Wręcz kosmiczne.

- Byłam z tobą przez całą drogę.

Uśmiechnął się do niej.

- I to było najlepsze w tej wycieczce.

Zadzwoniła jego komórka. Spojrzał na wyświetlacz i odczytał SMS-a.

SPRAWDŹ POCZTĘ, SKARBIE.

- Coś ciekawego?

- Zdaje się, że wyniki testów z Genedyne.

- Wydrukuj je, okej?

- I kto tu jest masochistą? - zapytał.

Z wyjątkiem wyników twojej matki to materiały do rodzinnej historii, za które zapłaciła Winifred.

Dan stworzył pocztę i zaczął drukować dane, jakich jeszcze nigdy nie widział.

- Jeśli potrafisz to zrozumieć, mogłabyś zostać programistą.

- Zostawię to tobie. - Carly zebrała wydruki i opatrzyła każdy nazwiskiem.

Rozłożyła wyniki na łóżku. Senator i Josh mieli identyczne Y-DNA, aż do granicy możliwości testowych. Josh był synem Senatora. Carly wyciągnęła wydruki z mtDNA Sylvii i Joshua, porównała je i westchnęła. Bardzo niewielka wariacja w sekwencjach haplotypu - drobna, nic nieznacząca mutacja, która zaszła w DNA komórki jajowej.

- Do diabła - mruknęła.

- Miałaś nadzieję, że Cheryl się pomyliła? - zapytał Dan.

- Tak.

- Nie pomyliła się.

Carly nic odpowiedziała. Ułożyła obok siebie wyniki Sylvii i Winifred i porównała sekwencje haplotypu. Dokładnie takie same. Czyli mutacja nastąpiła w komórce jajowej Sylvii i została przekazana synowi, gdzie się zakończyła. Chyba że przeszła również na córkę, Lizę...

Przełożywszy szybko kartki, Carly porównała Lizę i Sylwię. Sekwencja ich haplotypu była identyczna.

Okej - mruknęła. - Jedno dostało DNA z mutacją, a drugie nie, więc u Diany jej nie będzie.

Położyła obok ostatni wydruk i przyjrzała mu się.

Po czym przyjrzała się jeszcze raz.

W końcu zaczęła kręcić kosmyk włosów na palcu.

- Co jest? - zapytał Dan.

Bez słowa przekreśliła wydruki przodem do niego, wzięła żółty marker i zaczęła zakreślać odpowiednie miejsca na każdym z nich.

Carly?

- Haplotypy...

- Po angielsku proszę - przerwał jej.

Spojrzała na niego.

- To będzie trudne. Jak przekładanie na angielski programu komputerowego.

- Spróbuj.

- Y-DNA, mtDNA, w ogóle każde DNA to tylko seria sekwencji pewnych związków. Charakter i kolejność tych związków decyduje o tym, czy dostajemy mężczyznę, kobietę, słonia czy gupika.

- Kapuję.

- W DNA komórki rozrodczej znajduje się wiele sekwencji, które, o ile nam wiadomo, nie wpływają w żaden sposób na otrzymany organizm. Niektóre z tych sekwencji są zwane haplotypami. Od czasu do czasu podczas replikacji tych sekwencji zdarza się mutacja i wtedy masz dwie identyczne sekwencje zamiast jednej. A gdyby mój profesor od genetyki słyszał, ile rzeczy pominęłam, rwałby sobie włosy z głowy.

Jedź dalej po łebkach - odparł Dan ze śmiechem.

Carly sapnęła, sfrustrowana.

- Zmiana w sekwencjach jest przekazywana następnemu pokoleniu. Upraszczając sprawę, masz haplotyp 5 tam, gdzie był haplotyp 4, to znaczy

pięć powtórzeń konkretnej sekwencji zamiast czterech, ale organizm, który się rodzi, nie zmienia się od tego w żaden widoczny sposób. To mutacja, która nie ma znaczenia dla nikogo oprócz genetyków. Nadażasz?

- Bylebyś nie zaczęła mnie odpytywać.

Zmrużyła oczy.

- Sam mi kazałeś to wyjaśniać. Staram się, jak mogę.

Słucham cię, Carolino May,

Spojrzała w jego zielone oczy i uwierzyła mu.

- Te cyferki w kolumnie po prawej stronie na każdej kartce to różne sekwencje haplotypu mtDNA. Oznaczenia u Winifred, Sylvii i Lizy są dokładnie takie same we wszystkich sekwencjach. Te u Senatora bardzo się różnią, oczywiście. On dostał swoje mtDNA od własnej matki. Josh dostał swoje od Sy)vii. Widzisz tę liczbę? I tę?

Dan pochylił się i spojrzał na podkreślone cyferki.

- Nie jest taka sama.

- Zgadza się. Wszystkie pozostałe sekwencje są identyczne, z wyjątkiem tej jednej, co oznacza, że w komórce jajowej Sylvii nastąpiła mutacja, przekazana następnie Joshowi.

- A co z Lizą?

- Liza jej nie ma. Ale twoja matka ma tę samą mutację.

Dan spojrzał na arkusze, uświadamiając sobie, co oznaczają podkreślone liczby.

- Czy to możliwe?

- Wszystko jest możliwe. Ale prawdopodobieństwo jest mniej więcej takie jak tego, że dwie osoby będą miały identyczne linie papilarne.

- Czyli niewarte, żeby o nim wspominać.

- Właśnie.

- Czego potrzebujesz, żeby to rozwikłać?

- Chciałabym sprawdzić, czy ty masz tę samą mutację.

- Żaden problem. Wstukał w komórkę dobrze znany numer telefonu. - Cheryl? Tak, wszystko doszło. Teraz potrzebujemy moich wyników, dla porównania. Skrzywił się na jej odpowiedź. - Kilo najlepszej ciemnej czekolady? Butelka szampana za dwieście dolców? Jedno i drugie. Jasne. - Rozłączył się.

- Przekupstwo? - zapytała Carly z uśmiechem.

- Kto smaruje, ten jedzie.

- Przyniosę ci zestaw testowy.

- Nie trzeba. - Podeszedł do komputera. - Mój profil genetyczny już jest w bazie laboratorium.

- Naprawdę? Dlaczego?

- Bo jak w jakimś ścieku znajdują się moje szczątki, będzie można stwierdzić w stu procentach, że naprawdę są moje.

- Nie podoba mi się to.

- Na razie nie jest tak źle. Tylko muszę bardziej uważać w górach. Komputer piknął, oznajmiając nadejście poczty. Dan otworzył plik i wydrukował go. - Proszę bardzo. Bez tych twoich podkreśleń wszystko mi wygląda tak samo.

Carly złapała kartkę i przyjrzała się jej. Sprawdziła datę sporządzenia pliku. Trzy lata wstecz.

I słusznie - powiedziała, marszcząc brwi.

- Co?

- Wygląda tak samo. - Położyła profil genetyczny Dana obok profilu Joshua.

Były identyczne.

Epilog

*Taos
Marzec*

Carly pracowała nad tłumaczeniem siedemnastowiecznego hiszpańskiego dokumentu opisującego znaki graniczne wspólnych lasów rodu Castillo. Po serii karkołomnych zwrotów akcji, na widok których Winifred szczyrzyłaby z radości, Diana Duran była teraz prawną właścicielką ziem Quintrellów i Castillo, a także żywego inwentarza i budynków. Początkowo matka Dana nie chciała mieć nic wspólnego z ranczem Senatora. Dan przekonał ją jednak, mówiąc, ile dobrego będzie mogła zrobić, jeśli przekształci rancho w bezpieczny dom dla dzieci, których rodzinne domy są pełne przemocy.

Zaczyna się - powiedział.

Gus wyszedł z kuchni brata, gryząc skrzydełko kurczaka. Czosnkowego kurczaka, oczywiście, którym pachniał cały dom.

Poważna twarz Jansena Worthy'ego wypełniła ekran telewizora. Kamera powoli odjechała do tyłu. Za plecami dziennikarza gubernator Josh Quintrell, ze skutymi z tyłu rękami, szedł prowadzony przez szeryfa Mike'a Montoyę do czekającego radiowozu. Słowa Jansena Worthy'ego były wyciszone. Dan nie potrzebował podpowiedzi telewizyjnego suflera, żeby wiedzieć, co się dzieje.

Carly odsunęła papiery i usiadła obok Dana na łóżku. Razem patrzyli, jak gubernator zatrzymał się, by stawić czoło hordzie reporterów podtykających mu mikrofony pod nos. Stał wyprostowany i patrzył prosto w kamerę. Wiatr mierzwił jego srebrne włosy, a jego oczy były czyste i niebieskie jak niebo na wsi.

- Potrzeba było dwóch miesięcy prawniczych zapasów - powiedział Dan - ale w końcu urządzili mu spacerek skazańca.

- Mówiłem ci, że się uda - odparł Gus. Wrzucił kości do śmieci i wytarł ręce. - Nieczęsto arestuje się urzędującego gubernatora i nadzieję na prezydenta za napaść z intencją zabójstwa, podszywanie się pod prawowitego dziedzica i dwa morderstwa pierwszego stopnia.

- Morderstwa? zapytała Carly. - Które?

Melissa i Pete - rzucił Dan. - Uciałem sobie rozmowę z Jimem Sneedem, jak tylko zobaczyłem identyczny wynik testu. Weszliśmy razem na grań Castillo, odnaleźliśmy miejsce, gdzie czekał snajper, szlak, którym szedł do wraku, by wykończyć Melisę, i okreśną drogę, którą wrócił do wozu, który zostawił przy szosie. To była ta sama zasiadka, której użył, gdy postrzelił mnie - dodał. - Kiedy lód nie wystarczył, żeby wyrzucić samochód Moore'ów z drogi, przestrzelił oponę i furgonetka spadła ze stoku. Kula uszkodziła również felgę. Teraz to koronny dowód oskarżenia.

Carly zadrżała.

- Gdybyśmy nie wybrali się na spacer po cmentarzu, to my moglibyśmy leżeć na dnie wąwozu i nikt by o niczym nie wiedział.

Gus odchrząknął znacząco.

- Tylko nic mówcie mamie.

- Spokojna głowa - odparł Dan.

To się wydaje nierealne. Carly pokręciła głową, patrząc na mężczyznę stojącego z podniesioną głową przed kamerą. Zdołał przybrać jednocześnie smutny i pewny wyraz twarzy; wyraz człowieka znękanego stratą najbliższych i oskarżeniami mściwego prokuratora. - On wygląda zbyt... uczciwie. Przysięgli nie uwierzą w jego winę.

- Uwierzą, kiedy lekarz sądowy zezna, że skrecony kark Melissy nie był wynikiem wypadku - powiedział Dan.

Carly potarła oczy.

- Więc dlaczego gubernator jest taki pewny siebie?

Dan wziął ją na kolana i wtulił jej głowę w zagłębienie pod brodą.

- Jest świetnym graczem. Ale i tak przegra.

Kiedy gubernator otworzył usta, by porozmawiać z reporterami, Dan włączył dźwięk.

- Chcę podziękować wszystkim obywatelom, którzy pisali i dzwonili, by mi powiedzieć, że są ze mną w godzinie próby.

- Zaraz zwymiotuję - powiedziała Carly.

- Jestem pewien, że ten idiotyczny splot okoliczności i złośliwych działań zostanie rozwikłany przed sądem.

- Nie ma szans - rzucił Dan. - Choćby nic wiadomo jak dobrze wyglądał w garniturze, nie wyjaśni, dlaczego wysłał moją próbkę tkanki do Genedyne pod swoim nazwiskiem. Taki z niego Josh Quintrell, jak i ze mnie.

Gus uśmiechnął się.

- Muszę, przyznać, bracie, że twoi przyjaciele z St. Ki Ida Consulting to istne buldożery, jeśli chodzi o wygrzebywanie ciał.

- Pan Steele potrafi się zawiać, kiedy ktoś strzela do członka jego ekipy konsultacyjnej - powiedział Dan z ponurą satysfakcją. - Zwłaszcza gdy rzucony strzelec jest w znacznej części finansowany wypranymi pieniędzmi Sandovalów. Steele nienawidzi *narcotraficantes*.

Gus wyprostował się.

- No, to jest temat...

- Nie uciał Dan. - Ty musisz tu żyć. Muszą ci wystarczyć wyłączne prawa do historii podwójnej osobowości i zbrodni gubernatora. A jego brudnymi pieniędzmi na kampanię niech się zajmie jakiś kowboj ze Wschodniego Wybrzeża.

Na ekranie szeryf Montoya wsadzał właśnie gubernatora do radiowozu. Ze sposobu, w jaki trzasnął drzwiczkami, można się było domyślić, że nie zamierza w najbliższym czasie wypuścić więźnia na wolność.

Dan wyłączył telewizor. Zobaczył już wszystko, co chciał. Randal Mullins, alias Josh Quintrell, był historią.

- Co to za newsy, które miałem usłyszeć? - zapytał Gus.

Tu masz podpowiedź - odparł Dan i spojrzał na Carly.

Sięgnęła za jego plecy i wyciągnęła grubą teczkę. Na okładce widniała pieczętka ST. KILDA CONSULTING. Carly przejechała kciukiem po pliku kartek.

Oczy zaszklily się Gusowi, kiedy zobaczył harmonię skomplikowanych kolorowych map, wykresów, cyfr.

- Jak padnę na twarz, podsumujesz mi to w paru słowach?

Dan zachichotał.

- Ja powiedziałem to samo.

- Ałe nic padałeś na twarz - odparła.

- Nie narzekałaś.

Posłała mu spojrzenie z ukosa i bardzo kobiecy uśmiech.

Gus zaszurał nogami.

Okej - powiedziała Carly. - Mamy rok sześćdziesiąty ósmy, Wietnam. Randal Mullins służy jako zwiadowca w jednostce, w której służy również Josh Quintrell. Wchodzą w zasadzkę. Giną wszyscy z wyjątkiem Randala.

- Z autopsji przeprowadzonej przez St. Kilda wynikało, że człowiek pochowany jako Randal Mullins zginął od strzału z karabinu w tył głowy - dorzucił Dan. - Z bardzo bliska. Jak przy egzekucji. W tkankach odnaleziono Y-DNA Senatora i mtDNA Sylvii. Zabity był prawdziwym Joshem Quintrellem.

- Chcesz powiedzieć, że Randal zabił Josha Quintrella w Wietnamie? - spytał Gus.

Prawdopodobnie, ale nie potrafimy tego udowodnić - odparł Dan. - Możemy dowieść jedynie tego, że z zasadzki wyszedł tylko ranny żołnierz z blaskami Josha Quintrella, cierpiący na częściowy zanik pamięci. Ciężko okaleczone ciało z blachami Randy'ego Mullinsa zostało odesłane do Stanów i pochowane na cmentarzu komunalnym w Taos.

Carly wyjęła zteczki listę dat.

- Senator Quintrell polecił do szpitala wojskowego, by odwiedzić ranego syna, został na noc i wrócił do Waszyngtonu. Dwa miesiące później Josh Quintrell przyjechał do domu na rekonwalescencję. Kilka tygodni później Susan Mullins rozpoznaje swojego syna w mieście. Swojego nieżyjącego syna, który twierdzi, że wcale nim nie jest. Susan mówi swojej przyjaciółce Lizie, że Randy nazywa siebie Joshem i udaje, że nie poznaje własnej matki. Dwa dni później prostytutki zostają zaszytowane i zmasakrowane przez hippisa naćpanego anielskim pyłem.

- Przeprowadzona ostatnio ponowna ocena protokołów z miejsca zbrodni i autopsji - wtrącił Dan - wykazuje, że kobiety zostały zabite w różnych miejscach i przeniesione na miejsce, w którym je znaleziono. Hippis albo się o nie potknął, albo też wręczono mu narzędzie zbrodni i popchnięto go na ciało. Tak czy inaczej, leżały wszystkie razem, a hippis się na nic przewrócił.

- Liza i Susan - mruknął Gus.

Dan skinął głową.

Czy zdajecie sobie sprawę - powiedział Gus - że jeśli to wszystko jest prawdą, to ten człowiek z zimną krwią zamordował własną matkę i dwie inne kobiety, a potem spreparował miejsce zbrodni, by wyglądało, jakby zostały zabite wszystkie razem przez jakiegoś oszalałego ćpuna?

• Zabił też swojego przyrodniego brata w Wietnamie - dodał Dan. - Ale jeśli sam się nie przyzna, nie zdołamy mu tego udowodnić.

Jezusie, Józefie i Mario - powiedział ponuro Gus, kręcąc głową. Trudno uwierzyć, że ktoś, kogo się zna...

- Będzie jeszcze gorzej - przerwał mu Dan.

Carly uścisnęła jego dłoń i mówiła dalej.

Sądźmy, że Randal szantażował Senatora, wymuszając na nim zgodę na zamianę tożsamości.

- Szantażował? Czym?

Senator miał kazirodczy związek z Lizą - rzucił Dan obojętnie.

Gusowi opadła szczęka.

- Możecie to udowodnić?

- Tak, ale mama będzie wtedy cierpiała.

- Nie rozumiem... Chryste, ty chyba nie mówisz...

Senator jest biologicznym ojcem mamy - rzekł Dan. Lizą jest matką. Sam sobie odpowiedz.

Gus przyciągnął sobie składane krzeselko i klapnął na nie.

Kiedy Randy został uznany za Josha, sprawy uspokoiły się na jakiś czas, jeśli chodzi o morderstwa - powiedziała Carly, zerkając na listę, którą trzymała przed sobą. A potem Berty, przyrodniej siostrze Randy'ego, skończyła się forsa. Mąż się z nią rozwiódł, odstawiała numerki za grosze, aż w końcu postanowiła zabawić się w szantażystkę.

Też na podstawie tego kazirodztwa? - zapytał Gus.

Nie - odparł Dan. Jej matka, Susan, opisała, jak to było, kiedy Randy/Josh jej rzekomo nie poznał, i wysłała wszystko córce. Berty nic z tym nie robiła przez wiele lat, aż w końcu upiła się wystarczająco, by szantaż wydał jej się najprostszą rzeczą na świecie.

I?

Kilka dni później popełniła samobójstwo - powiedziała Carly. Mógł to zrobić Senator. Mógł gubernator. Obaj mieli mnóstwo do stracenia. A może faktycznie było to samobójstwo. Nigdy się nie dowiemy, chyba że gubernator poczuje melodię do wyznań.

Samobójstwo, co? - mruknął Gus. - Wygodne.

- O tak - przyznał Dan. - Śmierć była dobrą przyjaciółką gubernatora. Ale znów niczego nie da się dowieść. Możemy udowodnić tylko to, że kilka miesięcy później Senator zaczął wpłacać pieniądze na różne cele dobroczynne. Dwie z fundacji były przykrywkami. Datki łądowały na koncie na Arubie, należącym do niejakiego Pedra Moreno.

- I co z tego?

- Pedro to Pete Moore - wyjaśniła Carly. Melissa miała coś, czego nie miała jej matka: męża księgowego, który wiedział, jak ukryć pieniądze. Więc kiedy odziedzyczyła pamiętki po Betty, odczekała rok, a potem podjęła dzieło matki.

- Ale Moorc'owie byli mądrzejsi i Senator nigdy nie dowiedział się, kto go strzyże - dodał Dan. - Dopiero gubernator to wykrył, prawdopodobnie

kiedy przejął księgi rancza po śmierci Senatora - Dan wzruszył ramionami. - W każdym razie ja rozpracowałem tę pralnię i dotarłem do nazwiska Pete'a.

- Jak to zrobiłeś? - zainteresował się Gus.

- Co? - spytali chórem Dan i Carly.

Gus otworzył usta, zamknął je i słuchał dalej.

- Gubernator z pewnością miał dostęp do biegłych księgowych - powiedział Dan - więc mógł się dowiedzieć, kto go szantażuje. Kolejna sprawa nie do udowodnienia bez zeznań gubernatora. A nie liczyłbym na nie za bardzo.

- Szczęśliwy szantaż trwał, dopóki Pete i Melissa nie zginęli w wypadku samochodowym - ciągnęła Carly.

- Ale to nie był wypadek - powiedział Gus.

- Nie - potwierdził Dan. - Wspominałem już, że Randy Mullins był w Wietnamie cholernie dobrym snajperem?

- Głowa mnie rozbolała - jęknął Gus, rozcierając kark.

- Mnie też bolała. - Dan dotknął miejsca, w którym kula przycięła mu linię włosów. To stąd gubernator miał krew, którą wysłał do Genedyne, by udowodnić, że ma mtDNA Castillo. Posłał mi kulkę, poczekał, aż się odczołgam z pomocą Carly, i wziął sobie próbkę z miejsca, gdzie zakrwawiłem śnieg.

Teraz pewnie żałuje, że cię nie zabił - rzucił Gus.

Dan wyszczerzył zęby w uśmiechu.

- Tak, pewnie tak. Ale w tamtym momencie to mu się wydało zbyt ryzykowne. Trochę krwi na śniegu od kulki kłusownika to drobiazg. Trup wymaga od policji trochę więcej gimnastyki.

- Więc jak go dopadłeś? - zapytał Gus.

Dan ścisnął dłoń Carly, dając jej do zrozumienia, że to on chce wybrać prawdy i półprawdy dla brata.

- Carly zauważyła niewielką różnicę w profilu mtDNA między mamą i Sylvią. To była bomba, która rozsadziła morderczą grę gubernatora na strzępy.

- Że jak? - zapytał niecierpliwie Gus.

- Gubernator ma takie samo mtDNA jak Melissa. Odziedziczone po Susan Mullins.

- Więc dlatego ją ekshumowaliście. Ale dlaczego nie wykopaliście przy okazji Lizy? Chodziło o mamę?

- Nie było żadnej potrzeby, żeby ją na to narażać - odparł Dan. Była to tylko część prawdy. Nie powiedział, że pewnej mroźnej nocy dokonał kilku

częściowych ekshumacji na rodzinnym cmentarzu Quintrellów. A biorąc pod uwagę umowę małżeńską, którą podpisał Senator, jego bękart ma takie samo prawo do rancza, jak przeciętny Marsjanin.

- Jak Genedyne zdobyło próbkę tkanki Senatora? Bo jakoś nie sędzę, żeby gubernator się na to zgodził.

- Będziesz musiał zapytać St. Ki Ida Consulting odparł Dan bez zmruczenia oka.

A powiedzą mi?

- Wątpię.

- Geny na bok - wtrąciła pospiesznie Carly, nie chcąc, by Gus zbyt się zagłębiał w genetyczne historie. - St. Kilda Consulting odkryła również wiele niezgodności w wojskowych i szkolnych aktach Randy'ego i Joshua, a także nielegalne źródła finansowania kampanii, z których korzystali i Senator, i gubernator. Było też kilka zamian ziemi, które bardziej się opłacały Quintrellom niż obywatelom Nowego Meksyku i Stanów Zjednoczonych.

Brwi Gusa uniosły się do góry.

Kiedy się już ma powód do szukania, można znaleźć naprawdę niewiarogodne rzeczy - powiedziała Carly.

- I znów St. Kilda Consulting stwierdził Gus, patrząc na brata, jakby go widział po raz pierwszy w życiu. - Chętnie zrobiłbym reportaż o...

Nie uciał Dan. - Ludzie, którzy mają o tym wiedzieć, już wiedzą. Reszta niech sobie ogląda wiadomości o szóstej.

Gus spojrział na teczkę w rękach Carly.

- Domyślam się, że nie mogę tego zabrać ze sobą?

Przykro mi - odparł Dan. Możemy ci podać tylko ogólniki. I tak było ich sporo. Ale przekonasz się, że szeryf Montoya będzie bardzo chętny do współpracy. A gdyby nie był, daj mi znać.

Rozległo się pukanie do drzwi.

- Ja otworzę - powiedział Gus, mrugając do Dana i Carly siedzącej na jego kolanach. - Wam jest za wygodnie, żeby chciało wam się wstawać.

Dan objął Carly mocniej.

- Jesteś na to gotowa? - zapytał szeptem.

- Na ciebie zawsze.

- Na mamę. To pewnie ona. Wie, że raport miał przyjść dzisiaj.

- Mam się ulotnić? - spytała.

- Nie, chyba że chcesz.

Cmoknęła go w policzek.

Tylko jeśli ty chcesz.

Spojrzał jej w oczy.

- Zostań ze mną Carolino May.

Nim zdążyła odpowiedzieć, do sypialni weszli Diana i John. Diana sprawiała wrażenie znużonej, ale jakby silniejszej. John wyglądał jak facet chroniący swoją kobietę.

Dan wstał, pociągając Carly za sobą tak że teraz stali ramię w ramię. Przez długie lata, związany milczącą umową nie wspominał w obecności matki o Senatorze ani jego licznych dzieciach. Dziś sama poprosiła o spotkanie. Żeby rozmawiać o Senatorze.

- Gdzie Gus? - zapytał Dan.

- Kazałem mu iść do domu - odparł John. Spojrzął na Carly.

- Ona zostaje - powiedział Dan. - Należy do rodziny.

Uśmiech Diany był smutny i piękny.

- Więc wiecie.

- Tak - odparł Dan. - A tato wie?

John spojrział na niego i rzeki:

- Dziękuję.

- Za co?

- Że wciąż nazywasz mnie tatą

- Dawcy spermy płodzą dzieci. - Dan podszedł do Johna, by go uściskać.

- Ojcowie je wychowują. Więc jeśli o mnie chodzi, jesteś moim ojcem.

- Powinam była ci powiedzieć. - Po policzkach Diany płynęły łzy. - Ale nie mogłam. John wiedział, że byłam w ciąży, kiedy się pobieraliśmy, ale nie miał pojęcia, kim jest ojciec, ani o całej reszcie. Nie wiedziałam, jak mu o tym powiedzieć. Ani tobie. Czułam się ... nieczysta.

- Cicho - szepnął Dan, biorąc matkę w objęcia. Powiedzenie własnemu synowi, że jego ojciec, dziadek i pradziadek to jeden i ten sam kazirodczy sukinsyn to bardzo trudna rzecz.

Diana przyłgnęła do niego.

- On... Senator...

- Nie musisz mi niczego mówić, już nigdy - rzucił żarliwie Dan. - Wystarczy mi świadomość, że ktoś tak dobry, czysty i kochający jak ty mógł wyrosnąć z piekła, które stworzył ten człowiek. - Pocałował ją - Tylko to się liczy. To, kim ty jesteś, a nie czym on był.

Bałam się, że ... że jeśli ci powiem ... że to cię zniszczy - wyznała. Omal nie zniszczyło mnie. Spojrzała na męża i uśmiechnęła się. - Miłość Johna mnie uratowała.

Sama się uratowałaś - odparł z uśmiechem. - Pozwoliłaś się kochać. - Nagle jego uśmiech zniknął. Całe szczęście, że Senator nie żyje. Nie chciałbym spędzić reszty życia w więzieniu za zabicie go.

Coś dzikiego błysnęło w oczach Dana.

- Nie miałbyś szansy.

Diana pociągnęła Johna za koszulę.

- Chodź, kochany. Pora zostawić ich samych, żeby mógł ją poprosić... to znaczy, pora już wracać do domu.

- Tak? - zdziwił się John. Ale ja myślałem, że chciałaś...

- Wracamy do domu - ucięła Diana stanowczo. Pocałowała Dana, uściśkała Carly i powiedziała do syna: Od razu daj mi znać.

Zdziwiona Carly patrzyła, jak Diana pogania męża. Kiedy Dan zamknął za nimi drzwi, spytała:

- Czy ja coś powiedziałam?

Uśmiech Dana przypomniał jej, jak bardzo wdał się w matkę.

- Nie, to ja mam coś powiedzieć. Tobie. Moja matka, dobra, kochająca bruja, już wie, o co cię poproszę.

- O co?

- O dzieci. Małżeństwo. Wolałbym najpierw małżeństwo, ale jestem otwarty na seksualne przekupstwo.

Carly zagapiła się na niego szeroko otwartymi, dymnozłotymi oczami.

- Ja też zawsze tak chciałam.

- Mówisz o seksualnym przekupstwie?

Roześmiała się i padła w jego otwarte ramiona.

- Małżeństwo przed dziećmi. Ale seksualne przekupstwo też może być - dodała i cmoknęła go w podbródek. - Pod warunkiem, że to ty będziesz przekupywał mnie.

- Jesteś pewna?

- Że masz mnie czym przekupić? Całkowicie.

- Nie. Że chcesz za mnie wyjść. - Uśmiechał się do niej, ale jego oczy były poważne, zachłanne, wyczekujące.

- Tego też - odparła.

Czekał dalej.

- To znaczy tak, jeśli o mnie chodzi - powiedziała, dotykając niewielkiej blizny po kuli. - A ty co powiesz?

Och, tak.

Zadzwoiła komórka Dana. Wyciągnął ją i spojrzął na wyświetlacz.

St. Kilda Consulting.

Carly przestała smakować jego szyję i zapytała:

- Kto to?

Pomyłka - odparł, rzucając telefon na drugi koniec pokoju.

Komórka wciąż dzwoniła.

Ale żadne z nich nie zwracało na to uwagi.